Cena Zł 100

NAUKA I SZTUKA

MIESIĘCZNIK

ROK II MAJ-CZERWIEC 1946 Nr 5-6 (8-9)

Zawiera:

PRZEGLĄDY

WARSZAWA — WROCŁAW — JELENIA GÓRA

Następny numer „Nauki i Sztuki" (nr 10-11) ukaże się w początkach września i będzie poświęcony twórczości Prusa i Sienkiewicza.

Wydano z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki
oraz Ministerstwa Oświaty

Wydawca: zespół „Nauka i Sztuka"

Redaktorzy: Julian Krzyżanowski i Stefan Kuczyński

Redakcja: Warszawa, Krak. Przedmieście 26, Uniwersytet

Wydawnictwo: Jelenia Góra, Norwida 9

Skład główny w księgarni Sp. Wyd. „Czytelnik", Wrocław, Krupnicza 13.

NAUKA i SZTUKA

MIESIĘCZNIK

TOM III   MAJ-CZERWIEC 1946   NR 5-6 (8-9)

Julian Krzyżanowski

SIENKIEWICZ A LITERATURA ROSYJSKA

(W setną rocznicę urodzin autora Trylogii).

I.

Najrozmaitsze przyczyny, których wyliczać tu niepodobna, złożyły się na to, że nasze badania literackie stale utykają w pewnych dziedzinach. Do dziedzin tych w pierwszym rzędzie zaliczyłbym komparatystykę, studia porównawcze zjawisk analogicznych lub pokrewnych, spotykanych w różnych literaturach; wprawdzie lata ostatnie przyniosły i tutaj sporo ważkich nowości, z tym wszystkim luki są tu po staremu rażące. Uderzają one zwłaszcza w zakresie naszej znajomości sprawy dwu literatur ościennych, polskiej i rosyjskiej, które w ciągu kilku stuleci pozostawały w takich czy innych stosunkach, oddziaływały na siebie wzajemnie w ten czy inny sposób, przy czym bez uwzględnienia owych wzajemnych oddziaływań nie zawsze umiemy sobie pewne zjawiska po jednej i drugiej stronie dzielących je, czy może łączących granic poprawnie wyjaśnić.

Utyskiwania na ten stan rzeczy nie są bynajmniej nowe. Niedomagania zarówno nasze jak rosyjskie wytykałem już przed laty blisko dwudziestu, a do sprawy tej wypadło mi powrócić nieco później. Nie jest rzeczą przyjemną przedrukowywać swe własne „głosy wołającego na puszczy", ponieważ jednak dotyczą one zagadnień dzisiaj szczególnie aktualnych, a odległość ich w czasie chroni autora dostatecznie przed podejrzeniami o hołdowaniu koniunkturze, ponieważ nadto wypowiedzi te pojawiły się w pismach mało u nas czytanych, godzi się je przypomnieć.

„Stosunki polsko-rosyjskie — stwierdzałem w r. 1928[1] — miały przeważnie charakter polityczny i z tego właśnie stano-

[1] Por. szkic. „Mickiewicz and Pushkin", Slavonic Review, 1928, VI, 18.

wiska badali je uczeni polscy i rosyjscy. By rzec prawdę, większość tych badań podejmowano ze strony rosyjskiej celem usprawiedliwienia rozbiorów, ze strony zaś polskiej celem uzasadnienia prawa ujarzmionego narodu do walki o niepodległość; dzięki temu studia te w istocie miały mało wspólnego z obiektywizmem naukowym, ulegały natomiast zabarwieniu przez pochodzące z zewnątrz poglądy i przesądy polityczne. W ten sposób, zgodnie z istotnym znaczeniem roztrząsanych w nich zagadnień, odznaczały się one uprzedzeniami i jednostronnością. Pozostawiały nadto odłogiem bogatą dziedzinę stosunków, niemniej bodajże interesujących a dotyczących literatury i kultury, chociaż te właśnie problemy niejednokrotnie przyczynić by się mogły do zrozumienia psychiki obydwu narodów. Brak zainteresowań w zakresie wzajemnego oddziaływania na siebie dwu kultur wydał w rezultacie zdumiewającą ignorancję po obydwu stronach; literatura rosyjska i jej podstawa, psychika rosyjska, stały się czymś całkowicie nieznanym w Polsce, podobnie jak literatura polska i jej ideały były czymś zupełnie obcym w Rosji."

W sześć lat później[2] wypadło mi stwierdzić, że od chwili nakreślenia tych uwag nic się nie zmieniło. Spadku odziedziczonego po układzie stosunków, któremu koniec położyła dopiero wojna europejska, niepodobna zlikwidować doraźnie, jakkolwiek pracę nad usunięciem go i zastąpieniem przez inny system poglądów, bardziej odpowiadających wymaganiom prawdy, rozpocząć powinny jak najrychlej zarówno nauka polska jak rosyjska.

Wacław Lednicki, jeden z bardzo nielicznych naszych uczonych, pracujących nad obaleniem owego chińskiego muru, polsko-rosyjskiej ignorancji w zakresie wzajemnych stosunków kulturalno-literackich, w zajmującym szkicu o mickiewiczowskiej „Drodze do Rosji" (1933) wskazał, że właśnie ten poemat wytyczył szlaki, wedle których myśl polska orientowała się, ilekroć wypadło jej kierować się ku zagadnieniom rosyjskim. Jak dalece spostrzeżenie to jest trafne, przekonywa choćby charakterystyka poglądów J. Conrada na Rosję. Że zaś orientacja ta nie przestała być aktualna w Polsce po dzień dosłownie dzisiejszy (1934), mogłem przekonać się na własnej skórze. Spotkało mnie sporo, przewidywanych zresztą przykro-

[2] Szkic: Na manowcach „Drogi do Rosji", Ruch literacki 1934 Nr 3. Rozdział 1 tutaj jest lekko przerobionym połączeniem wstępów do obydwu szkiców dawniejszych.

ści, gdy napisałem artykuł o Sienkiewiczu i walterskotystach rosyjskich. Stwierdzenie, że autor „Trylogii" znał najrozmaitsze, nie zawsze zresztą świetne romanse rosyjskie i że im to niejeden pomysł zawdzięczał, poczytano za rodzaj zamachu na „świętości" narodowe.[3]

A po stronie rosyjskiej nie bywało bynajmniej lepiej. Podkreślałem to kilkakrotnie, w moich uwagach na temat studium Fiłosofowa o Mickiewiczu, czy polskiego tomu „Sowieckiej Encyklopedii Literackiej",wywołując nimi reakcję w postaci pomówień bo ja wiem o co, nawet bowiem posądzeń o ignorację czy reakcyjność mogłem się dosłuchać w tych, nikłych zresztą pogłosach, które wystąpieniami swymi spowodowałem.

Dać zaś za wygraną w tych warunkach niepodobna, na zaniedbaniu bowiem studiów nad stosunkami literackimi polsko-rosyjskimi najgorzej wychodzi prawda, spowita w powłokę niechęci i niewiedzy a czekająca cierpliwych, sumiennych i bezstronnych pracowników, którzy by ją z pod pokładu przez stulecia całe gromadzących się uprzedzeń na jaw wydobyli. Dotarcie zaś do niej jest postulatem nie tylko teoretycznym, akademickim, bardzo zresztą wdzięcznym, chodzi tu bowiem o zjawiska wzajemnej, wiekowej wymiany pewnych wartości literackich, ale również — jak już zaznaczyłem — praktycznym. Na punktach stykania się i krzyżowania dwu kultur, polskiej i rosyjskiej, powstało wiele zjawisk pierwszorzędnej wagi zarówno dla nas jak dla Rosjan, zjawisk, które przed pół wiekiem w bardzo ogólnikowym szkicu ułamkowo wskazał A. Brückner;[4] zrozumienie tych zjawisk bez dokładnej znajomości stosunków, które je wydały, jest niemożliwe, zrozumienie zaś oparte na czynnikach jednostronnych, polskich dla Polaków, rosyjskich dla Rosjan, jest w najlepszym razie cząstkowe tylko i wskutek tego dalekie od ścisłości. Że nie jest zaś to czczy frazes, dowieść łatwo, wskazując, że z naszej strony wchodzą tu w grę tytuły i nazwiska takie, jak średniowieczna „Rozmowa z Śmiercią", jak twórczość Kochanowskiego, Krasickiego, Mickiewicza, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Żeromskiego, Siero-

[3] Chodzi o referat przedstawiony 28. X. 1932 na posiedzeniu komisji literackiej P. A. U. i drukowany w „Sprawozdaniach" akademickich pt. „Sienkiewicz i Walterskotyści rosyjscy". Treść jego weszła do studium obecnego jako rozdz. 2—3.

[4] O literaturze rosyjskiej i naszym do niej stosunku dziś i lat temu trzysta, 1906.

szewskiego, całej plejady poetów międzywojennych, a listę przedłużać by tu można niemal bez końca!

Zagadnienia te może doczekają się kiedyś ujęcia naukowego, oświetlającego rzecz całą ze stron obydwu. Ile zaś zrobić tu należy, zilustrować można na drobnym wycinku dziejów stosunków literackich polsko-rosyjskich, na przykładzie paru faktów z twórczości Sienkiewicza, wedle pospolitej opinii związanego bardzo ściśle z tradycjami literackimi i zachodnio-europejskimi i rodzimymi, pisarza jednak, który — jak się okaże — to i owo zawdzięczał również znajomości piśmiennictwa rosyjskiego.

II.

Z pism Sienkiewicza, zwłaszcza ulotnych i publicystycznych, nadto z korespondencji, zebrać by się dało sporą wiązkę interesujących wypowiedzi na temat jego stosunku do literatury rosyjskiej. Znaleźć by tam można i wiadomość o stanowisku powieściopisarza polskiego wobec Puszkina i zastanawiającą uwagę o Tołstoju, którego zasługę najwyższą Sienkiewicz dojrzał w tym, że autor „Wojny i pokoju" Rosję „ukazał światu jako dziwny, ogromny i młody lud", ku zdziwieniu tych wszystkich, którzy mówili o jej zakrzepnięciu w martwym bizantynizmie[5]. Na podstawie tych danych ustalić by się dał stopień znajomości wielkich pisarzy rosyjskich u twórcy „Krzyżaków", znajomości wyniesionej z murów szkoły, przeciw której metodom i charakterowi wielokrotnie energicznie protestował, ale której niewątpliwie wiele zawdzięczał. Rzecz bowiem osobliwa, ale pisarz, słusznie uchodzący za klasycznego prozaika, za mistrza mowy polskiej, ze szkoły rosyjskiej wyniósł pewne nawyki, od których przez lata całe wyzwolić się nie umiał[6]. Dla przykładu wskazać można, iż od „Trylogii" do „Bez dogmatu" chętnie posługiwał się wyrazami „zeznanie" i „zeznawać" w znaczeniu „świadomość" i „uświadamiać sobie", bezwiednie przenosząc do polszczyzny rosyjskie „soznanije" i „soznawaj", co dopiero w „Krzyżakach" zastąpił poprawnymi „rozeznanie" i „rozeznawać"[7].

[5] W „Pismach zapomnianych i niewydanych", 1922.

[6] Por. Chmielowski: H. Sienkiewicz (wyd. Zuckerkandla) s. 10.

[7] Mam na myśli wypadki takie, jak zdanie o Chmielnickim, który początkowo „nie zeznawał własnej potęgi" (Ogniem i mieczem, wyd. Ossolineum I, 139), co nonsensownie poprawiano na „nie uznawał", lub jak uwaga Płoszowskiego: „Noszę w sobie dwóch ludzi, z których jeden ciągle zeznaje i krytykuje" (Bez dogmatu, 1899, I, 34).

Być może, że na obfitość rusycyzmów w języku „Trylogii" wpłynęła mała „znajomość mowy Ukraińców", wytykana pisarzowi już przez pierwszych jego krytyków, prowadząca do posługiwania się słownictwem rosyjskim odpowiednio zresztą zmodyfikowanym.[8] Sprawy te, mimochodem tu i ówdzie zaznaczane, wymagałyby dokładniejszego wyświetlenia.

Doczekała go się inna warstwa znamiennych właściwości „Trylogii", mianowicie pewna ilość motywów, tworzących jej barwną akcję, oraz pewne szczegóły jej barwnych opisów. W świetle mniej lub więcej przygodnych zestawień pomysłów Sienkiewicza z ich pierwowzorami okazało się, iż między twórcą naszej nowszej powieści historycznej a jej ojcem w Europie zachodniej, Walterem Scottem, stwierdzić trzeba ogniwa pośrednie, wiodące przez literaturę rosyjską a związane z nazwiskami nie byle jakimi, bo Gogola i Puszkina.

Związki te były poniekąd nieuniknione, wynikały z samego charakteru pracy literackiej młodego pisarza. Wiemy mianowicie, że przystępując do „Trylogii" Sienkiewicz nie znał Ukrainy z autopsji, nie mówiąc już o tym, że z konieczności musiał sięgnąć do źródeł przedstawiających przeszłość tego kraju, a pisanych nie tylko przez Polaków, ale i przez Rosjan. Z życiem stepowym zapoznał się wprawdzie w preriach amerykańskich, które były właściwą kolebką pomysłu jego wielkiego dzieła, doświadczeniom jednak własnym wypadło mu nadać ukraiński koloryt lokalny. Ogromną pomocą w tym zakresie były mu wprawdzie tradycje polskiej poezji romantycznej. dzieła Malczewskiego, Słowackiego, Zaleskiego i Pola, oraz powieści późniejsze, Wł. Łozińskiego, J. Strutyńskiego (Berlicza Sasa), T. T. Jeża i in., z tym wszystkim jednak nie mógł pozostać obojętny na czar dobyty z pejzażu naddnieprzańskiego w romantycznej prozie młodego Gogola. Ze szkoły znał doskonale jego głośną powieść ukraińską „Taras Bulba", osnutą na motywie antagonizmu kozacko-polskiego w czasach Chmielnickiego. Jej też zawdzięczał obraz stepu wpleciony w relację o podróży Skrzetuskiego na Sicz.

„Było to już w drugiej połowie marca. Trawy puściły się bujno, perekotypola zakwitły, step zawrzał życiem. Rankiem namiestnik, jadąc na czele swych ludzi, jechał jakby morzem, którego falą ruchliwą była kołysana wiatrem tra-

[8] Chmielowski: H. Sienkiewicz w oświetleniu krytycznym, 1901, 100.

wa. A wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, pogwizdywań, kląskań, trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów: step brzmiący jak lira, na której gra ręka boża. Nad głowami jeźdźców jastrzębie, tkwiące nieruchomie w błękicie, na kształt pozawieszanych krzyżyków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żurawiane, na ziemi gony zdziczałych tabunów... Tętent ucichł, znowu słychać tylko granie ptactwa. Niby wesoło, a jakiś smutek śród tej radości, niby gwarno a pusto — o, a szeroko, a przestronno" (I, 68).

W przyrównaniu stepu do liry, na której gra ręka boża, oraz w końcowym wykrzykniku łatwo poznać manierę Zaleskiego; centralny szczegół obrazu, w przytoczeniu pominięty, żywo przypomina „Mohorta"; pewne jednak szczegóły zbliżają opis Sienkiewicza do wspaniałego obrazu stepu ukraińskiego w rozdziale powieści Gogola, przedstawiającym wyprawę Bulby z synami również na Sicz. W obrazie tym, mieniącym się barwami tęczy i grającym tonami ogromnej orkiestry:

„cała powierzchnia ziemi wydawała się zielono-złotym oceanem, na którym wystrzeliły miliony przeróżnych kwiatów. Powietrze pełne było tysiącem różnych ptasich świstów. Na niebie nieruchomo tkwiły jastrzębie, płasko rozpostarłszy skrzydła i nieruchomo utkwiwszy oczy w trawę. Krzyk bokiem przelatującej chmury dzikich gęsi odbijał się w Bóg wie jak odległym jeziorze..."

Gogol, pisarz o nieszczególnej wiedzy historycznej, a najzupełniej pozbawiony intuicji historycznej, do powieści swej, pełnej zabawnych anachronizmów, wprowadził, jako jeden z motywów podstawowych, miłość młodego kozaka, Andrzeja Bulby, do pięknej wojewodzianki kowieńskiej. Motyw taki, pozwalający na efektowne kontrasty społeczne, narodowe i religijne, nie był czymś obcym literaturze polskiej, dość wskazać na dzieła Sienkiewiczowi tak dobrze znane, jak Słowackiego „Sen srebrny Salomei" lub opowieści Z. Fisza o „Nestorze Pisance" czy „Zosi Żytkiewiczównej". Mimo to przypuszczać można, że dla koncepcji miłości Bohuna ku Helenie nie był całkiem obojętny pomysł Gogola, obfitujący w momenty równie nieprawdopodobne, opatrznościowe, jak historia sienkiewiczowska; Andrij uchronił wybrankę swego serca od śmierci głodowej równie nieoczekiwanie, jak Bohun Helenę od zguby w zdobytym Barze.

Niedomagania wyobraźni epickiej, Gogol usiłował w powieści swej zastąpić surogatami, zaczerpniętymi ze studiów nad Homerem, dumami i bajkami ludowymi i przy pomocy tych właśnie elementów złożył niesłychanie rozwlekłą i monotonną relację o oblężeniu Dubna przez wojska kozackie. Relacja ta przyczyniła się zapewne do homeryckiego ujęcia opisu oblężenie Kamieńca w „Panu Wołodyjowskim", pewne zaś jej refleksy odpoznać można również w oblężeniu zbaraskim. Kozacy Gogola giną dość stereotypowo jako obrońcy wiary i wolności. Jeden z nich, dzielny Kubienko, otrzymawszy ranę śmiertelną, „potoczył oczyma wokół siebie i przemówił: Dziękuję Bogu, że pozwolił mi umierać w waszych oczach, towarzysze. Oby po nas żyli lepsi od nas, oby kwitła wiecznie ukochana przez Chrystusa ziemia ruska! I uleciała młoda dusza. Ujęli ją aniołowie pod ręce i ponieśli w niebiosa. Dobrze mu tam będzie. — Siądź, Kubienko, po mej prawicy! — rzecze doń Chrystus, tyś nie sprzeniewierzył się towarzystwu, niecnego uczynku nie pełniłeś, nie opuściłeś człowieka w nieszczęściu, czciłeś i broniłeś mą cerkiew". Echami tego naiwnego obrazka podzwania przedstawienie zgonu Podbipięty. Gdy bohaterski rycerz skonał, „aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją, jako perłę jasną, u nóg królowej anielskiej" (2,252). A na pogrzebie ksiądz Muchowiecki odtwarza rozmowę poległego z św. Piotrem. Rycerz przyszedł do furty niebieskiej „czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy — bez zmazy grzechowej, z ofiarą krwi, dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej", przyszedł, więc „niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża" (2,256).

Drugim klasykiem prozy rosyjskiej, którego znajomość odbiła się wyraźnie na „Trylogii", przede wszystkiem na „Ogniem i mieczem", jest Puszkin, jako autor studium o Pugaczowie i w stopniu znacznie wyższym, powieści „Panna Kapitanówna" (Kapitanskaja doczka). Podobieństwa i pokrewieństwa przygód bohaterów Sienkiewicza czasu rewolty chłopskiej na Ukrainie i uczestników, oraz ofiar „buntu Pugaczowa" czasów Katarzyny II ustalono u nas wcale dokładnie. W świetle tedy dotychczasowych dociekań okazało się, że z dzieła Puszkina, który bohatera swego opowiadania, młodego oficera, Piotra Gryniewa, związał z przywódcą chłopskim, wywieść można stosunek Skrzetuskiego do Chmielnickiego. Oficer rosyjski tedy ratuje w czasie zawiei przebranego i ściga-

nego przez władze Pugaczowa, za co ten, w odpowiedniej chwili, wywdzięcza mu się darowaniem życia i wolności, gdy Gryniew wpadł w jego ręce jako jeniec wojsk carskich, mimo iż jeniec nie chce ulec namowom zwycięzcy i wstąpić w szeregi rebelizantów. Scena początkowa powieści Sienkiewicza, uratowanie Chmielnickiego z zasadzki i odwdzięczenie się wodza kozackiego wybawcy, oraz postawa Skrzetuskiego, wszystko to, przetransportowane z niezwykłą oryginalnością przez autora „Ogniem i mieczem",stanowi niewątpliwy refleks jego rozczytywania się w Puszkinie[9].

Do tego dochodzą dwa inne jeszcze motywy, wspólne obydwu ujęciom. Pierwszym jest typowy dla wszystkich niemal powieści Sienkiewicza zabieg ustrojowy: dwaj rywale, zabiegający o rękę tej samej kobiety należą do dwu wrogich obozów politycznych; u Puszkina rywalem Gryniewa jest podstępny Szwabrin, w „Ogniem i mieczem" występują Skrzetuski i Bohun. W obydwu wypadkach kobieta sprzyja „bohaterowi dodatniemu", tj. miłemu i autorowi i czytelnikowi, i bohater ten ostatecznie tryumfuje. Motyw drugi, raczej epizodyczny, jeden zresztą z najzabawniejszych w powieści Sienkiewicza, dotyczy pijackiej przygody Zagłoby na chłopskim weselu, jego nieprzytomnej zabawy, zakończonej wpadnięciem w ręce śmiertelnego wroga, Bohuna, uwięzieniem w chlewie, rozpaczliwą obroną i ocaleniem dzięki niespodzianej odsieczy dragonów Wołodyjowskiego. Odpowiednikiem tej humoreski w „Pannie Kapitanównie" jest scena, gdy Gryniew w majątku ojcowskim wpada w pułapkę, zamknięty w spichierzu przez zbuntowanych chłopów i oblęgany przez Szwabrina, broni się desperacko, dopóki nie nadciąga oddział huzarów i nie wydobywa go z matni. Zwroty puszkinowskie, zupełnie wyraźne w ujęciu Sienkiewicza nie pozwalają wątpić o bliskim, bo bezpośrednim pokrewieństwie obydwu epizodów, z tym wszystkim — jak się dalej okaże — sprawa wcale zawiła i jest przykładem wypadku w studiach genetycznych nierzadkiego, gdy badane opowiadanie stanowi wynik oddziaływania wielu bodźców analogicznych na wyobraźnię danego pisarza.

[9] Dokładne zestawienia w studium J. Harhali: Sienkiewicz i Puszkin, Pamiętnik literacki 1930 Roczn. 27. Nieco wcześniej sprawy te poruszył J. Birkenmajer w szkicu pod takim samym tytułem w Ruchu literackim 1929, Zesz. 4.

III.

W czasach Puszkina i Gogola olbrzymiej popularności zażywał w Rosji romans historyczny, zrodzony z natchnień angielskich, z przykładu Waltera Scotta. Czołowymi jego producentami byli Michał Zagoskin (1792—1853) i Polak z pochodzenia, Tadeusz Bułharyn, literat spod dziwnie ciemnej gwiazdy, a równocześnie osobnik o dużym znaczeniu w zakresie wzajemnej wymiany pomysłów literackich między Polską a Rosją. Pominąć go zaś tutaj niesposób, w jego bowiem przekładzie dotarła do czytelnika polskiego (w r. 1830) najgłośniejsza powieść Zagoskina „Jurij Miłosławskij ile Russkije w 1612 godu" (1829), jeden z najpoczytniejszych romansów rosyjskich pierwszej połowy ubiegłego stulecia.

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że „Miłosławskiego" Sienkiewicz poznał wcześnie, właśnie w przekładzie Bułharyna, najrozmaitsze bowiem motywy tej głośnej walterskotacji przewijają się raz po raz w jego dziełach. I tak tutaj można znaleźć źródło przezabawnej w swej groteskowości sceny ucieczki Zagłoby i Wołodyjowskiego przed Tatarami w drodze do Zbaraża. U Zagoskina młody bojarzyn umyka w towarzystwie sługi-przyjaciela, kozaka Kirszy, przed podjazdem polskim. Traci on konia na drodze leśnej, wówczas Kirsza odstępuje mu swego, sam zaś pieszo rzuca się w las, zabiwszy poprzednio jednego z napastników. Ścigany przez Polaków, kosztem ulubionego psa unika ostatecznie zguby. U Sienkiewicza manewrowi rycerzy ocalenie swe zawdzięcza Helena, sam zaś manewr i kłopoty Zagłoby, pod którym koń się rozparł, wykazują zupełnie wyraźne pokrewieństwo z pomysłem Zagoskina.

Dalsze związki z „Miłosławskim" wykazuje „Potop". Bojar moskiewski, całą duszą sprzyjający ruchowi powstańczemu, wywołanemu przez najazd polski i przeciw niemu skierowanemu, nie może się do bojowników o wolność przyłączyć, skrępowany jest bowiem przysięgą, ucałowaniem krzyża na wierność królewiczowi Władysławowi. Wierny swym obowiązaniom, naraża się na nienawiść i prześladowania ze strony zwolennika najeźdźców, Kruczyny Szałońskiego, gdy podczas uczty odmawia wypicia zdrowia Zygmunta II jako cara Rusi; później, w Niżnim Nowogrodzie powstańcy, nie mogąc przeciągnąć go do swego obozu, pomawiają go o zdradę. U Sienkiewicza motywom tym odpowiadają: uczta kiejdańska,

na której Janusz Radziwiłł wznosi toast na cześć króla Karola Gustawa jako władcy Polski, oraz konflikt w duszy Kmicica, który zaprzysiągł wierność zdradzieckiemu hetmanowi. Niesłuszne podejrzenie o zdradę było wprawdzie w epoce Scotta motywem bardzo pospolitym („Waverley", „Pan Tadeusz", „Kapitanskaja doczka"), uzasadnienie jednak tego motywu względami natury etycznej, pamięcią na złożoną w dobrej wierze fatalną przysięgę, wspólne „Miłosławskiemu" i „Potopowi", każe dwie te powieści ująć w stosunku zależności drugiej od pierwszej.

I ogniwo końcowe Trylogii, „Pan Wołodyjowski", należy do kręgu dzieł, związanych z twórczością Zagoskina. Miłosławskij mianowicie lekarstwa na rozterkę duchową szuka w murach klasztornych; od ślubów zwalnia go przełożony-patriota, wskazując mu, iż obowiązkiem rycerza jest ratowanie zagrożonej ojczyzny; jest to więc argument, dzięki któremu z klasztoru kamedułów wywabia „małego rycerza" jego nieoceniony kompan, stary Zagłoba.

A wreszcie dodać można, że z prac Zagoskina Sienkiewicz znał najwidoczniej nie tylko „Mirosławskiego", ale również inne, mniej głośne powieści jego twórcy. Skoro tedy mowa o „Wołodyjowskim", wspomnieć warto, że perypetie miłosne pana Michała, postawionego między „angielską" Krzysią, a pełną temperamentu Basią, kontrast między panną sentymentalną, zakochaną w kim innym, a prostą jej siostrą, kochającą bohatera, dalej wyrzuty i obawy o życie ukochanego u panny sentymentalnej, wszystko to żywo przypomina romans Zagoskina „Rosławlew", w którym autor bez powodzenia usiłował przedstawić świeże jeszcze w jego czasach wydarzenia z „wojny o ojczyznę" tj. kampanii r. 1812.

A wreszcie trudno przypuścić, by Sienkiewiczowi obca była powieść Zagoskina „Brynskij ljes" (1846), motywy jej bowiem dwukrotnie przewijają się w dziełach naszego pisarza. Tutaj to mianowicie czytamy doskonałą anegdotę o polowaniu na niedźwiedzia z oszczepem, skonstruowaną tak samo, jak zapasy Zbyszka z misiem, zakończone tragicznie dla zwierza dzięki nieoczekiwanej interwencji Jagienki. Ważniejsza jest jednak sprawa inna, wspomniana już poprzednio, scena mianowicie, mająca swój odpowiednik w „Pannie Kapitanównie", tj. przygoda Zagłoby w chlewie na chutorze podolskim. U Zagoskina sotnik strzelecki, Lewszin,pojmany przez fanatycznych starowierców, skrępowany i zamknięty w ciem-

nej komorze, zawadziwszy o gwóźdź przeciera na nim swe pęta, omackiem znajduje drabinę, wchodzi po niej na strych, a stąd do komórki, w której podsłuchuje rozmowę starszyzny raskolniczej, zastanawiającej się, jak go zgładzić. Sporo szczegółów tu spotkanych weszło do niechlubnej historii IMć Pana Onufrego, historii, posiadającej jednak tyle najrozmaitszych koneksyj, m. in. i polskich, by przypomnieć choćby tylko „Pana Tadeusza", iż wymagałaby ona bardzo szczegółowego omówienia, jako ilustracja procesu zapładniania wyobraźni twórczej przez całe mnóstwo pomysłów sobie bliskich, w wyobraźni tej przekształcających się w całość nową i pełną uderzającej oryginalności.

IV.

Nie wychodząc poza obręb nazwisk pisarzy rosyjskich, którymi w rozważaniach dotychczasowych zająć się wypadło[10], warto poruszyć choćby najogólniej sprawę jednego jeszcze oddźwięku arcydzieł rosyjskich w twórczości Sienkiewicza. Idzie tu o pozycję nie byle jaką z jednej bowiem strony w grę wchodzi „Eugeniusz Oniegin" Puszkina, z drugiej „Bez dogmatu", a więc powieść, która przed laty przeszło pięćdziesięciu uchodziła za jeden z arcytworów naszej prozy.

Pamiętnik arystokratycznego bezdogmatowca, zawierający dokładny opis jego nieszczęść, wywołał całą powódź komentarzy, usiłujących dociec, na czym polega „tragedia filozofii", przeżyta przez Leona Płoszowskiego, „tragedia wiary", „tragedia woli" i jak to jeszcze próbowano określić. Rzecz znamienna, że nawet ci krytycy, którzy w bohaterze „Bez dogmatu" dostrzegali nie tragedię myśli, lecz tragedię miłosną nie wahali się twierdzić, że „chybiona w idei, w części deskryptywnej powieść jest arcydziełem analizy psychologicznej" (Feldman), ni przypisywać jej „tego samego wielkiego znaczenia, jakie miał w końcu zeszłego stulecia Werter" (Bogusławski). Jedynie trzeźwy Chmielowski, który lapidarnie stwierdzał, że miłość Płoszowskiego „jest objawem patologicznym, podobnym do objawów pewnego zboczenia płciowego", równie bezceremo-

[10] Pomijam tutaj sprawę związków „Ogniem i mieczem" z poczytną niegdyś powieścią Aleksego Tołstoja „Knjaż Sieriebrjanyj", mimochodem wspomnianych w literaturze o Sienkiewiczu, oraz stosunku tej naszej powieści do bajek ukraińskich i rosyjskich. Moje notatki, spłonęły w r. 1944, warunki zaś pracy obecnej (w Warszawie trudno jest zdobyć egzemplarz „Ogniem i mieczem"!) nie sprzyjają podjęciu takiej pracy.

nialnie załatwił się z rzekomą głębią roztrząsań filozoficznych bezdogmatowca, stwierdzając, iż ich autor ,,rzadko kiedy wzbija się nad poziom uwag dyletanta, uparcie powtarzającego pewne frazesy i przekonanego, że przez powtarzanie potrafi im nadać wartość jakichś bystrych i trafnych spostrzeżeń''. Jakżeż więc wytłumaczyć niezwykłą popularność powieści, zadokumentowaną w znacznej mierze wpływem wywartym przez nią na rozwój naszej powieści psychologicznej na przełomie wieków?

Odpowiedź wydaje mi się prosta. Kreśląc biografię Płoszowskiego, Sienkiewicz zastosował metodę, której stale w twórczości swej używał, w nowym mianowicie ujęciu ukazywał czytelnikowi zagadnienia doskonale mu znane i wskutek tego mające dlań ,,znamię swojskości'', tak jednak dyskretnie zamaskowane, iż dzieło wydawało się czymś całkowicie nowym. Nawiązał tu tedy raz jeszcze do typowych przejawów psychiki romantycznej, do jej upodobania w hamletyźmie i gdyby ,,Bez dogmatu'' dokładnie zbadać z tego stanowiska, okazałoby się, iż mamy tu raz jeszcze dobrze znaną odmianę księcia duńskiego, odmianę jednak alkowianą, wyżywającą się całkowicie i bez reszty w przeżyciach erotycznych, przedstawionych co prawda w barwach nie szekspirowskich, lecz spowitych w błyski tęcz i kaskad, błyski, w które sielankę swą przystroiła wyobraźnia Słowackiego, śpiewaka ,,W Szwajcarii''. Obecność owych błysków sprawia, iż potknięcie się alkowianego Hamleta, który odpycha zakochaną w nim dziewczynę, by wrócić do niej, jako do cudzej żony i poddać ją męczarniom długotrwałego flirtu i sam się w czasie tych zawiłych spraw spala wydawać się może tragedią człowieka nie tylko prawdziwego, ale nawet niepospolitego. Krytyka dawniejsza usiłowała, wyczuwając intuicyjnie obecność w powieści jakichś składników romantycznych, zestawiać Płoszowskiego z Manfredem Byrona, czy Hrabią Henrykiem Krasińskiego, miast, zgodnie z wskazówkami tekstu sięgnąć wprost do ,,Hamleta'' a następnie rozejrzeć się w bogatej galerii jego romantycznych potomków. Gdy się zaś wkroczy na tę drogę, nietrudno dostrzec, że między królewiczem duńskim a jego sienkiewiczowską repliką zupełnie wyraźnie rysuje się sylwetka z rzędu tych, które Puszkin ironicznie określał zwrotem ,,Moskwicz w Garoldowom płaszcze'' (udrapowany na bajronowskiego Childe-Harolda mieszkaniec Moskwy), a którym trwały pomnik wystawił w dźwięcznych zwrotkach ,,Eugeniusza Oniegina''. Bohater tego poematu, osobnik cier-

piący bardzo silnie na chorobę hamletyzmu romantycznego na upodobanie w jałowej autoanalizie, odznacza się wszystkimi nagminnymi cechami hamletydów swojej epoki i na tle tego niedomagania przeżywa swą osobliwą tragedię miłosną. Przeżyty" młodzieniec poznaje na prowincji dziewczynę, prostą i świeżą, budzi w niej pierwszą miłość i miłość tę odtrąca, sam niezupełnie zdając sobie sprawę, dlaczego to robi. Dopiero, gdy Tatiana ukazuje mu się, jako cudza żona, należąca do tego kręgu arystokracji, w którym on sam przebywa, Oniegin poczyna odczuwać ku niej gwałtowną miłość i spotyka się z naturalną rekuzą. Tatiana kocha go wprawdzie, ale chce pozostać uczciwą żoną, wierną swemu mężowi.

Schemat strukturalny poematu, który angielski teoretyk powieści określiłby jako układ dwu trójkątów, stykających się wierzchołkami, gdzie kochanek odrzuca szczęście, które samo mu się naprasza, goni je zaś, gdy je stracił, nie należy do pospolitych struktur powieściowych. Nie wiem, czy spotyka się go poza którąś z krótkich powieści Balzaca. Schemat ten, występując zarówno w poemacie Puszkina jak w romansie Sienkiewicza nabiera swoistej wyrazistości na tle wspomnianych pokrewieństw obydwu dzieł, związanych problemem hamletyzmu, ukazanego przez obu pisarzy na podłożu przeżyć miłosnych. I dlatego wydaje się rzeczą więcej niż prawdopodobną, iż bezwiedne wspomnienia rozczytywania się w pełnych czaru wierszach arcydzieła Puszkina odezwały się, gdy Sienkiewicz rozpoczął malować portret swego niezwyciężonego uwodziciela, by postawić go w sytuacji Don Juana zaplątanego w sieć hamletyczną. Tym tłumaczyłyby się również przerozmaite pokrewieństwa psychologiczne obydwu kreacyj, Oniegina i Płoszowskiego, „dziwaka niepoprawnego" u Puszkina i „dziwacznego człowieka" u Sienkiewicza, tym wreszcie negatywny stosunek do bezdogmatowca polskiego u tych wszystkich krytyków, którym do przekonania nie przemawiał bezideowy hamletyzm niefortunnego lwa salonów moskiewskich.

V.

Pozostaje jeszcze wyciągnąć wnioski z poczynionych tu zestawień, zarówno przypuszczalnych jak stwierdzonych. Mimo szkicowości i samego materiału i jego ujęcia, dalekiego od pełni rozważań krytyczno-naukowych, byłyby to wnioski bardzo różnorodne. Jedne z nich, odpowiednio sprecyzowane, pozwalałyby mówić o oryginalności Sienkiewicza, tworzącego

z motywów obiegowych, znanych, nawet pospolitych, układy nowe, uderzające swą oryginalnością. Inne dotyczyłyby stanowiska powieści Sienkiewicza w świecie powieści europejskiej i w ramach prądów literackich nurtujących w kulturze końca w. XIX. Wskazywałyby one po pierwsze na rodowe pokrewieństwo dzieł autora „Trylogii" z nurtem scottowskim w jego wielorakich rozgałęzieniach a, może w związku z tym faktem, pozwalałyby na ustalenie żywotności całych odłamów kultury romantycznej w czasach, gdy romantyzm uchodził za zjawisko najzupełniej przezwyciężone i pozbawione żywotności. Jeszcze inne, a na nich w studium, traktującym o stosunku Sienkiewicza do literatury rosyjskiej tu wyłącznie zależy, sprowadzałyby się do dwu wymownych konstatacyj. Pierwsza z nich jest stwierdzeniem, że Sienkiewicz, który w twórczości swej, tak powieściowej jak publicystycznej, stał „na rubieży" dwu światów, zachodniego i wschodniego, i zagadnieniom obydwu tych dziedzin poświęcał pilną uwagę, był bezwiednie reprezentantem kultury umysłowej i literackiej równie silnie związanej z Europą zachodnią, o czym wiemy oddawna, jak z Europą wschodnią, o czym na ogół wie się bardzo niewiele. Konstatacja zaś druga jest przyświadczeniem uwag wstępnych, stanowi bowiem żywą i wymowną ilustrację, jak doniosłe są studia nad stosunkami literackimi polsko-rosyjskimi i jak żywe i obfite są te stosunki nawet tam, gdzie — jak w dorobku pisarskim Sienkiewicza — stanowią one całkowitą niespodziankę, zwł. dla człowieka, który jasno nie zdaje sobie sprawy z charakteru naszej kultury.

Jerzy Kowalski

O AUTONOMII ZJAWISK ŚWIATA DUCHOWEGO

Odczyt wygłoszony na inauguracji Towarzystwa Naukowego we Wrocławiu dnia 10 czerwca 1946 r.

Świat duchowy jest dla jednych religią, dla drugich poezją, inni widzą w nim fałszywą hipotezę w odgadywaniu tajemnic świata fizykalnego.

Niezaprzeczenie istnieją zjawiska, które sama nauka oddzieliła od badań przyrodniczych z powodu różnicy materiału, a przez to i metody badania. Jednakże metoda jest elastyczniejsza od materiału, i zdarzało się dawniej, że nauki przyrodnicze były rozpatrywane metodami humanistycznymi, a od dwustu lat jesteśmy świadkami przenoszenia metod nauk przyrodniczych na nauki humanistyczne.

Przedstawię powody, dlaczego świat fizykalny nie da się wyłączyć z kręgu świata duchowego i na odwrót, dlaczego nauki humanistyczne nie powinny naśladować metod nauk przyrodniczych.

Nauka jest budową w swojej górnej części pojęciową. Budowa ta stoi na fundamencie masywnym. Tym fundamentem jest materiał zjawiskowy. Uzyskany z rudy świata zjawiskowego, materiał ten przechodzi analizę umiejętną, z dużym udziałem sądzenia i wnioskowania. Techniczne środki tej analizy nie są wyczerpane, i mogą być ujawnione nowe złoża materiału naukowego, stwarzające nowe nauki. Zanim to się stanie, rzeczywistość jest pojęciem niedostatecznie sprawdzonym co do natury i co do stopnia swojej realności. Nie tylko nowe przyrządy i środki, ale nowy sposób myślenia i nowy jego kierunek mogą wyzwolić i uchwycić niedostrzegalny dotychczas materiał zjawiskowy.

To więc jest pierwsze ograniczenie wystarczalności faktów. Drugie ograniczenie faktu w nauce jest to. Istnieją różnice w dostępności materiału naukowego. Sam materiał przed jakimkolwiek uchwyceniem go pojęciowym często już nie jest solidną opoką. Nauki historyczne czerpią swój materiał z zabytków przeszłości, mogą zatem nim rozporządzać w ograniczonym stopniu. Prehistoria, lub historia epok odległych posiada

zazwyczaj materiał szczątkowy. W takich naukach sposób badania koniekturalny i rekonstrukcyjny jest nieodzowny i jest naukowy, bo często zabytki zaginione są istotniejsze od zachowanych przypadkowo.

Z kolei sprawa porządkowania materiału jest również koniekturalna. Wiele nauk opiera się na chronologii bez której ustalanie związków przyczynowych utraciłoby płaszczyzny rozmieszczeń. Otóż chronologia epok odległych daje się ustalać tylko w cyfrach okrągłych, w czasach historycznych trzeba często doszperać się roku, miesiąca i dnia. Środki chronologii inne są w prehistorii, inne w historii, a jeszcze inne w historii literatury, gdzie używa się także kryteriów stylistycznych.

Aż potąd łamliwość samego materiału dyktuje pewne metody. Metoda bowiem wkracza tam, gdzie same fakty, czy zjawiska nie mają dość wyraźnej wymowy. Dalsze stadium badania mniej już wynika z materiału, i zależy to od wcale nieraz odległych celów badania, do jakich usług ono przymusi materiał.

Z tym samym prawem, z jakim ekonomista mówi o dobrobycie, polityk o równości, a biolog o zdrowiu, humanista stawia nauce cel moralny: uszlachetnianie rodzaju ludzkiego. Ale nawet całe uniwersytety, akademie i wprost nawet politechniki są instytucjami humanistycznymi. Nie będzie bowiem nigdy uniwersytecką nauka, która obniży wartość człowieka. Zadanie tych szkół rośnie razem z rosnącą grozą człowieka, jako istoty uzbrojonej w wiedzę.

Cel nauk humanistycznych jest jasny. Ale jakie byłyby metody świadome tego celu? Jakkolwiek aforyzm o historii mistrzyni życia jest stary, nikt zwykle nie wymaga od historyka, by wychodził poza stan faktyczny, i zajmował się tym, jak dzieje ludzkości wyglądać powinny, a nie tym, jak one pożal się Boże wyglądają. Historiografia prewentywna byłaby stadium, wobec którego historiografia faktologiczna byłaby niższego rodzaju pracą materiałową. Może wolno tu przeprowadzić analogię z jedną z nauk przyrodniczych. Prócz medycyny faktów dokonanych czyli historii chorób, istnieje medycyna prewentywna czyli higiena; jest to nauka w sporej mierze humanistyczna, bo apelująca do czynników woli i poczuć etycznych a nawet estetycznych.

Przypuśćmy jednak, że historia nie leczy; zgodźmy się na to, że ułatwia diagnozę. Może za daleko idzie teza o przetwa-

rzalności historii drogą zmiany pojęć. Jednak skoro rozwija się tendencja, aby nie przypisywać faktom historycznym konieczności dziejowej, stajemy się skłonni śledzić człowieka w jego narowach motywujących wydarzenia historyczne. Nie idzie tu o historiografię moralizującą, lecz o psychologizm historyczny, potrzebny do poznania gatunku ludzkiego na dłuższym odcinku obserwacyjnym. Samopoznanie bowiem jednej generacji jest efemeryczne.

Mówię o środkach i celach nauk. Lecz trzymając się świata zjawiskowego, dostrzegamy tylko uczonych. Oni to stwarzają nauki, jak żyjątka zwane mięczakami stworzyły opoki kredowe. Nawet jeżeli nauka jest masywem, masyw ten powstał nie z masywności zjawisk, lecz z masy uczonych. Wielcy uczeni stwarzają epoki, lecz nawet epoki powstają z sekund. Taką sekundą w wieczności nauki, takim pyłkiem w jej opoce, jest istnienie uczonego. Otóż uczony badacz także powoduje w nauce odchylenie od faktu, podobne do tego, jakie Epikur przypisuje drogom atomów.

Nauka nie istnieje bez interwencji uczonego. Sama znajomość materiału może być bezwładna i antykwaryczna. Zaktywizowanie materiału polega na interwencji silnego instyktu naukowego. Chwytność, dociekliwość, stan wyostrzenia i wigor umysłu może być tylko w części nabyty drogą wychowania naukowego, jednakże i wtedy jest to zjawisko wybitnie psychiczne.

Ale weźmy badacza bez szczególnego samopoczucia. Jakim na ogół jest człowiek, który bada? Nikt nie zgadza się, by badacz był fantastą, co i w sztukach bywa wadą; ale mówi się o imaginatywnym i intuicyjnym umyśle. W naukach filozoficznych (a wszystkie nauki mają nadbudowę filozoficzną) znaczy zmysł spekulatywny. Wielu uczonych twierdzi, że nie dedukowali oni swych odkryć ze zjawisk, lecz wcześniej powzięte pomysły sprawdzili na zjawiskach. Podobnie jak książki literackiej, tak i książki naukowej nie można napisać dobrze i umiejętnie, jeżeli się nie zna jej końca. Samo badanie z razu naiwne musi być rektyfikowane według osiągnięć końcowych.

Nie najmniej znaczy w nauce sprawa nerwów. Bywają umysły nie panujące nad swoją przenikliwością, zaścigujące się w wirtuozję myślenia. Nie od samej metody zależy, gdzie wypada się z nią zatrzymać. Muszą istnieć przeciwważące opory, wynikające ze stateczności umysłu. Istnieje higiena intelektu, potrzebna umysłowościom zdolnym i emotywnym. Idąc

trochę wyżej, takt badawczy i estetyzm problematyki chronią nas tak od genialiczności jak i od rzemieślniczości w badaniach naukowych. Metoda nie przesłania człowieka, bo choć często nie jest on przedmiotem badania, zawsze jest podmiotem badającym. Fizyka musiała zająć się w ostatnich dziesiątkach lat sprawą, którą bym nazwał .fizjologią myślenia, okazało się bowiem, że dla dalszych postępów w badaniu materii trzeba przerobić instrument badający. Umysł odpowiednio przetworzony jest instrumentem sięgającym dalej, niż soczewka i spektrum. Stało się to po wielu próbach uniezależnienia nauki od czystego myślenia. Otóż rewizja trybów myślenia zawadza o wiele problemów humanistycznych.

Odkryto naturalne nawyki myślenia, a ileż jest nabytych? Każde myślenie, to h a b i t u s, jest nim także myślenie naukowe. Stwarza ono deformacje psychiczne i z kolei im ulega. Językoznawca, a na inny sposób także prawnik, jest z konieczności umysłowością więcej dostępną formom niż rzeczom. Jerzy Sorel, z wykształcenia inżynier, co innego widział w historii, niż prawnik Mommsen. Badacz literatury nie będący estetą tworzy mechaniczne pojęcia o literaturze. Czysty esteta oddziela za bardzo zjawiska literackie od gleby życia. Medyk, a jeszcze więcej technik, wyczuwają żywiej demotyczne elementy swoich nauk, niż humanista, który istotnie łatwo zarywa w t. zw arystokratyzm ducha. Biologowie przerażają nas wszystkich swoją koncepcją sanitarnej reglementacji człowieczeństwa. Wnuk uczonego Aldous Huxley mówi o infantyliźmie uczonych.

Humanistyczny, bo ludzki jest spór śród nauk o supremację.Po teologii, filozofii, po naukach estetycznych, sięga biologia po prymat nad naukami. Ta rywalizacja jest zjawiskiem naturalnym; gdy bowiem istnieje wiele nauk, nasuwa się samorzutnie sprawa ich klasyfikacji, a co zatem wyłania się w sposób odruchowy hierarchii.

Jest prawem każdego uczonego uważać własną naukę za r e g i n a s c i e n t i a r u m. Wynika to z uczuciowego faktu poświęcenia życia pewnej nauce, oddania jej wszystkich uczuć. Jest to fakt bardzo ludzki i sympatyczny. My filologowie wydaliśmy humanizm nie zgadzający się na czysto historyczne wartościowanie starożytności. Rugowani ze szkół i pozbawiani prawa wychowywania młodzieży zwracamy się do dorosłych i walczymy o udział w formowaniu poglądu na świat.

Ale nauki humanistyczne, moralne i historyczne popełniły

dwa od człowieka pochodzące błędy. Albo usiłowały jednostronnie opanować i zmonopolizować człowieka i zobojętnić go, albo nawet usposobić pogardliwie wobec praktycznych zdobyczy życia i wobec rosnącej dzięki odkryciom technicznym socjalizacji, albo gnuśniały, przez co uwaga odwracała się od nich. Filozofia moralna zamarła w uniwersytetach, estetyka po momentach samouwielbienia zrezygnowała z wszelkiej aprioryczności, ścisła historyczność odcięła wiele nauk od współczesnego człowieka.

Największą jednak szkodę poniosły nauki humanistyczne, gdy popadły w zależność od nauk przyrodniczych.

Dzieje zaniku autonomii zjawisk świata duchowego są po krótce takie. Arystoteles, encyklopedysta obejmujący tak nauki humanistyczne jak przyrodnicze, wprowadził pewne pojęcia nauk przyrodniczych w metody nauk humanistycznych, tak np. pojęcie g a t u n k ó w literackich i o r g a n i c z n o ś c i zjawisk duchowych. Krytyka nauki przyrodniczej o organiczności zaczyna się dla humanisty z chwilą, gdy wdziera się ona w świat zjawisk duchowych, co stało się modą w wieku XVIII-tym. Pojawia się wtedy moc pism humanistycznych o charakterystycznych tytułach: początki, rozwój i upadek. Konstruktywnie podkładano ten schemat pod obraz bardziej zawiłego dziania się rzeczy duchowych. Ze spostrzeżenia, że coś się zaczyna i kończy, niekoniecznie jednak wynika ciąg ewolucyjny. Także z kończeniem się rzeczy duchowych jest o wiele zawilej, niż z wymieraniem ichthiozaurów, czy mamutów. Po drugie, ewolucjonizm oznacza w porządku moralnym fatalizm. Rzym upadł także dlatego, że uwierzył w filozofemat o starzeniu się świata, z czym ostatnio występują astronomowie, a nawet entomologowie. Pewne objawy ewolucyjne dają się zauważyć w historii gatunków literackich, jednakże nie występują one z koniecznością świata organicznego, nie mają tej kolejności, ani ostatecznej zniszczalności. Zjawisko reakcji i kontrastu jest o wiele wyraźniejsze w przebiegach świata duchowego.

Drugim filozofematem przyrodniczym żerującym na naukach humanistycznych jest doktryna w a l k i o b y t. Jednakże każda stronica historii kultury starożytnej ujawnia, że wyższe wartości duchowe ulegają konkurencji pospolitości i że trivium bije tak Homera jak Platona. Artystyczna struktura duchowa jest po dziś dzień nieodporna i zagrożona życiowo. Z doktryny walki o byt uczyniono bardzo szybko i łatwo

filozofię życiową, tablice wartości duchowych zostały rzucone w proch i rozbite. Trzeba odważnie nazwać największym nieszczęściem ludzkości stworzenie w Anglii filozofii przyrody przez ludzi nie posiadających instrumentu duchowego.

Do rzędu schorzeń należy także przenoszenie pojęć świata mechaniki na zjawiska świata duchowego. Niemcy rozwinęli naukę o technice literackiej. Każda sztuka ma swoją część rzemiosła, istnieją w niej konwencje i wartości umowne, dzieło sztuki musi mieć komunikatywność. Jednakowoż najcenniejsze w pisarzu jest to, czym był on sam; tu zawodzą analogie, wartość wypowiada się w anomalii. Poza wszystkim, co da się w pisarzu wytłumaczyć przyczynowo, źródłami, wpływami lektury, otoczenia, epoki, tradycjami i prądami współczesnymi, pozostaje niewytłumaczalne źródło jego sztuki. To, co nazywamy twórczością u człowieka, wskazuje na osobny gatunek psychiczny, i nie umiejący powiedzieć, w jakim stosunku do tego pozostają narządy sprawności, jak ucho muzyka, oko malarza, ręka rysownika. Twórczość jest rzadsza od sprawności i musi być uważana za czysto psychiczne zjawisko, któremu nieraz odpowiada wcale mierna sprawność. Nawet w naukowych uzdolnieniach uzdolnienia intelektualne czasem nie znaczą tyle, ile psychiczne, stojące bliżej moralnych. Zdolność do długotrwałej koncentracji, co można uważać za podstawę odkrycia naukowego, wymaga współpracy sił moralnych i uczuciowych. Pewna gravitas, a nawet maiestas duchowa może wydobyć z intelektu to, co jest odmówione najprzenikliwszym głowom, gdy zrywają one połączenia z innymi władzami psychicznymi. Nie da się więc usadowić twórczości w centrach intelektu, nie da się także zaliczyć do stanów podświadomości, bo chociaż twórczość jest stanem utajonym i nie pozwala dysponować sobą na zawołanie, jednakowoż jest raczej sprawą wydolności psychicznej, niż świadomości poznawczej. Twórczość występuje częściej w ośrodkach wyższej cywilizacji i nie jest prawdopodobne, by plemię Ainu wydało Beethovena. Lecz artyści zamieszkiwali już jaskinie. Są ludy o równym uzdolnieniu do sztuk i nauk, jak grecy, żydzi i francuzi; u jednostek to połączenie jest wyjątkowe.

Metoda statystyczna jest konieczna w wielu badaniach przyrodniczych. W ekonomii i socjologii jest ona również wymowna. Roczniki statystyczne państw są mniej zawodne od historiozoficznych syntez. Jednakże statystyka wprowadzona do wielu nauk humanistycznych usiłuje podsta-

wić mechaniczne liczmany w miejsce wartości nie podlegających wadze i miarze. Stylometria uchwytuje co najwyżej pewne zmechanizowania u pisarza dłużej już piszącego, wypuka z jego pióra metaliczny dźwięk sklerozy, jednak tętna stylu żywego nie doszuka się. Pokazało się, że sama stylometria nie wystarczy nawet do ustalenia chronologii pism.

W ślad nauk przyrodniczych usiłowało językoznawstwo ustalać p r a w a głosowni. Językoznawca twierdził, że dźwięki językowe zachowują się tak samo w tych samych okolicznościach fonetycznych. Zapomniał o tym, że gardło człowieka nie jest aparatem wydającym dźwięki mechaniczne. Nie gardło mówi, lecz człowiek mówi przy pomocy gardła. Ludzie jednego szczepu nie wymawiają z koniecznością fizykalną tych samych wyrazów w ten sposób, lecz uczą się tak je wymawiać, choć mogliby je wymawiać inaczej. Różne żargony językowe zdają się posiadać fonetyki odmienne od fonetyki właściwego języka. Dziecko obcego pochodzenia, a więc o przyrodzonej odmienności aparatury głosowej, ale wychowane na obszarze cudzego języka, uczy się go tak dokładnie, jak dzieci pochodzenia miejscowego. Naśladownictwo i nawyk są w sprawach głosowni czynnikami psychicznymi silniejszymi od przyrodzenia gardła. Również przesuwanie się artykulacji z gardła ku jamie ustnej łączy się z poziomem psychicznym i może być różne w tym samym języku; np. na Podkarpaciu język polski zachwycający często w czytaniu jest dla ucha nieznośnie gardłowy i prymitywny, czyli niewykształcony. Takie rozmijanie się poziomów w jednym i tym samym języku uchodzi uwadze uczonych, którzy bardzo pilnie obserwują labiowelarne i labialne, bawiąc się w przyrodników językowych, zamiast rozważać język jako wyraz psychiki (von Ginnecken). Wszak mówienie jest legitymacją osobistą, którą każdy człowiek pokazuje w kilku słowach. Wielu ludzi poznaje łatwiej po głosie niż po rysach twarzy.

Przyrodnicza wiedza o człowieku wystąpiła ostatnio z tezą o n i e r ó w n o ś c i c z ł o w i e k a. Wyłapywana na każdym kroku nie tylko naukowo, ale i testami życia, nie może fizykalna nierówność ludzi mieć znaczenia faktu dla nauk moralnych. Człowiek przez nie postulowany jest równy, na zasadzie równej wrażliwości na cierpienie i krzywdę. Człowiek wiele razy i to bez przymusu fałszował się w ciągu swojej historii, nie mamy jednak dowodu na to, by zmieniał swoją naturę. Duża ilość ludzi niesfałszowanych przechowuje oryginał czło-

wieka. Na tym wiecznie ważnym oryginale obserwujemy, że poczucie moralne jest tak związane z konstytucją duchową człowieka, jak proces oddychania jest związany z jego konstytucją fizyczną. Jeżeli może się przydarzyć człowiek, który jest trupem moralnym, nie wynika stąd żaden wniosek dla ludzi oddychających moralnie.

Główną osią metody jest k r i t e r i o n p r a w d y. Otóż inne jest kriterion prawdy fizykalnej, a inne moralnej; dlatego nie wolno przerabiać moralności na podstawie prawd fizykalnych. Prawdą fizykalną jest to, co jest, a prawdą moralną jest to co powinno być, choćby było nieosięgalne. Gdy zakwestionujemy normatywność prawdy moralnej, wyrzekamy się postępu; stąd też taki kryzys postępu pojętego zrazu jako konieczność organiczna. Prawdy moralne winny conajmniej posiadać kurs pewnych postulatowanych w nauce założeń. Bez założenia spirytualnego człowiek nie tylko nie da się wyjaśnić, ale nie da się wychować do wyższych form istnienia na ziemi. Jest prawdopodobne, że bez tego założenia nie mogła by powstać cywilizacja.

Wypada więc uznać, że zasadnicze pojęcia świata duchowego są odmienne od pojęć fizykalnych, ale przez to są nie mniej rzeczywiste. Musimy przypisać pojęciom moralnym rzeczywistość wyższą, ową m e l i o r n a t u r a, choć by ona nie dała się ustalić środkami badania fizykalnego. Pojęcie dobra jest co najmniej tak istotne, jak pojęcie eteru. Monizm wynikł z racjonalizmu, a racjonalizm (zwłaszcza racjonalizm zhumanizowany, czyli ideowy) oznacza zubożenie metod badania naukowego. Ufajmy, że o wiele lepiej uporządkujemy Kosmos, w którym jest wszystko, przyjąwszy prawo grawitacji duchowej: m e n s a g i t a t m o l e m, u m y s ł w p r a w i a w r u c h m a s ę.

Wojsław Molè

DIALOG W CZASIE WOJNY O SZTUCE ROZMOWA MIĘDZY ARTYSTĄ A HISTORYKIEM

Mistrzowi Gojmirowi A. Kosowi w Lublanie.

H i s t o r y k. Jestem ci naprawdę zobowiązany za przyjemność, jaką mi sprawiłeś, pokazując mi swoje obrazy. Nie masz pojęcia, jak dobrze czuję się w twojej pracowni wśród tych krajobrazów, martwych natur, portretów i kompozycyj figuralnych. Oglądam je z podziwem i zastanawiam się nad zagadką wyobraźni, która przetopiła rzeczywistość w paletę twoich kolorów i zbudowała z nich tak swoisty świat. Niewiele brakuje, żebym zapomniał o grozach wojennych, otaczających nas już szósty rok.

A r t y s t a. Przy pracy ja również zapominam o wojnie. Czy nie wydaje ci się zresztą, że spora część znaczenia i życiowej funkcji sztuki tkwi właśnie w tym, że stwarza nam świat lepszy i piękniejszy od rzeczywistego?

H. Niewątpliwie. Jej wartości są głębsze i trwalsze od przemijającego dnia powszedniego i jego przypadków. Ale wojna, zwłaszcza wojna, którą obecnie przeżywamy, jest tak straszna, jest takim wtrząsem dla świata i ludzkości, że czasami wydaje mi się wprost dziwnym i niezrozumiałym, iż mogą w ogóle powstawać dzieła sztuki, co do których byłoby trudno odgadnąć, że powstały w czasie wojennym. Chwilami można by wprost powątpiewać o prawdziwości starego powiedzenia: „i n t e r a r m a s i l e n t M u s a e".

A. Ja bym tego nie powiedział. Gdy myślę o nieustannym wewnętrznym niepokoju, który nas wszystkich gnębi, o ciągle nowych zdenerwowaniach, o nieszczęściach, jakie nas nachodzą, o wprost fizycznej niemożliwości pracy, a oprócz tego także o trudnościach, mogących wydawać się drobiazgowymi, ale w gruncie nie mniej ważnych, jak np. o trudnościach, jak zdobyć porządne płótno malarskie i wystarać się o odpowiednie farby, a ostatecznie także o poważne zamówienia, wtenczas wydaje mi się owe stare powiedzenie jednak uzasadnione. A biorąc pod uwagę także i to, ile dzieł sztuki — i to jakich! —

wojna niszczy, naprawdę trudno sobie wyobrazić wojnę i sztukę jako dwa pojęcia, mające dużo wspólnego.

H. Wszystko to jest prawdą. Ale tak samo jest też prawdą, żeś ty sam w tych latach okropności, w tej ciężkiej atmosferze namalował m. i. tę oto martwą naturę z kwiatami w wazonie, złożoną jakby z samej ciszy i spokojnego światła, — tamten portret dziewczęcy, w którym w sposób mistrzowski uchwyciłeś kolorową istotę zjawiska wizualnego, a równocześnie pozę i wyraz beztroski życiowej półdziecka i zarazem już półdziewczęcia w niewymuszonej, nieobserwowanej chwili wypoczynku i rozmarzenia, — jako też ową grupę wśród krajobrazu, z której wieje, jeśli odgadłem twój zamiar, sama radość przyrody, instynktownego istnienia człowieka w kosmosie. W normalnych warunkach wydawałoby mi się naturalnym, że tak jest, i nie zastanawiałbym się dłużej nad tym, a jeszcze mniej zapytywałbym się o to. Ale dzisiaj nie bierz mi za złe, że jeszcze dalej rozwodzę się nad tym, gdyż chciałbym jednak poruszyć kwestię ewentualnych śladów wojny w istotnych cechach dzieła sztuki. Naturalnie nie przychodzi mi przy tym przez myśl żądać od malarza, by zabrał się do motywów wojennych i stał się np. batalistą. To byłoby tak samo, jak gdybym się dziwił, dlaczego poeta liryczny nie pisze tragedyj. Możliwe jest oczywiście, że patrzę się niesłusznie i że stawiam kwestię w sposób niewłaściwy. Być może wszędzie zapytuję się o wojnę, ponieważ jestem sam nią wypełniony, a wszystko razem jest tylko odblaskiem moich własnych nastrojów dzisiejszych.

A. Bez kwestii gra to pewną rolę, ale pytanie samo jest uzasadnione i słuszne. Byłoby przecie ciekawe i ważne móc ustalić, jak wojna działa na sztukę i jak odzwierciedla się w twórczości artystycznej. Wątpię jednak, by odpowiedź była łatwa, zwłaszcza, że stosunek, zachodzący między artystą a faktyczną rzeczywistością, tak jak odbija się w sztuce, posiada charakter w każdym razie wybitnie indywidualny. Jeśli mam sądzić według siebie, powiedziałbym, że odczuwam wojnę przede wszystkim tylko jako wielką, ciężką przeszkodę zewnętrzną, którą staram się przezwyciężyć jak mogę. A na problemy malarskie zapatruję się nadal tak samo, jak dawniej.

H. Innymi słowami znaczy to, że wojna dla ciebie jako malarza nie jest przeżyciem, które wywierałoby wpływ na istotę i kierunek twojego sposobu myślenia i odczuwania artystycznego, albo odkrywałoby przed tobą nowe horyzonty.

A. Tak mniej więcej można by to ująć. Ale sądzę, że nie jestem jedyny, o którym można by to samo powiedzieć.

H. Napewno nie. Pomijając nawet, że stwierdzenie tego rodzaju nie zawiera ani cienia krytyki ujemnej, albo lekceważenia, znajdujesz się co do tego nawet w jak najlepszym towarzystwie. Także czasy renesansu w różnych miastach włoskich bynajmniej nie należały do najspokojniejszych, co nie przeszkadzało jednak artystom, by nie kroczyli w swej twórczości spokojnie swoimi drogami. A jeśli spojrzysz jeszcze dalej wstecz i przypomnisz sobie wczesne średniowiecze, okres nieustannych gróz wojennych, barbarzyńskich najazdów, napadów i ciągłego niszczenia, to przyjdą ci napewno na myśl także kaligrafowie i iluminatorzy klasztorni, którzy w owych czasach ozdabiali w zaciszu swoich cel z największą miłością grube folianty abstrakcyjnymi kompozycjami cudownych inicjałów i miniatur. Sztuka ich nie miała żadnej łączności z aktualnością życiową, a jest jednak wiernym odbiciem swego czasu.

A. Czy nie należałoby wobec tego powiedzieć, że twój problem jest zbyteczny, albo conajmniej źle sformułowany?

H. Być może jednak niezupełnie. Wydaje mi się tylko bardzo zawiły i nie można go rozwiązać prostą formułką, która wyjaśniłaby w krótkim ujęciu wszystkie wzajemne stosunki, zachodzące między sztuką a wojną, oraz wpływ, wywierany przez wojnę na twórczość artystyczną. W sensie, w jakim ty tę sprawę wyjaśniłeś dla siebie, zachowuje „inter arma silent Musae" zawsze swoje znaczenie. Jak tylko przesuniesz jednak punkt widzenia i zapytasz się, jakie mogą być następstwa wojny dla sztuki, wtenczas odpowiedź wcale już nie będzie tak prosta. Następstwa te co prawda nie są zawsze bezpośrednie, lecz często dopiero następstwem warunków i stosunków, jakie wojna stworzyła, ale przez to nie mniej istotne. Nie zapominaj, że wojna jest już sama jako taka następstwem i wyrazem nieskończenie zawiłych ogólnych związków przyczynowych i głębokich zmian w wewnętrznym i zewnętrznym nastawieniu całych narodów, oraz że tego rodzaju wstrząsy muszą się odzwierciedlać również w zmienionych tendencjach czyli innymi słowami — w przeinaczonej sztuce. Pomyśl np. o końcu sztuki starożytnej, — czy możesz wyjaśnić głębokie zasadnicze zmiany, jakie przeżywała, nie biorąc pod uwagę licznych kryzysów wojennych i katastrof ówczesnego świata rzymskiego i hellenistycznego?

A. No tak. Ale chyba nie twierdzisz, że doszło do wielkiego przewrotu w sztuce późnoantycznej i wczesnochrześcijańskiej z powodu nieustannych wojen między imperium rzymskim z jednej a Persją i różnymi narodami barbarzyńskimi z drugiej strony?

H. Naturalnie nie. Nie wyobrażam sobie sprawy aż tak naiwnie. Owe wojny przyspieszyły jednak w dużej mierze wewnętrzny rozkład świata antycznego, oraz przyczyniły się do osłabienia mocy jego tradycyj; zniszczyły one niezliczone skarby kultury przeszłości i oświaty, doprowadziły do tego, że ludność starych prowincyj pomieszała się z nowymi osiedleńcami, że zaczął się kształtować nowy świat z nowymi, jakkolwiek pod niejednym względem barbarzyńskimi rysami, z nowymi problemami i upodobaniami, a w końcu — by wymienić jeszcze coś, co posiada dla sztuki bezpośrednio duże znaczenie, — spadała w ciągu długotrwałych zamieszek wojennych w coraz większym stopniu znajomość rzemieślniczej techniki i umiejętności, a to odgrywało ostatecznie również coraz większą rolę w barbaryzacji sztuki.

A. Zapatrując się w ten sposób na kwestię, można oczywiście niejedno w sztuce połączyć z wojną. Z takim samym uzasadnieniem można by uczynić to samo z którymkolwiek innym zjawiskiem życiowym, gdyż w końcu wszystko jest w jakimś związku ze sobą. Wątpię jednak, że ułatwiałoby to wyjaśnienie pojęć, gdy wracalibyśmy przy każdej rzeczy tak strasznie daleko wstecz do „prapoczątków".

H. Tego rodzaju pomysły są mi zupełnie obce. Sądzę jednak, że między sztuką a wojną w szerokim znaczeniu istnieje tak wiele widocznych związków, iż nie można ich zamieniać, lub porównywać ze stosunkami, zachodzącymi między sztuką, a innymi dziedzinami.

A. Co chcesz przez to powiedzieć?

H. Przede wszystkim, że widzę w idei wojny i wszystkim, co się z nią łączy, doniosłą dźwignię artystycznej działalności i kształtowana w dziejach kultury. Twierdzenie takie może się w pierwszej chwili wydawać paradoksem i niewątpliwie jest z nim w sprzeczności stan faktyczny, jaki przedstawiają np. dzisiejsze wystawy sztuki. Sprzeczność tę tłumaczę sobie w ten sposób, że absolutna większość nowoczesnych dzieł sztuki, zwłaszcza takich, które nie powstały na skutek zamówienia, stanowi wyraz przeżycia i nastroju całkiem osobistego, intymnego i służy również osobistej, intymnej ozdobie i używaniu

i że być może dlatego przeważa w nich tak bardzo liryzm. Gdy tylko przejdziesz jednak w rzeźbie i w malarstwie przez granice tego, co możemy na ogół określić jako nastroje liryczne, to zbliżysz się wnet do sposobów ujmowania i koncepcyj, odpowiadających epice i dramatyce. A wtenczas bardzo rychło znajdziesz się w atmosferze, wewnętrznie spokrewnionej z ideami walki i wojny. Cała historia sztuki żywo o tym opowiada.

A. Jeśli cię dobrze rozumiem, idzie ci o tematową stronę sztuki a więc o motywy wojenne, których w sztuce oczywiście nigdzie nie brak.

H. Nie całkiem; w każdym razie nie użyłbym do tego słów, wymówionych przez ciebie, ponieważ nie są ścisłe i mogłyby wywołać niesłuszne wyobrażenie o moim mniemaniu. Pozwól, żebym ci to wytłumaczył. Zauważyłem, że uśmiechnąłeś się mimowoli, wymawiając słowa „tematową" i „motywy". Prawdopodobnie uważasz mnie za zaśniedziałego staromodnisia, dla którego motyw i temat stanowią jądro dzieła sztuki?

A. Nie myślałem aż tak źle, ale przyznaję, że w każdym razie trochę mnie dziwi, że tak mocno akcentujesz temat.

H. Nic nie szkodzi, zaraz sprawę wyjaśnimy. Malarzowi oczywiście nie potrzebuję tłumaczyć, że to, co jest istotne dla jądra i wyrazu dzieła sztuki, wcale nie jest zawarte w temacie lub motywie. Martwa natura może być takim samym wielkim dziełem sztuki jak obraz przedstawiający Madonnę, — co do tego byłoby szkoda słów. Więcej: tam, gdzie narzuca się przede wszystkim temat i przeważa dążność narracyjna, wnet kończy się malarstwo, albo rzeźba i zbyt często zaczyna się nowelistyczny, albo historyczny kicz. Ale z drugiej strony wiesz jako malarz równie dobrze, że problem czysto malarski, jaki rozwiązałeś np. w tym to obrazie z różami w wazonie, różni się najzupełniej od problemu w owej tam kompozycji ze św. Michałem, przeznaczonym do ołtarza kościelnego.

A. Na pewno. Różnicę widzę przede wszystkim w tym, że ta martwa natura jest w pierwszym rzędzie wyrazem czysto intymnego odczucia lirycznego, jak ty to przed tym określiłeś, gdy natomiast obraz ołtarzowy sam przez się wymaga już z powodu ramy architektonicznej, w której się mieści, całkiem odmiennej, powiedzmy monumentalnej koncepcji kompozycyjnej.

H. W porządku. Zgodzisz się jednak, że rama obrazu, którą wymieniasz, nie jest czymś przypadkowym, lecz że jest ści-

śle związana z wyobrażeniem ołtarza i całą ideowością kościelną, z której wyrosła, oraz że końcowa moc wyrazu i efektowność twojego obrazu będzie w dużej mierze zależeć od tego, jak udało ci się malarsko ukształtować motyw względnie typ św. Michała, zajmującego całkiem określone miejsce w systemie i atmosferze ideowości kościelnej. Z tego punktu widzenia temat przestaje być obojętny, ponieważ jest ostatecznie istotną częścią składową całej struktury dzieła sztuki jako takiego. Tak np. temat Sądu ostatecznego w fresku Michała Anioła nie jest rzeczą obojętną, lecz może być wielkość owego dzieła sztuki należycie zrozumiana i oceniona tylko w związku z nią. A jeśli np. Rembrandt coraz znowu powracał do motywu Chrystusa z uczniami w Emaus, pociągał go przy tym niewątpliwie problem światła, ale w równej mierze także problem, uzasadniony w samym motywie, jak mianowicie wyrazić za pomocą światła głęboką tajemnicę: objawienia Boga w człowieku. Ale wybacz, że ci tyle o tym mówię; nie powiedziałem ci przecie nic nowego. Chciałem ci tylko wyjaśnić, jak ujmuję „temat" w dziele sztuki i jego znaczenie.

A. Co do tego zgadzamy się zupełnie, nie jest mi jednak jasno, w jakim związku miałoby to być z problemem sztuki a wojny, o którym rozmawiamy.

H. Zaraz dojdziemy do niego. Przed tym tylko krótką uwagę. Sądzę, że wysłowiłem się dosyć wyraźnie, co widzę w tematowym tle dzieła sztuki. Nie idzie mi o motywy jako takie, chociaż nie są one bez znaczenia, lecz w pierwszym rzędzie o całą atmosferę duchową i ideową, o predyspozycję kulturalną i psychiczną, wśród której sztuka powstaje i żyje; w sztuce tej muszą się w każdym razie odźwierciedlać także konkretne formy owej predyspozycji. Cała atmosfera wraz ze szczegółami, w których sztuka się realizuje, posiada naturalnie w dużej mierze charakter socjalny i jest właśnie dlatego tak mocno zakorzeniona w psychice ogólnej, że staje się sama przez się istotnym czynnikiem nastawienia artystycznego. Ale właśnie z tego punktu widzenia jest czasem wprost trudno ustalić, gdzie zaczyna się sztuka wyłaniać z atmosfery wojennej.

A. Jak to myślisz?

H. Istnieją bardzo różne możliwości. Ażeby nie ugrzęznąć w teoretyzowaniu, będzie najlepiej, jeśli sięgniemy do konkretnych przykładów historycznych. Już w najstarszej sztuce przedhistorycznej, w stopniu, w jakim jest nam w ogóle dostę-

pna, można odkryć całą moc pierwiastków, wynikających z atmosfery wojennej, jak ją poprzednio określiłem.

A. Wybacz, że ci przerywam. Obawiam się mianowicie, że tą drogą daleko nie zajdziemy. Problem początków sztuki jest tak zawiły i wydaje mi się, że wrodzona człowiekowi potrzeba ozdoby przeważa w nich tak bardzo nad wszystkim innym, że nie można jej chyba zastąpić hipotezą o powstaniu sztuki z wojny.

H. O niczym podobnym nie myślę. Także o początkach sztuki nie zamierzam mówić, możemy to spokojnie pozostawić różnym psycho-, etno- i socjologom. Sztukę biorę po prostu jako fakt, istniejący, gdziekolwiek zaczyna człowiek swoją działalność kulturalną, przy czym na pewno nikt nie wątpi, że wyrasta ona przede wszystkim z nieprzezwyciężonej skłonności do ozdoby. Być może nie będzie jednak od rzeczy, jeśli przy tej sposobności, którą sam wywołałeś, zwrócę twoją uwagę, że np. chęć ozdoby własnego ciała wiąże się — jak to jeszcze do dziś dnia widać u plemion pierwotnych, — nierozłącznie z chęcią uwydatnienia własnej osoby, oraz że skłonność ta pozostaje w ścisłym związku z momentami walki i boju.

A. Nie wątpię, że tak jest, jak mówisz, ale stąd prowadzi jeszcze długa droga do wojny jako pierwiastka twórczego w sztuce.

H. Być może jednak nie jest tak długa. Zostawmy na boku problemy początków, a także tzw. „impresjonistycznych" malowideł człowieka jaskiniowego, przedstawiających mamuty i inne zwierzęta, na które polował, chociaż dzieła te stanowią w każdym razie bezsprzeczny dokument strasznych wojen człowieka pierwotnego, wojen ze światem dzikich zwierząt. Przejdźmy do faz późniejszych, do wczesnych okresów sztuki rozwiniętych kultur starego Wschodu i Śródziemia. Atmosfera kulturalna, z której powstawała tam sztuka, oraz tak trudny do określenia całokształt pierwiastków zarówno duchowych jak i materialnych, jaki umożliwił i spowodował, że działalność artystyczna realizowała się w takich, a nie innych formach i że gromadziła się w ten sposób w ciągu wieków i tysiącleci tradycja, będąca podbudową całego rozwoju późniejszego, pozostaje pod niejednym względem ciągle jeszcze zagadkowa i niewyjaśniona; zbyt mało wiemy przecież o szczegółach Jeszcze najbardziej się zbliżamy do prawdy, szukając wytłumaczenia w mentalności religijnej. Kulty, oraz związane z nimi wyobrażenia religijne, a czasem tylko magiczne stanowią ów element kultu-

ry, który we wczesnych fazach dziejów wszędzie jest obecny, wiążąc wszystko inne w jednolity świat wyobraźni. A kult i religia przeplatają się nierozłącznie z mitem, będącym pierwszą wielką syntetyczną interpretacją świata zmysłów, przede wszystkim zaś zagadek historii i losu ludzkiego. Natura i charakter mitów bywają oczywiście różne i często trudno odróżnić je od alegorii i symbolów, zawsze posiadają one jednak coś wspólnego: wznoszą bowiem rzeczywistość w sferę wyższą, idealną, a oprócz tego są konkretne. W owej konkretności tkwi właśnie spora część podniety i skłonności do przedstawiania ich w formach plastycznych. A zresztą mit i sztuka są już w naturze swej twórczości tak bardzo z sobą spokrewnione, że jest rzeczą całkiem naturalną, jeśli ciągle chodzą z sobą w parze i wzajemnie się uzupełniają. Do pewnego stopnia można twierdzić, że mit stwarza sztukę a sztuka znowu stwarza mity. Dotyczy to równie dobrze poezji jak i sztuk plastycznych; z mitu np. wyrosły Iliada i Odyseja, a z obu eposów homeryckich zrodził się cały świat mitów nowych, miarodajnych nie mniej dla poezji jak i dla wizyj plastycznych długich wieków.

A. Ale wojna?

H. Czy z mitu w ogóle można wyłączyć element walki? Naturalnie nie idzie zawsze przy tym o wojnę w dzisiejszym znaczeniu, lecz często tylko o walkę z losem. Ale równie często jest tematem mitycznym wojna prawdziwa i brutalna. Człowiek staczający ową walkę, wychodzący z niej jako zwycięzca, albo też jako pokonany, jest bohaterem ponad miarę ludzką i wznosi się do półbogów, albo nawet sam staje się bogiem.

A. Rozumiem. Z mitu heroicznego wyrasta więc temat czyli „atmosfera heroiczna", z której czerpie sztuka swoje podniety?

H. Tak mniej więcej można by to określić. Ale ja bym odróżniał podniety i pierwiastki, dostarczane przez wojnę i jej konkretne zdarzenia, od refleksów, jakie wywołuje wojna w nastawieniu duchowym, o którym przede wszystkim myślałem, gdy przed tym mówiliśmy o „temacie". Ponieważ wojna jest już w założeniu zjawiskiem zdecydowanie społecznym, jest naturalnie, że jej odblask w sztuce stanowi już sam przez się niezmiernie czułe zwierciadło, w którym widoczne są wzajemne stosunki człowieka względem człowieka a zwłaszcza względem wszystkiego, w czym zawarta jest istota życia idealnego, heroicznego, a z drugiej strony także nędznego i codziennego. Powiedziałbym, że widzę w wojennych pierwiastkach dzieł

sztuki, uszeregowanych w porządku czasowym, osobliwy obraz dziejów ludzkiej wielkości, wzlotów i upadków jej heroicznego tragizmu i smutnej nędzy. Sztuka postępuje przy tym oczywiście tak, jak wszędzie i zawsze: wybiera i wyłącza fragment z wielkiej całości życiowej, stawia go na piedestale, wciska mu osobliwe rysy swej interpretacji, przekształcając w ten sposób zjawisko jednorazowe na obraz o trwałym znaczeniu, na symbol wiecznej prawdy, która, oglądana z perspektywy historycznej, jest naturalnie tylko obrazem zapatrywania swojego czasu. Z takiego sposobu kształtowania wynika z jednej strony monumentalność jej wyrażania, stawiająca wybraną część za całość, a z drugiej strony zakotwiczone są w nim także granice jej wyrazu, — żadne przecie, nawet największe dzieło sztuki nie jest w stanie wypowiedzieć wszystkiego. Owo „wszystko" w najlepszym razie tylko przeczuwamy.

A. Co chcesz przez to powiedzieć.

H. Weź jako przykład monumentalne dzieło architektoniczne „prostego" gatunku: grób królewski z kopułą w Mycenach, albo jeszcze „prostszy" kurhan w stepie ukraińskim. Ani w pierwszym, ani w drugim wypadku nie wiemy, kto był tam pochowany; jedynie bogate sprzęty, z nich wydobyte, mówią nam, że w wypadku pierwszym idzie o grób władcy z okresu t. zw. kultury myceńskiej, a w drugim o grób wodza scytyjskiego. Na podstawie przedmiotów, odkrytych w obu grobach, dochodzi nauka do wniosków o kulturalnym obliczu epoki, a wyobraźnia może swobodnie budować swoje zamki powietrzne legendarnej przeszłości. Jeśli zostaniemy przy kwestii, zajmującej nas w tej chwili, co pozostaje? Kurhan stepowy i myceński grób kopułowy są oba tylko zmonumentalizowanymi formami prostego grobu; monumentalność ich pozostaje niewątpliwie w związku ze stroną ideową władczej potęgi, mieczem zdobytej i utrzymywanej. Dla współczesnych i potomków bliskich były one trwałym wyrazem heroicznych cnót wojennych i wartości, a także dla późnych pokoleń, które już dawno zapomniały, kto tam leży, pozostały wzniosłymi znakami heroicznej przeszłości. Ale wielkość i wraz z nią ukształtowanie artystyczne służyły raczej wyobrażeniom mitycznym, aniżeli rzeczywistości, zmarłemu nie jako zwykłemu człowiekowi, lecz jako przedstawicielowi idei władczej, uosobieniu wojennej potęgi kraju i plemienia. Wszystko inne znikło i uległo zapomnieniu, ponieważ nie było istotne. A jednak możemy sobie wyobrazić, że wielkość zheroizowanego wodza została być może okupiona

ciężkim losem życia osobistego, a także cierpieniem i śmiercią tysięcy innych.

A. Jakże by też miało być inaczej? Oba groby są dziełami architektonicznymi a całe zadanie budowniczego i zarazem także możliwość wyrazu była zawarta jedynie w konstrukcji monumentalnego grobowca, który oczywiście nie może opowiadać o innych rzeczach

H. Nie zapomniałem o tym, przeciwnie, naumyślnie wybrałem owe dwa proste przykłady, ponieważ przemawiają tym samym językiem jak najstarsza rzeźba i malarstwo zasięgów kulturalnych o podobnej strukturze społecznej. Jeśli powiedziałem przed tym, że historia elementów wojennych w sztuce jest swoistym odbiciem historii ludzkości, miałem przy tym na myśli w pierwszym rzędzie przykłady, w których widoczne w nich stanowisko względem wojny może się stać miarą odnoszenia się do jednego z najważniejszych zjawisk życia ludzkiego: walki i śmierci. Jest ono naturalnie w dużej mierze zależne od mentalności, jaka wytwarza się w związku ze strukturą społeczną jakiejś kultury. Pod tym względem jest bardzo ciekawe, że wśród najstarszych i szczególnie znamiennych zabytków egipskiej i staroorientalnej rzeźby i malarstwa znajdują się dzieła, z których bezpośrednio wieje atmosfera wojenna. Byłoby niesłusznie, gdybyśmy w władcach starego Egiptu, Sumeru, Babilonii i Asyrii widzieli samych okrutników, którzy kąpią się we krwi swoich wrogów, oraz z rozkoszą ich męczą i zabijają, chociaż niejedno zwłaszcza u Asyryjczyków upoważniałoby nas do takiego mniemania. Źródła i dokumenty archeologiczne dostarczają przecie nie mało wyczerpujących danych o działalnościach, mających o wiele większe znaczenie dla życia kulturalnego, dobrobytu i rozkwitu państwa. Ale gdziekolwiek natrafiamy w dolinie Nilu, lub w Mezopotamii na zabytki odnoszące się do wojny, spotykamy sę z niezwykle brutalną mentalnością i jej odbiciem w sztuce. Heroizacja dotyczy tylko osoby króla, a wyrażona jest w najstarszej epoce w Egipcie w sposób, naturalny w kraju i w okresie kultu zwierząt: król przedstawiony jest w postaci byka, lwa, albo sokoła; dopiero później występuje w swej postaci ludzkiej, ale także wtedy w wielkości, przewyższającej całe otoczenie i wznoszącej się ponad wszystkimi zwykłymi śmiertelnymi. Wojna jest tylko jego sprawą i tylko do niego należy zwycięstwo. Na znanej tabliczce z epoki przedhistorycznej, pochodzącej jeszcze z V tysiąclecia prz. Chr. król-potężny byk przewrócił

wroga i rogami przyciska go do ziemi, a na innej tabliczce z tegoż czasu przebiega jako duży lew pobojowisko, na którym leżą trupy wrogów, zostawione na pastwę jastrzębiom i wronom. Na wczesnohistorycznej „palecie" króla Menes-Narmera realizm miesza się z symbolizmem: król jest raz bohaterem olbrzymem, który uchwycił klęczącego przeciwnika za włosy, potem bykiem, co rogami zburzył twierdzę i depce kopytami leżącego wroga, a w końcu sokołem, trzymającym w szponach hieroglif-znak sześciu tysięcy jeńców. Gdzie zaś sztuka późniejsza posługuje się formami realistycznymi, układając je w kompozycje monumentalne, jakimi ozdabia płaszczyzny ścian w świątyniach, dominuje nad wszystkim innym olbrzymia osoba króla na wozie bojowym, przed którą padają na twarz tłumy wrogów. A tak samo jak w Egipcie, skupione i wyrażone jest w osobie władcy całe bohaterstwo także w dziełach sztuki starej Mezopotamii, chociaż wbrew symbolizmowi przedstawiony jest tutaj świat w formach bez porównania bardziej realistycznych. Na myśl przychodzi mi t. zw. stela Jastrzębia króla sumerskiego Eannadu (ok. r. 3000 prz. Chr.); na stronie czołowej trzyma bóstwo (bóg Ningirsu) sieć z wtłoczonymi do niej trupami zabitych wrogów, a na stronie odwrotnej przedstawiony jest sam król na czele swojego wojska, w pierwszej scenie pieszo, w drugiej na wozie bojowym, on sam olbrzymi, wzniosły, potężny, jakby zindywidualizowany, gdy natomiast jego wojownicy stanowią tylko tłum bez wyrazu, bez własnych rysów i gestów osobistych. Świat ideowy, przemawiający z owej wczesnej niezdarnej próby plastycznej, pozostaje znamienny także dla całej późniejszej rzeźby mezopotamskiej: osoba króla jest wyłącznym ośrodkiem wszelkiej akcji, wszystko obraca się w koło niego, a sława wojenna jest sławą jego czynów. Najwyrazistsza jest pod tym względem rzeźba Asyryjczyków. Dla mentalności asyryjskiej wszystko jest bohaterskie i godne chwały, co wynika z woli króla, gdyby było nawet najdziksze i najbrutalniejsze. Nawet w idyllicznej scenie reliefu, przedstawiającego króla Asurbanipala i jego żonę w altanie ogrodowej w chwili wypoczynku, wyrażona jest cała niewiarygodna dzikość uczuć i odnoszenia się do zwycięstw wojennych. Król podnosi puhar ku ustom, a na poduszce obok legowiska leży łuk ze strzałą a na gałęzi bliskiego drzewa wisi odcięta głowa wroga, by król mógł rozkoszować się jej widokiem i- jeśli zechce, wypróbować na niej swoją umiejętność dobrego strzelca. Ale jest to tylko jeden

z pośród licznych przykładów asyryjskich zabaw królewskich. Przytoczyłem go jako wymowny dokument mentalności, jaka rozwinęła się na starym Wschodzie ze swoistego ustosunkowania się względem wojny; grozy wojny i jej atmosfery były dla niej zjawiskami naturalnymi. Człowiek jako jednostka nie miał żadnego znaczenia i ceny, jego życie i cierpienie było rzeczą obojętną, wszystko służyło jedynie królowi i jego sławie.

A. Wybacz, że ci przerwę. Wydaje mi się, że nie jesteś na dobrej drodze, gdy wszystko wiążesz ze sztuką, widząc w takich zjawiskach miarę jej głębszych podstaw i wartości, albo też tylko jej stanowiska względem rzeczywistości. Twój sąd byłby słuszny, gdyby cała sztuka staroegipska i staromezopotamska była wyłącznie taka, jaką przedstawia tych kilka przykładów. W rzeczywistości jest przecież inaczej. Twórczość sztuki egipskiej jest niezmiernie bogata, a tematy jej malarstwa i rzeźby obejmują cały zasięg życia, przy czym reminiscencje wojenne stanowią tylko stosunkowo drobną część faktycznej rzeczywistości, jaką one przedstawiają. To samo odnosi się do Mezopotamii. A jeśli zajmują zwłaszcza w rzeźbie asyryjskiej motywy wojenne tak wiele miejsca, to nie trudno to zrozumieć. Zachowały się przecie w pierwszym rzędzie zabytki sztuki monumentalnej, wykonanej w trwalszym materiale, a służącej przede wszystkim królowi; a ponieważ wojna była zajęciem królewskim, przedstawiała ich sztuka szczególnie często w scenach, w których w sposób drastyczny uwydatniała się ich sława i potęga. Że w kompozycjach tych odzwierciedla się nieprawdopodobne okrucieństwo, stanowi naturalnie odpychający rys w charakterze narodu, otoczenia i czasów barbarzyńskich. Ale ja nie widzę w tym rysów szczególnie charakterystycznych dla sztuki jako takiej, lecz tylko dla jej tematów, którym nadawała kształty plastyczne tak samo, jak w ogóle wszystkiemu, co zjawiało się na jej horyzoncie. Dla mnie istotne dążenia sztuki staroegipskiej względnie staromezopotamskiej zawarte są gdzie indziej w niezmiernie bogatej wyobraźni, z jaką malarze i rzeźbiarze Egiptu pomimo schematycznych konstrukcyj swoich utworów przetwarzali na formy wszystko, czego dostarczała im rzeczywistość życiowa, a równocześnie stwarzali trwałe, niezmienne, zachowujące wiekuiste znaczenie koncepcje idealnych obrazów absolutnych, oraz w cudownym realizmie, z jakim rzeźbiarze mezopotamscy przekształcili zjawiska chwilowe i przypadkowe na

obrazy monumentalne. Czy możesz sobie wyobrazić coś potężniejszego od babilońskich i asyryjskich skrzydlatych byków z ludzkimi głowami, wartowników bram pałacu królewskiego, w których fantastyczność łączy się z wiernym odtwarzaniem rzeczywistości? Czy znasz coś wierniejszego i bardziej rzeczywistego, jednoliciej pomyślanego i zarazem wycyzelowanego z delikatniejszym poczuciem stylistycznym od zwierząt reliefów asyryjskich? Czy nie wydaje ci się, że wobec dążności tego rodzaju reminiscencje wojenne dla artysty babilońskiego i asyryjskiego nie były niczym innym jak mile widzianą sposobnością, by móc wykazać swoje wielkie rzeźbiarskie mistrzostwo? Artysta przy wyborze nie był wolny i napewno musiał się opierać na przepisanych wzorach, jakich dostarczała tradycja, ale przez to nie przestawał być artystą. Jak on sam osobiście zapatrywał się na wojnę, nie wiemy; wobec zadania, jakie miał wykonać, było to zresztą obojętne. To, co można powiedzieć o przykładach tego rodzaju, odnosi się także do wszystkiego, co łączyło się z mitem. Czy nie powiedziałeś przed tym sam, że żadne, nawet największe dzieło sztuki nie jest w stanie wypowiedzieć wszystkiego i że owo „wszystko" raczej tylko przeczuwamy? W tym, co mówisz o atmosferze wojennej w sztuce, jest właśnie sporo takiego, co w dziełach sztuki nie jest ani zawarte, ani wyrażone, lecz stanowi jedynie komentarz historyka; w nim może być co prawda dużo słusznego i uzasadnionego, ale również dużo przypuszczeń subiektywnych, przekraczających w każdym razie granice samej sztuki, jej możliwości wyrażeniowych, a także zamiarów. Ja dla siebie widzę, by wrócić do przedmiotu, w dziełach sztuki staroegipskiej i mezopotamskiej w każdym razie tylko dzieła, których styl uwarunkowany jest w czasie, a z czasem i otoczeniem związane i od nich zależne są także wszystkie szczegóły ich struktury. Nie mogę jednak odkryć w nich śladów jakiejś specjalnej ideowości w odniesieniu do wojny; stanowiska takiego nie da się właściwie wyrazić ani rzeźbiarsko, ani malarsko.

H. W niejednym punkcie masz rację, ale co do niektórych rzeczy jestem innego zdania. Przede wszystkim nie różnimy się tak bardzo w poglądach, jak być może sądzisz. Trudność tkwi w tym , że mówimy mimo siebie, ponieważ mówimy o różnych rzeczach. To, co powiedziałeś o granicach możliwości wyrażeniowych sztuk plastycznych, wszędzie i zawsze jednakich, a tak samo również o granicach, w których docho-

dzą do głosu reminiscencje wojenne w sztuce egipskiej i mezopotamskiej, jest słuszne. Zrozumiałe jest też, że taki, lub inny refleks atmosfery wojennej w sztuce sam dla siebie nie może być miarą jej głębi i wartości. Z drugiej strony przyznasz mi jednak, że gdzie refleks taki się zjawi, miarodajny będzie dla końcowego wyrazu dzieła sztuki sposób, w jaki złączył się z całością jego struktury. Co do istotnych rysów dzieła sztuki jesteśmy więc w zgodzie. Nieco inaczej jest być może z innymi rzeczami, które wydają ci się zanadto związane z tematem pozaplastycznym względnie pozamalarskim. Sprawa ma się w każdym razie tak, że w ciągu rozmowy wyjaśniliśmy, już niejedno, że przy tym oddaliliśmy się jednak od punktu wyjścia i zapomnieliśmy, co zostało już określone. Dlatego pozwól mi powtórzyć jeszcze raz, że istoty refleksów wojennych w sztuce nie widzę w tematyce jako takiej, będącej, jak to słusznie zauważyłeś, tylko przypadkiem, dostarczanym przez okoliczności życiowe. Bez porównania ważniejsza jest ogólna atmosfera, jaką wytwarza wojna i wszystko, co wojna z sobą przynosi. A atmosfera ta może się odzwierciedlać w sztuce bez względu na to, czy motywy jej tematów są bezpośrednio wojenne czy też nie.

A. Po tym wyjaśnieniu zgadzamy się także pod tym względem. Jest jednak jeszcze coś, co mi przeszkadza. Przytoczyłeś same przykłady sztuki starożytnego Wschodu. Czy nie uważasz, że przykłady te nie są najlepsze, względnie, że szukasz w nich czegoś, czego w nich niema, a czego ta sztuka nawet nie jest w stanie wyrazić? Sztuka egipska obejmuje wprawdzie zasięgi rozległe jak samo życie, ale z drugiej strony jest jej obserwacja i przedstawianie rzeczywistości wciśnięte w formy tak schematyczne, poniekąd także hieratyczne, że nie ma w nich dla wyrażania przeżyć psychicznych i odcieni atmosfery duchowej, w których mógłby się wyraźniej odzwierciedlać ów wewnętrzny stosunek względem zjawisk życiowych, a więc także wojennych, jaki powinien z natury rzeczy zawierać także pewną dozę krytyki. Podobnie ma się sprawa także ze sztuką starej Mezopotamii. Jej naturalizm jest co prawda nie raz wprost zdumiewający i wielkie jest mistrzostwo, z jakim umie rzeźbiarz mezopotamski podawać charakterystyczne rysy umierającego rannego zwierzęcia. A jednak są wszystkie dzieła owej rzeźby pomimo udanej charakterystyki zjawisk fizycznych, zwłaszcza ciała ludzkiego, ostatecznie tylko konwencjonalnymi, jakkolwiek monu-

mentalnymi stylizacjami, bardzo dekoracyjnymi, ale bezosobistymi, bez wszelkich oznak psychiki ludzkiej. Jakże miałaby taka sztuka wyrażać całą ową głębszą atmosferę wewnętrzną, którą miałeś na myśli, mówiąc o refleksach wojny i jej następstw?

H. W samym charakterze monumentalnym i dekoracyjnym nie widzę jeszcze przeszkody, by sztuka nie mogła być uduchowiona; pomyśl tylko o średniowiecznym malarstwie zachodnioeuropejskim i bizantyńskim, któremu nie można odmawiać ani jednego ani drugiego. Co do granic możliwości wyrażeniowych staroorientalnej rzeźby i malarstwa masz jednak rację. A jednak nie było zbyteczne, żeśmy mówili także o nich, gdyż na pewno nie sprzeciwiasz się „komentarzowi historyka", iż cała owa sztuka przesiąknięta jest mentalnością epoki wschodnich reżymów despotycznych, dla której wojna jest po prostu naturalnym zajęciem władców, tyczącym się tylko ich samych, służącym tylko ich sławie i zdobyczom, oraz będącym wyrazem ich mocy; w sztuce zaś odbija się oczywiście tylko w formach, jakimi rozporządza, gdy kształtuje także pozostałe zjawiska życiowe.

A. W końcu zbliżyliśmy się więc do siebie. Muszę jednak powiedzieć, że spodziewałem się, gdy dotknąłeś historii, iż przytoczysz przykłady, którymi mógłbyś łatwiej podeprzeć swoje wywody, np. ze sztuki klasycznej i nowszej.

H. Miałem najszczerszy zamiar. Ale tak jakoś bywa, że człowiek niechcący zabłądzi do systematyki i rozpoczyna historię zawsze od Adama w raju, zamiast żeby wkroczyć *in medias res*. A zresztą nie szkodzi, że tak się stało; przynajmniej oczyściliśmy pojęcia podstawowe na materiale prostszym i będzie nam teraz łatwiej mówić o rzeczach, bardziej zbliżonych do naszego własnego sposobu patrzenia i odczuwania. Co prawda pokrewność ta okazuje się często tylko naszym złudzeniem, wywołanym przez pozory form zewnętrznych. Sądzę jednak, że nie powinniśmy jeszcze bardziej komplikować naszego problemu takimi kwestiami i że możemy jednak już przejść do problemów sztuki, w której naprawdę już na wskroś panują mit i mentalność heroiczna. Wyobraźnia rzeźbiarzy i malarzy greckich zrodziła się z mitu i ciągle na nowo odświeżała się w jego atmosferze, przy czym zapładniał ją idealizm myśli greckiej, i nastawienie etyczne. Że stosunek względem wojny, odbijający się w sztuce plastycznej, musiał być w takim otoczeniu zupełnie odmienny od

wszystkiego, co pod tym względem stworzył stary Wschód, jest zrozumiałe. A refleksów wojny w sztuce greckiej nie było mało.

A. Na pewno nie. Chciałbym ci jednak zwrócić uwagę, że pojęcia tego w obrębie sztuki greckiej nie powinieneś zanadto uogólniać i wszędzie go stosować. Greckie społeczeństwo i struktura myśli greckiej są zwłaszcza w porównaniu z życiem i myśleniem starego Wschodu tak odmienne, przede wszystkim zaś już tak bardzo zróżniczkowane, że chcąc dojść do ścisłych wniosków, powinieneś trzymać się właściwego znaczenia słowa wojna. Gdy zacząłeś mówić o micie, słusznie zauważyłeś, że z niego nie da się wyłączyć pierwiastku walki; ja bym powiedział jeszcze więcej: że nie da się go wyłączyć z życia i że w walce tej tkwi być może największy tragizm losu ludzkiego. Ale walka z wrogim losem bynajmniej nie jest jeszcze wojną, walką o pomoc i władzę, ową straszną, bezwzględną, brutalną wojną, która fizycznie niszczy człowieka i jego dobro. Jedynie o wojnę w takim sensie i o to, co z nią się łączy, idzie jednak, jeśli mamy dojść do tego, co znaczyła dla sztuki greckiej i jak się w niej odbijała. Z jednej strony należy więc pominąć wszystko, co samo przez się jest tylko mitem poza czasem i przestrzenią, a z drugiej strony tak samo i dzieła sztuki, które nie są niczym innym jak ilustracjami walk mitycznych, legendarnych, nie związanych z prawdziwą aktualnością wojenną.

H. Jest to słusznie pomyślane, ale trudne do przeprowadzenia a to właśnie dlatego, że grecka myśl i sposób odczuwania wszędzie ubierają się w formy mityczne, używane również celem wyrażania kwestyj najaktualniejszych. W punkcie tym schodzą się drogi filozofii, poezyj i sztuk plastycznych. Platon, dochodząc do najgłębszych swoich koncepcyj, może je wyrazić jedynie w ten sposób, że stwarza nowe mity; wielcy tragicy greccy opracowują w swoich dziełach prawie że te same tematy mityczne, przy czym za każdym razem staje się ten sam temat odbiciem zupełnie odmiennego stanowiska względem aktualnych kwestyj życiowych, — przypomnij sobie tylko, co widzi w kobiecie Ajschylos, jak rysuje ją Sofokles, oraz jak uwspółcześnia Medeę Eurypides. A sztuki plastyczne? Grecki sposób patrzenia jest — tak jak w micie — antropomorficzny, przy czym nie istnieje żadna ściśle określona granica między obrazem z mitu a obrazem człowieka rzeczywistego, między młodzieńcem a Apollinem, między człowiekiem a bóstwem,

między akcją a abstrakcją. Wobec sztuki wyrastającej w takiej atmosferze, nie zawsze łatwo powiedzieć, czy ma się do czynienia z bezpośrednią reakcją na podnietę zewnętrzną czy też z jej transpozycją na język mityczny, która ma niejako zasłonić i równocześnie podnieść do sfery idealnej to, czego dostarczył dzień powszedni, albo też po prostu z grą ilustracyjną, której jedynym celem i sensem jest ozdoba.

A. Mój kochany, ciągle oddalamy się od przedmiotu. Zamiast żeby rozprawiać o wzajemnych stosunkach między sztuką a wojną, zbaczamy z drogi i rozmawiamy o charakterystycznych cechach sztuki w różnych zasięgach kultury i o jej związkach z pozostałymi zjawiskami życiowymi. Rozumiem wprawdzie, że do pewnego stopnia nie może być inaczej, ponieważ ostatecznie wszędzie są aktualne wciąż te same problemy zasadnicze. Jeżeli mamy jednak w ogóle dojść do końcowych wniosków, będziemy musieli się ograniczyć i znaleźć krótszą drogę. Być może ułatwiają wyjście z dylematu właśnie twoje uwagi o charakterze antropomorficznym i mitycznym uosabnianiu, w których konkretyzuje się grecka wyobraźnia plastyczna. Wśród kreacyj, powstałych w ten sposób, należałoby w każdym razie odróżniać dzieła, w których wyraża się zasadniczy stosunek względem wojny, od dzieł, związanych tak, lub inaczej z dziejową aktualnością wojenną. Oprócz tego nie wolno ci zapominać o ciągłych zmianach i wewnętrznych wahaniach, jakie były udziałem rozwoju sztuki greckiej.

H. Gdybym chciał brać pod uwagę wszystkie punkty, które wyliczyłeś, napewno nie zbliżyłbym się przez to do celu. Musiałbym mianowicie podać po prostu przegląd całego historycznego rozwoju sztuki greckiej, choćby nawet tylko pod kątem widzenia refleksów i reminiscencyj wojennych. „Komentarz historyka" wzrósłby wtedy tak niewspółmiernie, że dla sztuki samej nie wiele by pozostało. Dlatego wystarczy chyba, jeśli ograniczymy się do kilku szczególnie charakterystycznych rysów ogólnych. To, co znamienne jest dla stanowiska człowieka greckiego względem wszystkich zjawisk życiowych, odbija się również w stanowisku jego sztuki względem wojny, t. j. idealizm, który wcale nie zamyka oczu przed tragicznymi przepaściami życia, ale je przezwycięża, ponieważ kieruje nim męska etyka człowieka wolnego. Greckie wyobrażenie o wojnie różni się od pojęć, zadomowionych na starym Wschodzie; nie łączy się z wyobrażeniami o nieograniczonej mocy despotycznego władcy, mogącego rozporządzać według własnego upodo-

bania życiem tysięcy podwładnych. Przeciwnie wojna jest wynikiem oporu wewnętrznego, moralnie uzasadnionego a nawet koniecznego, przeciwko gwałtowi, wojna jest walką o wolność. A tak, jak poezja grecka nie wysławia bezsensownej mordowni, lecz odkrywa i rysuje nawet u wroga rysy szlachetne, oraz maluje, jak np. Ajschylos w swoich „Persach", głęboki tragizm katastrofy, jaka spadła w wojnie na wschodnich barbarzyńców, tak samo i grecka sztuka plastyczna nie rozkoszuje się nieludzkimi scenami i cechami. Czyż nie jest np. ciekawe, że bóg wojny jest uosobienie nierozsądnym szałem i że Atena, najidealniejsza boska przedstawicielka elementu wojny, jest równocześnie boginią mądrości? Sceny wojenne są wprawdzie częste, co nie mogło być nawet inaczej w stuleciach, w których nieustannie prowadzono wojny, jeśli nie z wrogami zewnętrznymi, barbarzyńskimi, to między różnymi greckimi miastami i państwami a więc niejako między sąsiadami. Wszystkie owe wojny bledną jednak w porównaniu z dziejowym znaczeniem wojen perskich w V w. prz. Chr., w których tak wspaniale ujawniła się moc narodu i ducha greckiego w walce z olbrzymią przemocą Wschodu. Wstrząs był tak głęboki, że dotknął wszystkich dziedzin działalności i że nie ma prawie zjawiska w ówczesnym życiu kulturalnym, który nie nosiłby na sobie jego śladów. Co do sztuki można wprost powiedzieć, że wszystko, co wtenczas stworzyła naprawdę wielkiego i monumentalnego, łączy się bezpośrednio, albo przynajmniej pośrednio z wojnami względnie ze zwycięstwem, które po nich nastąpiło. Siła owego wzlotu twórczego była tak potężna, że trwała w Atenach nawet jeszcze wtedy, gdy rozgorzała już nowa bratobójcza, t. zw. wojna peloponeska, i że w dalszym ciągu jeszcze wtenczas wznoszono w mieście, zwłaszcza na Akropolisie nowe gmachy i ich ozdobę. Spora część greckiej sztuki klasycznej V w. jest więc wyraźnym przykładem sztuki „wojennej". Pod tym kątem widzenia stanowi np. Akropolis ateński kompleks wielkich dzieł sztuki, których powstanie umożliwiła pośrednio wojna, tak że są one właściwie jej najwspanialszym pomnikiem. Najciekawszy jest charakter owej sztuki. W architekturze jak i w rzeźbie i malarstwie dojrzał i doszedł do szczytu klasycyzm, umiarkowany, monumentalny, na wskroś zrównoważony wyraz artystyczny, w którym wszystkie przeciwieństwa wewnętrzne wyrównane są w nadrzędnej koncepcji dojrzałego idealizmu. W kształtach architektonicznych szukalibyśmy co prawda daremnie bezpośrednich odblasków wojny; odkrywa nam je tylko

„komentarz historyka", w tym wypadku całkowicie godny zaufania, ponieważ oparty jest na dokładnych danych chronologicznych. Droga, prowadząca od Partenonu do świątyni Nike i Erechtejonu, jest w świetle owych danych drogą od wzniosłej powagi i męskiej pewności siebie, jaką dyktowała świadomość zwycięskej siły i wolności, do słonecznej, uśmiechniętej gry, w której uwolniły się wszystkie dotąd ukrywane energie twórcze. W malarstwie i rzeźbie jest związek z atmosferą wojenną naturalnie wyraźniej widoczny. Tympanony świątyń, fryzy, metopy i balustrady w Atenach i gdzie indziej ozdobione są kompozycjami rzeźbionymi, a ściany malowidłami, które tak, lub inaczej wiążą się tematowo i ideowo z echami wojen perskich. Motywy tematowe zaczerpnięte są tylko rzadko z bezpośredniej rzeczywistości historycznej, tylko w kilku wypadkach przedstawione są walki między Grekami a Persami. Ale nawet wtedy podporządkowane są — pomimo tendencyj realistycznych, wyrażających się zwłaszcza w pogłębionej charakterystyce psychologicznej poszczególnych figur i całych grup, — zasadniczemu ujmowaniu idealistycznemu i transponowane są w sferę wielkości mitycznej. Wszystko otrzymało rysy wzniosłe, nadludzkie; przedstawione walki są walkami między bogami a mitycznymi bohaterami, między bogami a Tytanami, między przedstawicielami mitycznej przeszłości a potwornymi Centaurami. Gdzie zaś nie ma bogów i występuje tylko człowiek, tam wznosi go między bogów uroczysta, jasna powaga. Najbardziej charakterystyczną plastyczną reminiscencję zwycięskiej wojny widzę jednak w figurach bogini Nike, zjawiających się wszędzie jako najefektowniejsza personifikacja idei, jaka powstała z wojny. Jeśli przytoczę jeszcze Nikę z Samotrake z okresu hellenizmu, której rozmach wewnętrzny i patos wzruszały mnie za każdym razem na nowo w paryskim Luwrze swoją potęgą, wyliczyłem chyba już dość przykładów podniet twórczych, jakie czerpała sztuka grecka z atmosfery wojennej.

A. Nie bierz mi za złe, że zapatruję się na to wszystko znowu trochę inaczej jak ty. Twoje uwagi o idealizmie, tkwiącym w mentalności greckiej, a wyrażającym się w sztuce w mitycznej heroizacji wojownika, są wprawdzie słuszne. Napewno masz też rację, gdy nazywasz Akropolis ateński najwspanialszym pomnikiem zwycięstw nad Persami, chociaż ja byłbym także co do tego trochę ostrożniejszym, a conajmniej nie uogólniłbym tak pochopnie tej oceny. A jednak są twoje wnioski zbyt pośpieszne, jakkolwiek podparłeś je chronologicz-

nym komentarzem historyka. Pozwól, że ci przytoczę kilka swoich zastrzeżeń. Cała owa sztuka nie powstała z wojny, lecz jest wynikiem zwycięstwa, świadomości wywalczonego pokoju i jego owoców; a zasadniczą nutą jej dzieł jest pomimo licznych motywów wojennych wysławianie równowagi i szczęścia, jakie przynosi z sobą jedynie pokój. Co do punktu pierwszego nie zapominaj, że wojna przyniosła Atenom spustoszenie i zniszczenie i że Akropolis został wtedy zamieniony na kupę ruin. A jeżeli oglądniesz sobie dokładnie dzieła, które wymieniłeś, przyznasz mi chyba, że jest w nich wprawdzie wyrażony podziw i najgłębszy szacunek dla tych, którzy walczyli i zginęli celem osiągnięcia zwycięstwa, że jednak jądrem wewnętrznym całego owego słonecznego hymnu marmurowego jest wysławianie szczęścia wolnego i pokojowego życia narodu. Cóż mają np. wspólnego z wojną trzy słynne siedzące postacie żeńskie z wschodniego przyczółka Partenonu, przedstawiające w najciaśniejszej przestrzeni i w jak najbardziej skoncentrowanych pozach największe wewnętrzne poruszenie i zwartość rytmiczną? I gdzie widzisz reminiscencje wojenne w jońskim fryzie Partenonu z pochodem panatenejskim? W pochodzie tym, jasnym, uroczystym i harmonijnym nie ma nigdzie śladów napięcia dramatycznego, a jeszcze mniej atmosfery grozy, związanej nierozłącznie z wyobrażeniem wojny. Sam podkreśliłeś na początku, że przy refleksach wojennych w sztuce nie idzie o temat sam jako taki, lecz o skutek, jaki wywierają zdarzenia i przeżycia wojenne na twórczość artystyczną, o pojęciowo trudno uchwytną, ogólną atmosferę psychiczną, wytwarzaną przez wojnę, która z konieczności musi się w sztuce odbijać. Przytaczasz natomiast przykłady, będące największym przeciwieństwem owej atmosfery. Są one przecie plastycznym wyrazem najgłębszej afirmacji życiowego istnienia i działania, gdy tymczasem wojna jest najwyraźniejszą formą ich gwałtownej negacji. Negacją życia jest śmierć. Dlatego szukałbym ja atmosfery wojennej w sztuce greckiej przede wszystkim w przedstawianiu śmierci na polu bitwy, a nie w figurach i kompozycjach, z których układa sztuka grecka swoje hymny ku czci życia. Przy tym bynajmniej nie twierdzę, że w sztuce tej nie ma śladów wojny, pełno jest przecie w niej kompozycyj, przedstawiających dramatyczne sceny bojowe i całe szeregi umierających rannych; ale nawet akcja najbardziej wzburzona, w takich wypadkach naturalna, zawsze przechodzi w uspokojenie, akcentując tym samym tylko jeszcze silniej wzniosłą

harmonię całości. Porównywanie poezji dramatycznej ze sztuką plastyczną, nasuwające się wobec sztuki, które nakłania nas, byśmy w plastyce szukali echa poezji, nie powinno sięgać za daleko. Sztuka słowna rozporządza bogatszymi, a przede wszystkim inaczej skierowanymi środkami i możliwościami wyrażania, oraz motywacji psychologicznej jak malarstwo i rzeźba, stanowiące realizację świata form wyrojeniowych tylko im właściwych. I jeszcze coś. Walka o życie i śmierć, w której dochodzi wojna do szczytu, choćby nawet najbardziej zheroizowana i przeniesiona w kształty mityczne, może dojść do pełnego wyrazu jedynie w sztuce, dla której nie jest już celem niezmącona harmonia nastroju całości i form zewnętrznych, jedynie tam, gdzie artysta, niczym nie hamowany, poddaje się wrażeniom zewnętrznym i cały wyżywa się w kształtowaniu chwilowych żywiołowych zjawisk życiowych, przy czym jest obojętnie, czy ogląda je przez pryzmat mitycznego patosu, albo obserwuje je oczyma wiernego naturalisty. Dlatego wydaje mi się, że sztuka antyczna doszła do odtwarzania atmosfery wojennej, jak ty ją ujmujesz, dopiero w sztuce hellenistycznej. Wówczas już dawno minęło dążenie do stwarzania na wskroś zrównoważonych całości kompozycyjnych, a sztuka rozporządzała już wszystkimi środkami, którymi mogła opanować wszelkie problemy fizycznej i psychologicznej charakterystyki ciała ludzkiego. Szczyt plastycznego przedstawienia grozy wojennej, przesiąkniętej najgłębszym barokowym patosem osiągnęła rzeźba starożytna, jak mi się zdaje w Gigantomachii ołtarza Zeusowego w Pergamonie; a równolegle do kreacyj tego rodzaju stwarzał coraz silniejszy kierunek realistyczny wierne obrazy tragicznej rzeczywistości, dla których jest m. i. typowym przykładem „Umierający Gal".

H. Przekonałeś mnie. Echa wojny zajmują w sztuce starożytnej takie same miejsce jak pozostałe zjawiska życiowe a ich wyrażanie realizuje się za każdym razem w granicach problemów i możliwości, miarodajnych w danej chwili dla tendencyj i horyzontów sztuki. Nie byłoby więc na miejscu mówić wprost o podnietach twórczych atmosfery wojennej.

A. Oczywiście nie. Ale dlaczego nie wspominasz, ponieważ już tak długo zatrzymaliśmy się przy sztuce antycznej, również o rzeźbie i malarstwie rzymskim? Pomimo tak bardzo wychwalanej *pax romana* była przecie wojna dla Rzymu jednym z najdonioślejszych zjawisk jego dziejów a przede wszystkim podstaw jego wielkości.

H. Sądzę, że także w tym wypadku nie wiele miałbym do dorzucenia do tego, cośmy już ustalili. To, co sztuka rzymska przejęła z hellenizmu, poruszało w zasadzie także na nowym gruncie w granicach hellenistycznego sposobu patrzenia, odczuwania i kształtowania. Co się zaś tyczy stanowiska zajmowanego względem wojny i jej atmosfery, jest być może jego najwymowniejszym pomnikiem „Ara pacis" Augusta, która powstała wyraźnie jako pomnik zbawczego pokoju, zdobytego po tylu burzach wojennych. Nieco inaczej ma się sprawa do pewnego stopnia z tendencją czysto rzymską, która nie ogranicza się do reminiscencyj wojennych, lecz obejmuje w ogóle całą sztukę, mianowicie z naturalizmem, silniejszym na gruncie rzymskim, aniżeli gdziekolwiek indziej w starożytności klasycznej. Naturalizm ten jest charakterystyczny w równej mierze dla rzymskich portretów jak i dla rzeźby reliefowej z motywami i scenami rodzajowymi i historycznymi; obserwuje i notuje każdy ciekawy rys zjawisk, szczególnie różne odrębności etniczne wyżywając się często w obszernych, epicko szeroko rozbudowanych kompozycjach, w których przedstawione są dzieje wojen, jak np. w reliefach kolumn cesarzy Trajana i Marka Aurelego. Te i podobne do nich utwory są z powodu swej wierności niezwykle cennymi źródłami historycznymi i dokumentami rzymskich dziejów wojennych, nie odsłaniają jednak żadnej nowej strony stanowiska człowieka rzymskiego wobec zjawiska wojny, jeśli za osobliwość taką nie uważamy już samej dokładności, z jaką są obserwowane i przedstawiane zdarzenia wojenne. Ale wierność ta jest ostatecznie tylko wiernością bezstronnego kronikarza historycznego, dla którego posiadają wszystkie zjawiska taką samą wartość; ogląda i ocenia je równie wiernie i chłodno bez względu na to, czy świadczą o pokoju czy też o wojnie. Dopiero w okresie późnoantycznym łączy się jak mi się zdaje, ten naturalizm z czymś innym, nowym, wykraczającym poza jego ramy i poza ramy starożytności, a z czego przemawia być może coś jakby niewysłowiona trwoga przed grozą najazdów świata barbarzyńskiego. Ale ponieważ obawiam się, żebyś w uwadze tej nie widział zbytecznego komentarza historyka, wolę wycofać ją z dyskusji i skierować twoją uwagę na coś innego. Starożytność i jej sztuka stanowią osobny świat dla siebie. A jednak doznały w sztuce starożytnej swojego pierwszego ukształtowania już wszystkie podstawowe dążenia, możliwości i prądy, zjawiające się w ten lub inny

sposób w późniejszym rozwoju sztuki europejskiej. Przy tym nie mam na myśli tylko zjawisk tego rodzaju, jak sztuka klasyczna V i IV w. prz. Chr. oraz „barok" hellenistyczny, w których są reprezentowane już obie podstawowe tedencje klasycyzmu i — s i t v e n i a v e r b o — romantyzmu, ale — by nie oddalać się od przedmiotu, — pozostałe rodzaje odnoszenia się sztuk pięknych do problemów życiowych, a więc także wojny. To też nie wydaje mi się koniecznym mówić jeszcze specjalnie o tych stosunkach w średniowieczu i w czasach nowszych. W ciągu wieków modyfikują się wprawdzie formy i sposoby wyrażania, ale same podstawy duchowe pozostają w gruncie nie zmienione. Wszędzie wychodzi ostatecznie na jaw, albo heroiczne idealizowanie wojny i jej przedstawicieli, albo jej transpozycja w sfery mityczne; dawniejszy antyczny mit zastąpiony jest przy tym przez alegorie i myślenie symboliczne względnie przez świat legend chrześcijańskich, lub schrystianizowanych, albo wysławianie osoby władcy i jego czynów, oraz w końcu przez naturalistyczne przedstawianie zdarzeń wojennych, to ostatnie zwłaszcza w kompozycjach batalistycznych.

A. Mówisz, jak gdybyś głęboko był przekonany o wyższości starożytności ponad wszystkim, co ludzkość w okresach późniejszych w ogóle jeszcze stworzyła. Czy nie jesteś trochę zanadto anachronistyczny? Ja mam wprawdzie najgłębszy szacunek dla szczytów kultury starożytnej, nie jestem jednak zdania, że starożytność jest alfą i omegą wszystkich kulturalnych zdobyczy i ideałów. Niewątpliwie jest słusznie, że — jak na wszystkich polach tematyki — występują w sztuce średniowiecznej także pod względem wojennych tematów i motywów te same podstawowe możliwości, jakie znała już starożytność, gdyż pomimo wszystkich zmian istniała między nią, a wiekami późniejszymi nieprzerwana ciągłość. Ale gdybyś nawet oglądał dzieła sztuki europejskiej, związane z wojną, jedynie pod kątem widzenia przemian ikonograficznych, musiałbyś przecie stwierdzić tyle nowego nieantycznego, żebyś rychło zmienił swoje zdanie. Formy ikonograficzne nie są czymś schematycznym i martwym, a ich odmiany nie są dziełem przypadku, lecz są w niemniejszej mierze wynikiem i wyrazem głębszych zmian ideowych i uczuciowych jak rozwój i odmiany stylu. Czyż nie wydaje się być może, że ikonografia szczególnie znamiennych scen wojennych i typów dostarczyłaby bardzo ciekawego wglądu w rozwój koncepcyj ideowych

i uczuciowych w ciągu średniowiecza i czasów nowożytnych? Analiza odkryłaby w niej powstanie, rozwój i rozkwit ustrojów społecznych w miarę, w jakiej dochodzą do głosu w strukturze przedstawionych grup wojujących, oraz miejsce, zajmowane przy tym przez wodza lub władcę; ujawniłaby podstawy, w których odzwierciedla się społeczna i ideologiczna struktura rycerstwa średniowiecznego i jej ścisła łączność z ustrojem religijnym i kościelnym i z życiem, a w każdym nowym stuleciu jej coraz nowsze transformacje i w końcu tylko jeszcze jej zewnętrzne pozory w świecie, z którego już dawno znikło jej, pierwotne, stare jądro, a jej powaga zamieniła się na uroczyste pozory i grę. Przy tym wyszedłby na jaw romantyzm walk z niewiernymi, forma walk, jakiej starożytność nie znała, a byłoby to jedynie zjawiskiem równoległym do wszystkiego innego, co otaczało średniowiecze religijno-kościelną powłoką zewnętrzną. I czy nie odzwierciedlałby się w tym długi szereg niuansów w stosunkach względem własnego świata chrześcijańskiego i obcego heretyckiego i pogańskiego jak również fantastycznego świata bajek i opowieści o krajach egzotycznych? Na to mógłbyś wprawdzie odpowiedzieć, że są to rzeczy, sięgające poza granice samych refleksów i reminiscencyj wojennych, i że dotyczą w gruncie podstaw całego życia kulturalnego, w którym zjawiska wojenne zajmują stosunkowo mało miejsca. Ale czy nie stwierdziliśmy już kilkakrotnie, że w strukturze sztuki względnie kultury artystycznej zawsze i wszędzie jest tak, że jak w życiu wszystko łączy się ze sobą i że w części odbija się całość? A zresztą strona ikonograficzna kwestii nie wydaje mi się nawet najważniejszą, chociaż ujawnia niezliczone rysy, obce starożytności, a charakterystyczne tylko dla czasów późniejszych. O wiele donioślejsze są pierwiastki innego rodzaju, których starożytność również nie znała; zwłaszcza w związku z rozwojem i rozpowszechnieniem możliwości wyrażeniowych osiągnęły one w sztuce późniejszej, szczególnie nowszej, wielkie znaczenie. Pomimo wszechstronnego rozkwitu nie znała bowiem sztuka starożytna, ani zupełnie indywidualnego, ani niezmąconego wyrażania uczuć subiektywnych, ani sentymentalności; pomimo żądzy wiedzy i badania problemów formalnych i technicznych nie wyciągała z nich ostatecznych wniosków, jak to czyniła i wciąż jeszcze czyni sztuka nowoczesna. Wszystko to oczywiście nie łączy się bezpośrednio z zagadnieniem refleksów wojennych, ale jest dla ich traktowania plastycznego osta-

tecznie w takiej samej mierze ważne, jak dla traktowania wszelkich innych tematów. Tak patrzy np. w renesansie każdy artysta na temat o charakterze wojennym przez pryzmat zajmujących go w danej chwili problemów formalnych. Dla Paola Uccello np. jest bardzo charakterystyczne, że jego „bitwy" są właściwie tylko studiami perspektywicznymi, gdy natomiast A. Pisanello łączy skróty perspektywiczne z naturalizmem szczegółów i poetycznością całości, w której ciągle jeszcze żyje spora część późnogotyckiego romantyzmu rycerskiego. Michałowi Aniołowi daje „Bitwa pod Anghiari" sposobność do zebrania i pokazu poruszonych atletycznych aktów mężczyzn, zaskoczonych przez alarm przy kąpieli w rzece i wkładających w pośpiechu ubrania, a Leonardo da Vinci rozwiązał w swoim kartonie to samo zadanie w ten sposób, że przedstawił z dokładnym obiektywizmem najbardziej zawiły ścisk walki. Jeśli mam przytoczyć przykłady jeszcze późniejsze, wystarczy być może, jeśli wspomnę o Salwatorze Rosa, dla którego sceny bojowe zamieniły się w malownicze, barwnie skomponowane krajobrazy romantyczne, oraz o Lebrunie i jego towarzyszach z Akademii paryskiej, posługujących się motywami wojennymi, by z największą dekoracyjnością i pompą uwiecznić „la Gloire" Ludwika XIV, nadając jej kształty teatralnego pseudoantycznego heroizmu. U Watteau zaś zamieniają się tematy wojenne na miękkie kompozycje, w których widoczna jest tylko idylliczna strona obozów wojennych w pochodzie, przedstawiona w nastroju równie lirycznym jak jego „Fêtes galantes". To, co jest typowe dla artystów wymienionych, dotyczy w niemniejszym stopniu także prądów i kierunków późniejszych. Swój patos wniósł romantyzm do malarstwa także w wysławianiu napoleońskich pochodów wojennych i zwycięstw, z jakimi śledził zwłaszcza A. J. Gros działalność wielkiego Korsykanina, gdy natomiast E. Delacroix szczególnie w swojej „Masakrze na Chiosie" podkreślił patos nieludzkiej strony zdarzeń wojennych. Ale poco mnożyć przykłady, prowadzące w końcu zawsze do tego samego wniosku, że mianowicie wojna zajmuje w sztuce miejsce równoległe do wszystkich innych tematów kształtowania, jakich dostarcza życie, że odzwierciedla się w malarstwie i rzeźbie właściwie tylko w świetle pozostałych problemów artystycznych swej epoki, jeżeli oczywiście nie uwzględniamy różnych pozaartystycznych momentów i tendencyj o charakterze historyczno-ilustracyjnym, epicko-opowiadającym, ro-

dzajowym, wysławiającym, moralizatorskim i ostatecznie także propagandowym. Pomimo najlepszych chęci nie mogę jednak dopatrzeć się w wojnie żadnej specjalnej podniety twórczej.

H. Jak ty tę sprawę przedstawiasz, mogłoby się naprawdę wydawać, że masz we wszystkim zupełną rację. Pozwól jednak i mnie przedstawić mój punkt widzenia. W początku naszej rozmowy zrobiłeś mi nawet mały zarzut, że według ciebie zapatruję się na problemy wojenne w sztuce zanadto od strony tematowej. Wyjaśniłem ci wprawdzie, że nie idzie mi tyle o temat sam jako taki, ile przede wszystkim o ogólną atmosferę, o predyspozycję psychiczną, nadającą koncepcji dzieła sztuki bez kwestii całkiem specyficznego zabarwienia i kierunku. A teraz widzę, że ty sam, mówiąc o echach wojny w sztuce, bierzesz przede wszystkim pod uwagę stronę tematową.

A. Ponieważ nie mogę postąpić inaczej zdaję sobie sprawę, że niejedno z tego, co powiedziałem o ikonografii scen wojennych i jej znaczeniu, należy raczej do zakresu historii kultury, aniżeli historii sztuki. Co się zaś tyczy pozostałych moich uwag, wydaje mi się, że właśnie przez to, że brałem w rachubę tematykę wojenną, doszedłem do wniosku końcowego, że mianowicie tematyka pozostaje prawie zawsze jednaka i że jej interpretacja zmienia się tylko o tyle, o ile ulegają zmianie problemy ogólne, jakie rozwiązuje sztuka każdej epoki, nadają im swojego własnego kolorytu. Jak miałbym więc postąpić inaczej? Przy tym pozostałem wierny swojemu zasadniczemu poglądowi na sztukę, który określiłem chyba dosyć wyraźnie już na samym początku.

H. Niech ci będzie. Omawiając tematykę, przeoczyłeś jednak coś bardzo charakterystycznego. Wymieniłeś tendencje ilustracyjne, opowiadające, rodzajowe, wysławiające, moralizatorskie, a także propagandowe, ale tylko tak, mimochodem, ponieważ widzisz w nich na pewno tylko pierwiastki pochodzenia pozaartystycznego, ze szkodą dla jednolitości i zwartości dzieła sztuki i jego wyrazu. Przy tematach, jakich dostarcza wojna, jest wprawdzie bardzo trudno ominąć interpretacje plastyczne, które nie zawierałyby żadnej tendencyjności, ale dla oceny dzieła sztuki decydujące są ostatecznie jednak jej wartości czysto artystyczne. Są one tym większe, im obiektywniejszy jest stosunek artysty względem tematu, a powód ten był napewno miarodajny dla wyrobu przykładów,

które przytoczyłeś i scharakteryzowałeś. Ponieważ jednak tematyka wojenna jest całkiem specjalnego rodzaju, musimy ją brać taką, jaką jest w rzeczywistości, i nie wolno nam przy tym — tak, jak nie robimy tego także gdzieindziej, np. w sztuce religijnej, — stawiać wymagań apriorystycznych co do absolutnej czystości wyrazu artystycznego. Moglibyśmy go zresztą stwierdzić w stanie idealnym tylko w wypadkach bardzo rzadkich. Gdy zaczniesz oglądać sprawę z tego punktu widzenia, zgodzisz się na pewno, że przez cały czas braliśmy dotąd w rachubę właściwie tylko takie dzieła sztuki i kierunki, w których odzwierciedla się tylko jedna strona problemu wojennego, a mianowicie stosunek dodatni względem zjawisk wojny i jej następstw. Cokolwiek sądzisz o masowych masakrach, przedstawianych przez sztukę egipską i staromezopotamską, o scenach bojowych i o całej wojennej tematyce sztuki greckiej, rzymskiej, średniowiecznej i jeszcze nowszej, o których mówiliśmy dotąd, wszędzie i zawsze przemawia z nich, pomimo smutku, a często także niedwuznacznie wyrażonego tragizmu, stosunek, będący względem końcowych następstw zdarzeń i poczynań wojennych zasadniczo wyraźnie pozytywny. Jedynie taki stosunek uzasadnia i umożliwia wysławianie czynów wojennych i bohaterów, odkrywanie piękna i etyczności, otaczających okoliczności wojenne, a zwłaszcza heroizację wodzów, naczelników, władców, oraz pozostałych uczestników, chociażby nawet wszystko to łączyło się z uczuciem dzieł sztuki tego rodzaju. Jej dalsze i końcowe następstwa mogą wprawdzie nie raz doprowadzić także do wyników dodatnich, a chociaż nie ma ona znaczenia dosłownie twórczego, posiada jednak znaczenie wyjątkowe, wprost fatalne w historii rozwoju ludzkości. Ale właśnie nieobliczalna jej fatalność i straszna, ślepa siła jej niszczenia i pustoszenia życia i wielkich jego dóbr nie są bezpośrednio nie mniej negatywne od chaosu i śmierci. A w absolutnej bezpośredniej negatywności wojny należy według mnie przede wszystkim szukać podstaw ciemnej strony owego nastawienia psychicznego, o którym przez cały czas wspominałem, widząc w nim najgłębsze refleksy rzeczywistości wojennej w sztuce.

A. Jak mam to rozumieć?

H. Strach przed zniszczeniem wojennym i beznadziejną pustotą, jaką ono wywołuje, istniał zawsze i nie jest charakterystyczny tylko dla człowieka nowoczesnego. A jednak jest w sztuce tak mało śladów, odzwierciedlających go bezpośred-

nio i otwarcie, nawet w czasach, kiedy współczesne, np. greckie i rzymskie, źródła poetyckie i literackie wcale się z nim nie kryją. Dużo jest przyczyn tego zjawiska, ale dwie z pośród nich wydają mi się szczególnie jasne, a obie posiadają charakter socjologiczny. Już to, że większość wszystkiego, odnoszącego się do czynów i zdarzeń wojennych, przesiąknięte jest w tak dużej mierze interpretacją mityczną i dążnością do heroizacji,która wznosi je w sfery idealne, otaczając je nimbem mocy i wielkości, budzi samo przez się głębokie echo w atmosferze społecznej, a jego przedstawianie w kształtach sztuki staje się przywilejem reprezentantów siły wojennej i wpływu, a więc w pierwszym rzędzie władców i wodzów. To, co było być może początkowo tylko widomym wyrazem tajemniczych związków między mocnym, zwycięskim człowiekiem, a siłami świata nadnaturalnego, stało się wnet okazywaniem, a poniekąd wprost dowodem nadnaturalnego pochodzenia mocy i władzy, równocześnie zaś jej przedstawiciela samego, który też świadomie posługiwał się owym środkiem celem manifestowania swojego wyjątkowego stanowiska. Mówiąc innymi słowami: sztuka, zwłaszcza sztuka głosząca blask i potęgę, w tym oczywiście także sztuką heroicznych reminiscencyj wojennych, stała się środkiem wielbiącym i wysławiającym moc kierowniczych warstw wojennych, władcy. Że w takim zapatrywaniu na społeczne funkcje sztuki, podzielanym oczywiście przez całe społeczeństwo, nie było ani miejsca ani możliwości, by w dziełach sztuki dochodziły do wyrazu poglądy, wykazujące absolutną bezpośrednią negatywność wojny, jest łatwo zrozumiałe. Także przedstawienie śmierci, ostatecznej negacji życia, jest przecie w sztuce plastycznej możliwe jedynie w pewnych warunkach i tylko w atmosferze, w której panują poglądy o losie człowieka po tamtej stronie grobu, przezwyciężające ową negację, zmieniające ją w życie, mające trwać bez końca, albo conajmniej poglądy, które negację ową osłabiają. Tylko w ten sposób było np. możliwe, że swoiste wyobrażenia starych Egipcjan o śmierci stały się punktem wyjścia dla wielkiej części egipskiej monumentalnej architektury, rzeźby i malarstwa, — że całkiem odmienne ujmowanie śmierci natchnęło greckie pomniki grobowe podstawową nutą elegijną, — że zupełne przewartościowanie stosunków względem zagadnień życia i śmierci, wprowadzone i rozwinięte w ciągu wieków przez chrześcijaństwo, zrodziło w sztuce nieskończony szereg realizacyj plastycznych, się-

gających od starochrześcijańskiej rzeźby sarkofagów i malowideł katakumb po przez alegorie średniowieczne, „Triumfy śmierci" i „Tańce śmierci" aż do barokowych scen z umierającymi świętymi, nad którymi rozkwita w chmurach gloria niebiańska. Ale śmierć, jaką przynosi ze sobą wojna, jest czymś innym; wyobrażenia o niej przesiąknięte są tyloma momentami pozareligijnymi, a zwłaszcza pozaosobistymi i tak bardzo są podporządkowane instynktownemu uczuciu nieuniknionego losu wojennego i zarazem konieczności społecznej, idealizacji i heroizacji ofiary, jaką oznacza taka śmierć, że odmienny względem niej stosunek może dojść do wyrazu i ugruntować się tylko w całkiem specjalnych warunkach. Negować w zasadzie heroizm i wielkość śmierci w boju, a tym samym również samej śmierci, znaczy zająć stnowisko sprzeczne z poglądem, uważanym za regułę i wprost jakby powszechne prawo, krytykować pogląd ten, przede wszystkim zaś burzyć, co tysiąclecia zbudowały, oraz lekceważyć coś, co jest wzniosłe w oczach grup uważających wojnę za sprawę świętą. Stąd zrozumiałe jest, że dla realizacji takiego stanowiska względem wojny nie było miejsca w sztuce monumentalnej. Mógł się on ugruntować tylko w prądach i dążnościach, dla których podstawową zasadą dzieła sztuki nie była wszechstronna harmonia, lecz dążących do tego, by zbliżyć się jak najbardziej do rzeczywistości, oglądanej własnymi oczyma bez idealizowania i bez koncepcyj apriorystycznych. Stanowisko krytyczne względem wojny, negowanie znaczenia i wartości bohaterstwa, zrywanie masek z twarzy i koturnów z nóg heroizmu, odsłanianie nędzy i biedy wojennej w całej niemiłosiernej nagości, jest oczywiście czymś, co może być wyrażone znacznie łatwiej i prędzej w sztuce słownej jak plastycznej. Sztuka słowna nie rozporządza tylko nutami tragicznymi i odmianami współczucia, oraz skutecznością zimnego, naturalistycznego opisywania nagiej rzeczywistości, lecz także wszelkimi środkami i pomocami ironii, satyry i śmiechu, wśród których jest być może jeszcze najskuteczniejszy śmiech, zwłaszcza tam, gdzie występuje jako przeciwwaga patetycznej interpretacji życia. Tylko przypomnij sobie, jak odsłania odwrotną stronę wielkości wojennej *miles gloriosus* Plauta, ile gryzącego wyśmiewania wojennej sławy i czynów zawierają Gargantua i Pantagruel Rabelais'a. Jakie zrozumienie beznadziejnej, próżnej codzienności wśród wielkich zdarzeń wojennych, oraz jej nagiej nędzy ludzkiej,

pomieszane z czystą poezją, przemawia z „Troilusa i Kresydy" Szekspira, oraz jakie przeciwieństwo zachodzi między patetycznymi bohaterami w jego „Henryku IV" a wojennymi czynami i poglądami Falstaffa i jego towarzyszy. A przy tym wszystko to jest tak naturalne i bez dalszego zrozumiałe, że jasne jest iż jest wynikiem równie żywiołowego ambientu społecznego i potrzeby wyrażania, jak konieczność heroicznego idealizowania wojny, jakkolwiek stanowi jego biegunowe przeciwieństwo. Świat sztuki plastycznej jest oczywiście inny, a malarstwo i rzeźba nie mogą i nie chcą nawet wypowiadać, co jest jedynie w granicach możliwości poezji. A jednak rozporządza sztuka plastyczna choć do pewnego stopnia środkami, z których pomocą może czasem osiągnąć jeszcze większą, a w każdym razie trwalszą moc wyrazu od utworów poetyckich. Skuteczniej od czystego śmiechu, którego granice są w sztuce plastycznej bardzo ciasne i nie jest w stanie rozszerzyć ich nawet najdrogocenniejsza cecha sztuki — wdzięk, działają naturalizm, sięgający do ostatnich w ogóle możliwych krańcowości, a zmieniający gołą rzeczywistość nie raz w fantastyczne przywidzenie, oraz śmiech, który za pomocą przesady i swoistych interpretacyj przetwarza rzeczywistość w karykaturę i groteskę. Rzeźba i malarstwo posługują się takimi możliwościami często tylko jako środkami pomocniczymi, by jeszcze silniej podkreślić podstawowe tendencje idealizowania i wysławiania kiedy umieszczają ją wśród kontrastów z brutalną realnością a czasem nawet z karykaturą. Nie raz zaś jest ich jedynym celem ukształtowanie gorzkiej rzeczywistości bez upiększania Naturalnie jest to możliwe tylko tam, gdzie normy zakorzenionych tradycyj sztuki „wielkiej" bywają mniej srogie, oraz w otoczeniach i wyrobach, gdzie normy „wyższe" są bez sił i bez właściwego znaczenia, tak jak np. dla komedii są również bez znaczenia wytyczne i punkty widzenia tragedii.

A. Wybacz, mój drogi, że ci przerywam. Czy nie przytaczasz być może jednak trochę za dużo porównań z zakresu literackiego?

H. Sądzę, że nie. Tak, jak w komedii ateńskiej dawała sobie upust v o x p o p u l i, nie mająca żadnego prawdziwego szacunku dla wielkości mitu i tradycji. i ośmieszyła niejedną nietykalną świętość, tak samo wyżywały się także w sztuce greckiej tendencje naturalistyczne i humor przede wszystkim w prądach i wyrobach kierunków ludowych, — czyż nie tak? A czy nie było podobnie także w sztuce średniowiecznej, zwła-

szcza w naturalizmie gotyckim? Przypomnij sobie niezliczone sceny śmierci męczeńskiej różnych popularnych świętych, w których przedstawiane są z lubością i z drobiazgową dokładnością wszelkie szczegóły ludzkiego okrucieństwa i zdziczenia, jakie przechowywała w swej pamięci i lubowała się w nich wyobraźnia legend ludowych. Przypomnij sobie np. żołdaków rzymskich i katów Chrystusa w reliefach krakowskiego ołtarza Mariackiego Wita Stwosza, — jak wspaniała kolekcja życiowo wiernych, brutalnych reprezentantów rzemiosła wojennego, po mistrzowsku obserwowanych typów soldateski ze wszystkimi możliwymi cechami fizycznych, miejscami wprost patologicznych rysów brzydoty i psychicznych obrzydliwości, — naturalizm stopniowany do krańcowości i tym skuteczniejszy, że zużytkowany jest jako zewnętrzne obramienie idealnej osoby Chrystusa. Przykłady tego rodzaju są już same przez się wystarczająco charakterystyczne dla ustosunkowania się powszechnej opinii ludowej do form atmosfery żołdactwa i naturalnie także wojny. Ale czasem wyrażenie opinii tej staje się celem ostatecznym. Wypadek ten jest częsty zwłaszcza we wczesnej grafice, gdzie dążności szerszych mas ludowych łatwiej mogły dochodzić do głosu, aniżeli w sztuce monumentalnej. Wczesne druki, wśród nich ilustracje książkowe, szczególnie literatury ludowej, dostarczają pod tym względem nieskończoną ilość przykładów; wśród nich jest dużo takich, których autorzy nie mają żadnego „zrozumienia" dla wielkości wojny, a tematyka wojenna dostarcza im nie mało materiału dla satyry i karykatury. W takiej atmosferze łatwiej mogły się ugruntować niezależne poglądy na problemy wojny i nieszczęść, jakie ona sprowadza; główną, jeśli nie wyłączną normą były dla nich cierpka świadomość własnej nędzy i ubóstwa, oraz tzw. zdrowy chłopski rozum. W takim to otoczeniu należy zapewne szukać źródeł, z których czerpała, rozwijając ją potem dalej, niejedną podnietę grafika artystyczna, przeznaczona dla niewymuszonego, intymnego oglądania i używania. Gdy się rozważy, że produkcja graficzna tego gatunku zaczęła wzrastać szczególnie w okresie wczesnego baroku, kiedy także sztuka wyższa skłaniała się z jednej strony do naturalizmu, podkreślając go akcentami mocnego patosu, a z drugiej strony coraz bardziej uniezależniało się wyrażanie przeżyć subiektywnych, wtedy jest zrozumiałe, skąd czerpała swoją wielką siłę sztuka J. Callota. Ten pierwszy wielki nowoczesny odtwórca malowniczej codzienności, scen z życia komediantów, włóczęgów, cyga-

nów, chłopów i żołnierzy, autor rozległych panoram obleganych twierdz, był w swej grafice także pierwszym nowoczesnym poetą malowniczości wojny i jej okropności. „Les grandes misères de la guerre" są nieprześcignioną spowiedzią człowieka, którego oczarowała bogata bujność zjawisk życia wojennego ze wszystkimi swoimi niespodziankami; coraz na nowo odkrywa je wśród dalekich przestrzeni ogromnej przyrody, z którą w porównaniu człowiek jest tak strasznie mały, nędzny, bez pomocy i bez ochrony, kiedy burza wojenna szaleje przez miasta i wsi. Ciekawe jest przy tym, że J. Callot jest w początkach stulecia francuskiego klasycyzmu reprezentantem zupełnie odmiennie od klasycyzmu skierowanych tendencji artystycznych. Ale to, co u niego jest ostatecznie tylko dokumentem wszechstronnie żywo zainteresowanego ducha, badającego i wiernie notującego wszystko, co daje mu życie, staje się w sztuce generacji późniejszych, którym coraz mniej przeszkadzają odziedziczone tradycje i przesądy, a coraz bardziej wzmacnia się swoboda ich odczucia i wyrażania, coraz wierniejszym odbiciem subiektywnego ustosunkowania się względem problemu wojny i zagadek, jakie ona zadaje. Niechaj wymienię tylko Goyę. Dla niejednej kwestii, którą poruszyliśmy dzisiaj z tobą, zostawiając ją nierozwiązaną, zwłaszcza dla kwestii roli tematyki w sztuce, jest Goya wprost klasycznym przykładem, oraz dowodem na to, że w sztuce nie ma żadnych norm niezmiennych i że ostatecznie wszystko zależy od jednorazowej indywidualności artysty, stwarzającej sobie swój własny świat i zarazem jego prawa. Ten mistrz kolorów „tęczowo bogatej palety", „impresjonista" przed impresjonizmem, jak go nazwano, malarz, skrzętnie obserwujący i przekształcający rzeczywistość, gdziekolwiek i w jakichkolwiek zjawiskach ją napotyka, ten artysta jest równocześnie głosicielem i kształcicielem żywiołowych sił pierwotnych, ukrytych w naturze ludzkiej. A przedstawił on także całą grozę dzikich instynktów, uwalnianych przez wojnę, z taką nieokiełzaną mocą, jak nikt przed nim, nawet nie Rubens. Jego dwa obrazy „Bitwa przy Puerta del Sol dn. 2 maja 1808" i „Egzekucja w nocy 3 maja" nie są i nie mogą być zrozumiane jedynie jako kompozycje figuralne, kolorystyczne, świetlne itp. Oba są genialnym uplastycznieniem niemiłosiernej dzikości walki i grozy wojennej. Jeszcze wyrazistsza jest mowa jego akwafort serii „Los desastres de la guerra", gdzie rzeczywistość sama staje się w swej potworności fanta-

stycznie nierzeczywistą, przesiąkniętą całą goryczą poznania ostatecznego i krzykiem protestu w imieniu ludzkości. Ty prawdopodobnie odpowiesz na to, że wszystko to było tylko naturalnym wyrazem realizmu, którego wielkim poprzednikiem był Goya jeszcze przed okresem romantyzmu, i że należy szukać w dążeniach realistycznych i naturalistycznych wyjaśnienia większości zjawisk ustosunkowania się krytycznego częstokroć wprost negatywnego do wojny, jej problemów, a także do tradycyjnych poglądów na jej wartości, zjawisk, którym daje wyraz nie tylko sztuka pisana i drukowana, ale sztuka plastyczna w ciągu wieku XIX i XX. Czyż nie odgadłem?

A. Nie zupełnie. Jak wszystko, co stwarza sztuka, pochodzi także to z najróżniejszych źródeł i podniet i tak samo nie może być określone prostymi etykietami, jak nie można tego uczynić względem Goyi i jego sztuki. Rola, jaką odegrały przy tym naturalizm i realizm, była napewno znaczna; wojna bez kwestii dostarczała wśród bogactw swoich zjawisk tak wiele wszechstronnych możliwości i niespodzianek, że nawet jej brutalność musiała zapraszać i pociągać artystów, dla których było głównym nakazem twórczości studium i kształtowanie żywej prawdy. Gdzie czasem zdarzało się, że artysta, jak np. Wiereszczagin, całkowicie poświęcił się przedstawianiu tragedyj wojennych i gróz, mógł on wprawdzie stać się głosicielem pięknych haseł humanitarnych; stając w służbie ich propagowania, podporządkował swoją sztukę tendencjom ideowym, równocześnie zaś przekroczył jej granice. Wypadki tego rodzaju, do których nie należy zaliczyć produktów celowo kierowanej propagandy, należą zresztą do stosunkowo rzadkich wyjątków. Tam, gdzie przemawia i decyduje sztuka sama, tam są wojna i jej świat także w okresie nowoczesnym tylko przypadkowym materiałem tematowym, traktowanym przez artystów w różnych celach i z różnych powodów. Przy tym wcale nie jest miarodajny jedynie naturalizm, albo realizm. Atmosfera i motywy wojenne nie były obce również dla romantyzmu, przeciwnie, zapatrzony w przeszłość szukał on m. i. także w przedstawianiu bitew i zdarzeń wojennych „kolorytu miejscowego", niezbędnego dla osiągnięcia wyrazu przekonywującego. A jednak byłoby niesłusznie dopatrywać się np. w obrazach wojennych Delacroix tylko poprzedników późniejszych malowideł historycznych, w których idzie w pierwszym rzędzie o przedstawienie przeszłości jako takiej; Delacroix jest przecie przede wszystkim mistrzem wielkich dramatycznych kompozycji i ko-

lorystycznych improwizacji. Że pociągał t. zw. orientalistów wśród romantyków w motywach wojennych w pierwszym rzędzie egzotyczny koloryt miejscowy, jest jasne. Gdzie indziej było zainteresowanie dla scen batalistycznych podyktowane czystym historyzmem, a jeszcze gdzie indziej patriotyzmem, często w interpretacji, z której mieliby współcześni czerpać nowe siły i moc, a nie raz dyktowało je także gorzkie uczucie tragizmu, będącego w wojnie losem jednostki. Wszystko to i jeszcze dużo innych wypadków jest możliwych, a więc nie tylko atmosfera duchowa, z której oceniał wojnę Goya, gdy nadawał swoim wizjom kształty malarskie; co do tego zgadzasz się ze mną na pewno bez zastrzeżeń. Dziwi mnie natomiast twoja ocena owego krytycznego, właściwie negatywnego ustosunkowania się do wojny, jakie słusznie widzisz w wielkiej części sztuki nowszej, a tak bardzo różniącego się od tradycyj wyższej sztuki epok minionych. Tradycje znały w sztuce tylko wojnę idealizowaną, a w niej człowieka heroicznego; prądy zaś i przykłady, jakie przytoczyłeś, przedstawiają odwrotną stronę wojny: jej potworność i nieszczęścia, jakie powoduje, rozpacz jednostki, ciemny los — a więc rysy sprzeczne z heroiczną idealizacją. Twoje wnioskowanie nie wydaje mi się słuszne. Według mnie ów zmieniony punkt widzenia i kształtowanie materiału wojennego nie może być wyrazem nihilizmu życiowego, lecz tylko zmianą w ujmowaniu tragizmu wojennego i jego wielkości; jest on jedynie przewartościowaniem wartości dawniejszych. Wojna powoduje coraz nowe ofiary, które nigdy nie są bez tragizmu i wielkości. Nowością w poglądach późnośredniowiecznego i nowoczesnego kształtowania artystycznego jest tylko to, że nie widzą one owej wielkości w idealizowanych bohaterach mitycznych, lecz że szukają ich wśród normalnego życia, a przedstawiają ich nieubłagany los wśród żywiołowej, brutalnej rzeczywistości grozy wojennej. Ale ów sposób patrzenia i kształtowania nie jest przez to nic mniej wstrząsający, wielki i patetyczny. Czyż możesz sobie wyobrazić coś bardziej patetycznego od obu wymienionych obrazów Goyi i scen jego akwafort? Czyż może być coś bardziej wstrząsające od losu niezliczonych mas ludzkich, pożeranych przez burze wojenne? I czy nie przemawia najgłębszy patos i zrozumienie tych więcej jak mitycznych, gdyż ogólnoludzkich wartości już z samej idei grobu Nieznanego żołnierza, w której stworzył nowy czas adekwatną koncepcję swojego ustosunkowania się do wojny?

H. Niewątpliwie. Ale czy nie sądzisz, że wszystko to jest po prostu nasz nowy własny, uwspółcześniony mit? A co do grobu Nieznanego żołnierza, czy wiesz, co jest dla jego koncepcji niezwykle znamienne, chociaż jest prawdopodobnie dziełem gołego przypadku? Grób ten wydaje mi się niejako wewnętrznie spokrewnionym z bezimiennymi grobami epoki prehistorycznej, z których zachował się po większej części tylko jeszcze ich zewnętrzny znak, menhir, albo kurgan, znamię wzburzonych czasów wojennych, nieznanych i zapomnianych katastrof i tragedyj. Człowiek prehistoryczny i nowoczesny spotykają się tutaj pod znakiem patosu i śmierci.

A. A mnie wydaje się jeszcze bardziej charakterystycznym, że człowiek pomimo ciągłych rozczarowań i wszelkich nieszczęść, jakie są jego udziałem w całej historii, począwszy od najdawniejszych początków, aż do dnia dzisiejszego, a wśród których jest wojna być może największym złem, nie przestaje tworzyć i że otacza nawet wojnę i jej przeżywanie aureolą sztuki.

H. Przez cały czas rozmawiamy o wojnie, a sami nie spostrzegliśmy się, kiedy zaczęliśmy ją właściwie utożsamiać z wyobrażeniem o śmierci. Co do tego zaszliśmy niewątpliwie trochę za daleko, wojna bywa przecie także zwycięska, a ze zwycięstwa rodzą się nowe rozmachy życiowe. Z drugiej strony należy jednak wojna do mocy żywiołowych, gorszych i zgubniejszych od śmierci indywidualnej, ponieważ unicestwia całe narody i kultury. W tym sensie rozrasta się wyobrażenie o wojnie w nieskończoność, wiążąc się nierozłącznie z ideą ostatecznej śmierci i zguby ludzkości i świata, czyhającej na końcu ostatniego rozdziału tragicznej historii rodu ludzkiego. A właśnie to wyobrażenie które otrzymało konkretny wyraz w apokaliptycznych proroctwach i przeczuciach chrześcijaństwa, oraz religijno-ideowych ruchów wieków średnich i okresów późniejszych, odbija się ostro także w sztuce plastycznej i zjawia się coraz na nowo w czasach wielkich katastrof historycznych i przewrotów. Już z niego samego przemawia strach jakby metafizyczny przed ostatnim obrachunkiem życiowym i absolutnym śmiertelnym unicestwieniem; tak samo wieje jednak także z wizyj, którymi natchnęło ono malarstwo i rzeźbę, wzniosła, pojęciowo nieosiągalna wielkość nadziemskich, niezmiennych, wiecznych, boskich zasad i nicość ludzkości. Siła twórcza sztuki plastycznej być może nigdzie indziej nie wzniosła się na takie szczyty i nie ukształtowała wyrazu tak mocne-

go, by nim określić przepaść między nieskończonością, a nędzą życia ludzkiego. W epoce starochrześcijańskiej i wczesnobizantyńskiej zbudowała zwłaszcza w monumentalnych mozaikach z form, przejętych z późnej starożytności, potężne wizje świata nadziemskiego,w którym wszystko jest tylko jeszcze transcendentną abstrakcją i nie ma już żadnej akcji, a wszystko zlało się w boskim trwaniu i sławie bez granic. Wśród zamieszek i ciągłej niepewności dnia jutrzejszego, oraz w związku z wyczekiwaniem końca świata około r. 1000, rozkwitła w średniowieczu szczególnie bujnie myśl o owym końcu, wywołując także w sztuce plastycznej koncepcję Sądu ostatecznego, która zajęła jedno z głównych miejsc w ozdobie kościołów i głęboko podziałała na wyobraźnię ludzką. Duch, z którego koncepcja ta wyrosła, odbija się nie tylko w wielkich bizantyńskich i zachodnio-europejskich kompozycjach malarskich, składających się z hieratyczno-schematycznych i symetrycznych fryzów, uszeregowanych w poziomych pasmach, sięgających w bezprzestrzennym wyobrażeniu od wyżyn Boga i nieba do dna piekła. Nie jest on obecny tylko w wizjonerski rzeźbionych ozdobach portali katedr gotyckich, lecz wszędzie, nawet w plastycznej koncepcji Chrystusa jako strasznego Pantokratora i Madonny Pomocnicy, stojącej w nieskończonej Bezprzestrzeniowości absyd bizantyńskich jako jedyna droga, prowadząca z otchłani nędzy ludzkiej do wyżyn nieśmiertelności. A zresztą sam dobrze wiesz, jak pokolenie za pokoleniem wciąż na nowo głowiło się nad przedstawieniem Sądu ostatecznego i jak idea ta otrzymała najpotężniejszy wyraz w fresku Michała Anioła, powstałym z przeżyć i najgłębszych poznań w latach, w których zaczął podupadać stary świat i zbierały się nad nim groźne chmury. A czyż nie było całkiem podobne ciemne przeczucie zbliżającej się katastrofy, które podyktowało Dürerowi jego Apokalipsę? Że we wszyskim, co przytoczyłem, dużo jest podniet ideowych, a między nimi także wprost literackich, któżby o tym wątpił? Ale powiedz mi otwarcie, czy możesz sobie np. w ogóle wyobrazić Michała Anioła jako człowieka i artystę bez związków, które go łączą z całokształtem życia duchowego jego epoki? Czyż nie jest Dürer właśnie przez swoją twórczość wiecznie żywym dokumentem wielkiego przewrotu reformacji religijnej? Wyobrażenie końca i strach przed absolutną śmiercią uczynił w wizjach apokaliptycznych, zrealizowanych w dziełach sztuki, niemożliwe możliwym, zbudował mosty nad przepaściami między tym co codzienne, a tym co niewy-

słowione, oraz ułożył z poznań najniższych dołów ludzkiej niedoli, majestatu śmierci i niepojętej nieosiągalności Tego, który jest także jego władcą, obraz świata nieskończonego, świata sądu i stracenia, a — być może — także jedynego promienia nadziei i zbawienia.

A. Zgadzam się. Ale czy rozmawiamy w ogóle jeszcze o sztuce? Rozpoczęliśmy przecie najpierw od całkiem skromnej kwestii o tym, jakie jest oddziaływanie wojny na twórczość artystyczną, oraz jak odbijają się jej refleksy w dziełach sztuki, poczym zacząłeś ty rozwijać swój „komentarz historyka" a przykłady z różnych epok historycznych dawały ci sposobność, z której skrzętnie skorzystałeś: w związku z dziełami sztuki zacząłeś rozprawiać o koncepcjach ideowych tyczących się wojny w różnych okresach. W końcu zostawiliśmy nawet i wojnę na boku i przeszliśmy do rozpatrywania metafizycznego problemu absolutnej śmierci i końca świata . . . Czy nie posunęliśmy się trochę za daleko? Cóż ma sztuka z tym wszystkim wspólnego? Tylko spójrzmy krótko wstecz. Menhir prehistoryczny, o którym wspomniałeś, nie jest dla mnie jako dzieło artystyczne wyrazem głębszych dążeń ideowych, które — jeśli w ogóle istniały, — były w każdym razie podświadome, lecz jest przede wszystkim elementarną próbą stworzenia monumentalnego znaku-pomnika, a kurhan i piramida stanowią dwa monumentalne ukształtowane typy domu zmarłych. Dzieła rzeźbiarskie i malarskie starego Wschodu, które przytoczyłeś, są w moich oczach w pierwszym rzędzie realizacjami rzeźbiarskich i malarskich koncepcyj o charakterzę reprezentacyjnie sakralnym i memoriälnym, portretowym i epicko-opowiadającym, zbudowanymi z form, wyrobionych przez tysiącletnie tradycje. Jeśli zużytkowywały je takie lub inne władze dla celów własnych, t. j. ażeby z ich pomocą podkreślić swoją moc i otoczyć się koniecznym blaskiem, nie ma to dla ich prawdziwych wartości właściwie żadnego znaczenia; jeśli zaś mimo to zawarte są w nich jakieś pierwiastki „władcze", są one łatwo zrozumiałe, ponieważ dzieła owe powstawały w atmosferze kultur orientalnych o despotycznej strukturze społecznej. Dlatego też wszystko, co w sztuce tej odnosi się do wojny, nie może być inne, gdyż jest odblaskiem rzeczywistości, nad czym jednak na pewno żaden artysta nie zastanawiał się bliżej. Co się tyczy sztuki antycznej, to jej podstawy kulturalne naturalnie są odmienne, a bezsporny jest zwłaszcza element etyczny, który przewiewa utwory kultury greckiej. Ale czy nie wydaje

ci się, że artystyczne problemy twórcze (a jedynie o to idzie ostatecznie w sztuce), jakie mieli artyści greccy do rozwiązywania, gdy przedstawiali refleksy wojny, były te same jak wszędzie indziej? Rzeźbiarz grecki widział całą różnicę między zadaniami ukształtowania spokojnie leżącej figury żeńskiej a rannego bohatera mitycznego na pewno tylko w różnicy drobiazgowego traktowania ustawienia i wyrazu między pierwszym a drugim ciałem. W równej mierze dotyczy to samo także późniejszej europejskiej i w ogóle wszelkiej sztuki. Chcę tym powiedzieć, że refleksy i reminiscencje wojenne są dla sztuki plastycznej tylko swoistymi podnietami, umożliwiającymi kształtowanie nowych zadań tematowych, które nie sięgają jednak poza pozostałe horyzonty jej twórczości. Rozumiem wprawdzie, że tak mocno zaakcentowałeś bogatą rozmaitość, jaka cechuje pod tym względem sztukę nowoczesną, ale widzę jej przyczynę i zarazem także jej znaczenie w niezmiernym zróżnicowaniu nowoczesnego życia kulturalnego i wrażliwości uczuciowej jako też w coraz bogatszych i coraz bardziej niuansowych możliwościach jej wyrażania. Wśród tego wszystkiego jest wojna jako przeżycie bezpośrednie, albo pośrednie właściwie tylko jednym z niezliczonych materiałów, w których formalnym kształtowaniu wyżywiła się wyobraźnia plastyczna. Dlatego też wydaje mi się niejedno stwierdzenie, przez nas wypowiedziane, jakby zbyteczne; dla używania i oceny dzieł sztuki „o reminiscencjach wojennych" całkiem na pewno nie jest potrzebne.

H. Na pewno nie. Ale też żadne nie było tak pomyślane. A mylisz się, jeżeli sądzisz, że jesteśmy z sobą w wielkiej sprzeczności, — obaj jesteśmy przecie w gruncie rzeczy tego samego zdania. Nigdy nie przypuszczałem, żeby nawet najgłębsze przeżycie wojenne, takie lub inne ustosunkowanie się do wojny jako problemu żywiołowego było w stanie stworzyć dzieło sztuki, albo zadecydować w sensie twórczym o kierunku artystycznej treści jego wyrazu. Także dla mnie jest wojna w sztuce tylko „tematem", z tym jednak, że temat ten jest dla mnie czymś więcej jak dla ciebie: predyspozycją psychiczną, atmosferą duchową, z której dzieło sztuki powstaje, światem duchowym, z którym jest nierozłącznie związane poprzez jego pierwiastki, zawarte bądź co bądź w całokształcie jego struktury. A poprzez pierwiastki te i całą w ogóle strukturę staje się dzieło sztuki odbiciem człowieka i jego życia. Atmosfera wojenna, sama przez się pozaartystyczna, ale w sensie

powyższym dla sztuki o znaczeniu decydującym, sięga korzeniami swoimi do najgłębszych głębi nie tylko tego, czym jest wojna, lecz do samej istoty ludzkiego życia i pytań, dotyczących jego celowoci i sensu. A jeśli przytoczyłem kilka szczególnie charakterystycznych przykładów z historii, próbując objaśnić je z tego punktu widzenia, chciałem tym samym choć trochę odsłonić kraj kurtyny, ukrywającej związki między twórczością artystyczną, a siłami nieznanymi, wiecznymi, tajemniczymi, które możemy tylko przeczuwać i odczuwać; sami przecie jesteśmy również ich utworem i one rządzą nami i naszym losem. I tylko dlatego, że wyobrażenie wojny łączy się tak ściśle z wyobrażeniem śmierci i końca wszystkiego, co żyje, uzasadnione jest również specjalne pytanie o stosunkach zachodzących między wojną a sztuką, która jest przecie wyrazem życia. „Komentarz historyka", jak ty nazywasz moje uwagi, naturalnie nie wiele mógł nam wyjaśnić. Podał nam on jednak choć kilka znamiennych rysów owego nieustannego, ciągle inaczej skierowanego, za każdym razem bogatszego, wiecznego potykania się i wahania między wiarą i nie wiarą, nadzieją i rozpaczą, które bynajmniej nie jest charakterystyczne tylko dla przedstawicieli myśli wyostrzonej o typie Pascala, lecz odbija się z konieczności we wszystkich formach twórczości, naturalnie także w sztuce. Sztuka jest przecie też tylko jedną z form, w których człowiek wypowiada swoje ustosunkowanie się do świata i życia. Że jednak odpowiedź taka czy inna na te pytania nie dotyczy, ani stylu osobistego, ani zbiorowego dzieła sztuki jako takiego, jest całkiem zrozumiałe. Także dla sztuki refleksów wojennych, jak w ogóle dla możliwości artystycznych wszędzie i zawsze, mają znaczenie słowa, które napisał Vincent van Gogh w liście do swojego brata dn. 1 września 1888 r.: „Exprimer l'espérance par quelqu' étoile. L'ardeur d'un être par un rayonnement de soleil couchant. Ce n'est certes pas la du trompe-l'oeil réaliste, mains n'est-ce pas une chose réellement existante?"[1]

A. Rozumiem. Obaj mówiliśmy przez cały czas o tej samej rzeczy, tylko że oglądaliśmy ją z dwóch różnych stron. I jeszcze coś, zdaje mi się, rozumiem teraz lepiej jak dotychczas: jak nie skończona jest potęga sztuki, skoro buduje ona

[1] Lettres de Vincent Van Gogh à son frére Theo ... par Georges Philippart. Paris 1937, str. 230.

mosty nawet nad najgłębszymi przepaściami wojny i śmierci z zórz własnych, coraz nowych światów, prowadzących coraz dalej w przyszłość.

H. Jak ludzka myśl, jak samo życie. —

Lublana, w jesieni 1944 r.

Bogdan Suchodolski

FILOZOFIA MITU

Historia idei mitu[1] odsłoniła nam różnorodne związki, jakie zachodziły XIX i XX wieku między okolicznościami życiowymi i prądami umysłowymi, a budowaniem tej nowej drogi, która pod nazwą drogi mitów wprowadzać miała poza tradycyjną alternatywę prawdy i fałszu. Ale cała ta historia wzrostu roli mitu, ujęła ten proces raczej zewnętrznie. Jeśli się ten wzrost mógł dokonać, to z omówionymi dotychczas czynnikami współdziałać musiały czynniki filozoficzne, formujące i zniekształcające stosunek człowieka do prawdy. Można w pewnej mierze filozofię mitu uważać za wytwór tych procesów wzrostu, ale w większym stopniu była ona jego źródłem.

Teoria podwójnej prawdy.

Problem mitu wyrasta na podstawach teorii o podwójnej prawdzie. Pojmowanie prawdy w dobie nowożytnej przeszło głębokie przemiany. Zainteresowania filozoficzne ogniskowały się wokół pytania: jak i w jakich granicach możliwe jest poznanie i w związku z tym określano coraz surowiej kryteria sądów słusznych. Od Bacona i Kartezjusza poczyna się ów nurt wątpienia i krytycyzmu, podmywający powoli wszystkie dawne fundamenty pewności. Szukają oni obaj, jakkolwiek na różnych drogach, nowych i pewniejszych metod poznania.

W obu tych prądach wyraża się równocześnie pewna rezygnacja poznawcza. Twórcy ich nie wierzą, by człowiek zdolny był poznać tyle i tak pewnie, jak to sądzono w średniowieczu. Nowe kryteria sądzenia, pozwalają może na osiągnięcie większej pewności, wymagają jednak znacznego zacieśnienia obszaru poznania. Ustala się charakterystyczna odwrotnie proporcjonalna współzależność między zasięgiem poznania ludzkiego i jego skutecznością. Zrazu tak bardzo pożądana jest pewność, że rezygnacja z obszaru nie martwi. Przeciwnie, u Bacona i Kartezjusza, oraz u ich następców widoczna jest radość z tego ograniczenia, dzięki któremu możemy wreszcie

[1] Por. artykuł p. t. Idea mitu — Nauka i Sztuka 1946 nr 1.

uzyskać upragnioną pewność. Jeszcze Kant dokonywa w krytyce teoretycznego rozumu tej samej tranzakcji, płacąc ograniczeniem pola badań za pewność ich wyników.

Ale te drogi minimalizmu poznawczego miały swe niebezpieczeństwa. Człowiek pragnie nie tylko przecież nielicznych sądów prawdziwych, ale zależy mu właśnie na prawdzie w jej całym, wielkim zasięgu. Nie jest on zdolny do długotrwałego wytrzymania w tych ciasnych, ostrożnych granicach. Przeto równocześnie ze wrostem prądów racjonalistyczno-empirycznych poczyna się budzić przeciwko nim reakcja wyrażająca potrzebę szukania prawdy na innych, szerszych drogach.

Przybierała ona różnorodne postacie: postać odradzającej się mistyki, postać racjonalizmu metafizycznego, jak u Leibniza, postać irracjonalizmu jak u Shaftesbury'ego i Rousseau'a. Ale szczególnie płodnym w następstwa okazało się w tym sporze między intelektualizmem i prądami, które mu przeciwstawiały inne zasady, stanowisko J. Vico i Kanta. Vico, jak wiadomo, nie mógł się pogodzić z kartezjanizmem, chociaż nie mógł go również całkowicie odrzucić. Odczuwał jego ciasnotę a równocześnie jego intelektualną konieczność. Dlatego „Nowa Nauka"posiada wyraźnie dualistyczny charakter, przekonywując, iż obok prawd rozumu istnieją prawdy woli.

Zasadniczo podobne było stanowisko Kanta. I ono rodziło się z chęci pogodzenia surowych wymagań metody intelektualnej, ograniczającej zasięg możliwego poznania z głębokimi potrzebami duchowymi człowieka. Wynikiem tej chęci był dualizm rozumu praktycznego. Jakkolwiek Kant stosuje różnorodną terminologię, nie da się zaprzeczyć, iż stanowisko jego upoważniało do przyjmowania podwójnej prawdy. On sam zresztą starał się, znacznie dokładniej i bardziej świadomie niż Vico, przeprowadzić wyraźną linię demarkacyjną między obu tymi władzami w człowieku, oraz wykazać niebezpieczeństwa powstające wskutek ich przekroczenia. Nie przeciwstawiać, ale dopełniać się miały obie te drogi szukania prawdy.

Vico i Kant inicjowali tedy reakcję przeciw minimalizmowi poznawczemu, która w późniejszych czasach okazać się miała bardzo płodna. Wprawdzie Vico nie był znanym pisarzem i nie mógł oddziaływać bezpośrednio na potomnych, ale jednak jego punkt widzenia, pozwalający dzięki historii na wyjście poza racjonalizm, podzielały liczne prądy XIX wieku. Kant natomiast miał potężny wpływ bezpośredni na przeciwników

racjonalizmu, którzy właśnie z jego filozofii czerpali zachętę i upoważnienie do szukania prawdy na jakichś innych pozarozumowych drogach.

W romantyzmie zespoliły się oba te nowoczesne nurty antiintelektualizmu, historyczny i intuicjonistyczny. Rozum — sądzono — odsłania tylko „prawdy martwe". Trzeba mieć serce i patrzeć w serce, aby poznać „prawdy żywe". Dlatego bliższy im jest człowiek prosty niż człowiek wykształcony, bliższy — lud żyjący uczuciem i wiarą, zachowujący zdolność widzenia cudu, zajmujący postawę czci wobec tajemnic. W historii narodów; zwłaszcza we wczesnych epokach ich rozwoju, ujawniają się prawdy, które częstokroć później ulegają zagubieniu pod wpływem zarozumiałości rozumu, jakkolwiek wszelkie jego wysiłki poznawcze nie mogą, ani w części zastąpić tych prawd ważnych, a zlekceważonych. Trzeba tedy szukać ich znowu, zstępując w nabożnym skupieniu ducha w przeszłość, sięgając ze czcią do skarbów istniejącej jeszcze tradycji żywej.

W romantyzmie polskim ze szczególną siłą ujawniły się te postawy. Mickiewicz, Mochnacki, Libelt i inni, podejmując krytykę zarozumiałych uroszczeń rozumu, analizują ducha ludzkiego, odkrywają w nim ważne pozarozumowe władze — intuicję, uczucie — wskazują na tradycję i lud, jako źródła objawień prawdy. Podobnie zresztą romantyzm niemiecki i francuski żyją przeświadczeniem, iż człowiek zdolny jest — chociaż ostatnio zaniedbał pogłębiania i ćwiczenia tych zdolności — do poznania jeszcze innych prawd, niż te drobne i skromne, duchowo obojętne prawdy, które odkrywa nauka Sztuka zyskiwała w tym zakresie szczególne znaczenie. W ten sposób w epoce romantyzmu gruntowało się przekonanie, iż istnieją dwie drogi do prawdy, i dwa rodzaje prawdy. Dawna średniowieczna teoria podwójnej prawdy i dawny dualizm wiary i wiedzy, teologii i filozofii odżywał w postaci konfliktów między rozumem i uczuciem, między nauką i sztuką. Przekonanie to romantyzm ugruntował tak mocno, iż weszło ono trwale w świadomość nowożytnego człowieka, buntującego się wielokrotnie w XIX i XX wieku przeciw różnym próbom likwidowania tej drugiej drogi do prawdy. Wybuchający raz po raz antiintelektualizm przybierał coraz to nowe postacie, świadcząc w ten sposób o swej niewyczerpalnej żywotności.

Wyznawcy tych antiintelektualistycznych stanowisk obiecywali rozprawić się od podstaw z intelektualistycznym rela-

tywizmem. Głównym rzecznikiem tego nowoczesnego irracjonalizmu stał się Nietzsche. On to właśnie ugruntował pojmowanie rozumu jako narzędzia praktycznego i odsłonił potrzeby szukania innych dróg do prawdy. Główny błąd filozofii polegał jego zdaniem na tym, że „kategorie rozumu, będące środkami do użytecznego fałszowania świata traktuje ona jako kryteria realności i prawdy i na ich podstwie dyskredytuje świat jako pozorny, konstruując inny świat jako realny" Niema innej realności jak akcja i reakcja jednostek. Żyjemy i działamy — to jedno jest pewne. Wszelkie zaś myślenie ma charakter wtórny i zacieśniający. Jest wytwarzaniem użytecznych fikcyj, które nie powinny być jednak brane za prawdę. Filozoficzne pojęcie, „świata prawdziwego" jest najniebezpieczniejszym „zamachem na życie" i musi być obalone.

Myśl Nietzschego o praktycznym charakterze poznania rozumowego podjął Bergson, w którego filozofii z całą wyrazistością ujawnił się dualizm dróg poznawania, i w nowym blasku wystąpiła dawna teoria dwoistości prawdy. Prawdy odkrywanej przez rozum i prawdy zdobywanej przez intuicję.

Wyznawcy tych antiintelektualistycznych stanowisk obiecywali rozprawić się od podstaw z intelektualistycznym realizmem. Wątpliwości rozumu, czy potrafi on poznawać prawdę — są słuszne — powiadali. Rozum rzeczywiście nie jest do tego zdolny. Natomiast wniosek stąd wyprowadzany, że człowiek nie może w ogóle poznać prawdy, jest zgruntu fałszywy. Człowiek bowiem rozporządza innymi jeszcze — poza rozumem — drogami do prawdy.

Im ciaśniej pojmowały prądy racjonalistyczno-empiryczne możliwości ludzkiego dojścia do prawdy, tym gwałtowniejszy bywał protest obozu przeciwnego. Szczególnie zaś silnym bywał on wówczas, gdy prądy te, zapominając o swych podstawowych nakazach ostrożności i krytycyzmu, usiłowały z prawd ustalonych w tym skromnym zakresie naszych możliwości poznawczych, uczynić prawdy jedyne, wyczerpujące całkowicie treść bytu. Przeciw takiemu dogmatycznemu doktrynerstwu buntowało się poczucie ludzkie, broniąc się orężem filozofii podwójnej prawdy. Na tej drugiej drodze do prawdy można było widzieć i w mitach wartościowe i ważne świadectwa poznania.

Nie byłoby wszakże słusznym utrzymywać, iż ta właśnie filozofia drugiej prawdy stała się bezpośrednio źródłem nowoczesnego kultu mitów. Antyintelektualizm jest to kierunek filozoficzny odwieczny. Nigdy zaś mity nie miały takiego znacze-

nia, jak dziś. Musiały przeto dołączyć się jeszcze jakieś czynniki dodatkowe. Czynniki te pragniemy właśnie wyśledzić. Pokaże się wówczas, że nowoczesny kult mitów jakkolwiek powstaje w atmosferze tej antiintelektualnej filozofii, to jednak rodzi się i wzrasta jako wynaturzenie jej najgłębszych tendencyj, nie zaś jako ich doskonały wyraz. Jak doktrynerstwo traktowane być musi jako niebezpieczna choroba, grożąca racjonalistycznej postawie poznawczej, podobnie kult mitów jest chorobą, grożącą postawie irracjonalistycznej.

Narodziny autonomicznego humanizmu.

Poszukując tego dodatkowego czynnika, który w atmosferę antiintelektualizmu wprowadza elementy mitotwórcze, wrócić musimy jeszcze na chwilę do filozofii Vica i Kanta.

Nie tylko przeciwstawiali się oni empiryczno-racjonalistycznemu minimalizmowi poznawczemu, ale równocześnie wskazywali metody przezwyciężania go. Niewystarczalność rozumu w pracy odkrywającej prawdę pozwalała i upoważniała do szukania jej na jakichś innych drogach. Ponieważ ich zdaniem stare filozoficzne drogi religijne przestały wystarczać nowoczesnemu człowiekowi, przeto należało wyrąbać szlak nowy, na którymby człowiek zbliżał się do ważnych prawd. Ten szlak wyznaczony miał być przez koncepcję autonomicznego humanizmu, który zgłosił, iż człowiek ustanawia w pewien sposób to, co jest dla niego prawdą. Oczywiście Vico i Kant byli jak najdalsi od subiektywizmu. Pierwszy z nich dzięki metodzie historycznej, drugi dzięki metodzie transcendentalnej usiłowali zapewnić walor obiektywny i powszechny odkryciom, względnie ustanowieniom, dokonywanym na tej drodze. Nie jako poszczególna jednostka, ale jako istota ludzka, człowiek stawał się twórcą prawdy. To odgraniczenie się od subiektywizmu, nie zmieniało wszakże w niczym podstawowego przekonania, iż człowiek — jako człowiek, czy też jako gatunek — ma zdolność ustanawiania na pozarozumowych drogach doniosłych prawd.

Kant — jak wiadomo — idzie jeszcze dalej w tym autonomizmie. Nie tylko postulaty rozumu praktycznego są według niego wyrazem głębokich, wewnętrznych tendencyj ludzkiej natury, ale i prawdy rozumu teoretycznego również. Ani jedne, ani drugie nie są słuszne w tym dawnym sensie, a mianowicie w sensie, iżby się zgadzały z obiektywną rzeczywistością. Człowiek — w gruncie rzeczy — formuje chaos, wprowa-

dząjąc ład moralny w świat ludzki, i ład teoretyczny w świat przyrody. Prawda jest wyrazem tego ładu. Nie jest tedy odkrywana przez człowieka, ale wytwarzana. Jeśli tedy dla Vica tylko wola była autonomiczną, intelekt zaś był „siłą bierną, bo podlegał prawdzie", to dla Kanta również i intelekt zyskał charakter władzy twórczej, prawodawczej.

Ten punkt widzenia był czymś nowym w obrębie antiintelektualistycznej filozofii. Jakkolwiek bowiem zawsze przeciwstawiała się oną wyłączności intelektualistycznych dróg do prawdy, to jednak wyznawała oną naogół to samo przekonanie, które głosili racjonaliści i empiryści iż prawdę się odkrywa. Różniąc się w określaniu sposobów najbardziej skutecznych w tym trudzie, nie różniła się do owego czasu w zasadniczym pojmowaniu prawdy. Dopiero w walce XVIII stulecia z minimalizmem poznawczym i z dogmatyzmem empiryków i racjonalistów poczęły się kształtować postawy nowego pojmowania prawdy, które w XIX wieku ujawniły się w swych dalszych konsekwencjach. Na tej bowiem koncepcji autonomicznego i twórczego stosunku człowieka do prawdy oprze się filozofia mitów.

Czymże lepszym bowiem usprawiedliwiać się może gorliwość w tworzeniu i narzucaniu mitów, jeśli nie teorią, według której człowiek wytwarza prawdę, nie odkrywa jej? Jest przeto w tym głęboka konsekwencja, iż pisarz który — jeden z pierwszych — włożył pełny system filozofii mitów, Chamberlain, poświęcił ogromną księgę właśnie Kantowi, i starał się w niej wykazać, iż Kant dopiero uwolnił ludzkość od ciężaru obiektywnego świata. Jest w tym również konsekwencja, iż filozof, który poświęcił najgruntowniejsze, trzytomowe studium „formom symbolicznym", jako zasadniczej kategorii ludzkiego ducha, Ernst Cassirer był właśnie kantystą.

Wskazując wszakże na to, iż filozofia mitu rodzi się z tych prądów antiintelektualistycznych, które znajdują się pod wpływem autonomicznego humanizmu, nie określamy jeszcze jej bezpośredniego źródła. Autonomiczny humanizm powstrzymuje prądy przeciwintelektualistyczne od mistyki i metafizyki religijnej, wzbrania im ujścia w pozaludzki świat tajemnicy i nie pozwala pielęgnować wiary. Skierowuje natomiast je ku rodzajowi ludzkiemu, jako twórcy jedynej godnej człowieka rzeczywistości. Jeśli jednak ten typ antiintelektualizmu doprowadzić ma do kultu mitów, uczyniony być musi w jego granicach jeszcze jeden ważny krok.

Stanowisko Vica i Kanta akceptowało — jak wspomnieliśmy — obiektywizm i powszechność tej drugiej, autonomicznej i pozaintelektualnej drogi do prawdy. Były to u obu tych pisarzy pozostałości uniwersalizmu stoicko-chrześcijańskiego, pielęgnowanego jeszcze w dobie oświecenia w prądach racjonalistycznego naturalizmu. Ten właśnie uniwersalizm musiał być podkopany, jeśli teza człowiek — twórcą prawdy, przekształcić się miała w hasło człowiek — twórcą mitów.

Konieczność walki z relatywizmem.

Dokonało się to w drugiej połowie XIX stulecia i w toku tej samej co poprzednio walki ze sceptycyzmem poznawczym. Tylko, że jego zasadniczy kierunek stawał się już inny. Przeciwstawienie się możliwościom poznania metafizycznego uwieńczone zostało ostatecznie zwycięstwem. Po gwałtownym buncie romantyzmu, filozofia wracała szybko do cnót ostrożności i skromności. Nie chciała się wdzierać w kraj Niepoznawalnego. Dzięki temu minimaliści mogli przesunąć swe wątpliwości poznawcze na inny odcinek. Kontynuując zrodzone już dawniej nurty myślowe poczęli oni coraz silniej podkreślać względność poznania ludzkiego nawet w tych granicach, które miały mu być dostępne. Już nie walka z metafizycznymi uroszczeniami rozumu, ale walka z dogmatyzmem w zakresie badania rzeczywistości empirycznej — poczęła się wydawać najważniejszą. Szkołę relatywizmu poczęto uważać za szkołę kształcącą najbardziej właściwą postwę człowieka wobec prawdy. Nie należy się przecież łudzić, byśmy ją nawet w drobnym zakresie osiągnęli z całą pewnością. Nieprzezwyciężone przeszkody tamują drogę do niej. Jest już wiele, gdy je potrafimy dostrzec.

W tym kierunku szedł właśnie wysiłek myśli XIX wieku. Historyzm, socjologizm, psychologizm wyrażały te różne zastrzeżenia w stosunku do przekonania, iż możemy poznać prawdę, a więc wydawać sądy ważne powszechnie i wiecznie.

Te różnorodne stanowiska relatywistyczne budziły charakterystyczne poczucie niedosytu. Człowiek bowiem w gruncie rzeczy tęskni do prawdy i wierzy, iż zdolny jest do jej poznania. Wątpliwości i zastrzeżenia mogą przez pewien czas pobudzać jego wysiłek badawczy, gdy wszakże swym zasięgiem i uporem przekroczą pewne granice stają się nieznośnym samoudręczeniem. Za wszelką cenę człowiek pragnie się z tych sideł uwolnić. Nie jest wcale nieoczekiwaną, ani szczególnie

nową gotowość przerzucenia się z krańcowego sceptycyzmu w równie krańcowy dogmatyzm.

Dlatego też nowoczesny relatywizm stawał się ważnym czynnikiem rozbudzającym tesknotę do trwałej pewności. Dokonywało się to już w obrębie samego sceptycznego obozu. Charakterystyczną koleją losów, każdy z nurtów relatywizujących prawdę dopływał wreszcie do przystani własnego dogmatyzmu, nie bacząc, iż właściwie wstęp do niej sam sobie na zawsze zamykał.

Wszelkie poznanie jest uwarunkowane historycznie — głosili jedni. Ale prawdziwość tego zdania wydawała się właśnie wolna od uwarunkowania dziejowego, powszechna i wieczna. Wszystkie nasze sądy — powiadali drudzy — to tylko wyraz grupy społecznej, i dlatego nie możemy się łudzić, abyśmy mogli dotrzeć do prawdy. Ten jędnak sąd uchodził za pewny, obiektywny, ponad społeczny. Wszystko, co myślimy wypływa z praw psychiki, jest przeto tylko jej wyrazem — wszystko z wyjątkiem tego właśnie zdania, któremu przyznawano charakter prawdy. Na tych podstawach przecież opierały: historyzm, socjologizm i psychologizm swe uroszczenia do odrzucania wszelkich innych stanowisk, oraz do kwestionowania rzeczy i horyzontów z nich widocznych, opierały swą skłonność do dogmatyzmu.

Prądy antiintelektualistyczne nie mogły się jednak pogodzić, ani z relatywizmem, ani z tymi sposobami przezwyciężania go. Chciałby na swój sposób zaspokoić tęsknotę do prawdy pełnej i pewnej.

Idealizm w drodze ku mitom.

Do walki z relatywizmem stanęły dwa wielkie kierunki umysłowe XIX i XX stulecia: idealizm i pragmatyzm.

Oba te kierunki usiłowały restytuować zachwianą pewność i pełnię prawdy. Idealizm czynił to według nauki Kanta, przekonywując, iż prawda jest wyrazem porządkowania chaosu zjawisk przez konieczne formy naszego umysłu. Nie jest więc ona zgodnością myśli z przedmiotem, jak określano ją zazwyczaj, wydając na łup wszelkich relatywizmów. Jest zgodnością myśli z nią samą. I tylko jeśli się porzuci koncepcję odzwierciadlania rzeczywistości w naszym poznaniu, można mu zapewnić niewzruszoną ważność, jako aktom naszego ducha, dokonywującym się według jego nieodmiennych praw.

Idealizm wszakże równocześnie — a była to także szkoła

kantowska — podejmował walkę z dogmatyzmem. Działo się to na tej samej zasadzie. Dogmatyzm bowiem, aczkolwiek przeciwstawiał się sceptycyzmowi, wiązał się z nim przekonaniem, iż poznanie musi być pojęte jako odzwierciedlenie rzeczywistości. Oba te prądy różniły się tym tylko między sobą, iż pierwszy z nich wierzył, że to odzwierciedlanie się udaje, drugi zaś sądził, że jest w gruncie rzeczy niemożliwe. Koncepcja poznania jako obrazu rzeczywistości była im jednak wspólna. Dlatego tak na sceptycyzm prowadzony przez idealizm na podstawie zmienionej koncepcji poznania, był równocześnie atakiem i na podstawy dogmatyzmu.

Ten właśnie kierunek ataku zjednał idealizmowi szczególne sympatie na schyłku XIX stulecia. Z jego to pomocą rozbijano uroszczenia nauki pozytywistycznej do kierowania życiem. Jeśli bowiem istota nauki nie jest odzwierciedlanie rzeczywistości to nie ma ona prawa wydawania wyroków w jej imieniu. Co więcej, jeśli w ogóle cała rzeczywistość — a to właśnie głosi idealizm — jest tworem ducha, to najwyższą instancją jest on sam, w swoich aktach, nie zaś jego znieruchomiałe wytwory. Nauka wówczas — na równi ze sztuką i religią — staje się jednym z objawów twórczego ducha. Tego rodzaju koncepcja nauki, głoszona przez idealizm niemiecki, odżyła w stanowisku Poincare'go i w fikcjonalizmie Vaihingera. Ten instrumentalny charakter nauki podkreślili z innego stanowiska pragmatyści. Wspólną cechą tych przekonań było właśnie mniemanie, iż nauka nie odzwierciedla rzeczywistości, lecz wytwarza swe własne konstrukcje, płodne teoretycznie, lub praktycznie. Koncepcja taka chronić miała przed wszelkim doktrynerstwem dogmatyzmu naukowego, którego odstraszające przykłady widziano w materializmie.

Ale ta idealistyczna droga między sceptycyzmem i dogmatyzmem wiodła właśnie ku mitom. Wyprowadzona ona była bowiem z zasady iż poznanie jest twórczym aktem ducha, nie zaś odzwierciedlaniem rzeczywistości. Zasada ta dawała możność bardzo różnorakiej interpretacji. Stanowisko Kantowskie w tej sprawie było — jak wspominaliśmy — nacechowane pragnieniem ustalenia w ten nowy sposób ogólnej ważności poznania. Ale nie darmo wiek XIX był wiekiem historyzmu i psychologizmu. Wprawdzie wierni kantyści bronili zawsze odrębności i czystości transcendentalnej metody mistrza, ulegali jednak często narzucającej się sile relatywizmu historycznego i psychologicznego. Wiek XIX może być przeto z wielką

słusznością określany jako wiek r e l a t y w i z o w a n i a i d e a l i z m u.

Filozofia Hegla była pierwszym wielkim krokiem na tej drodze. Usiłowała ona przecież wprowadzić nieodmienne kategorie ducha w nurt historycznego stawania się. I dzięki temu kantowskie ogólnie ważne reguły, trwałe i powszechne postulaty istoty ludzkiej, poczynały zyskiwać piętno historii i stawać się mniej, lub bardziej wyraźnie miarodajnymi tylko dla określonej epoki. Hegel usiłował pogodzić uniwersalizm z indywidualizmem. Nie chciał on tracić z oczu jakiejś prawdy ogólnie ważnej, ale nie chciał też odmawiać poszczególnym epokom prawa do ich własnych prawd. Synteza ta miała się dokonać dzięki panteizmowi — stąd sentyment Hegla dla Spinozy — w którego obrębie metoda dialektyczna zapewniała ruch i zmienność.

We „Wstępie do historii filozofii" stawia sobie Hegel to pytanie czy wielość istniejących w dziejach systemów filozoficznych świadczy o tem, że filozofia jest tylko subiektywnym mniemaniem? I odpowiada przecząco. Dzieje filozofii są dziejami myśli odnajdującej samą siebie, są „ruchem rozmyślającego ducha" — i dlatego rozwój jej jest rozumny, a każdy etap konieczny. „Następstwo systemów filozoficznych w biegu dziejów jest tym samym, co następstwo w logicznym wywodzie pojęciowych wyznaczeń idei". Systemy te wydają się zrazu ostateczne, później okazują się tylko momentami. Historia filozofii, wzięta w całości, jest konsekwentnym, wytkniętym przez konieczność wewnętrzną, postępem: czynnikiem sprawiającym nieustanną ciągłość postępu jest tu wewnętrzna dialektyka upostaciowań idei. Wszystko co jest skończone nie jest prawdziwe ... idea wewnętrzna burzy te skończone upostaciowania. Ale każda filozofia była niezbędną i pozostała taką, żadna z nich nie minęła bezwzględnie, lecz wszystkie one zachowały się jako pozytywne momenty pewnej całości. Jeśli coś w dziejach obalono, to nie zasadę pewnej filozofii, lecz mniemanie przypisujące tej zasadzie znaczenie ostatecznego i bezwzględnego wyznaczenia ... Każda zaś filozofia jest istotnie filozofią swych czasów".

To stanowisko upatrujące prawdę w całości osiągnięć rozwoju dziejowego posługiwało się chętnie zasadą dialektyki, dzięki której przeciwieństwa nie miały się wykluczać, ale mogły współistnieć. Stanowiły one naturę bytu, a więc i naturę prawdy. Szczególnie ważną rzeczą jest zrozumienie—pisze Hegel

w swej logice — że negacja jest równie rzeczywista jak afirmacja. Wszystko jest afirmacją i negacją zarazem. Dlatego fałsz wchodzi jakgdyby w skład pojęcia prawdy. W „Fenomenologii ducha" Hegel zwalcza statyczne pojęcie prawdy. Chodzi o proces narastania prawdy. Fałsz wrasta w prawdę, jako jej część składowa i przestaje być właśnie fałszem.

Tą metodą usiłował Schelling godzić filozofię objawienia z filozofią mitologii. Nie trzeba poszczególnych momentów brać jako prawdy ostatecznej, przekonywał on, trzeba uwzględniać cel całego procesu, i w nim widzieć prawdę. Dlatego filozofia objawienia może się opierać na filozofii mitologii.

Cała ta teoria prawdy, która odmawiała poszczególnym epokom możności sięgnięcia ku niej i degradowała je na poziom „momentów", i która równocześnie upatrywała prawdę w narastaniu sądów i to wszystkich sądów również i fałszywych, była niebezpieczną w skutkach teorią. Stawała się źródłem sceptycznej rezygnacji z poznawania prawdy, a zarazem czynnikiem zarozumiałości, że cokolwiek się głosi, to będzie i tak uczestniczyć w prawdzie. Te „prawdy" cząstkowe będące splotem słuszności i fałszu, możliwej pełni i jednostronności, łatwo było zinterpretować jako mity.

Dalszy rozwój filozofii wskazuje rzeczywiście, że te hegeliańskie podstawy okazały się ziemią urodzajną dla posiewu mitów. Ujawniło się to na drogach dwojakich. W tej syntezie części i całości którą usiłował dać Hegel na podstawach panteistycznych a z pomocą dialektyki, akcentowano wśród uczniów raz ten, raz tamten element silniej. Dlatego też Hegel stał się punktem wyjścia zarówno dla prądów podkreślających prawa całości do bezwzględnej hegemonji nad swymi częściami, jak również i dla prądów broniących autonomii części i ich praw do samodzielności. Pierwszy z tych prądów pojmował całe dzieje jako realizację jakiegoś ostatecznego etapu, który miał być ich naczelnym celem. Poszczególne epoki były w stosunku do niego tylko służebne. Należą tu przede wszystkim pseudofilozoficzne teorie pruskiego państwa, czy jak obecnie Trzeciej Rzeszy, jako ostatecznego celu dziejów. .

Wszystko minione okazuje się wówczas drogą ku spełnieniom teraźniejszym, lub ku osiągnięciom najbliższym i oczekiwanym. Po tej drodze ludzie mieli iść — rzekomo — od wieków w sposób konieczny, lecz nie świadomie. Ufając zaś swemu rozumowi wyobrażali sobie jej cele inaczej niż należało. Dlatego określenie prawdy przez uczonych miało być zawsze

zawodne. Wyrażało ono ułudzenia świadomości które trzeba dekonspirować. Dlatego też — sądzono z tego stanowiska — że sens przeszłości i teraźniejszości sama odsłania głębiej niż prawda mit przyszłości.

Drugi z tych prądów pojmował dzieje jako szereg epok, z których każda jak to określił Hegel — stoi bezpośrednio wobec Boga. Ta koncepcja znalazła szczególnie jaskrawy wyraz w filozofii Spenglera, który uczynił z epok i z kultur całostki zamknięte w sobie, wzajemnie niezależne, nie związane niczym wspólnym.

I ten właśnie prąd świadczy jeszcze wyraźniej niż poprzedni o tym rozpoczętym przez Hegla procesie, który nazwaliśmy relatywizacją idealizmu. Prawda traci tu swą powszechną i wieczną wartość. Staje się tylko głosem epoki, który wskazuje na względność poznania historycznego Ale idealizm — zgodnie ze swym zasadniczym nastawieniem — pragnie zapewnić trwałość ludzkiemu poznaniu choćby nawet za cenę zwężenia jego granic. Przeto uznaje argumenty sceptycyzmu, przekonywujące, iż poznanie przeszłości jest nieosiągalne, ale równocześnie wykazuje, iż wszelkie poznawanie przeszłości nie jest jej odzwierciedleniem, ale twórczym aktem ducha poznającej epoki, która w ten sposób poznaje właśnie samą siebie. Obrazy przeszłości są naszą konstrukcją, która świadczy coś o nas, nie zaś o niej. Ale skoro nie mają odzwierciedlać, jeno wyrażać, nie dotyczą ich wątpliwości sceptycyzmu. Są jakie są, bo my tacy jesteśmy. Powtarza się tu stary, kantowski problem, tylko w stosunku do dziejów, a nie w stosunku do przyrody. Między sceptycyzmem i dogmatyzmem historycznym prowadzi droga do krytycyzmu. Jerzy Simmel uważał się za takiego kontynuatora Kanta a jego „Problemy filozofii dziejów" miały być dalszym ciągiem krytyk kantowskich, miały być krytyką historycznego rozumu (Cohen). Jeden z uczniów Simmla, Theodor Lessing sformułował to stanowisko w lapidarnym skrócie, będącym równocześnie tytułem jego książki: historia jako nadawanie sensu bezsensowości.

Pisarze tego obozu nie wahają się używać słowa mit. Przeciwnie, operują nim chętnie. Przeprowadziwszy idealistyczną analizę poznania historycznego nazywają te właśnie akty poznawcze, które nie będąc odzwierciedlaniem minionej rzeczywistości, są wyrazem istniejącej — mitami. Żyjemy wśród naszych mitów o przeszłości. Są one nie do obalenia, bo nikt i nigdy nie powie nam „jak naprawdę było". Są nie do obalenia,

bo przecież wyrażają nasze widzenie rzeczy, świadczą o nas, jakimi jesteśmy. Nie są wiedzą o faktach historycznych; są samymi faktami historycznymi.

„Nie poznamy nigdy jak istotnie było" — pisze E. Bertram, autor książki o Nietzschem, opatrzonej pod tytułem: próba mitologii. „Mimo wielkiego nagromadzenia wiedzy, metod wszelkiego obiektywizmu, wiemy to tylko, co oglądamy, oglądamy to, czym jesteśmy i ponieważ tacy jesteśmy". Każdy taki ogląd — zdaniem autora — jest jedynym w swoim rodzaju, a więc wiecznym, nieodmiennym. Na tym ma polegać wyzwolenie ze sceptycyzmu i relatywizmu historycznego. Procesy tworzenia legend są odwieczne. I dziś intelekt przeszkodzić nie potrafi, gdy jakiś mit chce się ustalić. Wszystko minione chce się stać obrazem, wszystko żywe legendą, cała rzeczywistość mitem".

Ale teraz rozumiemy, że taki idealizm nie chroni nas naprawdę, ani od sceptycyzmu, ani od dogmatyzmu. Przeciwnie, pogrąża jeszcze głębiej w te nurty. Sceptycyzm jest tu podniesiony do wyżyn zasady pryncypialnej: nie jest możliwe żadne poznanie historyczne. Dogmatyzm zaś również urósł do rozmiarów pryncypialnych: niewzruszenie pewne i nieodmienne jest nasze aktualne widzenie przeszłości.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego właśnie to, co miało być obroną wciągnęło w klęskę? Jest to konsekwencja podstawowej zasady idealizmu, na podstawie której miał być obalony relatywizm, a także i dogmatyzm: że poznanie nie jest odzwierciedlaniem rzeczywistości, tylko jej stwarzaniem przez nas z chaosu. Gdy na tym stanowisku staniemy nie da się powściągnąć dowolność. Od Kanta przez Hegla prowadzi nieuchronna droga do Simmla, Lessinga, Bartrama. Prawda coraz bardziej traci te cechy, które w naszym poczuciu musi posiadać: przedmiotowość, powszechność i trwałość. Coraz wyraźniej staje się mitem.

W ten sposób współczesna walka idealizmu z relatywizmem kończyła się relatywizacją idealizmu, który — wierny swym tendencjom, ale zarazem uległy przeciwnikowi — podnosi do wyżyn absolutnych to, co cząstkowe i chwilowe, wiodąc przeto do apoteozy mitu, nie zaś do obrony prawdy. Apoteoza ta zaspakajała znacznie lepiej niż kult prawdy wzbudzone przez relatywizm pragnienie ostoi i pewności. Prawdy bowiem trzeba szukać na długiej drodze trudów. Mity zaś dają wrażenie pełnego osiągnięcia. Uspakajają szukanie, podnie-

cają poczucie pewności. Znużona relatywizmem dusza współczesna przeszła chętnie tą idealistyczną ścieżką do przystani dogmatyzmu mitów.

Pragmatyzm na drodze ku mitom.

Ale do tej samej przystani wiodła również — jakkolwiek inaczej — i druga droga walki z relatywizmem i dogmatyzmem:droga pragmatyzmu. Miała ona ważne punkty styczne z pierwszą. Pragmatyzm jest starszy niż jego nazwa i sformułowania ustalone przez Jamesa i Schillera. Rozwijał się w ciągu całego XIX wieku i to w dwojakiej postaci empiryczno-utylitarnej i idealistyczno-aktywnej. Pierwsza z nich rodziła się z postawy baconowskiej, która właściwie dopiero w okresie wielkich zdobyczy technicznych zapanowała nad umysłami: Wiedza poczęła się okazywać potęgą. Ale też dzięki temu coraz silniej lekceważono tę wiedzę, która do potęgi nie prowadziła. Pogarda Saint Simona dla kapłanów i filozofów, jego kult inżynierów stał się najbardziej charakterystycznym wyrazem zmieniających się poglądów na prawdę. Należało jej szukać według śladów płodności technicznej. Jakimi są rzeczy same w sobie tego nie tylko — jak nas przekonywują idealiści — poznać nie możemy: ale tego w ogóle jak sądzą pragmatyści nie potrzebujemy poznawać. Wystarcza nam poznanie, które pozwala rzeczami władać. Tak myśleli wszyscy „praktycy" od Saint Simona aż do współczesnych technokratów włącznie.

Na tym gruncie rodziły się teorie nauki bardzo zbliżone do idealistycznych. Nauka nie odzwierciedlała wcale rzeczywistości, stwarzała swe sztuczne konstrukcje, dzięki którym możliwą była orientacja i kierowanie. Prawdy nie można więc było pojmować jako wnikania w istotę rzeczy, a tylko jako pewien typ użytecznych drogowskazów. Nauka w swym rozwoju nie zbliża się nawet do poznania rzeczywistości, tworzy coraz bogatsze konstrukcje, ale dzięki temu ułatwia coraz bardziej kierownictwo. Gdyby była zbiorem przedstawień, a nie symboli, zagubiłaby się w chaotycznej wielości danych. Ten jej fikcyjny i skrótowy charakter podkreślano z różnych stanowisk. Avenarius kładł nacisk na biologiczno-ekonomiczne prawo najmniejszego nakładu sił. Inni na analizę języka i pojęć.

Jeżeli wszakże prawda jest tylko jakimś rodzajem użytecznych drogowskazów, to uzasadnioną staje się wątpliwość, czy osiągać ją możemy jedynie dzięki systematycznym badaniom rozumowym. Rozszerzająca się znajomość historii do-

starczała mnóstwa przykładów świadczących o tym, że ludzie niewykształceni posiadają często doskonałą umiejętność celowego i pożytecznego postępowania. Rodzi się ona z praktyki bezpośrednio. Badania nad ludami pierwotnymi ukazywały potężną doniosłość tej wiedzy czerpanej z życiowych doświadczeń.

Na tej samej drodze znajdują się rozważania socjologów wykazujących zależność form naszego myślenia od sytuacji społecznej. Wspominaliśmy o tym stanowisku charakteryzując różne formy relatywizmu. Widzimy obecnie w jaki sposób zostaje on dyskontowany przez pragmatyzm. Skoro formy naszego myślenia są wytworem warunków zewnętrznych — ustroju społecznego czy gospodarczego — nie możemy im ufać jako niezawodnym i ostatecznym instancjom. Należy raczej opierać się na tym co je kształtuje t. zn. na środowisku społecznym bezpośrednio. Znaczy to, iż pewniejszą i bardziej bezpośrednią drogą do prawdy niż rozmyślania, jest aktywne uczestnictwo w społecznym życiu. Stajemy tu u źródeł krytyki wszelkiego intelektualizmu i u źródeł krytyki inteligencji, u źródeł apoteozy „uczestnictwa społecznego" jako metody szukania prawdy. Zależnie zaś od koncepcji podstawowych sił społecznych określa się różnie krąg owego uczestnictwa. Według jednych do prawdy dochodzić może tylko lud, dla innych tylko proletariat, jeszcze według innych tylko człowiek pewnej rasy. Podobnie jak niegdyś w chrześcijaństwie odejście od wspólnoty religijnej było źródłem herezji, nie zaś odwrotnie, tak i w tych koncepcjach zanim się jeszcze rozpocznie intelektualne badanie już się prawdę ma posiadać, lub ją stracić zależnie od tego, do jakiej grupy społecznej człowiek należy, czy do tej, która rzeczywiście wytwarza wartościowe formy myślenia, czy też do tej, która się łudzi, iż myśli niezależnie. Prawda w tej koncepcji staje się jakgdyby własnością wybranych grup społecznych, niezależną od intelektualnego wysiłku, który jest zawsze czymś wtórnym. I wówczas gdy posłusznie opracowuje ów posiadany skarb prawdy i jest przydatnym, i wówczas gdy złudnie wierząc w swą samodzielność schodzi na manowce.

To pragmatyczne likwidowanie intelektualizmu przybiera jeszcze jedną postać. Jeśli rzeczywiście prawda ma być tylko użytecznym drogowskazem, to droga ku niej wiedzie nie tylko przez uczestnictwo w płodnych siłach społecznych, ale również i przez posłuszeństwo głosowi instyktu. Przecież poży-

teczne postępowanie cechuje nie tylko ludzi posługujących się wiedzą: cechuje ono również i zwierzęta. Znaczy to, iż samo prawo natury zapewnia choćby nawet nieświadomą znajomość prawd. Biologizm XIX stulecia kładł na to silny nacisk. Był to jeden ze sposobów relatywizowania prawdy.

Ale pragmatyzm i w tym przypadku skorzystał z wyników relatywistycznej krytyki, czyniąc je punktem wyjścia pozytywnych zaleceń. Skoro ludzkie poznanie prawdy nie jest tylko sprawą intelektu, ale również — a może i przede wszystkim — wszczepionego w nas instyktu, który zanim jeszcze rozum przystąpił do pracy, wskazuje nieomylnie na to gdzie jest prawda, to słusznym zaleceniem jest rada, by interesując się mniej wysiłkiem intelektualnym, jako wtórnym, sięgnąć do źródeł bezpośrednich i odświeżyć swe przygłuszone życie instynktowe.

W tym programie progmatyzm wiąże się z nowoczesnym irracjonalizmem, który mu zresztą w ciągu tego całego czasu wiernie towarzyszy. Wspólnie przeprowadzają one krytykę kultury nowoczesnej, oskarżając ją o przeintelektualizowanie. I wspólnie żądają odrodzenia „sił witalnych". Klages wyraża doskonale ten punkt widzenia.

Ale mówiąc o pragmatyzmie orientacji biologicznej, odeszliśmy już od nurtu Baconowskiego, zbliżając się do jego drugiej zasadniczej postaci. Rodziła się ona z filozofii Kanta w fichteańskiej interpretacji. Fichte ustalił przekonanie o wyższości jaźni praktycznej nad teoretyczną. Dzięki temu całe poznanie stało się odrazu funkcją działania, jego narzędziem i wytworem. Zasadniczo nie możliwe stało się bezinteresowne ustalanie prawdy. Co więcej, Fichte sądził, iż nasze działanie konstytuuje dopiero rzeczywistość, która bez niego nie istnieje. Jesteśmy przeto twórcami świata i jego prawd. Metafizycznym językiem powiedziano tu to samo, co pragmatyzm utylitarystyczny głosił trzeźwymi słowami techniki i przyrodoznawstwa.

W podobny sposób odbierano tu walor nauce, jako drodze do prawdy, wskazując podobnie na drogi lepiej ku niej wiodące — na drogi działania. One miały nas niezawodnie chronić od błędów intelektualistycznych, wskazywać istotne kierunki badań. Nasze działanie zaś wytryskało, zdaniem Fichtego z praźródeł naszej jaźni. Nie mogło być niczym regulowane. Nasze czyny rodzą ideały, mówi Fichte, nie zaś odwrotnie. Gdyby bowiem było inaczej, znaczyłoby to, że pozo-

stajemy w niewoli jakichś zewnętrznych zaleceń i wskazań, że nie jesteśmy twórcami.

Na tej linii fichteanizmu znajduje się Nietzsche, według którego źródłem prawd jest wola, nie zaś rozum. „Wszystko co staje się świadomym — pisze Nietzsche w Woli Mocy — jest zjawiskiem końcowym, zakończeniem... usiłowaliśmy zrozumieć świat w ujęciu odwrotnym, jak gdyby nic nie działało, i nie było realnym, okrom myślenia, czucia, chcenia". A przecież „prawda nie jest czymś, co się znajduje i coby można wynaleźć i odkryć, lecz czymś, co trzeba stworzyć, jest to wyraz woli mocy". W „Genealogii Moralności" zaś atakując psychikę chrześcijan podtrzymywaną przez filozofów powiada: „daleko im jeszcze do wolnych duchów, bo wierzą jeszcze w prawdę; nic nie jest prawdą, wszystko wolno". Wola mocy wyraża się właśnie ustanawianiem prawd.

Ten romantyczny typ pragmatyzmu kojarzy z biologią i ewolucjonizmem — czego zresztą próbował i Nietzsche i Alfred Fouillé. Jego koncepcja idei sił wiąże oba te elementy w jedną całość, traktując prawdę jako płodne wizje.

Teorie Jamesa i Schillera kodyfikują tylko te różnorodne nurty pragmatyzmu. Znajduje się w nich uznanie względności ludzkiego poznania, z czego wynika przeświadczenie, iż należy wyzbyć się ambitnych chęci określania istoty rzeczy i zogniskować swe wysiłki wokół wiedzy praktycznie płodnej, co nas uwolni równocześnie z sideł relatywizmu i dogmatyzmu. Znajduje się przekonanie, iż rozum nie jest jedyny, a nawet i najlepszym przewodnikiem do prawdy, że „dowodzi tego, co mu się dowodzić każe", że więc należy głębiej ufać wewnętrznym intuicjom, lub udającym się działaniom, niż teoretycznym wywodom.

Jak widzimy z tych rozważań pragmatyczna reakcja przeciw relatywizmowi, wybuchająca to silniej, to słabiej w ciągu XIX i XX wieku, była reakcją bardzo swoistą. Chodziło w niej — oczywiście — o odzyskanie jakiegoś trwałego punktu oparcia, o wyjście z dręczącej świadomości, iż nic nie jest poza trzęsawiskiem względności, ale właśnie w jego obrębie. Rezygnowano przecież z odkrywania prawd, ważnych powszechnie i wiecznie, tym silniej akcentując natomiast walor „prawd" owocnych dla nas, w danej sytuacji i w danej chwili. Właśnie dlatego, że uznawano zasadę całkowitej względności poznania prawdy, opowiadano się za autonomicznym, dumnym ustanawianiem prawd przez siebie samego. Tą metodą nadawano

walor absolutny stanowiskom względnym, zupełnie podobnie jak to czyniono w obozie idealistów. Relatywizm niejako od wewnątrz tkwił w koncepcji pragmatystycznej i dlatego dogmatyzm jej jest szczególnie nieznośny.

Pragmatyzm, wprawdzie, podobnie jak idealizm, obiecywał nas uwolnić równocześnie z sideł relatywizmu i z niebezpieczeństw dogmatyzmu, ale w rzeczywistości wciągał nas jeszcze głębiej w te wiry. Relatywizm poznania jest gruntem, na którym się opiera zasada ucieczki w czyny. Umożliwia on koncepcję pragmatyzmu, nie jest przez nią obalany. Z drugiej zaś strony koncepcja ta wprawdzie zwalcza dogmatyzm intelektualny, ale głosi niewzruszoną pewność dogmatyzmu woli i powodzenia. Jak dla idealizmu nie było żadnych wyższych instancyj ponad moje dumne stwierdzenie: to chcę mieć prawdą, podobnie wedle pragmatyzmu niema żadnych wyższych sprawdzianów ponad świadectwo powodzenia legitymujące tę rzekomą prawdę.

Wspólne źródła sceptycyzmu poznawczego i filozofii mitów.

Perypetie pragmatyzmu, obiecującego nam odzyskanie dróg do prawdy i lądującego wreszcie na ziemi mitów, są głęboko podobne do losów idealizmu. Również i przyczyna tej klęski wydaje się jednaka. Trudno jest szukać dróg do prawdy, gdy się przyjmuje z góry przekonanie, że nie jest nam ona dostępna, że poznanie ludzkie nie jest zdolne odsłaniać prawdy, i że dlatego winno ono się ograniczać do stwarzania „ludzkiej prawdy". Pragmatyzm pojmuje ten proces utylitarnie, lub aktywistycznie, idealizm transcendetalnie, oba jednak stanowiska mają wspólne zasady wyjściowe i wspólny kierunek pochodu.

Analizy te pozwalają nam jeszcze na jeden wniosek. Sceptycyzm nowoczesny był źródłem apoteozy mitów nie tylko w tym sensie negatywnym, o którym wspominaliśmy na początku, a mianowicie w tym znaczeniu, iż jako minimalizm i agnostycyzm rozbudzał przez kontrast pragnienia pełniejszej wiedzy i dysponował psychicznie do gorliwego przyjęcia jakiejkolwiek dogmatyki: Miał on również znaczenie pozytywne dla filozofii mitów. Jako relatywizm nie dawał on się usunąć przez idealizm i pragmatyzm; wręcz przeciwnie przenikał je coraz głębiej, i dzięki temu właśnie odwracał od prawdy, kierował ku mitom. Filozofia wielbiąca mity wyrasta

ze skrzyżowania idealizmu i pragmatyzmu z relatywizmem. Póki to skrzyżowanie nie nastąpiło w każdym z tych obozów istniała tylko część tych zasad, które kazały wątpić w prawdę, a wierzyć w mity. Dopiero dzięki temu skrzyżowaniu dokonała się absolutyzacja względności, dzięki której wyższość mitu wydawać się poczęła bezsporną.

Jeśli jednak tak się rzeczy mają, to znaczy, iż koło naszych rozważań może być zamknięte. Wyszliśmy bowiem ze stwierdzenia, iż filozofia nowożytna rodziła się i dojrzewała w atmosferze minimalizmu poznawczego, i widzieliśmy, że zrazu w reakcji przeciw niemu budowano piórem Vica i Kanta pierwsze fundamenty filozofii mitów, a później w przeciwstawieniu i w przymierzu pragmatyzmu i idealizmu z relatywizmem, wykończono tę budowlę. Przeto można twierdzić, iż filozofia mitów — jakkolwiek rozkwitła dopiero stosunkowo niedawno, korzeniami swymi sięga bardzo głęboko. W pewnym sensie wyrasta ona ostatecznie z filozofii Bacona i Kartezjusza. Stali się oni nie tylko ojcami pragmatyzmu i idealizmu.

Baconowska krytyka przesądów różnego rodzaju i kartezjańskie wątpienie były stałym źródłem pobudzania ostrożności i krytycyzmu. Ale Bacon uczył także wiary w myśli płodne, przekonywał, iż prawdę poznaje się po skuteczności działań na nich opartych. Czymże zaś innym legitymował się najchętniej mit, jeśli nie tym, że oddziaływał na ludzi i w czynach znajdował rękojmię swej słuszności? Baconowska zasada płodności prawdy odżywa u Jamesa.

Kartezjusz zaś przekonywał, iż świadectwem prawdy jest jasność i wyrazistość myśli. Znaczyło to, że nie poza sobą, w stosunku do rzeczywistości, lecz w sobie samej myśl ludzka może znajdować kryteria prawdy. Było to źródło idealizmu, który pojmował prawdę jako ustawodawstwo ducha, a nie jako zgodność z faktami. Czymże zaś innym są mity, jeśli nie stanowieniem jakichś zasad bez względu na rzeczywistość?

W filozofii Bacona i Kartezjusza szukać można tych prażródeł, z których wypływał prąd minimalizmu rozbudzający negatywnie potrzebę wiary w jakąś „drugą" prawdę, oraz z których wypływały prądy idealizmu i pragmatyzmu prowadzące pozytywnie do kultu mitów. O tym wszakże, iż z tych źródeł wypływające prądy rozszerzyły się tak znacznie zdecydowały późniejsze czynniki dodatkowe. Były nimi: relatywizm, oraz swoiste koncepcje filozofii niemieckiej i amerykańskiej.

Analiza filozoficznych źródeł ideologii mitu ukazuje nam w całej pełni trudności zadań stojących przed naszą epoką. Sprawa nie jest bowiem tak prosta i łatwa jak to się niekiedy próbuje przedstawić. Zwalić wszystkie winy na „irracjonalne mętniactwo" i wskazać jako zbawienie drogę „racjonalizmu" — to brzmi pociągająco w prostolinijności diagnozy i terapii. Ale rzeczywistość jest bardziej złożona. Racjonalizm jest pojęciem wieloznacznym: istniały różne odmiany i typy racjonalizmu. Ich stosunek do prądów irracjonalnych bywał — dlatego — różnoraki. Jeśli więc mamy ustalić dokładną i ścisłą diagnozę współczesności, jeśli mamy wskazać konkretne i wydatne drogi wyjścia z bezdroży filozofii mitów, czynić to musimy w słowach bardziej sprecyzowanych.

Oskarżanie irracjonalizmu o zdeprawowanie umysłowej, moralnej i politycznej kultury doby nowożytnej jest słuszne, zwłaszcza w stosunku do tych prądów, które wiodły ku filozofii mitu. Ale trzeba sobie zdawać sprawę z tego faktu, iż część tych win obarcza niektóre nowożytne prądy racjonalistyczne. Po pierwsze one to częstokroć swą doktrynerską ciasnotą, lub minimalistyczną rezygnacją wyżywały do odwetu siły irracjonalne i pozwalały im władać autonomicznie w królestwie zagadnień, których badania wyrzekał się rozum. Gdzie rozum nie spełnia swego zadania tam łatwo zyskują znaczenie siły ślepe i nieodpowiedzialne. Powtóre racjonalizm nowożytny w Europie miał w najważniejszych swych prądach bądź to silny element idealizmu, bądź też empirycznego utylitaryzmu — zazwyczaj przeciwstawianych, ale czasami wiązanych w swoistą całość — i te właśnie elementy zostały wyzyskane przez irracjonalizm budujący filozofię mitu.

Z tej racji walka z niebezpieczeństwami irracjonalizmu musi być poprowadzona głębiej i objąć musi krytykę pewnych postaci racjonalizmu, współodpowiedzialnych za rozwój przekonań, iż ponad prawdą i fałszem znajduje się wartość najcenniejsza: mit. Jest sprawą ważną i pilną, by podjąć analizy filozoficzne, w zakresie tych zagadnień odsłaniając i ustalając zarówno historyczne etapy rozwoju, jak i metodologiczne założenia i konsekwencje różnorodnych stanowisk.

Analiza ta sięgnąć powinna również i do przyczyn, sprawiających, iż racjonalizm i irracjonalizm nowożytnej Europy, przybrały swoisty charakter. W poszukiwaniu tych przyczyn trzeba będzie sięgnąć również i do społecznych źródeł nowo-

żytnych prądów umysłowych, formułujących różnorodne teorie prawdy. Studia F. Borkenan'a ukazują w tym zakresie perspektywy rozległe. Okazało się wówczas — przynajmniej w pewnej mierze — dlaczego nowożytny racjonalizm i nowożytny irracjonalizm, były właśnie takie, jakie były. Ukazując zaś ich uwarunkowanie genetyczne ułatwialibyśmy intelektualne przezwyciężanie ich złudzeń, jednostronności i błędów.

Ale są to sprawy, które w ramach tego artykułu pomieścić się nie mogą. Chodziło nam tu jedynie o szkicowe ukazanie tego jak splątane były ideowe nurty, kształtujące nowoczesny stosunek do prawdy, a nie oto dlaczego były one takie a nie inne. I nie mogą się oczywiście w tych ramach pomieścić rozważania filozoficzne, dotyczące merytorycznie problemu prawdy, metod jej poznawania, słuszności i niesłuszności założeń poznawczych.[2]

Ale mimo to, iż oba te artykuły o micie — niniejszy i poprzedni — są krótkie i fragmentaryczne, wydawało mi się rzeczą słuszną, by je ogłosić, ponieważ problem prawdy jest dziś najdonioślejszym i najbardziej palącym zagadnieniem, które powinno być dyskutowane przede wszystkim w sposób rozszerzający horyzonty naszej dotychczasowej świadomości w tych sprawach, w sposób przynoszący nawe fakty i nowe oceny.

---

[2] Sprawy te są przedmiotem przygotowywanej przeze mnie książki p. t. „Idea prawdy", której tom pierwszy ma być poświęcony prądom umysłowym, a tom drugi problemom metodologicznym.

Dr. Stefan Kawyn.

TWÓRCZOŚĆ NAUKOWA JULIUSZA KLEINERA*

Wstęp.

Prawdą jest, że w dziełach wychodzących z pracowni uczonego szukamy wiedzy o świecie, ludziach i zdarzeniach. Sycimy naszą ciekawość intelektualną, głuszymy może zarazem niepokój serca powstały z odczuwania tajemnicy istnienia, zdawałoby się, niezgłębionej, a przeto groźnej. Po przez dzieło naukowe widzimy życie — wydobyte z chaosu, zorganizowane, podciągnięte pod sens pojęć naukowych.

Ale obok zdobywanej wiedzy przedmiotowej nieobojętny jest dla nas sam uczony, sprawca schematów pomocnych w wyjaśnianiu, czy rozumieniu zjawisk, twórca konstrukcyj intelektualnych, niekiedy dawca wartości. W równym stopniu interesuje nas jego myśl, koncepcje, jego pogląd na świat. Zastanawia nas zagadnienie, co z osobistości samego uczonego przenika do jego dzieła, jaka zachodzi łączność między tą osobistością a przedmiotem badania, jak osobistość uczonego wpływa na jego wybór, na problematyzację i deproblematyzację. Współzależność ta, ściślejsza w naukach humanistycznych, najdobitniej występuje w badaniu dzieł sztuki, literackiej w szczególności. Ciekawią nas przeto na tym polu nie tylko wyniki w dziedzinie wiedzy o literaturze, ale także problemat, o ile w wynikach tych wyraziła się osobowość badacza, jego specyficzny sposób myślenia, jego pogląd na świat.

Typ uczonego.

a) walka z pozytywizmem zagranicą.

Oblicze takiego myśliciela wyłania się nam właśnie z przebogatego dorobku czterdziestu lat pracy badawczej nad literaturą Juliusza Kleinera. Przystąpiwszy w początkach bieżącego stulecia do badań literackich, Kleiner od razu określił swą przynależność generacyjną: jego pokolenie — to poko-

* Wykład na akademii w Katol. Uniwersytecie Lubel. dnia 3 lutego 1946 r. Ku uczczeniu czterdziestolecia pracy naukowej Juliusza Kleinera.

lenie, które zwycięsko rozprawiło się z pozytywizmem, które wzrosło pod tchnieniem innego świata wartości. To świat twórczości, wolności, życia, rozmaitości, bogactwa duchowego, to świat twórczych przejawów indywidualnych. To świat, który nauce ukazał Dilthey, Rickert, Windelband, Bergson. Ująć go można nie poprzez najogólniejsze prawa i pojęcia, uproszczone schematy życia, ale drogą intuicji, sposobem bezpośredniego przeżycia. Wtedy dopiero bogactwo życia przedstawi się nam jako skomplikowana rozmaitość przejawów indywidualnych.

b) walka z pozytywizmem w Polsce.

Nie tylko uczestnikiem walk pokolenia o metody badania nowoodkrytej dla nauki rzeczywistości ludzkiej jest Kleiner; w Polsce zajmuje stanowisko przodownika generacji tego pokroju badaczy. Występuje bowiem wtedy, gdy jeszcze tradycje pozytywizmu Chmielowskiego, gdy znaczenie ma ciągle jeszcze lwowska szkoła filologiczna.

Ale już nadeszły czasy inne, przynajmniej na odcinku filozofii, twórczości artystycznej i krytyki. Walkę wydał pozytywizmowi nieubłaganą Stanisław Szczepanowski, podważał zasady materializmu historycznego indywidualista, badacz stanów cenestezyjnych, Edward Abramowski, o prawa ducha indywidualnego upomniał się namiętnie Wincenty Lutosławski, idealistyczne porywy Mickiewicza jako wzór pokoleniu nadchodzącemu stawiał Artur Górski; odrodził się kult Słowackiego, którego aktualność duchową wykazał Ignacy Matuszewski; krytyka literacka porzuciła kryteria utylitaryzmu, a odtworzyć zapragnęła dzieło takie, jakie istniało w świadomości twórcy; nie szczegółów odosobnionych szukała, ale bezpośrednio ujętej, oddziaływającej na perceptora całości.

c) pionierski charakter wystąpienia Kleinera.

W tej powrotnej fali idealizmu nie mogło braknąć nauki o literaturze; i ona rozpoczęła w Polsce swój byt odrodzony. Jej pionierem był w owe czasy Juliusz Kleiner. On to pierwszy w Polsce oznaczył nauce o literaturze stanowisko odrębne w naukach humanistycznych. On to pierwszy w Polsce — przez swą oryginalną problematyzację — wyosobnił zakres literatury przez podanie odrębnego stanowiska badacza wobec przedmiotu. On to pierwszy w Polsce określił przedmiot wie-

dzy o literaturze, którym jest zawartość tekstu jako odrębna sfera rzeczywistości ludzkiej. On to — zgodnie z wynikami nauki o rzeczywistości ludzkiej — oznaczył przynależność badań literackich do nauk humanistycznych; za cel sobie obrał wyjaśnianie rzeczywistości ludzkiej oparte na przeżywaniu faktów analogicznych, a jako władzą poznawczą posłużyć się zalecał intuicją. Nie prawa ogólne chciał w sferze duchowego świata ludzkiego odkrywać, ale dążył do rekonstrukcji faktycznego jednorazowego szeregu zmian: upatrywał więc w poznaniu element historyczny. Obok ciągu wypadków historycznych, których treścią jest następstwo czasowe uwzględniał i tę sferę rzeczywistości ludzkiej, która odpowiada jakiejś specjalnej potrzebie społecznej, aktualnej, a której cechą istotną jest trwałość, niezmienność, obok elementu czasu powstają systemy. Nie uogólniające jest to poznanie historyczne, ale indywidualizujące; poznanie rzeczywistości ludzkiej nie tylko wyjaśniające, ale oceniające. Dzieło literackie, jako „reprezentowana tekstem całość psychiczna", — obok pierwiastków formalno-estetycznych, — dostarcza jeszcze sugestywnie przedstawionej treści analogicznej do rzeczywistości życiowej. Zaspakajając nadto — drogą tworzenia fikcji intelektualnej — istniejącą w człowieku potrzebę dodatkowej sfery stanów psychicznych, których życie nie daje, — dzieło przedstawia pożądany obraz świata, odkrywa skarb najpełniejszy wyższych wartości życia.

d) Wartości etyczne — centrum zainteresowań Kleinera.

W ich tworzeniu upatrując istotę literatury, Kleiner traktuje dzieło jako symbol ładu i organizacji życia jako wyraz zwycięstwa konstrucji nad chaosem. Dlatego też z całą stanowczością występuje przeciw rozpowszechnionej po pierwszej wojnie tendencji poddawania się życiu, upajania się nim. Dla badacza takiego jak Kleiner „wielka twórczość zawsze będzie opanowaniem życia. W tym tkwi cały moralny sens czynności badawczych, aby wykryć w dziele sztuki literackiej owo centrum konstrukcji artystycznej, którym jest wyższa wartość duchowa, co zarówno jednostce jak i zbiorowości pomaga w życiu, zaspakaja potrzebę intelektualną, realizuje świat pragnień.

Przytomny jest tedy ciągle i żywy w umyśle badacza ów świat wartości; decyduje on często o wyborze przedmiotu ba-

dania, nastawia odpowiednio aparat badawczy. Wyrazem tej, znamiennej dla Kleinera, postawy osobistej wobec przedmiotu badania jest jego pogląd na dzieła sztuki, wywodzący się z przeświadczenia, że świat wartości etycznych tkwi immanentnie w arcydziełach sztuki, a one „podnoszą i bogacą i umacniają tym, że są — arcydziełami". Stąd charakterystyczna dla całego dorobku naukowego Kleinera dostojność tematów: Krasiński, Słowacki, Mickiewicz, Goethe, Sofokles, Prus, Żeromski, Kasprowicz. Wybór uderzający: te zjawiska świata literatury polskiej i obcej zawierają w sobie problematykę najwyższych szczytów etycznych.

Pokrewieństwo duchowe z romantyzmem.

Jeśli zatem u Kleinera wybór przedmiotu badania pozostaje w tak ścisłej zależności od jego poglądu na świat, — to zdecydowanemu przeciwnikowi determinizmu jako dziedzina umiłowana pracy narzuca się romantyzm, w którym widzi jakby przesłankę -- zapowiedź koncepcji Diltheya i Bergsona. Uderzyło go przecież pokrewieństwo romantycznych koncepcji: życia, rozwoju, całości organicznej, twórczości i wolności z filozofią Bergsona. To pokrewieństwo z wyboru ducha zadecydowało bodaj o tym, że już od pierwszej swej pracy Kleiner zwrócił się ku badaniu epoki romantyzmu i poetów romantycznych, unikając epok innych, jako wyraźnie obcych jego osobowości.

Zwrócił się zaś ku badaniu romantyzmu w czasie, kiedy wprawdzie w filozofii i twórczości literackiej odradzał się kult romantyki, ale kiedy w nauce o literaturze panowały jeszcze poglądy przypominające krytykę pozytywistyczną tego prądu. Widziano jeszcze w romantyzmie bezsensowny splot sprzeczności, usiłowano go sprowadzić do zjawiska jednorodnego. A gdy to się nie udawało, zapadał wyrok ostry, potępiający romantyzm jako zarodek niebezpiecznej choroby wieku. Wychodząc z założenia, że romantyzmu nie można sprowadzić do prostolinijności, że dla zrozumienia jego nie wystarczą same kategorie literackie, że trzeba badać cały romantyczny pogląd na świat, Kleiner tym stanowiskiem przyczynia się do rehabilitacji romantyzmu, wyłącza mu miejsce nie tylko w historii literatury, ale i w nauce w ogóle: uważa go bowiem za godny problemat naukowy.

Monografie o wielkich romantykach polskich.

Z pośród polskich wybitności romantycznych pociągał Kleinera od pierwszych wystąpień na drodze naukowej zawsze Słowacki, wcielenie wszystkich cnót romantycznych: jemu to poświęcał pierwsze swe studia, które z czasem miały się stać elementami składowymi zawartości monumentalnej monografii o „dziejach twórczości". Przy tym jednak nie dzieje artyzmu poety romantycznego zaprzątały uwagę monografisty, ale niemniej ciekawe w historii romantyzmu polskiego „dzieje myśli" filozofa-poety, — Krasińskiego.

Monografia o Krasińskim.

Trafnie uznał myśl za cechę znamienną twórczości Krasińskiego; myśl też uczynił ośrodkiem konstrukcyjnym monografii, jawił mu się Krasiński jako poeta zdolny do intelektualnych przeżyć, stąd przeniesienie całej siły uwagi na szeroko rozbudowaną filozofię poety, zmniejszenie zaś zainteresowania stroną formalno-estetyczną. Przedstawił tedy wewnętrzne dzieje myśli Krasińskiego od pierwszych jej przebudzeń aż po pełne obrazy całości filozoficznych. Uwydatnił jej związek z życiem, z prądami filozofii niemieckiej, z myślą społeczną i ideami politycznymi czasu. Rzucił myśl Krasńskiego na tło literatury światowej, na którym dopiero uwydatniła się pełnia poetyckiego wcielenia „przejścia od pesymizmu do optymizmu drogą konstrukcji ideowej kierowanej przez postulaty uczucia".

Monografia o Słowackim.

Jeżeli monografia o Krasińskim była książką o filozofii romantycznej europejskiej i polskiej, — to dziełem o sztuce romantycznej i artyście romantycznym w zakresie słowa stała się monografia o Słowackim. Nazwał ją „dziejami twórczości", zaznaczając, że zasadą w postępowaniu badawczym będzie linia ewolucyjna artyzmu poety. Dlatego — jakby przeciwstawiając się dotychczasowym monografistom Słowackiego — Kleiner uwzględnił biografię tylko jako tło konieczne; wysunął natomiast jako metodę analizę utworów. Pragnął wniknąć w organizm dzieła poetyckiego, wyjaśnić jego logikę wewnętrzną, uwydatnić odrębność indywidualną fizjonomii poety. Przy analizie nie traktował utworów w izolacji, ale łączył je, poszukując wspólnych motywów, idei,

uczuć. Uwydatniał ich ewolucję nie tylko w ich niepowtarzalnym zjawisku, ale włączył je w całość romantyzmu polskiego i europejskiego. Nie zacierał jednak cech indywidualnych zarówno artysty jak i jego dzieł: stwierdzał, że w rozwoju osobowości Słowackiego zaznaczały się wyraźne etapy w wybitnych dziełach-ośrodkach nagromadzonej treści psychicznej. Jako analityk w zasadzie, nie pominął Kleiner również innych punktów wyjścia: zaznaczają się na terenie dzieła dociekania genetyczne, czynności porównawcze, badania psychologiczne, estetyczne; nie uchylał się, gdy konieczność wymagała, od obowiązków filologicznego krytyka tekstu obdarzonego wszakże niezwykłą zdolnością intuicyjnego wnikania w mroki i zawiłość poszczególnych redakcyj tekstu. Obok pierwiastków intelektualnych, badawczych zaznaczają się jeszcze u Kleinera na terenie monografii o Słowackim w silnym stopniu elementy uczuciowe; określają one stosunek badacza do przedmiotu badania. Jest dlań Słowacki w pełnym słowa znaczeniu poetą ulubionym, nie tylko z punktu widzenia naukowego ciekawym. Jest poetą jego młodości, poetą jego doznań, przeżyć, uczuć i dążeń. „Z dziwnym zmieszaniem uczuć" patrzy na ukończone dzieło lat wielu „jest w tych uczuciach, — zwierza, się uczony w przedmowie, — radość, jaką odczuwa każdy na widok pracy dokonanej i spełnionych zamiarów — ale jest i żal, z jakim człowiek żegna coś, co się zrosło z jego życiem". Ten nurt liryczny ujawnia się ze szczególniejszą siłą w stycznościach badacza z utworami naprawdę pięknymi, naprawdę wielkimi. I analiza dochodzi wtedy do mistrzostwa i olśniewająca intuicja rozwiera otchłanie przepaścistego piękna czy turnie wartości duchowych. Połączył się w tym dziele wysiłek wielkiego uczonego z zaletami pracy artysty.

Monografia o Mickiewiczu.

Tom pierwszy monografii o Mickiewiczu różni się pod wielu względami od dwu dzieł poprzednich, monograficznych. Gdy w książce, zwłaszcza o Słowackim, element biograficzny zredukowany został do minimum koniecznej potrzeby, — monografia o Mickiewiczu uwzględnia tło biograficzne w szerokiej mierze. Uznaje Kleiner wartość ponad czasową Mickiewicza — zestawia go ż Dantem i Goethem — ale też wie o tym, że „świat ducha jest światem historii" i że „kto go chce ująć w prawdzie żywej, musi się z tym liczyć". Dlatego też wyznacza zarówno twórcy jak i jego dziełu granice histo-

ryczne, umiejscawia w dziejach zjawisko genialnej twórczości. Wiąże się u Mickiewicza poezja z życiem, jak u żadnego z naszych wielkich romantyków; przeto owo tło historyczne staje się w monografii konieczne jako tło poznawcze. Nie jest bowiem Kleiner w monografii „Dziejów Gustawa" zwolennikiem metody wyjaśniania genezy utworu przez fakty biograficzne. Nie stanowią one nigdy dostatecznej racji ukształtowania dzieła. Z drugiej zaś strony badacz zdaje sobie sprawę z tego, że utwór sztuki literackiej nie pozostaje w izolacji od życia. Dlatego stosuje metodę: „niech tło uczyni dzieła wykwitami życia rozległego — niech izolacja pozwoli udostępnić twór artystyczny w jego samoistnej plastyce". „Dzieje Gustawa", — to zaledwie początek monumentalnego dzieła o Mickiewiczu, którego część druga — jak wiemy — gotowa już do druku. To jeszcze jeden rozdział z dziejów romantyzmu polskiego i europejskiego.

Filozoficzna myśl romantyzmu polskiego była głównym ogniskiem zawartości monografii o Krasińskim. Romantyczny styl sztuki literackiej był znowu czynnikiem konstrukcji książki o Słowackim. Zapewne dążenie do czynu na drodze rozwiązania typowej dla epoki romantycznej antynomii poezji i czynu stanie się centrum ideowym monografii o Mickiewiczu. Pierwszy jej tom p. t. „Dzieje Gustawa" swoim tytułem zapowiada jakby tom następny: „Dzieje Konrada". Jeżeli w części pierwszej przedstawia nam się Mickiewicz jako romantyczny poeta nieszczęśliwego w miłości serca; jeśli — jak spodziewać się wolno — w części drugiej zjawi się jako piewca cierpień narodu, wieszcz jego przyszłości, — to chyba część trzecia przyniesie nam obraz Mickiewicza — człowieka czynu. W ten sposób zamknie się — sądzę — kolisko fundamentalnych zagadnień romantyzmu polskiego: myśl — słowo — czyn, które wyraz znalazły w twórczości Krasińskiego, Słowackiego, Mickiewicza.

Zalążek monografii o Krasickim.

Jeżeli już mowa o książkach Kleinerowskich, stanowiących wspaniałą zaiste monografię romantyzmu polskiego, nie wolno pominąć pracy, która stanowi jakby zawiązek monografii poety epoki innej, wobec której romantyzm przybrał postawę bojową. To zalążek monografii o Krasickim.

Kleiner, jako autor monografii o największym i najbardziej typowym poecie polskim — epoki Oświecenia, — to zjawisko

zawierające w sobie moment niespodzianki. Ale to zarazem zjawisko, które znamiennie mówi o poglądzie na świat badacza, poglądzie jednolitym, zwartym pomimo różnych przedmiotów badania, różnych nawet metod. Zajmował się dotąd Kleiner pisarzami, — twórcami wartości etycznych, kręgiem twórców posiadających olbrzymie i trwałe znaczenie w dziejach ducha ludzkiego.

Książę biskup warmiński, Ignacy Krasicki znajduje się poza tym kręgiem. Typowy ten poeta kultury ma znaczenie jedynie w historii piśmiennictwa polskiego. Kleiner przyznaje wprawdzie Krasickemu oblicze poetyckie „poważne, przepojone poczuciem odpowiedzialności obywatelskiej", jednak nie trudno zauważyć, że w porównaniu z tytanami ducha jak Mickiewicz, Krasiński, Kasprowicz i inni, których twórczość rodzi się ze świata wartości najwyższych, waga biskupa-poety, którego twórczości cechą jest amorfizm moralno-etyczny, w ocenie Kleinera jest lekka. Kasprowiczowi np. należy się pochylenie głów i serc, uwielbienie dla jego bogactwa i prostoty; Krasickiemu — „od polskiej elity kulturalnej głęboki wersalski ukłon — pełne uznania schylenie głowy przed kimś nieśmiertelnie dostojnym i nieśmiertelnie uśmiechniętym".

To wyodrębnienie postaci Krasickiego z kręgu zagadnień tak znamiennego dla tematyki historyczno-literackiej Kleinera nie jest zapewne przypadkiem, ale może świadomym i celownym podkreśleniem, że mamy tu do czynienia z kręgiem problematów hierarchicznie niższym. Nasycona kulturalizmem oświeceniowym twórczość Krasickiego, daje równocześnie badaczowi sposobność do zaprentowania innego typu badań literackich, ustawienia aparatu badawczego pod innym kątem, aniżeli w odniesieniu do wielkich patetycznych zagadnień zawartości arcydzieł Mickiewicza, Kasińskiego i innych dawców idei.

W rozpatrywaniu zjawiska twórczości Krasickiego będzie więc położony nacisk na badania nawskroś formalne, którym — mimo mistrzowskich prób w rodzaju studium o bajkach Krasickiego — Kleiner jest i pozostanie daleki z natury swej postawy duchowej jako typ badacza-myśliciela przebywającego chętniej w świecie zagadnień najwyższych wartości etycznych, religijnych, filozoficznych.

Ważniejsze rozprawy literackie.

Miłośnik szczytów duchowych w monografiach, takim samym żarliwym badaczem wielkości ducha twórczego okazuje się Kleiner w rozprawach, tematycznie grupujących się dokoła „trzech wieszczów"; nierzadko jednak sięgają do epoki przedromantycznej i poromantycznej, do pozytywizmu, neoromantyzmu i współczesności. Ich problematyka — to problematyka najwyższych szczytów etycznych. Układa się ona w szereg spraw, które Kleiner porusza, omawiając takie np. arcydzieła literatury polskiej i europejskiej, jak „Pan Tadeusz", „Król Duch", „Edyp-król", „Faust", „Walka z szatanem", „Pieśń wieczorna", „Księga ubogich" i in. Oto np. problemat przezwyciężania determinizmu przyrodniczego na rzecz idealizmu, tak istotny dla Goethego, jak istotny jest też dla niego problemat dążenia i wyrzeczenia się, antynomia wartości osobistych i ponadosobistych. Oto sprawa inna: odpowiedzialność człowieka — jednostki za losy zbiorowości tak dobitnie przedstawiona u Mickiewicza, twórcy postaci Wallenroda i ks. Robaka. O służbie twórczej pracy wartościom ponadosobistym, które „zwyciężą pomimo klęski jednostek walczących", mówią np. szkice o „Faraonie" Prusa i o „Walce z szatanem" Żeromskiego. Podobnie widzi w Kasprowiczu, w twórcy „Pieśni wieczornej" i „Księgi ubogich", poszukiwacza nieestetycznych klejnotów, ale prawdy dogłębnej. Spokojne patrzenie Hera w oczy śmierci — to też próba etyki „wznoszącej się ponad interesy materialne". A w „Edypie" Sofoklesa: podkreślenie z jednej strony mszczącej się na człowieku przeszłości, lecz z drugiej — naświetlenie etyczne „wolności postawy duchowej bohatera, który nie uratuje wprawdzie ani swego życia i szczęścia, ale uratuje osobistość".

Synteza historii literatury polskiej.

Tropami wielkości zmierza również Kleiner w swych syntezach z zakresu historii literatury polskiej. Jedna z nich, — to dzieło napisane w języku niemieckim na zamówienie Oskara Walzela dla jego rozległego, obejmującego literaturę światową wydawnictwa pt. „Handbuch der Literaturwissenschaft"; druga, — to podręcznik szkolny do dziś stanowiący główną podstawę nauczania literatury polskiej w szkole średniej.

Fakt zwrócenia się Oskara Walzela, jednego z najwy-

bitniejszych przedstawicieli niemieckiej wiedzy o literaturze, do Kleinera z wezwaniem do współpracy nie był czymś przypadkowym. Walzel, badacz rozmiłowany w epoce romantycznej, jak Kleiner, podobnie też jak Kleiner, dąży do obiektywnych kategoryj analizy estetycznej dzieła literackiego. I on również rozprawia się z pozytywistycznym kierunkiem badań literackich. Walzel — podobnie jak Kleiner — za jedyny cel badań literackich uważał dzieło literackie, które poznać można tylko poprzez własne przeżycie receptora. I Kleiner i Walzel nie poprzestają na tym: obaj, w dużym stopniu uwzględniają w badaniach — obok kształtu — moment zawartości. Obaj — wreszcie — uznają konieczność wartościowania w badaniach dzieł literackich; walczą więc z relatywizmem unikającym ocen w badaniach historyczno-literackich, przy czym obaj zarówno dochodzą do wniosku, że o istotnej wartości dzieła świadczy jego zdolność wyrażenia ducha epoki. Te więc punkty styczne w poglądach na przedmiot, charakter i metody badań literackich wskazują wyraźnie linię współpracy Kleinera w wydawnictwie naukowym Walzela.

Z innych przyczyn wynikła synteza historii literatury polskiej w języku polskim, — w jej genezie tkwiła troska badacza o kulturę literacką młodzieży szkół średnich. Mimo takiego przeznaczenia książka Kleinerowska o literaturze jest jeszcze jedną rewelacją zarówno metody jak też stanowiska w poglądzie na świat jej autora. Zrywając z tradycyjną historią literatury, która w dziele widziała jedynie dokument kultury, a historię literatury traktowała jako drobną cząstkę historii kultury, — Kleiner, który pierwszy w Polsce wywalczył historii literatury stanowisko odrębne, dał w syntezie historyczno-literackiej obraz dziejów polskiej sztuki w zakresie słowa. Nie pominął wszakże — obok problematów literackich — spraw innych: religijnych, politycznych społecznych, gospodarczych, uwzględnił filozofię i rozwój sztuki. Jest to istotnie „opowieść o kulturze narodowej, ukazanej w szeregu dzieł literackich, i o ludziach ciekawych."

Dążność do oceny zjawisk, a w konsekwencji do ich hierarchizowania zaznacza się w konstrukcji książki wyraźnie: na pierwszym planie znajduje się to co wielkie i co winno być poznane wszechstronnie; na dalszym — to co wyraziste; na jeszcze dalszym „kilkanaście jeszcze postaci wybitnych". Tworzy się zatem, podyktowana potrzebą dydaktyczną widzenia przestrzennego, perspektywa tak pożądana w historii literatury.

Przeciwstawił się tradycji Kleiner i w tym, że jako podstawę podziału materiału obrał nie wypadki historyczno-polityczne, ale wyłącznie zjawiska literackie. Zaznaczyła się w tym typowa dążność do uniezależnienia dziejów literatury od historii politycznej. Nie zaniedbał Kleiner przedstawienia kontaktu polskiej literatury z obcą; z dumą podkreśla też momenty, kiedy twórczość polska „staje na wyżynie ogólnoeuropejskiej". Zaznacza wszakże pierwiastki rodzime zarówno w przejawach szczytowych jak też w twórczości dalszego planu.

Nie pozbawiona jest książka Kleinera o literaturze polskiej momentu dydaktycznego. Reprezentuje on jednak inny typ niż ujęcia tradycyjne. Kleinerowski dydaktyzm nie polega na bezpośredniej ocenie dzieła; wynika on z chęci zbliżenia młodego Polaka do dzieła sztuki, ułatwienia mu z nim obcowania, w przeświadczeniu, że dzieło samo, szczególnie arcydzieło, artystyczna rewelacja trwałych wartości, budująco oddziała na charakter człowieka.

Prace edytorskie.

Widząc w dziele literackim jedyny przedmiot badania, troską swą ogarnąć musiał Kleiner to, co stanowi materialny byt dzieła sztuki, a mianowicie tekst. I znów największą pieczą otoczył puściznę tekstową poety, nad którym pracował najdłużej: pracą „jedną z najważnieszych w życiu" nazwał Kleiner naukową edycję „Dzieł Wszystkich" Słowackiego. Pragnął — i w dużej mierze zrealizował swój plan — dać badaczowi i czytelnikowi przeciętnemu „istotnie nowe wydanie dzieł Słowackiego"; edycja ta, rozpoczęta w r. 1924 a przerwana skutkiem wybuchu wojny, przynosiła rzeczywiście zupełne, opracowane krytycznie i naukowo komentowane teksty Słowackiego w postaci zgodnej z intencjami twórczymi poety.

Z kart nowej edycji wychyliło się oblicze duchowe twórcy, nowe, nieznane prawie dotąd. A stało się to nie tylko dlatego, że w wydaniu pojawiły się pierwodruki z oryginalnych autografów, ale przede wszystkim dlatego, że zmiany sięgały głęboko zarówno w układ jak i treść utworu — dotychczasowe tzw. fragmenty luźne w całość organiczną. W tej pracy wszakże zwracał Kleiner zawsze uwagę na to, by nie rozminąć się z zamierzeniami twórczymi Słowackiego, by nie ulec błędom poprzedników. Dzięki więc tej metodzie, nacechowa-

nej krytycyzmem, ostrożnością, a nade wszystko intuicją badacza tekstu, edycja „Dzieł Wszystkich" Słowackiego stanowi w naszej nauce literaturze wzór niewątpliwy.

Dostarczenie autentycznego tekstu dzieł wielkich naszych romantyków szkole i w ogóle miłośnikom poezji kierowało również zamysłami edytorskimi Kleinera, gdy w rezultacie współpracy z popularnym wydawnictwem „Biblioteka Narodowa" obdarzył Kleiner polską publiczność literacką wzorowymi edycjami wybranych, najcelniejszych utworów Słowackiego i Krasińskiego, wśród których rewelacje mistrzostwa w zakresie zarówno krytyki jak i techniki edytorskiej tekstu przynosi „Beniowski" Słowackiego, dotąd — poza pierwszymi pięciu pieśnami — przedstawiający dla badacza istne „disiecta membra poetae", — od edycji zaś Kleinerowskiej nowa — zgodna z intencjami poety — intuicją współtwórczą wydawcy odbudowana całość organiczna.

Udział czynny w życiu kultury polskiej.

Uwzględnianie w pracy wydawniczej tekstów tego ważnego w kulturze czynnika, którym jest publiczność literacka, prowadzi do wniosku, że nie obce są dla Kleinera względy na uspołecznienie kultury literackiej w Polsce. Bliższe wejrzenie w tę sprawę pozwala nam zgromadzić wiele faktów świadczących bezpośrednio o tym, że uczony nasz dociekający z zadziwiającym znawstwem subtelności mistyki Słowackiego, jest w pełnym i najlepszym tego słowa znaczeniu działaczem, organizatorem, w potrzebie nawet publicystą zabierającym głos w sprawach kultury, jej istoty, aktualności, sposobów tworzenia jej zrzeszeń. W r. 1918, u progu odrodzonej państwowości polskiej, gdy zagadnienie szkolnictwa staje się podstawową sprawą kultury polskiej, Kleiner zabiera głos w publikacji osobnej. Ze spraw szkolnych interesuje go szczególnie dydaktyka języka polskiego. Z myślą o nauczycielu-poloniście i młodzieży szkół średnich powstaje w r. 1932 „Zarys dziejów literatury polskiej" doprowadzony do końca panowania Stanisława Augusta, oraz — po reformie szkolnictwa — w l. 1938—1939: „Zarys dziejów literatury polskiej" obejmujący pełną historię literatury po czasy najnowsze.

Inicjatorska działalność Kleinera na polu kultury zaznaczyła się szeregiem faktów, które on właśnie powołał do życia stworzył np. i redagował wydawnictwo „Badań Literackich"; w r. 1932 w Polskiej Akademii Umiejętności rzucił

myśl uczczenia stulecia „Pana Tadeusza" i w następstwie tego był jednym z czterech reprezentantów Polskiej Akademii Literatury na uroczystościach ku czci „Pana Tadeusza" w Paryżu i tam w Collège de France, — gdzie ongi Mickiewicz wykładał, — wygłosił odczyt o jego epopei narodowej.

I obecnie własnymi, żywymi oczyma patrzymy na przejawiającą się w licznych wyrazach energię w działalności kulturalnej Kleinera; on właśnie jest istotnym twórcą tutejszego życia literackiego: organizatorem „Klubu Literackiego", lubelskiego oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich, lubelskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza; on organizuje, jak długi rok akademicki, co środy posiedzenia Wydziału historyczno-filozoficznego Towarzystwa Naukowego K.U.L.; on wygłasza odczyty publiczne, oraz specjalne dla młodzieży szkolnej; twórczo pobudza dyskusję dbały o jej poziom; on — w końcu — w obcowaniu z badaczami literatury, kultury, z artystami, pracownikami sceny, z nauczycielstwem polonistycznym stanowił i stanowi zawsze to źródło, z którego promieniują sugestie i moce jego osobowości.

Europejskość Kleinera.

Jest jeszcze jeden rys, którego braknąć nie może nawet w tak szkicowym obrazie twórczości naukowej Kleinera: to europejskość jego działalności badawczej. Czy to w obszernych monografiach, syntezach, rozprawach czy w drobnych szkicach, wszędzie zaznacza się dobitnie ów pierwiastek europejski. Polega on na tym, że Kleiner — znakomity komparysta — bada zawsze literaturę polską w skali porównawczej, wykazując u poszczególnych poetów ich obcowanie duchowe z twórcami obcymi, ich zdolność oryginalnego przetwarzania motywów przejętych, ich wreszcie samodzielną pracę na miarę twórczych wysiłków pisarzy europejskich. Nie chodzi jednak tylko Kleinerowi o podkreślenie linii zbieżnych literatury polskiej z literaturami europejskimi; europejskość badacza zaznacza się też w posługiwaniu się nowoczesnymi metodami badawczymi, opartymi o ostatnie trwałe zdobycze myśli europejskiej. Zerwał tedy Kleiner decydująco z zaściankowością w badaniach literackich; polską naukę o literaturze wprowadził na tory badań europejskich, którymi obecnie postępuje. Sam znany i cytowany na terenie europejskiej metodologii badań literackich, otwiera Kleiner zarazem szereg tych w Polsce badaczy literatury polskiej, którzy jak: Wacław

Borowy, Manfred Kridl, Julian Krzyżanowski i i., w pracach swoich dokumentują ścisły kontakt literatury polskiej z Europą, związek naszej nauki o literaturze z nauką europejską.

Zakończenie.

Jest więc Kleiner z typu badaczy wielkiej miary: zarzucił bezpłodne przyczynkarstwo, podjął problematykę zasadniczą zarówno na terenie historii literatury jak też metodologii badań, tchnął w nie ducha nowoczesnej Europy w najlepszym znaczeniu słowa. Badał zarówno kształt dzieła literackiego jak i jego zawartość. Dążył zawsze do pełni obrazu obiektywnie rysowanego. Lecz i poprzez ów obiektywizm przeziera osobowość badacza, sprawiająca, że jego dzieło naukowe pociąga urokiem bezpośredniości przeżyć, oraz intuicji twórczej; staje się swoistego rodzaju dziełem sztuki.

W tym dziele, stanowiącym całość organiczną rezultatów zarówno czynności intelektualnych jak też procesów emocjonalnych, znajduje się nadto element związany z osobowością badacza: składnik wartości. On to — jak już wiemy — jest ośrodkiem najwyższego napięcia uwagi Kleinera: badanie wartości, które dzieło literackie przynosi, stanowi najważniejszy punkt programu metodologicznego u Kleinera. Wartości: religijne, filozoficzne, etyczne w dziele sztuki sprawiają że arcytwory literatury w doznaniu estetycznym są czynnikiem moralnie budującym: wiodą na szczyty, przezwyciężają pesymizm, budzą entuzjazm, dają poczucie osiągnięcia pełni. Elementy te można zauważyć w postawie duchowej Kleinera wobec przedmiotu badania. Cechuje ją jakiś iście romantyczny dynamizm, jakby bergsonowski élan vital, entuzjazm i zachwyt dla prawdziwie wielkiego działa sztuki. Jest w tej postawie wiele z dilthey'owskiego postulatu życia i przeżycia jako punktu wyjścia dla poznania. Ale bynajmniej jak Diltheyowi tak i Kleinerowi nie idzie tylko o obraz statyczny świata, sprowadzonego jedynie do wrażeń i przedstawień, nie idzie o stosunek wobec świata ograniczony do jego oglądania. Jak Dilthey tak i Kleiner dążą do pełni życia: swój obraz świata fundują też na uczuciach i pożądaniach; kształtuje on się im dynamicznie. Stąd taka u Kleinera żądza wartości, która wyraz znajduje zarówno w wyborze przedmiotu jak też dróg badania. Stąd taka dążność do hierarchizacji zjawisk. Nie ze wszystkimi będzie obcował, ale tylko z tymi nielicznymi, jedynymi, niepowtarzalnymi, ze szczytami wielkich

osiągnięć artystycznych, a zarazem wielkich syntez wartości etycznych. I w tym właśnie wyborze uwydatnia się znamiennie cała moralność pracy badawczej Juliusza Kleinera. Studium jego prac daje nie tylko rozkosz intelektualną, ala zadowala w pełni tkwiący w człowieku zmysł wartości etycznych.

I dlatego sądzę że w tym dniu jubileuszowym w którym przypadł mi zaszczytny obowiązek publicznego rozważania pracy badawczej i działalności kulturalnej Juliusza Kleinera, godzi się na zakończenie uwag niniejszych, gdy chcemy wyrazić szczególnie ów pożytek moralny płynący z obcowania z twórczą myślą Jubilata, przytoczyć Jego własne słowa, które wyrzekł o arcydziele poezji naszej, — o „Panu Tadeuszu": „Arcydzieła podnoszą i bogacą i wzmacniają tym, że są — arcydziełami. Umoralnieniem jest każde wejście na szczyt". —

Konstanty Grzybowski

MARKSIZM A DEMOKRACJA

1. Przeciwstawienie metodologiczne.

Zasadnicze przeciwstawienie marksistowskiego i demokratyczno-burżuazyjnego ujęcia konstytucji możnaby ująć w zdanie: dla marksizmu konstytucja jest rejestracją faktów, dla demokratyczno-burżuazyjnego ujęcia konstytucja jest rejestracją postulatów.

Względnie czysty typ takiego demokratyczno-burżuazyjnego ujęcia daje nam ten okres, w którym doktryny demokratyczne powstawały jako zwarty i racjonalistyczny system. Świadome tworzenie ideologij i ustrojów demokratycznych, to epoka hegemonii racjonalizmu. Racjonalizm „przeciwstawia człowieka naturze, obcej prawom rozumu. Sprowadzając ewolucję człowieka do rozwoju intelektualnego i udoskonalenia moralnego, racjonalizm dojść musi do ujmowania człowieka w sobie jako indywiduum a nie jako element społeczny, dochodzi do pojęcia człowieka uniwersalnego jako typu, do pojęcia ludzkości wcielającej się ze swymi specyficznymi cechami w każdą jednostkę".[1] Odnośnie do ustroju państwa jest więc racjonalizm wyrazem wiary, że „prawdę" można znaleźć przy pomocy racjonalistycznego rozumowania i że wystarczy przy pomocy tego rozumowania znaleźć odkryć „prawdziwy" ustrój państwa, wystarczy go ogłosić, by stał się on rzeczywistością, oraz wyrazem wiary, że ustrój „idealny" jest tak samo, w tym samym stopniu idealnym i dobrym dla każdej jednostki, dla każdego społeczeństwa, dla każdej epoki. Ustawowe pojęcie tego sposobu myślenia, deklaracje praw „uznawały i ogłosiły" podstawowe zasady ustroju, „prawa naturalne, niepozbywalne i święte" w przekonaniu że tylko „nieświadomość, zapomnienie lub pogarda praw człowieka są jedynymi przyczynami nieszczęść publicznych i korrupcji rządu",[2] że ich odkrycie wystarczy, by stały się one rzeczywistością. Siła idei i myśli była dla nich czynnikiem prawo tworzącym, czynnikiem decydującym.

[1] A. Cornu: Marxisme et ideologie (La Pense'e. Paris 1945. Z. 2. str. 95).
[2] Deklaracja praw 26 sierpnia 1789.

Marksistowskie przeciwstawienie takiego ujęcia konstytucji dał najściślej — socjalista ale nie marksista — Lassale. „Faktyczne stosunki siły, istniejące w każdym społeczeństwie są tą czynnie działającą siłą, która wszystkie ustawy i urządzenia prawne danego społeczeństwa określa w ten sposób, iż w istocie nie mogą być innymi, niż są . . . te faktyczne stosunki siły, spisuje się na kawałku papieru, daje się im wyraz na piśmie, a gdy już zostaną spisane, są nie tylko faktycznymi stosunkami siły, lecz stały się prawem, urządzeniami prawnymi".[3] Ale punktem wyjścia była marksistowska nauka o państwie, marksistowskie przeciwstawienie się idealistycznemu ujmowaniu państwa, widoczne już w samych zaczątkach marksizmu.

Historycznie tym punktem wyjścia marksistowskich poglądów na państwo jest rozprawa Marksa: „Krytyka heglowskiej nauki o państwie".[4] Występują już tu cechy jego późniejszego sposobu ujęcia zagadnienia państwa, występuje przy tym szczególnie wyraźnie charakter polemiczny jego teorii. „Krytyka" jest polemiką z podstawową zasadą teorii heglowskiej, iż konstytucje prawne i różne formy państwa dadzą się wytłomaczyć same w sobie, przez „rozwój Ducha ludzkiego" — gdy dla Marksa wypływają one z warunków materialnych życia, z tego, co Hegel — za wzorem Anglików i Francuzów — nazywa „społeczeństwem cywilnym". Hegel szukał uzasadnienia instytucji politycznych i społecznych w „moralności objektywnej" jako wyrazie „racjonalnej woli", uważał więc ewolucję ustrojcwą i społeczną za logiczny wynik, konsekwencję pewnych apriorycznych zasad ogólnych. Idea, duch ucieleśnia się dla Hegla najpierw w sposób niedoskonały w rodzinie i społeczeństwie („bürgerliche Gesellschaft"), znajduje potem w państwie świadomość swej prawdziwej istoty i realizuje się w nim. Idea determinuje rozwój państwa, tak, jak państwo, jako wyższa formą (nawet: najwyższa forma) wcielenia idei, determinuje rozwój i istnienie społeczeństwa.

Dla Hegla więc „podmiot idei był atrybutem idei". Hegel nie określał myśli wedle jej przedmiotu, lecz — przeciwnie — przedmiot myśli wedle pojęcia z góry ustalonego, umieszczone-

[3] Über Verfassungswesen (1862), wyd. Berlin 1923, str. 29, 34. Wpływ tego ujęcia na marksizm por. u Mołotowa: La Democratie sovietique (Paris 1935), str. 15.

[4] Kritik des Hegelschen Staatsrechts. Deutsch-Französische Jahrbücher 1843. Werke I. 1. str. 403. m. por. analizę tego artykułu i jego znaczenia dla rozwoju myśli Marksa u Augusta Cornu: Karl Marx, l'homme et l'oeuvre. De l'hegelianisme au materialisme historique. Paris Fleau 1934.

go w abstrakcyjnej sferze logiki. Nie szło mu o wyjaśnienie konkretnej idei ustroju politycznego, ale — przeciwnie — o uczynienie z konkretnych ustrojów ogniwa w rozwoju idei samej w sobie „co jest — ocenia Marks — oczywistą mistyfikacją". Odsłonienie tej mistyfikacji było punktem wyjścia krytyki Marksa. Tezą jego było: państwo jest wyrazem i wynikiem rzeczywistości społecznej, „rodzina i społeczeństwo cywilne" tworzą państwo wedle i dla swoich interesów, państwo współczesne jest stworzone i istnieje dla ochrony jego specyficznej religii — własności prywatnej. Analiza państwa z punktu widzenia podłoża społecznego była historycznie i jest metodologicznie punktem wyjścia marksizmu.

Taka analiza musi się posługiwać specyficzną metodą, przyjętą od Hegla (jedyny to w istocie punkt w którym Marks pozostał heglistą, punkt formalny, a nie merytoryczny i z gruntu przekształcony) metodą „dialektyczną". Jeśli państwo jest — jak chce Hegel — realizacją „idei" to „rozwój" jest stałym doskonaleniem rzeczywistości z punktu widzenia jednej, niezmiennej zasady. Jeśli natomiast państwo jest odbiciem każdorazowej rzeczywistości społecznej, to „dialektyka" staje się narzędziem metodologicznym o wiele subtelniejszym, jest „badaniem sprzeczności w samej istocie przedmiotów".[5] Dialektyka jako metoda realizowania idei objektywnej a więc tkwiącej poza jednostką ludzką, prowadzić musi do mistycyzmu; jeśli natomiast dialektyka jest badaniem zmienności, zachodzącej w konkretnej rzeczywistości społecznej — to jest przeciwstawieniem wszelkiemu mistycyzmowi, „idealne" jest dla niej — w najskrajniejszym ujęciu „materialnym, przeniesionym do głowy ludzkiej i przetworzonym w niej".[6]

W takiej tezie tkwi już to, co nazywamy „materializmem historycznym". Wulgarne jego ujęcie powiada: wedle materializmu historycznego, jedyną przyczyną w s z y s t k i c h zjawisk społecznych są zagadnienia gospodarcze: sposób produkcji dóbr materialnych jako sposób zdobywania środków do życia. Ale jest to nie słuszne i tendencyjne upraszczanie materializmu historycznego. „Według materialistycznego pojmowania dziejów momentem, decydującym w historii w o s t a t n i e j

[5] Lenin: Zeszyty filozoficzne (u Stalina: O materializmie dialektycznym i historycznym, Lublin 1945, str. 10).

[6] Marx: Das Kapital. I. Band. Nachwort zur II. Auflage. Tłumaczenie „Das Ideelle" przez „ruch idei" jak się to zwykle stosuje wydaje się nieścisłe.

instancji jest produkcja i reprodukcja rzeczywistego życia. Jeśli więc kto przekręci to w tym sensie jakoby moment ekonomiczny był jedynie decydującym; to zamieni się owo twierdzenie w nic nie mówiący, abstrakcyjny, niedorzeczny frazes".[7] Nie wyłączna zależność wszystkich zjawisk od jednej przyczyny: podłoża gospodarczego, ale współzależność wszystkich zjawisk z tym że podłoże gospodarcze odgrywa rolę ostatecznie decydującą jest więc założeniem materializmu dziejowego. „XVIII Brumaire Ludwika Bonaparte" Marksa jest właśnie typem takiej materialistycznej analizy historycznej, która uwzględnia współzależność zjawisk, wskazuje jak inne zjawiska społeczne opóźniają działanie decydującego podłoża gospodarczego. „Ludzie tworzą swoją własną historię, ale nie tworzą jej dowolnie, nie w wybranych przez siebie okolicznościach lecz w takich, w jakich się bezpośrednio znaleźli, jakie zostały im dane i przekazane. Tradycja wszystkich zmarłych pokoleń ciąży jak zmora na mózgu żyjących"[8] — oto założenie tej pracy, wskazujące zarazem na sens materializmu historycznego: nawarstwienia ideologiczne i instytucjonalne przeszłości osłabiają, lub „zakrywają" lub wykrzywiają działanie podłoża gospodarczego, które decyduje nie zawsze i nie wyraźnie i nie odrazu, lecz ostatecznie.

Przeciwstawienie między marksistowskim a demokratyczno-burżuazyjnym ujęciem zagadnień państwa, jego ustroju, demokracji tkwi więc w samym sposobie podejścia do tych zagadnień. W konsekwencji — pojęcie demokracji spełnia w każdym z tych ujęć zupełnie odmienną funkcję. Dla ujęcia demokratyczno- burżuazyjnego demokracja jest pewnym idealnym schematem ustrojowym; wystarczy utrwalić ten schemat w konstytucji, by państwo stało się demokratycznym. Dla myślenia marksistowskiego nie istnieje absolutne, oderwane od rzeczywistego układu sił społecznych, pojęcie demokracji. Decydującym przy ocenie „demokratyczności" danego konkretnego ustroju nie jest treść norm konstytucji, ani treść panującej ideologii, ale stosunek ideologii demokratycznej i demokratycznych przepisów konstytucji do rzeczywistego układu sił społecznych. Przy tej samej treści przepisów konstytucji demokracja może być rzeczywistością, może być rzeczywistością tylko częściowo, może być tylko „ideologią", „mistyfikacją",

[7] Engels: List do Józefa Blocha (Marks: Dzieła wybrane, Moskwa 1944, str. 384).
[8] wyd. Moskwa 1936, str. 9.

której funkcją polityczną jest właśnie zasłanianie, sprzecznej z nią, rzeczywistości.

Dlatego też dla myślenia demokratyczno - burżuazyjnego wystarczało znieść prawne ograniczenia wolności i równości, wystarczało ustanowić w zasadzie nieograniczoną sferę wolności jednostki i zadeklarować równość wobec prawa, by suwerenność ludu a. więc demokracja stała się rzeczywistością. Wystarczało bronić demokracji od prób prawnego ograniczenia wolności i równości, by zapewnić jej panowanie. Wystarczało wpoić w jednostki wiarę w nienaruszalność i świętość tych zasad, by wychować społeczeństwo demokratyczne. Dojście do władzy demokracyj tego typu było rewolucją p o l i t y c z n ą — i tylko polityczną, gdyż uważano że wystarczy zmienić ustrój polityczny, by jednostka była wolna, równa i by suma wolnych i równych jednostek była zbiorowym suwerenem.

Dla marksizmu treść deklaracyj konstytucyjnych była tylko ideologią. Ideologia mogła być nadbudową nad rzeczywistością, ale mogła być także mistyfikacją. Jej dialektyczne znaczenie mogło być w różnych epokach różne. Powstając demokracja była nadbudową nad rzeczywistością, wyrazem ideologicznym upadku systemu feudalnego. Była krokiem naprzód. „Republika demokratyczna i powszechne prawa wyborcze były w porównaniu z feudalnym porządkiem ogromnym postępem: dały proletariatowi możność osiągnięcia tego połączenia i tego zjednoczenia, które posiada stworzenie tych zwartych i zdyscyplinowanych szeregów, które prowadzą systematyczną walkę przeciw kapitałowi. Republika mieszczańska, parlament, powszechne prawo wyborcze — wszystko to, z punktu widzenia rozwoju światowego społeczeństwa, przedstawia ogromny postęp. Ludzkość szła ku kapitalizmowi i dopiero kapitalizm dzięki kulturze miejskiej, dał uciskanej klasie proletariuszy świadomość samych siebie."[9]

Demokracja mieszczańska jest więc dla ujęcia marksistowskiego etapem koniecznym i pozytywnym, w rozwoju ludzkości. Ale tylko etapem. W fazie tej demokracja jest tylko f o r m a l n ą. Istnienie prywatnej własności środków produkcji powoduje iż „wolność" i „równość" nie przysługują wszystkim. Państwo, pozornie demokratyczne, jest w istocie narzędziem,

[9] Lenin: Über den Staat (mowa 11 lipca 1919, cytuję według wydania Berlin 1929, str. 15).

przy pomocy którego klasy posiadające utrzymują swą władzę nad proletariatem, jest narzędziem dyktatury burżuazji.

Etapem dalszym musi być zniesienie prywatnego posiadania środków produkcji, wyzysku człowieka przez człowieka, socjalizm a w dalszym rozwoju komunizm. Różnice w poglądzie na metodę usunięcia wyzysku człowieka przez człowieka — to najistotniejsze różnice między współczesnym ujęciem demokracji mieszczańskiej przetworzonej w demokrację socjalną, reformizmem, marksizmem „czystym".

II. Walka klas a demokracja.

Stwierdzenie związku między klasowym charakterem społeczeństwa a istotą i funkcją państwa nie jest cechą wyłącznie marksizmu. Spotykamy się z nim i w liberalnej teorii państwa. Tam jednak państwo odgrywa rolę arbitra między sprzecznymi interesami klasowymi. Przykładem może być choćby ujęcie Johna Stuarta Milla:[10] „każde społeczeństwo nowożytne którego nie rozdzielają silne antypatie rasowe, językowe lub narodowe, da się podzielić na dwa wielkie działy, odpowiadające, z wyjątkiem niektórych lekkich odcieni, dwom przeciwnym kierunkom interesów pozornych. Nazwijmy te dwa działy jeden działem pracujących, drugi działem żyjących z owocu pracy. W tym drugim dziale zamieszczamy nie tylko kapitalistów którzy już się usunęli od interesów i ludzi, którzy otrzymali majątek w spadku, ale zarazem i tych hojnie płaconych pracowników (na polu nauk i sztuk wyzwolonych), których wychowanie i sposób życia zbliża do bogatych, i którzy usiłują i mogą z czasem wynieść się do tej klasy. Z drugiej strony do działu pracujących zaliczamy i ową klasę ludzi żyjących z owoców pracy, która ze względu na swe interesa, zwyczaje i wykształcenie należy do klas robotniczych i wspólnie z nimi ma żądze, upodobania i cele — jednym słowem klasę drobnych przemysłowców.

W społeczności podobnie złożonej, gdyby było podobieństwem stworzyć system reprezentacyjny teoretycznie doskonały i utrzymać go w tym stanie, ustrój jego powinienby być taki aby w nim obie klasy, to jest klasa pracujących i klasa używających owoców pracy, równoważyły się między sobą, mając po równej liczbie głosów w parlamencie. Przypuściwszy, że więk-

[10] O rządzie reprezentacyjnym (przekład polski Kraków 1866, str. 98. n.).

szość każdej klasy będzie się we wszystkich czynnościach kierowała interesem li tylko klasowym to przecież w każdej z nich znajdzie się mniejszość, w której wzgląd ten będzie podporządkowany pod rozum, sprawiedliwość i dobro ogółu. Otóż ta mniejszość jednej z klas, połączywszy się z drugą klasą, przemoże zawsze większość niegodną przewagi. Dlaczego w społeczności jako tako ukonstytuowanej sprawiedliwość i interes ogólny przemagają zwykle ostatecznie? Dlatego, że w społeczeństwie ludzkim panują rozmaite rodzaje egoizmu. Niektóre egoizmy licują ze złem, ale są i takie które się jednoczą z dobrem: a ludzie którzy się wyższymi względami kierują, jakkolwiek zanadto nieliczni i zanadto słabi aby sami o swojej sile mogli zyskać przewagę, po przeprowadzonej dyskusji i odpowiedniej agitacji bywają zwykle dosyć silni, aby zjednać przewagę tej grupie interesów prywatnych, która przedstawia tę samą konkluzję co ich bezinteresowność". Założeniem jest więc, iż interesy klasowe mogą być uzgodnione. Tezą, iż państwo służy do uzgadniania tych interesów. Ale założeniem niewypowiedzianym jest, iż uzgodnienie ma się odbywać na płaszczyźnie istniejącego stanu faktycznego, a więc istniejących pozycyj gospodarczych każdej z klas, istniejącego podziału własności i ośrodków dyspozycyjnych produkcji i wymiany. To niewypowiedziane założenie nadaje właśnie teorii państwa jako arbitra między sprzecznymi interesami istotny jej charakter — utrzymania istniejącego zasadniczego wzajemnego układu sił między klasami. Wobec tego istotnego założenia ma teza o państwie — stojącym nad klasami arbitrze — charakter „ideologii" zakrywającej rzeczywistość społeczną. Konkretnie zaś może być łagodzeniem ale nigdy zmianą tej rzeczywistości.

Dla Mille'a państwo jest arbitrem między sprzecznymi interesami klasowymi. Dla tych grup marksistowskich, których formą organizacyjną była — ogólnie biorąc — Druga Międzynarodówka państwo może być w pewnych okresach wyrazem równowagi między klasami; takim typem państwa jest dla nich państwo demokratyczne i dlatego grupy te uważają demokrację mieszczańską za drogę umożliwiającą realizację socjalizmu. Wychodzą one z założeń marksistowskich, ale pod wpływem i potrzeb własnej taktyki politycznej (współudział w rządach łącznie z lewicą mieszczańską) i tezy, iż Marks tego rodzaju ewolucji „nie przewidział" modyfikują te założenia — stąd „rewizjonizm" jako określenie ich teorii.

Socjologiczno-psychologiczne podstawy rewizjonizmu odzwierciedlają dobrze poglądy Hermana Hellera:[11] „Faktyczną historyczno-psychiczną podstawą parlamentaryzmu jest nie wiara w publiczną dyskusję jako taką, lecz wiara w istnienie wspólnej podstawy dyskusji a przez to w możliwość fair play w stosunku do wewnętrzno-politycznego przeciwnika, przekonanie iż istnieje możliwość porozumienia się z nim przy wykluczeniu nagiej siły ... Proletariat będzie respektował demokratyczną (to jest formalnie demokratyczną, w przeciwstawieniu do rewolucyjnej. przyp. mój) formę walki klasowej tylko pod dwoma warunkami: mianowicie wtedy, jeśli zapewnia mu ona jakiekolwiek widoki zwycięstwa i jeśli jest w stanie odkryć duchowo-moralną podstawę i historyczną konieczność współczesnej sytuacji rządzenia. Zależy to oczywiście w pewnym stopniu od rozsądku proletariatu; ale w o wiele wyższym stopniu od duchowo-moralnych właściwości rządzących i ich zwolenników. Mąż stanu, który nie stara się uczciwie o to, by jego polityczne decyzje wznosiły się ponad przesądy klasowe; sędzia, który nie stara się stale o to, by wzajemnie odtwarzać wartościującą sądy wszystkich klas i w ten sposób uniknąć klasowego nastawienia judykatury; oni i wszystkie inne instancje państwowe okazują wtedy proletariuszowi nagie państwo klasowe, które niema dla niego żadnej mocy obowiązującej. Bourgeois ujawnia się wtedy proletariuszowi jako nie jednogatunkowy z nim; wtedy proletariusz przeciwstawia dyktaturze burżuazyjnego państwa klasowego swój ideał proletariackiej dyktatury klasowej".

Socjologiczno-strukturalne uzasadnienie rewizjonizmu ma swe początki w poglądach Karola Kautsky'ego, rozwinęła je najwyraźniej wiedeńska szkoła socjalistyczna lat 1917 — 1923 (zwłaszcza Karl Renner i Otto Bauer). Dla Kautsky'ego[12] jest demokratyczna republika formą państwową dla realizacji socjalizmu". Dla Rennera „tkwi rdzeń socjalizmu już dziś we wszystkich instytucjach państwa kapitalistycznego ... państwo służy coraz bardziej przeważnie proletariatowi, a tylko ekonomja jeszcze wyłącznie klasie kapitalistycznej." Przez współczesne państwo widzi on drogę do socjalizmu. Ostrożniej subtelniej, choć przede wszystkim pod sugestią rządów so-

[11] Politische Demokratie und soziale Homogenität. Probleme der Demokratie I. Berlin 1928.

[12] Das Erfurter Programm 1892.

cjalistycznych w Austrii, analizuje współczesny stosunek socjalizmu do państwa Otto Bauer.[13] Współczesne państwo demokratyczne zdaniem jego może nie być państwem klasowym wtedy „gdy klasy muszą dzielić władzę państwową między siebie". W państwie takim może istnieć „równowaga sił klasowych". Państwo takie nie jest ani państwem burżuazyjnym, ani państwem proletariackim. Przykładem takiego państwa jest dla Bauera Austria lat 1919 — 1921". „Była (ona) republiką, w której żadna klasa nie miała dość siły, by rządzić innymi klasami, i dlatego wszystkie klasy musiały dzielić między siebie i łącznie władzę państwową. W ten sposób rzeczywiście miały wszystkie klasy narodu swój udział we władzy państwowej, działalność państwa była rzeczywiście rezultatem wszystkich klas narodu".

U grup socjalistycznych, jeszcze luźniej związanych z marksizmem akceptacja państwa współczesnego jest dalej posunięta. Dla pierwszego, nie tylko przywódcy ale i teoretyka współczesnego socjalizmu angielskiego, Ramsaya Mac Donalda[15] „socjalista uważa państwo za równie istotne dla życia jednostki, jak powietrze i uważa rozwój demokracji politycznej za niezbędny dla twarzenia państwa". Najwybitniejszy dziś teoretyk socjalistycznej nauki o państwie w Anglii, Harold Lasky podziela wprawdzie marksistowski sceptycyzm wobec fikcji „dobra współczesnego", — ale stosuje go także do społeczności socjalistycznej i uważa państwo za formę kompromisu między sprzecznymi interesami: „Każde społeczeństwo jest tak skomplikowane w swym składzie, że — poza formalnymi celami prawa — nie może być zredukowane do jedności jednego ogólnego dobra. Zawiera w sobie wiecznie antytetyczne interesy, jak np. katolika rzymskiego, dla którego ostateczną prawdą są zdania Syllabus z 1864 r. i marksistowskiego komunisty, który znachodzi ostateczną prawdę w obwieszczeniach Trzeciej Międzynarodówki. Jeśli nigdy niema jedności ogólnego dobra — to organ społeczeństwa może tylko częściowo wyrażać wspólne dobra, co do których ludzie są zgodni. Nie możemy nigdy osiągnąć zupełnego zaspokojenia życzeń, ale w najlepszym razie tylko częściowe zaspokojenie wystarczające dla zachowania kompromisu, który ludzie uważają za mniej niezadawalający, niż jakikolwiek inny

[13] Marxismus. Krieg und Internationale 1917.
[14] Die österreichische Revolution 1920.
[15] Le socialisme et la société 1920.

osiągalny.[16] Między tym typem socjalizmu a liberalizmem w rodzaju J. St. Mille'a różnica jest mniej wielka niż między takim socjalizmem a czystym socjalizmem marksistowskim.

Powrót do czystego socjalizmu marksistowskiego jest wielkim dziełem naukowym Lenina. Jego praca „Państwo i rewolucja" jest postacią doktryny Marksa i Engelsa, a krótki odczyt „O państwie" (z 11 lipca 1919) skondensowaną syntezą tej nauki. Wykrywa on istotną cechę reformistycznych doktryn socjalizmu: „oportunizm ten ogranicza teren, na którym uznaje walkę klas do terenu stosunków prywatnych", a więc wykrywa wewnętrzną sprzeczność doktryny, dla której w tym samym społeczeństwie w życiu gospodarczym istnieje walka klas, ale funkcją ustroju politycznego — będącego nadbudową tego właśnie życia gospodarczego — jest „równowaga klas" a więc kompromis między klasami. Lenin wraca do tezy marksistowskiej: „przyswoił sobie istotę marksistowskiej nauki o państwie ten tylko, kto pojął, że dyktatura j e d n e j klasy jest sama w sobie konieczna dla każdego społeczeństwa klasowego... Formy państw mieszczańskich są bardzo różnorodne, ale ich istota jest jedna: wszystkie te państwa są w ten czy inny sposób, ale ostatecznie, bezwarunkowo, dyktaturą burżuazji"[17]. „Państwo jest produktem i wyrazem bezkompromisowości walki klasowej. Państwo powstaje tam, wtedy i o tyle, gdzie i kiedy i o ile przeciwieństwa klasowe nie mogą być objektywnie uzgodnione; i odwrotnie: istnienie państwa dowodzi, iż przeciwieństwa klasowe nie są do uzgodnienia". Tezy zgodne z podstawowymi założeniami Marksa i Engelsa. „Państwo i organizacja społeczeństwa nie są, z politycznego punktu widzenia, odrębnymi rzeczami"[18]. Władza polityczna jest w istocie óficjalnym wyrazem antagonizmu klas w społeczeństwie. To jest społeczeństwo, to są stosunki społeczne, oparte na antagoniźmie klas. Te stosunki nie są stosunkiem jednostki do jednostek, lecz robotnika do kapitalisty, chłopa do właściciela ziemskiego itd. Usuńcie te stosunki, a zniszczyliście całe społeczeństwo"[19]. Współczesne burżuazyjne stosunki własno-

[16] Das Recht und der Staat, Zeitschrift für öffentliches Recht. 1930.

[17] 1917. Pierwszy przekład polski Ludwika Kulczyckiego 1919. Obecnie Moskwa 1945.

[18] Marx: Kritische Randglossen.

[19] Marx: Elend der Philosophie.

ści są „utrzymane" przez władzę państwa, które burżuazja zorganizowała dla ochrony swego ustroju własności"[20].

Ale — podobnie jak wulgaryzowane jest marksistowskie ujęcie materializmu historycznego i marksistowskie ujęcie klas społecznych, tak i marksistowskie ujęcie państwa często ulega wulgaryzacji. Wulgaryzacją jego jest teza, iż marksizm wobec każdej sytuacji dziejowej i każdej formy państwa zajmuje takie samo stanowisko. Założenie tego stanowiska, pogląd na istotę zagadnienia jest zawsze taki sam, podobnie jak podłoże gospodarcze zawsze w ostatecznym wyniku zwycięża. Ale jak od prawidłowości materializmu dziejowego mogą być — czasowo i znaczeniowo ograniczone — dewiacje, tak i funkcja państwa w społeczeństwie może być różna.

a) Mogą istnieć bardziej pozorne, niż istotne, ale mogą istnieć momenty równowagi klasowej. W społeczeństwie kapitalistycznym równowaga ta znachodzi wyraz i w funkcji państwa. Wyjątkowo zdarzają się okresy, gdy walczące klasy są tak bliskie wzajemnej równowagi, iż władza państwowa jako pozornie pośrednicząca zyskuje chwilowo pewną samodzielność wobec obu"[21]. Od ujęcia tego do poglądów Ottona Bauera (który powoływał się na nie zresztą) nie jest tak daleko. Różnica leży w podkreśleniu pozorności równowagi klas u Engelsa oraz w podkreśleniu chwilowości niezależności (już nie „pozornej") władzy państwowej — i Bauer zresztą dojść musiał do tej konkluzji, stwierdzając iż już w październiku 1920 (układ genewski) mamy do czynienia z próbą „restauracji burżuazji", która chce „przy pomocy zagranicznego złota ugruntować swą władzę klasową w republice".

b) Nie każda forma państwa służy w tym samym stopniu interesom burżuazji. Już „Manifest komunistyczny" (1848) stwierdzał iż „komuniści działają wszędzie na rzecz łączności i porozumienia partyj demokratycznych wszystkich krajów". W okresie najbardziej bojowego komunizmu (11 lipca 1919) głosił Lenin: „Republika demokratyczna i powszechne prawo wyborcze były ogromnym postępem w porównaniu z ustrojem feudalnym: dały proletariatowi możność osiągnięcia tego zjednoczenia i połączenia, które posiada, stworzenia tych zwartych i zdyscyplinowanych szeregów, które prowadzą

[20] Marx: Moralisierende Kritik.
[21] Engels: Pochodzenie rodziny.

systematyczną walkę przeciw kapitalizmowi. Republika mieszczańska, parlament, prawo wyborcze — to wszysko stanowi z punktu widzenia światowego rozwoju społeczeństwa niezmierny postęp. Ludzkość szła ku kapitalizmowi, a dopiero kapitalizm przyniósł, dzięki kulturze miejskiej, uciśnionej klasie proletariuszy świadomość siebie samej i pozwolił na powstanie tego międzynarodowego ruchu robotniczego i tych milionów robotników zorganizowanych w całym świecie w partiach socjalistycznych, którzy świadomie kierują walką mas. Bez parlamentaryzmu, bez prawa wyborczego byłby ten rozwój klasy robotniczej niemożliwym i dlatego to wszystko ma w oczach samych najszerszych mas tak wielkie znaczenie". To stanowisko tłumaczy różnolitość stanowiska komunizmu wobec różnych form ustroju współczesnego, jego stanowisko wobec walki faszyzmu z demokracją, współczesny rozwój jego taktyki, jest pewną wskazówką dalszej jego ewolucji.

Komunizm prowadził krytykę reformizmu („oportunizmu" w jego ujęciu) z punktu widzenia doktryny. Jego zasługą naukową jest ponowne „odkrycie" czystej doktryny marksistowskiej. Ale istotną krytyką socjologiczną może być tylko konfrontacja założeń reformizmu z rzeczywistością społeczną, krytyka reformizmu z punktu widzenia jego własnych założeń, którymi jest właśnie analiza współczesnej rzeczywistości w oderwaniu od wcześniejszej doktryny.

a) Założeniem socjologiczno-psychologicznym reformizmu jest istnienie wiary we wspólną platformę dyskusji. Konkretnie mówiąc — wiary iż kapitalizm uzna legalność przewrotu socjalistycznego, o ile przewrót ten będzie dokonany w formie legalnej, przyzna socjalizmowi prawo dokonania przewrotu, o ile będzie on posiadał większość, wymaganą do tego przez konstytucję. Inaczej mówiąc: założeniem jest wiara, iż kapitalizm podpisze coś w rodzaju rezygnacji z mandatu rządzenia in blanco i upoważni przyszłą większość socjalistyczną do wstawienia daty na tej rezygnacji. Ale przeocza się, że samo przyjęcie takiego założenia mieści już w sobie abdykację kapitalizmu. K a ż d y system bowiem, który przestaje wierzyć w swój wewnętrzny legitymizm — abdykuje, ale t y l k o t a k i system abdykuje. Rzeczywistość wykazała, że kapitalizm nie jest (może: nie jest jeszcze) takim systemem: tam wszędzie, gdzie groziła ewentualność, iż ugrupowania socjalistyczne zyskają legalnie większość (Włochy, Niemcy, Austria, Hiszpania) dochodziło do przewrotów faszystowskich,

które nie tylko uniemożliwiały socjalizmowi uzyskanie legalnej większości, ale z ostrożności likwidowały w ogóle możność demokratycznej wolnej gry sił politycznych.

b) Reformizm pozostawał pod złudzeniem, iż wystarcza zyskanie władzy „politycznej" to jest kierownictwa centralnych politycznych organów państwa (parlament, głowa państwa, rząd). Przeceniał zewnętrzne polityczne formy — kosztem realnych ekonomicznych faktów. Odwracał porządek wartościowania, ustalony przez materializm historyczny. Uważał, że wystarczy opanować centralny aparat państwowy, że można pozostawić bez zmiany podległy mu aparat administracyjny, sądowy, wojskowy, że można pozostawić bez zasadniczej zmiany układ sił gospodarczych. Stawał się też szybko niewolnikiem tych sił. „W przeciwieńswie do rewolucyjnej doktryny Marksa socjaldemokraci nie tylko nie atakowali kapitalizmu, ale wyraźnie współdziałali w wybawianiu go z kłopotów — w oczekiwaniu momentu, gdy będą gotowi uczynić istotny krok naprzód ... Gdy partia socjalistyczna poświęca się wyraźnie zadaniu naprawy kapitalizmu, aby tą drogą poprawić sytuację swoich zwolenników — jest jej bardzo trudno uniknąć uzależnienia się od kapitalistów"[22]. Takze i wtedy jest jej bardzo trudno uniknąć tego uzależnienia się, gdy cały aparat administracyjny jest nastawiony prokapitalistycznie.

c) Trafne natomiast jest spostrzeżenie reformizmu, iż mogą w obrębie ustroju demokratycznego zajść takie sytuacje, iż „nie demokratyczne państwo jest przeszkodą, lecz socjalne i od nich zależne duchowe wpływy" (Otto Bauer). Ale utrwalenie takiej sytuacji wymaga zmiany podbudowy gospodarczej przynajmniej o tyle, by zaistniała homogeniczność struktury politycznej i struktury decydujących pozycyj gospodarczych (ośrodki dyspozycji finansowej, przemysł kluczowy). Współczesna ewolucja angielska, francuska, polska zdaje się być reformizmem wzbogaconym o to doświadczenie. Tego rodzaju polityka zaś wydaje się być przy dzisiejszej strukturze gospodarczej i ideologicznej Europy na zachód od Bugu możliwą tylko w obrębie demokracji i w sojuszu z elementami. chłopskimi i drobnomieszczańskimi a więc przy wyzyskaniu wspólnej wrogości wobec wielkiego „kapitalizmu finansowego" i ograniczenia się do tego odcinka.

[22] Cole: Istotny sens marksizmu (Warszawa 1935, str. 43).

III. Wizja przyszłości.

Istotę swego systemu widział Marks właśnie w specyficznym powiązaniu analizy rzeczywistości społecznej i — opartej na tej analizie — prognozy przyszłego rozwoju. W liście do Weidmayera (z 5. III. 1852) pisał: „Jeśli idzie o mnie — to nie moją jest zasługą odkrycie istnienia klas we współczesnym społeczeństwie oraz ich walki z sobą. Burżuazyjni historycy przedstawiali dawno przede mną historyczny rozwój tej walki klas, burżuazyjni ekonomiści — ekonomiczną anatomię klas. Nowością, którą stwierdziłem, było wykazanie: 1) że istnienie klas związane jest jedynie z określonymi, historycznymi walkami rozwojowymi produkcji, 2) że walka klasowa prowadzi z konieczności do dyktatury proletariatu, 3) że dyktatura ta stanowi sama jedynie przejście do zniesienia wszystkich klas i do społeczeństwa bezklasowego.

Prognoza pierwsza: iż walka klasowa w społeczeństwie współczesnym prowadzi z konieczności do dyktatury proletariatu, opiera się przede wszystkim na przewidywaniach co do rozwoju sytuacji klasy robotniczej. W „Manifeście komunistycznym" ujęta jest ona w określenie skrajne. „Wszelkie społeczeństwa dotychczasowe opierały się, jak widzieliśmy, na społeczeństwie klas uciskających i klas uciskanych. Ale po to, by można było uciskać pewną klasę, trzeba zapewnić jej warunki, w których mogłaby ona wlec przynajmniej niewolniczy żywot. Chłop poddany wydźwignął się w warunkach poddaństwa na członka gminy, podobnie jak drobnomieszczanin pod jarzmem feudalnego absolutyzmu na burżua. W przeciwieństwie do tego, współczesny robotnik, zamiast podnosić się wraz z postępem przemysłu, spychany jest coraz bardziej poniżej warunków istnienia swej własnej klasy. Robotnik staje się nędzarzem i pauperyzm rozwija się jeszcze szybciej niż ludność i bogactwo. Ujawnia się tu wyraźnie, że burżuazja jest niezdolna do pozostawania nadal klasą panującą społeczeństwa i do narzucania społeczeństwu warunków istnienia swej klasy jako normy regulującej. Jest ona niezdolna do panowania, gdyż jest niezdolna do zapewnienia swemu niewolnikowi egzystencji bodaj w ramach jego niewolnictwa, gdyż jest zmuszona spychać go do takiego stanu, przy którym musi go żywić, zamiast być przezeń żywiona. Społeczeństwo nie może już istnieć pod jej panowaniem, to znaczy — jej istnienie nie daje się nadal pogodzić ze społeczeństwem.

Podstawowym warunkiem istnienia i panowania klasy bur-

żuazji — jest nagromadzenie bogactwa w ręku osób prywatnych, tworzenie i pomnażanie kapitału; warunkiem istnienia kapitału jest praca najemna. Praca najemna opiera się wyłącznie na konkurencji robotników pomiędzy sobą. Postęp przemysłu, którego burżuazja jest bezwolnym i biernym nosicielem, stawia na miejsce izolacji robotników, wskutek konkurencji, ich rewolucyjne zespolenie za pomocą stowarzyszenia. Wraz z rozwojem wielkiego przemysłu usuwa się przeto spod nóg burżuazji sama podstawa, na której wytwarza ona i przywłaszcza sobie produkty. Wytwarza ona przede wszystkim swoich własnych grabarzy. Jej zagłada i zwycięstwo proletariatu są jednakowo nieuniknione".

Są tu więc podstawione trzy twierdzenia: będzie następowała dalsza koncentracja ośrodków dyspozycyjnych produkcji i wymiany w coraz bardziej nielicznych rękach; równocześnie będzie następowała dalsza pauperyzacja robotników a równocześnie ich koncentracja w nielicznych a ogromnych zakładach pracy; pauperyzacja i koncentracja staną się przyczyną wzrastającej świadomości proletariatu. Prognoza co do rozwoju technicznej organizacji kapitalizmu, związana z tym rozwojem teoria periodycznych kryzysów produkcji, okazała się trafna. Prognoza iż ten rozwój spowoduje dalszą pauperyzację proletariatu okazała się trafna najwyżej częściowo. Trafna natomiast okazała się prognoza co do koncentracji wielkich mas robotniczych w nielicznych warsztatach pracy i wpływu tej koncentracji na świadomość klasową proletariatu.

Rodząca się świadomość klasowa proletariatu (a więc czynnik woluntarystyczny) wyciąga konsekwencje z faktu, iż ustrój kapitalistyczny nie odpowiada potrzebom współczesnego stanu produkcji — ostrożniej: nie jest konieczny z punktu widzenia potrzeb współczesnego stanu produkcji (czynnik gospodarczy, materializm historyczny). Fakt, iż czynnik woluntarystyczny działa w zgodzie z kierunkiem rozwoju gospodarczego czyni obalenie kapitalizmu koniecznością dziejową. Obalenie następuje w drodze rewolucji. Metodą rządzenia zwycięskiej rewolucji jest „dyktatura proletariatu.

Konieczność „dyktatury proletariatu" uzasadnia się argumentem teoretycznym: po rewolucji istnieje jeszcze podział klasowy, a w każdym społeczeństwie, w którym istnieje podział klasowy a więc nierozwiązalna sprzeczność interesów, musi istnieć dyktatura; dalej argumentem politycznym: po

zwycięstwie politycznym proletariatu burżuazja pozostaje nadal silną, nieraz silniejszą. Dyktatura ta jednak nie jest celem ale środkiem do celu. Tym się różni od dyktatur faszystowskich, dla których ustroje przez nie prowadzone są idealne, wieczne, są celem same w sobie. Ustrój oparty na dyktaturze proletariatu nie jest uważany za ideał ustroju, ale za przejściową, warunkami społecznymi i gospodarczymi chwili podyktowaną formę ustroju. O tej różnicy między demokratyczno-liberalnym pojęciem ustroju (ustrój jako ideał polityczny) a komunistycznym pojęciem ustroju (ustrój: wyraz faktycznych warunków danej chwili, rejestracja istniejącej rzeczywistości społecznej a więc coś przejściowego i zmiennego) zapomina się często, analizując konstytucje radzieckie zwłaszcza pierwszą konstytucję.

Ustrój radziecki wyrósł z doktryny dyktatury proletariatu. Ale mówiąc o tym ustroju pamiętać trzeba o dwóch rzeczach. Dla doktryny marksistowskiej ustrój nie jest „ideałem", ale rejestracją rzeczywistości, rzeczywistego układu sił społecznych;, ideał jest rzucony w daleką przyszłość. Dyktatura jest w tym ustroju ujęta dialektycznie: dyktatura proletariatu jest pojęciem polemicznym w stosunku do dyktatury burżuazji: „formy państw burżuazyjnych są niezwykle różnorodne ale istota jest ta sama: wszystkie te państwą są w taki czy inny sposób ale w gruncie rzeczy są bezwarunkowo dyktaturą burżuazji. Przejście od kapitalizmu nie może, oczywiście, nie wytworzyć wielkiej obfitości i różnorodności form politycznych, ale istota rzeczy pozostanie przy tym nieuchronnie ta sama: dyktatura proletariatu"[23].

W konsekwencji: dyktatura w terminologii marksistowskiej znaczy co innego, niż w terminologii demokratyczno-burżuazyjnej. W tej ostatniej jest „nie normalnym" ustrojem po którym powróci w pełni dawny „normalny" ustrój, jest przejściową likwidacją wolności dla późniejszego powrotu do takiej samej wolności. W terminologii marksistowskiej jest przejściowym, także „nienormalnym" ustrojem, po którym jednak przyjdzie ustrój nowy, doskonalszy niż poprzedni; nie musi być (choć może być) — nawet przejściowo — likwidacją dotychczasowej wolności, ale jest środkiem dla realizacji wolności pełniejszej niż dotychczasowa.

[23] Lenin: Dzieła t. XXI. str. 392 p. Marks: Pisma wybrane t. I., str. 382.

IV. Od dwóch demokracyj do trzeciej demokracji.

Przebudowa społeczna w państwach które wyszły od typu demokratyczno-burżuazyjnego i przekształcają go ewolucyjnie z jednej strony, urzeczywistnienie socjalizmu i „radykalna zmiana stosunku sił klas"[24] w Związku Radzieckim z drugiej strony, ujawniają tę „różnolitość form politycznych", którą przewidywał Lenin, zacierają ostrość przeciwstawienia demokracji radzieckiej i demokracyj zachodnich. Powstanie w okresie międzywojennym państw typu faszystowskiego oświetliło jaskrawo kontrast między tymi państwami a demokracjami obu typów, przez to przeciwstawienie wskazało na wspólne cechy obu rodzajów demokracyj. W demokracjach zachodnich własność przestała być prawem „świętym i nienaruszalnym" stała się funkcją społeczną, dysponowanie własnością i regulowanie ustroju własności stało się prawem państwa, przestało być prawem naturalnym jednostki i rezultatem „wolnej" gry sił. Z drugiej strony zaś teza, iż nie istnieją „prawa podmiotowe" jednostki, konieczna w ustroju radzieckim w okresie rewolucyjnej budowy socjalizmu, przestała być w tym stopniu konieczną. „Musimy uznać, że jednostce przysługują wedle prawa sowieckiego podmiotowe prawa publiczne" powie teoretyk radziecki w roku 1936[25]. Jeśli zaś doda: „zdaniem teoretyków prawa sowieckiego dla rzeczywistej realizacji praw i interesów jednostki nie wystarcza samo wstrzymanie się władzy państwowej od działania, gdyż to wychodzi tylko na korzyść bogatszym i potężniejszym" to odda równocześnie w tym zdaniu ewolucję publicznych praw podmiotowych w demokracjach zachodnich, gdzie prawo do opieki ze strony państwa wypiera coraz bardziej roszczenie jednostki, by państwo było „neutralne".

Upodabnia się w obu typach demokracji stosunek jednostki do państwa. W demokracjach zachodnich zmniejsza się sfera praw jednostki wolnych od ingerencji państwa i pozostawionych „wolnej grze sił", wzrasta sfera takich praw jednostki których istota polega na ingerencji państwa w „wolną" dotychczas grę sił. Istotna różnica istnieje nadal — sądziłbym — w formie ochrony praw jednostki. W demokracjach zachodnich jest ona sformalizowana w specjalnym postępowaniu,

[24] Mołotow: La Democratie Sovietique, str. 7.

[25] N. Karadshe — Iskrow: Das Verwaltungsrecht in der Sovietunion. (Jahrbuch des öffentlichen Rechts. 1936, str. 185.)

którego naistotniejszym szczegółem jest sądownictwo administracyjne, coraz bardziej istotnym stać się może sądownictwo konstytucyjne a więc tworzenie specjalnych organów dla badania zgodności ustaw z konstytucją. W ustroju radzieckim za najistotniejszą i wystarczającą formę obrony jednostki przed administracją uważa się polityczną kontrolę przez organy przedstawicielskie.

Podobne zmiany zachodzą w strukturze władz państwowych i w związaniu organów państwa ustawami. Pierwotnie nie istniał w ustroju radzieckim żaden rozdział funkcyj ustawodawczych i wykonawczych, żaden podział władz z punktu widzenia spełnianych przez nie funkcji. Skoro uchylono wszelkie prawa wcześniejsze od rewolucji październikowej — nie było również przejściowo praw. Skoro nie było praw, władze musiały działać na podstawie „rewolucyjnej świadomości prawnej" Dziś teoretyk sowiecki twierdzi: „ponieważ liczba ustaw wzrastała, traciła rewolucyjna świadomość stopniowo na znaczeniu"[26]. Związanie organu państwa prawem staje się coraz silniejsze. Z drugiej strony w demokracjach zachodnich coraz jaśniejszym staje się fakt, że organ państwowy, „stosujący" prawo w rzeczywistości nie tyle interpretuje logicznie ścisłe normy prawne, ale również urzeczywistnia swoje poglądy społeczne i gospodarcze, interpretując wieloznaczne wyrazy ustaw (jak „zwyczaje uczciwego obrotu", „wolność umowy", „równość", „własność"). Związanie prawem w ustroju radzieckim staje się coraz wyraźniejsze, granice jakie życie narzuca związaniu prawem stają się dla zachodniej myśli prawniczej coraz oczywistsze[27].

Taż sama zmiana co do ujmowania wzajemnego stosunku organów państwowych i rozróżniania funkcyj państwa. W demokracjach zachodnich caraz powszechniejszym jest pogląd, iż podział władz i rozróżnianie funkcyj państwa jest w znacznej mierze fikcją, że wzajemny stosunek legislatywy i egzekutywy polega na ich połączeniu i uzależnieniu tej drugiej od tej pierwszej, oraz że każda z władz spełnia w swej mierze wszystkie trzy funkcje, że w szczególności i władze administracyjne i sądy stwarzają nieraz normy ogólne czyli

[26] Karadshe — Iskrow j. w. str. 151.

[27] por. np. dla rewolucji amerykanskiej: R. L. Mott: Natural Rights and legislative vagueness (Les sources du droit. Paris Sirey t. III).

spełniają funkcję prawodawczą[28]. Z drugiej zaś strony w systemie radzieckim coraz wyraźniejszy jest pogląd o konieczności rozdziału funkcyj państwowych między różne organy. Gdy Stalin powie: „trzeba wreszcie położyć kres temu stanowi rzeczy, gdy prawa stanowi nie jeden jakiś organ, ale cały szereg organów"[29] — to powróci na teren doktryny podziału władz, zmodyfikowanej i ograniczonej, nie dającej rozdziału władz, nie wykluczającej silnego wpływu legislatywy na egzekutywę — ale do tego samego doszły i demokracje zachodnie.

Przechodzimy więc — zdaje się fazę, w której dwa typy demokracji, pierwotnie ostro sobie przeciwstawne, zaczynają się zbliżać do siebie. Nie można nie doceniać różnic, spowodowanych i odmiennym podejściem do samego zagadnienia państwa, i odmienną przeszłością polityczną oraz społeczną, odmienną tradycją historyczną, faktem że ludność Związku Radzieckiego nigdy nie przeszła przez okres demokracji mieszczańskiej a więc i jej stosunek do tradycyj liberalno-politycznych tego okresu jest z natury rzeczy inny niż na Zachodzie. Ale pamiętajmy, że dla Anglika końca wieku XVIII-go rodząca się demokracja francuska była czymś najostrzej przeciwstawnym ustrojowi i ideologii politycznej angielskiej, dla Anglika okresu Chartyzmu, w niecałe pół wieku po tym, była niejednokrotnie ideałem, dla Anglika XX-go wieku pierwotne różnice punktów wyjścia zatarły się zupełnie. Po okresie konfliktu metod na plan pierwszy wybija się wspólność celu wszelkich demokracyj: człowiek rzeczywiście wolny i równy, wolny i równy w ten sposób jaki jest możliwy w danym społeczeństwie i w danych warunkach. Wspólność celu zaś ujawnia wspólny punkt wyjścia. Skoro, wedle Lenina, państwo — także demokratyczne — zacznie obumierać wtedy, gdy ludzie „przywykną stopniowo do przestrzegania elementarnych, od wieków znanych, w ciągu tysiącleci powtarzanych we wszystkich przepisach, reguł współżycia"[30] — to czyż nie mamy tu w pewnej postaci powrotu do prawa natury. „Elementarne reguły" wspólne w wyniku wychowania ku komunizmowi dla

[28] Szczegolnie jasno podkreślane w literaturze amerykanskiej. p. H. Rumpf: Die Entwickelung des Arbeitsrechts in den Vereinigten Staaten. (Arch. des öff. Rechts 1939. 3. Heft.)

[29] O projekcie konstytucji Z. S. R. R. (Moskwa 1945, str. 27.) por. Kotlarewskij: Der Begriff des Gesetzes im Sovietrecht, Zeitschrift für Ostrecht, 1927.

[30] Państwo i Rewolucja str. 89.

wszystkich ludzi, ale elementarne dlatego, że „od wieków znane" czyż to — w pewnym stopniu — nie „abstrakcyjny człowiek" choć różny od dawnej abstrakcji, bo nie będący wynikiem spekulacji racjonalistycznej, będący raczej „zjawiskiem niezależnym od woli człowieka a więc podległym prawom natury"[31]. W społeczeństwie wolnym od ucisku kapitalistycznego wraca wspólność ustrojów doktryn demokratycznych, wraca również wspólna i odwieczna ich podstawa — prawo natury.

---

[31] Adam Krzyżanowski: Socjalizm a prawo natury. (Ku uczczeniu B. Ulanowskiego Kraków 1913) str. 326.

WOLNOŚĆ I RÓWNOŚĆ

Republikanizm i demokracja — Demokracja formalna i materialna — Rodzaje demokracji materialnej — Despotyzm, demokracja, anarchia, demagogia — Racja stanu państwa demokratycznego i autokratycznego — Światopogląd demokratyczny i chrześcijański — Religijne pojęcia wolności i równości — Wolność chęcią zyskania a) niepodległości (samostanowienie narodów), b) praw obywatelskich, c) swobody działania w sferze stosunków międzynarodowych (wolny handel) — Równouprawnienie cudzoziemców — Deklaracje praw człowieka, czy obywatela? — Sprawiedliwość formalna wytyczeniem granic wolności — Człowiek celem sam w sobie, a nie środkiem osiągnięcia cudzych celów — Wolność opanowaniem siebie samego — Nadmierne rozszerzanie zakresu działania publicznych związków przymusowych, państwowych i samorządowych ogranicza wolność — Demokracja wysiłkiem uzgadniania wolności i równości — Stopnie demokratyzacji — Praworządność, podział władz, wolność dyskusji i stowarzyszania się rękojmiami demokracji — Monopartia i totalizm zaprzeczeniem demokracji — Demokracja plebiscytarna — Demokracja systemem jawnych rozpraw, wyborów, uchwał kolegialnych — Autokracja metodą rządzenia rozkazami przełożonych — Rządem policyjnym — Autorytet przywódców nie jest monopolem autokracji — Sprawność demokratycznych form rządzenia bardziej zależna od charakteru narodu, niż od psychologii tłumu — Racjonalizm i relatywizm demokracji — Autokratyczne i demokratyczne metody jednoczenia państwa — Ustrój demokratyczny sprzyja wybijaniu się wielu wybitnych indywidualności — Wolność i własność — Pacyfizm utrwala demokrację. —

Terminologia polska przedrozbiorowa utożsamiała republikanizm i demokrację. Małachowski, marszałek Sejmu czteroletniego, zagajając 3-go maja 1791 r. obrady, zakończone tegoż dnia uchwaleniem Konstytucji, oswiadczył: „W tym wieku dwa najsławniejsze mamy rządy republikańskie, to jest rząd angielski i amerykański, który wady rządu pierwszego poprawił. Ale ten, który dziś ustanowić mamy, będzie

nad nie doskonalszym, bo to połącza w sobie cokolwiek w obydwóch najlepszego i najstosowniejszego do formy naszej znaleźć się mogło".[1] Anglia była wówczas i pozostała po dzień dzisiejszy królestwem dziedzicznym. Małachowski nazwał ją republiką, ponieważ uważał Anglię za państwo demokratyczne. Polacy określali swą ojczyznę mianem rzeczypospolitej (Rzpltej), aczkolwiek naczelnik państwa koronował się na Wawelu. Mieli na myśli demokratyczność ustroju, któremu monarchia elekcyjna nie czyniła ujmy. Przypisywali tytulaturze głowy państwa znaczenie podrzędne, ponieważ mało przyczyniała się do wyjaśnienia istoty rzeczy i przebiegu wypadków. Do niedawna odmienny pogląd przeważał wśród narodów kontynentu amerykańskiego. Tam rozsiadło się 21 republik. Wśród ich mieszkańców rozpowszechnione było mniemanie, że tylko republiki są ostoją prawdziwej demokracji. Przebieg wypadków bywał różny. Niejednokrotnie demokratyzacje ustrojów łączyły się z uszczuplaniem praw monarchy, a nawet z obalaniem tej formy rządów. W Ameryce republikanizm i demokracja zwyciężyły łącznie. Stąd płynęło przeświadczenie o ich tożsamości. To przeświadczenie Wilsona wywarło wpływ na jego politykę w czasie poprzedniej wielkiej wojny i rokowań, które ją zakończyły. Późniejsze wypadki okazały, że obalanie monarchii może torować drogę uszczupleniu wolności i równości obywateli. Rozpatrując ich istotę, pomijam rozróżnianie monarchii i republik.

Określano demokrację kryteriami formalnymi albo materialnymi albo połączeniem ich obu. Stanowisko pierwsze zgodne jest z etymologią. Słowo demokracja, przejęte z języka i dorobku duchowego Greków, oznacza dosłownie ludowładztwo. Zatwierdzenie poczynań rządu przez lud wystarcza niezależnie od ich treści zwolennikom tej definicji. Lud plebiscytami przytakuje nakazom dyktatora, ograniczającym wolność i równość obywateli. Degraduje obywateli do rzędu poddanych. I w tym wypadku, tak znamiennym dla dziejów współczesnych, mamy do czynienia z demokracją i lud przecie wyraził swą zgodę. Demokracja plebiscytarna może być pozbawiona jakichkolwiek znamion demokracji merytorycznej.

[1] Ks. Siarczyński, sekretarz Sejmu spisał i ogłosił dukiem w Warszawie w r. 1791, djarjusz obrad, wydany ponownie w Krakowie w stuletnią rocznicę, zatytułowany: „Dzień 3 maja 1791 r." Por. str. 40 wydania krakowskiego.

Podobne ujęcie zagadnienia buduje na odrzuceniu wszelkiej oceny ustrojów. Ci, którzy ich wartościowanie uważają za istotne, widzą w dążeniu ziszczenia wolności i równości właciwą treść demokracji. Najradykalniejsi gotowi pogodzić się z hasłem: „wszystko dla ludu bez ludu". Samowładca, który przywłaszczył sobie władzę, nie pytając o zgodę ludu, uchodzi w oczach zwolenników tej doktryny za demokratę, o ile rządzi w duchu pomnożenia wolności i równości poddanych. Samowładca umniejszający zasięg wolności i równości, choćby działał na postawie pełnomocnictw ludu i ogłaszał się demokratą jest wrogiem demokracji. Rzecznicy doktryn materialnych uważają wyrzeczenie się wolności i równości za potępienia godne. Ich pogląd jest pokrewny zapatrywaniu przedstawicieli prawa natury, żądających od państwa orzeczenia przymusu wolności. Zniesienie niewoli oraz poddaństwa i pańszczyzny doszło do skutku łącznie z postanowieniem, zakazującym zawierania dobrowolnych umów, mocą których niewolnicy i poddani obowiązaliby się do pozostania w dotychczasowym stosunku zależności względem swych panów.[2] Analogicznie obrońcy wolności i równości utrzymują, że lud popierający dyktatora, ograniczającego wolność i równość poddanych, popełnia czyn niegodny człowieka, zdradzając sprawę demokracji. Demokracja parlamentarna zawiera zawsze w sobie pewne składniki demokracji merytorycznej.

Jej urzeczywistnianie może być trojakie. Egalitaryzmem nazywamy systemy, których przedstawiciele kierują się przede wszystkim chęcią zrównania ludzi, choćby kosztem wolności (Rousseau). Skrajni egalitaryści zalecali wprost dyktaturę (Robespierre, Marks). Obrońcy liberalizmu uważają ochronę wolności za główne zadanie państwa (Locke, Montesquieu, Voltaire). Zwolennicy polityki pośredniej opowiadają się za prawem równej wolności, równej dla wszystkich, za demo-liberalizmem.

Demokracja doskonała winna czynić zadosyć kryteriom, formalnym i materialnym, ziszczać demokratycznymi środkami demokratyczne cele. Ideałem — ludowładztwo, skierowane ku zabezpieczeniu prawa równej wolności na korzyść wszystkich obywateli państwa. Tylko tak pojęta demokracja jest mo-

[2] Rousseau polemizował z Groziusem, który z początkiem XVII wieku zgodnie z ówczesnym ustawodawstwem bronił dopuszczalności podobnych umów („Contrat social" I, 4). Rewolucja francuska urzeczywistniła postulat Russa.

ralnie uzasadniona oraz pożyteczna, zaspakaja poczucie godności osobistej człowieka i wymogi sprawiedliwości, utrudnia wzniecanie rewolucji. Pozbawianie ludu udziału w sprawowaniu rządów, krępowanie wolności w imię egalitaryzmu, wolność połączona z istnieniem dotkliwych nierówności, wszystkie te trzy zjawiska stwarzają dogodne podłoże dla agitacji wywrotnej ambitnych jednostek żądnych władzy i dostatków. Ustrój, usuwający sposobności wywoływania gwałtem przewrotów, sprzyja pokojowemu rozwojowi wypadków.

Obywatele Stanów Zjednoczonych, świadomi istoty doskonałej, dążą do jej ziszczenia. Większość narodu wybrała prezydentem Lincolna w r. 1860. Przeszedł głosami wyborców, zamieszkałych w stanach północnych. Niewola, zakazana na ich obszarze, była dopuszczona w stanach południowych, osiedlonych przez wolną ludność białą i murzynów, pozbawionych wolności. Większość narodu sprzyjała zniesieniu niewoli w całym państwie. Stany południowe przeciwstawiły rządom większości zasadę samostanowienia grup, czujących się uprawnionymi do tworzenia odrębnych państw. Doszło do wojny domowej, zwanej secesyjną jako że chodziło o oderwanie części od całości. Lincoln utrzymał jedność państwa i zniósł niewolę. Przemawiał 19-go listopada 1863 r. przy sposobności poświęcenia cmentarza na pobojowisku w Gesttysburg. Czcił pamięć poległych. Ślubował imieniem narodu zachowanie ich spuścizny duchowej. Poświęcili swe życie w tym celu, „ażeby panowanie ludu, wykonywane przez lud dla ludu (the government of the people by the people for the people) nie zniknęło z powierzchni ziemi". Wedle Lincolna rządy ludu stają się prawdziwą demokracją dopiero wtedy, gdy są sprawowane dla dobra ludu. Same przez się demokracji nie poręczają. Słowa Lincolna wyryte na licznych jego pomnikach i głęboko w sercu obywateli, są po dziś dzień ściśle przestrzeganym drogowskazem ich postępowania.

Cele światopoglądu demokratycznego mogą być skutecznie urzeczywistnione tylko w ramach organizacji państwowej, pomyślanej jako środek właściwego zrównoważenia dążeń do wolności i równości, opartej o obyczajowość społeczeństwa na tę samą nutę nastrojoną. Chodzi o ograniczenie zasięgu działania państwa z wykluczeniem jego unicestwienia, o szukanie wartości pośredniej między anarchią i despotyzmem. Anarchiści są zdania, że pożądane i możliwe jest zniszczenie nieograniczonej wolności i równości przez zniesienie państwa

albo na drodze rozwoju pokojowego (radykalni współdzielcy) albo metodami rewolucyjnymi. Zwolennicy tego ideału zapoznają, że wolność nieujęta w karby przez państwo, musi wyrazić się stworzeniem stanu rzeczy, zaprzeczającego w wysokim stopniu dążeniom do równości, że urzeczywistnienie daleko sięgającej równości możliwe jest tylko dzięki stosowaniu przez państwo bezwzględnego przymusu. Nieograniczoność wolności i równości jest równoznaczna z chybieniem obu celów. Recepta anarchistyczna nie zapobiega powstaniu jaskrawych uprzywilejowań jednych ze szkodą drugich, nikomu nie zabezpiecza spokojnego używania wolności. Tak zwana polska demokracja szlachecka zasługuje bardziej na miano anarchii szlacheckiej. Wbrew przysłowiu: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie" magnaci wznieśli się wysoko ponad tłum szlachty politycznie i gospodarczo. Ich wichrzenia wycisnęły na polskim ustroju państwowym znamię anarchii (nierządu), z czego ogół doskonale zdawał sobie sprawę. Dowodem rozpowszechnione powiedzenie: „Polska nierządem stoi".

Istnienie demokratycznych pierwiastków ustrojów politycznych jest tak dawne, jak odwieczny fakt istnienia państwa. Grecy pierwsi wynaleźli teorię demokracji. Stworzyli także rozróżnienie prawdziwej i fałszywej demokracji, odmienne od poprzednio sformułowanego. Słowo: demokracja należy do rzędu słów, które są nie tylko pojęciami, ale nadto a nawet przeważnie wartościowaniem zjawisk, tymi słowami określanych, wartościowaniem dodatnim, to znowu ujemnym. Są propagandą owych wartości. Mniej lub więcej szczerzy poplecznicy demokracji łączą z nazwaniem danego ustroju ustrojem demokratycznym jego sublimowanie, uszlachetnianie, nadanie mu znamion wzniosłości i piękna, a nawet cnoty. Demokracja w ich rozumieniu jest zgodna z dobrem ogółu. Używając tego słowa przez to samo uwydatniają walory dodatnie demokracji. Jej wrogowie łączą z tym słowem ocenę wprost przeciwną, pejoratywną, obniżającą wartość ustroju demokratycznego, czasami wprost obelżywą. Dziś przeważa wśród ogółu sublimujące używanie słowa demokracja. Dawniej rozpowszechnione było pejoratywne.

Starożytni Grecy znali właściwie dwie formy ustrojowe: arystokratyczną i demokratyczną. Stan rzeczy, którego istotnym znamieniem sprawowanie władzy przez najrozumniejszych i najcnotliwszych członków społeczeństwa nazywali rządem arystokracji (greckie *aristos* — najlepszy). Jeśli się nie

mylę, demagogia, słowo wybitnie pejoratywne zostało ukute, jak wiele innych z pierwiastków greckich w czasach nowszych. Grecy nie odczuwali potrzeby odrębnego określenia terminologicznego demagogii, albowiem wielu Greków używało słowa demokracja pejoratywnie, utożsamiając ją z demagogią. Tucydides nazywa ustrój ateński za życia Peryklesa ustrojem tylko z nazwy demokratycznym, wbrew której przywódcą narodu był Perykles, mąż najznamienitszy spośród obywateli, mąż wielkiego autorytetu i rozumu politycznego, nie uzurpator, nie przekupny. Przewodził ludowi, a nie dawał mu się powodować. Nie wahał się mówić prawdy ludowi, choćby gorzkiej. Umiał miarkować megalomanię ludu, gdy ponosiła go zarozumiałość i podnosić go na duchu w chwilach zwątpienia. Gdy Peryklesa nie stało, ustrój ateński doznał zmiany, aczkolwiek ustawy się nie zmieniły. Pochlebcy ludu dorwali się władzy, ludzie posłuszni jego uprzedzeniom i nastrojom, przeważnie nie wyrastający ponad przeciętność (II, 65). Demagogia jest ustrojem, którego przywódcy pocichu mawiają o sobie: „Je suis leur chef, je dois les suivre". Tucydides ten ustrój określał mianem demagogii.

Teoretycy polityki uogólnili spostrzeżenie greckiego mędrca. Charakter narodu przeważa szalę wypadków. Istotą demokracji kompromisowe ustosunkowanie wolności i równości. Jej trwałe istnienie uwarunkowane jest w wyższym stopniu niż innych systemów politycznych cnotami ogółu, panowaniem nad sobą, praworządnością, umiarem, wyrozumiałością wzajemną obywateli. Ich zalety umożliwiają zastąpienie w znacznej mierze przymusu policyjnego dobrowolnym podporządkowaniem się społeczeństwa władzy, stanowiącym niezbędny współczynnik funkcjonowania demokracji.

Rzecznicy prawdziwej demokracji widzą w niej urzeczywistnianie dobra państwa, utożsamianego przez nich z dobrem jednostek. W systemie myślenia demokratycznego dobro państwa jest pojęciem ściśle określonym. Tak, a nie inaczej rozumiane stanowi rację stanu państwa demokratycznego. Racja stanu przedstawicieli autokracji wyczerpuje się w trosce o utrzymanie bytu państwa, pomyślanego w oderwaniu od losu jednostek. Autokraci powołując się na dobro państwa, nadają temu ogólnikowi treść zmienną, zależną od okoliczności, przyczem zastrzegają na rzecz władców monopol rozstrzygania o tym, co przez dobro państwa rozumieć należy. Odmawiają ludowi zdolności władania państwem. Wyklu-

czają go od udziału w rządzie. Narzucają mu swoje rozumienie dobra państwa, swoje ideały. Głoszą, że dobro państwa w ich rozumieniu jest równocześnie urzeczywistnianiem dobra szerokich warstw ludności pracującej, że tylko oni są prawdziwymi demokratami, bo rządzą, choć bez ludu ale dla ludu w przeciwieństwie do fałszywych demokratów pokroju liberalnego, którzy udział ludu w rządzeniu państwem wyzyskują na wyłączną korzyść władców państwa.

Jedno i to samo pojęcie (idea), stanowiące zarazem naczelny drogowskaz postępowania (ideał) znamionuje światopoglądy demokratyczny i chrześcijański. Oba systemy są wierzeniami powszechnymi, stawiającymi sobie za zadanie oparcie politycznego współżycia ludzi na zharmonizowaniu przykazań wolności i równości. Oba odrzucają wierzenia partykularne i powszechne, skrajnie indywidualistyczne i egoistyczne, odrzucają przesadnie pesymistyczny pogląd na naturę ludzką, którym zwolennicy moralności podwójnej uzasadniają swe stanowisko. Chrześcijaństwo jest religią zbawienia osobistego w życiu doczesnym i wiecznym, uzupełnioną systemem heteronomicznej moralności politycznej. Demokracja może być wytyczną postępowania, ograniczoną do życia doczesnego, uzasadnianą autonomicznie. Często także i demokraci głoszą system etyki heteronomicznej. Wolność i równość chreścijaństwa są pojęciami, wierzeniami i wskazaniami religijnymi, w stosunku do których wolność i równość jako postulaty moralności politycznej stanowią zjawiska pochodne. Obowiązkiem chrześcijan dążyć do zbawienia osobistego, stanowiącego cel nadrzędny w stosunku do wszystkich innych celów.

Stwórca obdarzył człowieka swobodą wyboru między różnymi nasuwającymi się ewentualnościami. Człowiek może pójść drogą przeciwną. Wolna wola ludzi jest założeniem chrześcijaństwa, uzasadniającym właściwie ujęte poczucie godności osobistej. Jedno i drugie przysługuje wszystkim ludziom pod warunkiem wzajemnego szanowania uprawnień, stąd wynikających.

Chrześcijaństwo uznaje ludzi za wolnych i równych. Stwórca wszystkich uposażył duszą nieśmiertelną. Chrześcijaństwo odrzuciło poprzednie wierzenia religijne, których wyznawcy nauczali, że dusze jednych ludzi żyją nadal po śmierci ciała, że dusze osób kategorii pośledniejszej umierają razem z ciałem. Wedle wierzeń arystokratycznych dusze członków

warstw rządzących są nieśmiertelne w przeciwieństwie do dusz śmiertelnych ludzi niewolnych, biednych usuniętych od rządów. Inni przyznawali nieśmiertelność tylko współwyznawcom. Uczestniczenie w starożytnych misteriach eleuzyjskich i innych ezoterycznych, święconych w kole wtajemniczonych, było uważane za niezawodny środek zapewnienia sobie nieśmiertelności, dostępnej tylko wtajemniczonym. Zdaniem stoików jedynie przestrzeganie cnotliwego trybu życia mędrca, przez nich zalecanego, zapewnia duszy nieśmiertelność. W przeciwieństwie do tych poglądów chrześcijaństwo uczyło, że wszyscy ludzie są obdarzeni duszą nieśmiertelną, że wszyscy mogą zaskarbić sobie w życiu doczesnym zbawienie wieczne niezależnie od różnic ras, płci i stanowiska w społeczeństwie. Kościół katolicki i inne kościoły chrześcijańskie dopuszczały wszystkich ludzi do udziału w sakramentach świętych, uważały za chwalebny uczynek nadanie wolności niewolnikom i poddanym, zalecały dobre obchodzenie się z nimi. Miarodajne sfery chrześcijańskie zdawały sobie sprawę z tego, że pełne ziszczenie wolności i równości w znaczeniu religijnym uwarunkowane jest odpowiednią postawą władz państwowych i domagały się właściwego stosowania przez państwo zasad wolności i równości. Polityka bieżąca chrześcijan ulegała wahaniom. Idea zasadnicza, wrodzona chrześcijaństwu, trwale, choć z różnym nasileniem, wzmacniała dążenia indywidualistyczne i demokratyczne. Postępy demokracji były równocześnie zwycięstwami najistotniejszych pierwiastków chrześcijańskiej moralności politycznej.

Odzywają się głosy dowodzące, że chrześcijaństwo tworzyło siłę, zwalczającą demokratyzowanie się nowoczesnej ludzkości. Kościół każe wiernym dbać o żywot wieczny, lekceważyć szczęście doczesne w przeciwstawieniu do demokracji, stawiającej sobie za zadanie stworzenie raju tu na ziemi. Historycznie rzecz biorąc, podobne ujmowanie zagadnienia jest pouczające, zapoznaje jednak trwałą istotę rzeczy. Kościół łączy troskę o życie pozagrobowe z nauczaniem, jak zyskać szczęście ziemskie. Zabrania zbyt przyziemnego używania życia, nie popadając w sprzeczność z demokracją jako taką. Demokraci opowiadali się nieraz za materialistyczną obyczajowością, ale to zapatrywanie nie stanowi treści doktryny, wspólnej każdemu prawdziwemu demokracie. Można być szczerym demokratą i równie szczerze starać się żyć tu na ziemi w myśli zyskania zbawienia wiecznego. Obrońcy tezy,

uwydatniającej sprzeczność chrześcijaństwa i demokracji, powoływali się także na autokratyczną organizację Kościoła katolickiego, zawdzięczającego jedynowładztwu papieży długowieczność i rozrost. Chrześcijańska moralność polityczna nie usiłuje przeszczepić na teren kościelny organizacji, właściwej dla urzeczywistnienia celów świeckich. Kościół zaleca księżom celibat, a laikom stan małżeński bez popadania w sprzeczność. Powtóre, autokracja kościelna nie jest pozbawiona współczynników liberalnych i demokratycznych. Przypominam obieralność papieży, udostępnienie godności duchownych wszystkim bez różnicy stanu i rasy, stosunkowo znaczną wolność zakładania zakonów. Po trzecie, stronnictwa demokratyczne nieraz zwyciężały dzięki wytworzeniu przez ich członków organizacji partyjnej, wielce autokratycznej. Cóż stąd wynika? Nic innego, jeno to, że demokracja jest ciągłym stawaniem się, pozbawionym bezwzględności, ziszczającym swe postulaty tylko w sposób ograniczony, zazwyczaj nierównomiernie w różnych sferach życia.

Sofokles w Antygonie przeciwstawiał prawa Boże ludzkim. Sofiści podkopali wiarę w bogów. Zrodziła się potrzeba innego sformułowania przykazań nadrzędnych w stosunku do ustaw ludzkich. Trzysta lat przed Chrystusem w dwadzieścia lat po śmierci Aleksandra Wielkiego, twórcy monarchii uniwersalnej oraz równouprawnienia w jej obrębie Greków, Macedończyków, Persów, stoicy w Atenach wyznawali i głosili wierzenia powszechne, na nich opartą moralność, zalecającą wolność i równość jako wskazania polityczne naczelne.

Wedle stoików rozumna natura, obejmująca przyrodę i ludzkość obdarzyła ludzi rozumem, stanowiącym jej słaby blady odblask, umożliwiający jednak ludziom rozeznać przeświadczenia powszechne, wszystkim ludziom wspólne, które właśnie dlatego stanowią wspólne ludziom wrodzone, naturalne, rozumne, niepisane prawo natury *(Koinos nómos ágrafos nómos)*,* normy sprawiedliwości materialnej. Takim przeświadczeniem powszechnym, głęboko wyrytym w umyśle i w sercu wszystkich ludzi jest przekonanie, że dzierżyciele władzy zobowiązani są wydawać zarządzenia ziszczające postulaty wolności i równości, wyrażające odwieczne prawa natury. Bóg, rozum powszechny, natura stoików jest wyobra-

* Z powodu braku liter greckich, zmuszeni jesteśmy drukować niniejszy cytat literami łacińskimi.

żeniem różnym, nieraz osobowym, to znowu panteistycznym, utożsamiającym Boga z naturą, obejmującą także ród ludzki. Ojcowie kościoła obok pisma św. czytywali pilnie dzieła Cycerona, natchnione doktryną stoików. Chrześcijaństwo głosi osobowość Boga, uważa wolność i równość za prawo natury, stworzonej przez Boga, stanowiące rozumny i korzystny porządek rzeczy z Bożego ustanowienia. Filozofowie angielscy i francuscy XVII-go i XVIII-go wieku także wywodzili program ziszczenia wolności i równości z prawa natury, rozumianego w sposób bardziej zbliżony do poglądu stoików, niż do wyobrażeń chrześcijańskich.

Proklamowano nieraz postulaty wolności i równości jako prawa natury ludzkiej, powołując się na wrodzone człowiekowi dążenie ich urzeczywistniania. Zapomniano o dwoistości popędów. Żądza wyróżnienia się, wywyższenia, panowania, również wrodzona człowiekowi, stanowi także ważki współczynnik powstawania i upadku instytucji demokratycznych. Upośledzeni piętnują niesprawiedliwość, tkwiącą w uprzywilejowaniu warstw rządzących. Dążą do władzy w imię zastąpienia krzywdzących różnic zrównaniem obywateli. Po jej opanowaniu niejednokrotnie wyzyskują ją gwoli zapewnienia sobie przywilejów, połączonych z ujmą współobywateli. Zanim ją posiedli, taili przed sobą ci, którymi machiawelizm nie powodował, że chęć przodowania i narzucania innym swej woli właściwym motorem ich poczynań. Program demokratyczny jest w tych wypadkach zaspakajaniem potrzeby uszlachetniania popędów ujemnie ocenianych przez ich sublimowanie.

Rozszerzano dyskusję na teren przyrodniczy z nielepszym skutkiem. Muły, zrodzone z połączenia koni i osłów są bezpotomne. Małżeństwa ludzi przynależnych do różnych ras są płodne i ich potomstwo jest płodne. Stąd i z innych właściwości człowieka wyprowadzano wniosek o przynależności wszystkich ludzi do tej samej odmiany w rozumieniu przyrodniczym. Tak zwane rasy ludzkie niczym zasadniczo nie różnią się między sobą. Ludzie są równi. I to prawda, ale prawdą jest również, że rozróżniamy ludzi jednych od drugich, że zatem nie są całkowicie równi. Są nawet wysoce zróżniczkowani. Człowiek w przeciwieństwie do roślin i zwierząt zmienia swój tryb życia dzięki uskutecznianiu wynalazków przez jednostki wyjątkowo uzdolnione. Istnienie znacznych różnic psychicznych wśród osobników tej samej odmia-

ny jest zjawiskiem w tym stopniu zgoła nieznanym poza kręgiem ludzkości.

Przyznawanie postulatom wolności i równości miana praw natury motywowano przypisywaniem im przyrodniczego determinizmu. Pojmowano przejście od ustroju plemiennego do indywidualistycznego jako konieczność niezależną od woli ludzkiej. Optymiści XVIII-go w. wyrażali nadzieję, że ustrój liberalny i demokratyczny, raz wprowadzony w życie, nigdy nie przekształci się z powrotem w organizację, opartą na przeciwnych wierzeniach. Uważali demokratyzację za proces nieodwracalny. Złudzenia prysły. Doszukiwanie się konieczności w tej sferze zjawisk zaciemnia sprawę zamiast ją wyjaśnić. Program liberalny i demokratyczny stanowi postulat moralności politycznej, którego racja bytu tylko z tego stanowiska może być uzasadniana, lub zwalczana.

Za czasów Hobbesa i pokrewnych pisarzy, upatrujących ideał rządzenia w sprawiedliwości formalnej, skrajnie pojętej, rozprawiano dużo o obowiązkach poddanych wobec przedstawicieli władzy. Broniono tezy, wedle której ich obowiązki streszczają się w przestrzeganiu bezwarunkowego posłuchu władzy. Uznawano każdą rewolucję za czyn karygodny. Zwolennicy sprawiedliwości materialnej nie kładli nacisku na obowiązki poddanych, jeno na ich uprawnienia w stosunku do osób, sprawujących rządy. Niektórzy nie wzdragali się przed usprawiedliwianiem rewolucji jako środka ich ziszczenia.

Wedle amerykańskich deklaracji praw człowieka przysługuje wszystkim ludziom obok prawa do wolności i równości prawo do szczęścia. Autorowie francuskiej deklaracji z r. 1789 w inwokacji (préambule), poprzedzajcej tekst poszczególnych artykułów określili uszczęśliwienie wszystkich jako cel ogłoszenia praw człowieka i obywatela. Gdy mowa o prawach do wolności i równości, zazwyczaj prawo do szczęścia bywa pomijane. I słusznie. Jest przecie w znacznej mierze pleonazmem w stosunku do dwóch tamtych. Człowiek dąży do zdobycia wolności, ponieważ w życiu wedle własnego upodobania widzi rękojmię szczęścia. Zadaniem demokracji jest jego udostępnienie wszystkim, nie tylko warstwom uprzywilejowanym, którym poprzednio w wyższej mierze przypadało w udziale. Program zrównania ludzi jest także wyrazem pragnienia szczęścia.

Słowo: wolność kryje w sobie trojaki krąg zainteresowań, uzupełniających się wzajemnie, to znowu sprzecznych, a mia-

nowicie chęć zdobycia względnie utrzymania: a) niepodległości, b) praw obywatelskich, c) swobody działania w sferze stosunków międzynarodowych. Szermierze niepodległości głoszą zasadę samostanowienia narodów. Pewna grupa ludności czuje się skrępowana dotychczasową przynależnością państwową. Dąży do zerwania więzów. Uważa się za naród, uprawniony do stworzenia nowego państwa, lub przyłączenia się do innego. Zagadnienie demokracji pokrywa się w znacznej mierze z zainteresowaniami, objętymi mianem praw obywatelskich Obrońcy tej wolności uważają liberalizm za współczynnik prawdziwej demokracji. Walczą o właściwe określenie uprawnień i obowiązków jednostki w stosunku do państwa. Deklaracje praw człowieka i obywatela, ustawy i zwyczaje konstytucyjne wyszczególniają wolności religijne, polityczne i gospodarcze, przyznane przez państwo. Wolność w tym znaczeniu zawiera w sobie ustalenie samostarczalności jednostek. Radykalni wyznawcy ujemnego osądu współżycia ludzi ze sobą, ich zdaniem wykluczającego upragnione całkowite opanowanie siebie samego, głoszą zupełne odosobnienie się bliźnich, jedynie zapewniające istotną wolność, utożsamianą ze skrajną samostarczalnością. Wolność pozbawiona słodyczy współżycia z bliźnimi, przypada w udziale znikomej ilości jednostek, których odosobnianie się zapewne czasami wychodzi na szkodę ogółu. Pożądania godna wolność jest częściową samostarczalnością w obrębie związków społecznych. Obstawianie przy niej protestem jednostki przeciwko nadmiernemu skrępowaniu, wynikającemu ze współżycia ludzi między sobą.

Rzecznicy wolności w rozumieniu praw obywatelskich często są orędownikami międzynarodowego handlu i wolności mórz. Ludzie dążą do zapewnienia sobie swobody działania w obrębie państwa, którego są obywatelami i mieszkańcami, oraz poza jego zasięgiem terytorialnym. Chcą posiąść prawo podróżowania i zarobkowania, wolność obrotów towarowych i kapitałowych na obszarze cudzych państw i na siedmiu morzach kuli ziemskiej. Prawa obywatelskie są normowane ustawami i prawem zwyczajowym państw poszczególnych. Wolny handel i wolność mórz są postanowieniami państw poszczególnych, często wynikiem stosowania przez nie tych samych zasad. Są nadto przepisami, zawartymi w układach międzynarodowych, oraz wyrażonymi w zwyczaju i prawie międzynarodowym. Swoboda działania, o której mowa, obejmuje prawo wy-

jazdu, przejazdu i wyjazdu osób, prawo wywozu, przewozu i przywozu towarów, pieniędzy i kapitałów z jednego państwa do drugiego, oraz poprzez państwa i morza.

Polega na równouprawnieniu w odpowiednim zakresie cudzoziemców z własnymi obywatelami. Istnienie państw samoistnych. nikomu niepodległych pociąga za sobą ograniczoność równouprawnienia cudzoziemców, a zatem zasady wolności i równości ludzi, jako takich. Nazywano te ideały moralności politycznej prawami człowieka. Ściślej odtwarza istotę rzeczy ich określanie mianem praw obywatela. Czytamy w pierwszym zdaniu pierwszego artykułu „deklaracji praw" uchwalonej 1-go czerwca 1776 r. przez przedstawicieli „dobrego narodu Wirgińczyków", zebranych w Williamsburgu: „wszyscy ludzie rodzą się w równym stopniu wolnymi". Biali plantatorzy, uprawiający swe włości rękami czarnych niewolników, spisujący i proklamujący po raz pierwszy w dziejach prawa naturalne w formie postanowienia władzy ustawodawczej wykluczali wyciągnięcie stąd wniosku, że należy przyznać wolność murzynom. Obywatele Wirginii mieli na myśli wyłącznie własne uprawnienia. Uważali tekst uchwały za godny z odmawianiem wolności murzynom, przy którym obstawali orężnie podczas wojny secesyjnej, ponieważ murzynom nie przysługiwało prawo obywatelstwa. Filadelfijska deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych, uchwalona z udziałem i zgodą Wirgińczyków w kilka tygodni po proklamacji zgromadzenia ustawodawczego stanu Wirginia powtarza tezę, „rozumiejącą się samo przez się, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi i obdarzonymi przez Stwórcę w pewne prawa niepozbywalne". Wyszczególnia wśród nich wolność.

Francuskie zgromadzenie narodowe uchwaliło w r. 1789 podobną odezwę wystylizowaną bardziej powściągliwie, zatytułowaną: „deklaracja praw człowieka i obywatela". Artykuł pierwszy głosi: „Ludzie rodzą się i pozostają wolnymi i równymi w zakresie swych uprawnień". Brak ich wyraźnego przyznania wszystkim ludziom. Dalsze artykuły orzekają różnice w uprawnieniach cudzoziemców i obywateli, zastrzegając prawa wyborcze, sprawowanie urzędów publicznych, wolność dyskusji na rzecz każdego obywatela. Francuzi, choć nie uchwalili równości wszystkich ludzi, znieśli niewolę murzynów w swych koloniach jeszcze w ciągu XVIII wieku. Wirgińczyk Jefferson, redaktor amerykańskich deklaracji, podówczas ambasador Stanów Zjednoczonych w Paryżu nie zachwycał się francuską interpretacją praw naturalnych.

Autokraci, despotycznie usposobieni, radziby uznać za dozwolone jedynie to, co władza wyczerpująco ustala jako dozwolone. Podobne zakusy są na szczęście niewykonalne. Przeważa odwrotne, demokratyczne rozwiązanie. Wedle artykułu piątego francuskiej deklaracji praw dozwolone są wszystkie działania i zaniechania ani nakazane, ani zakazane ustawowo, z tego tytułu stanowiące sferę wolności w rozumieniu formalnym niezależnie od tego, czy niektóre z nich są wyraźnie wyszczególnione jako dozwolone. Treścią sprawiedliwości materialnej jest rozważanie zagadnienia, czy granice wolności zostały właściwie oznaczone, czy zbyt ciasno, czy też za szeroko.

Państwa demokratyczne, ażeby uniknąć anarchii, urzeczywistniają ideały wolności i równości w ramach sprawiedliwości formalnej. Wolność religijna nie sięga tak daleko, aby usprawiedliwić przestrzeganie norm sprzecznych z ustawami. Konstytucja Stanów Zjednoczonych przyznaje wolność głoszenia i wykonywania wierzeń religijnych. Równocześnie obowiązuje zakaz wielożeństwa. Mormoni postępowali wbrew zakazowi. Sprawa oparła się o sądy. Mormoni argumentowali zasadą wolności religijnej i zgodnością wielożeństwa z ich wierzeniami. Oczywiście nie zakazano im wierzyć w zbawienność wielożeństwa, ale zakazano im ich wierzenie wykonywać. Nikt w Stanach Zjednoczonych poza szczupłą grupą Mormonów nie dopatrywał się w postępowaniu władz pogwałcenia wolności religijnej. Anglicy stosują dawną rzymską politykę zezwalania na swobodne wykonywanie praktyk religijnych wyznawcom różnych wierzeń, podległym ich berłu w granicach normy zakazującej zabijać. Zarówno Rzymianie jak Anglicy skutecznie tępili obrzędy religijne, połączone z zadawaniem śmierci ludziom. Palenie na stosach wdów wyszło z użycia w Indiach na skutek zakazu władz angielskich. Rzymianie brzydzili się okaleczaniem religijnym. Cesarz Hadrian zakazał uskuteczniać obrzezanie. Żydzi powstali pod przewodem Bar-Kochby (syna gwiazdy). Wojska rzymskie zburzyły Jerozolimę. Następca Hadriana bardziej powściągliwy utrzymał zakaz w mocy tylko w odniesieniu do neofitów. Hadrian uważał się za filozofa na tronie. Jednak przesadził. Protestanci nie dzwonią w swych kościołach. Dawniej w krajach protestanckich nie pozwalano katolikom bić w dzwony kościelne, albowiem ustawy zabraniają zakłócać porządek publiczny. Ziszczanie wolności religijnej zależy od obustron-

nej wyrozumiałości, oraz umiaru przedstawicieli zarówno państwa jak i wierzeń religijnych. Zagadnienie urzeczywistniania innych wolności i zasady równości także tylko na tej płaszczyźnie doznać może pomyślnego rozwiązania. Prawne ustalenie ich granic nie może być wyczerpujące. Wykonanie ustaw jest miarodajne.

Moralność chrześcijańska, zalecając posłuch zarządzeniom władz, przyjmując zasadę sprawiedliwości formalnej staje się zgodną z każdą formą rządu, atoli jest równocześnie moralnością powszechną i osobistą, uznającą istnienie nadrzędnej sprawiedliwości materialnej. Jej wyznawcy doradzają chętne podporządkowanie się zarządzeniom władz, co odpowiada zarówno interesom państwa jak niemniej jednostek, warunkowane jest jednak należytą postawą moralną dzierżycieli władzy. Moralność chrześcijańska, zgodna z każdą formą rządów, wobec każdej zastrzega sobie prawo krytyki i stawiania postulatów, uzasadnione w istocie demokracji. Wyznawcy moralności chrześcijańskiej uczą, że celem działalności ludzkiej powinno być osiągnięcie zbawienia wiecznego poprzez moralne udoskonalanie się w życiu doczesnym. Zasadniczo sprzeczny jest z moralnością chrześcijańską pogląd, wedle którego państwo stanowić winno ostateczny cel działalności jednostek choćby dlatego, że państwo stanowi wartość doczesną i że polityka państwa przeciwstawiała się nieraz i przeciwstawiać się może w przyszłości spełnianiu przez wiernych przykazań moralności chrześcijańskiej. Teza, mocą której państwo powinno być ostatecznym celem wysiłków indywidualnych, właściwie nie zawiera w sobie żadnej rozumnej treści, boć przecie państwo nie istnieje poza jednostkami. Uznanie przedłużenia bytu państwa po najdalsze wieki odpowiada najbardziej intencjom tego zawołania.

Postawienie kwestii w ten sposób nie znajduje poparcia w nakazach moralności chrześcijańskiej, odrzucającej wyobrażenie, jakoby staranie o przedłużenie własnego życia było głównym zadaniem człowieka, któremu inne byłyby podporządkowane. Państwu źleby się działo, gdyby jego obywatele powołani do pełnienia służby wojskowej myśleli przede wszystkim o ratowaniu swego życia. Bezwarunkowe przedłużanie bytu jednostek jest programem równie nieuzasadnionym, jak postulat jak najdłuższego trwania państwa sam przez się, ponieważ państwo ma rację bytu tylko o tyle, o ile urzeczywistnia ideał sprawiedliwości i o ile służy umo-

ralnieniu ludzi. Zdarzało się, że mieszkańcy państw krótkotrwałych wznieśli się wyżej w toku porywów ludzkości ku szczytom niż mieszkańcy państw długotrwałych (Ateny, Japonia).

Przedłużanie dzierżenia władzy w ręku osób, w danej chwili ją sprawujących, stanowi często mniej lub więcej uświadomioną konkretną teraźniejszość obliczonego na odległą przyszłość, raczej abstrakcyjnego programu przedłużania bytu państwa po najdalsze wieki. Przyziemne ujęcie zagadnienia czai się nieraz w fałdach teorii o naczelnej roli państwa w stosunku do jednostek. Często uzasadnia się nią nadmierne ograniczenia wolności osobistej, nie obciążające równomiernie wszystkich podległych władzy, godzące głównie w usuniętych od jej sprawowania.

Rzecznicy moralności chrześcijańskiej żądają od państwa poszanowania poczucia godności osobistej każdego człowieka, ochrony wolności woli, sumienia i wyznawania wiary, wolności oznaczania we właściwych granicach celów działalności i środków ich osiągnięcia. Każdy człowiek winien być uznany za cel sam w sobie, żaden za środek osiągnięcia cudzych celów. Przymusowe usługi jednych ludzi na korzyść drugich są moralnie mało wartościowe w porównaniu z oparciem stosunków między ludźmi na wzajemności świadczeń dobrowolnych.

Wolność chrześcijańska jest w pierwszym rzędzie wypełnianiem przykazań moralności osobistej. Wolność uzyskał, kto, wyrabiając w sobie siłę woli, opanował siebie samego i swe popędy, kto dobrze czyni posłuszny woli Bożej i nakazom sumienia, a nie z obawy kary, wymierzanej nieposłusznym przez władze. Paweł św. uczy: „wy wezwani jesteście ku wolności bracia: tylko, żebyście wolności nie obracali na pobudkę ciału: ale przez miłość ducha służcie jeden drugiemu" (Gal. 5, 13). „Jeden drugiego brzemiona noście, a tak wypełnicie zakon Chrystusów" (Gal. 6, 2). Apostoł ciągle przypomina wiernym, że Bóg chrześcijański jest Bogiem miłości i pokoju. Opanowanie siebie samego jest najpewniejszą drogą zyskania szczęścia w życiu doczesnym, darząc tych, którzy wysiłek swój kierują ku osiągnięciu tego celu poczuciem należycie spełnionego obowiązku, skarbem najdroższym zapewniającym osobisty pokój duchowy, niezależny od kaprysów fortuny i walk między ludźmi, dostępny każdemu, kto żyje w zgodzie ze swym sumieniem, każdemu kto przestał być niewolnikiem swych chuci.

Ci, którzy wzywają ludzi do opanowania siebie samych, pragną ograniczyć tym sposobem panowanie jednych ludzi nad drugimi, czyniąc zbędnym nadmierne stosowanie przymusu, ponieważ, ich zdaniem, czynności i zaniechania zgodne z zarządzeniami władz są w pewnej mierze narzucone, a zatem ich wartość moralna jest wątpliwa, powtóre ponieważ uszczuplenie sfery nakazów i zakazów państwowych wyzwala wartości i siły indywidualne jednostek ku ich własnej korzyści, ale zarazem na korzyść państwa. Indywidualizm stanowi pozytywny odpowiednik pojęcia wolności, która sama przez się jest właściwie negatywnie określona, póki oznacza umniejszanie ograniczeń. Obrońcy wolności politycznej, właściwie urzeczywistnionej, zakładają, że niebezpieczeństwa jej nadużycia są mniejsze, niż wynikające z nadmiernego rozszerzania zakresu działania państwa.

Rzecznicy panowania nad sobą liczą się również z interesem zbiorowym jednostek, wyrażającym się w ich działalności politycznej i w losach państwa. Folgowanie złym skłonnościom szkodzi nie tylko jednostkom, ale także państwu, którego obowiązkowość obywateli puklerzem najpewniejszym. Rachowanie na sam przymus, choćby poparty terrorem zawodzi na nieco dłuższą metę. Skuteczność stosowania przymusu zależy w znacznej mierze od przychylnego ustosunkowania się opinii publicznej sfer miarodajnych do zarządzeń władz. Obywatele są posłuszni, gdy obawa, kary łączy się z przeświadczeniem o sprawiedliwości i pożyteczności zarządzeń. Jeśli opinia publiczna odmawia wytrwale swej aprobaty poczynaniom władz, ich kapitulacja staje się nieunikniona z biegiem czasu. Zmiana zarządzeń dochodzi do skutku.

Nadmierne rozszerzanie zakresu działania państwa sprzyja obchodzeniu i przekraczaniu postanowień władz, podsycając czynny i bierny opór obywateli, zdegradowanych do rzędu poddanych w tym wypadku. Gdy powierzchnia ciśnienia się zwiększa, słabnie nacisk, wywierany w poszczególnych punktach, bo trudno wzmóc sumę ciśnienia w stosunku odpowiednim powiększeniu jego powierzchni. Jeszcze trudniej równomiernie mnożyć nacisk. Nierówność nacisku wywołuje niebezpieczne dla państwa zwichnięcia równowagi sił w społeczeństwie. Nadmierne rozszerzenie zakresu działania państwa doprowadza do wzrostu legalnej i nielegalnej samowoli urzędników, do ucisku podatkowego, do mnożenia liczby urzędników coraz gorzej płatnych, sprzyja uzupełnianiu poborów urzędniczych łapówkami, demoralizuje rządzących i rządzonych. Ci,

którzy ostrzegają przed tym niebezpieczeństwem kierują się nie tylko chęcią naprawy moralności osobistej ale tuszą sobie że działają równocześnie w interesie państwa.

Postulat wolności staje się moralnie pełnowartościowym dopiero z chwilą wystawiania przez jego zwolenników żądania przyznania tej samej wolności każdemu. Jedynie program upowszechnienia wolności, zniesienia podziału społeczeństwa na uprzywilejowanych i upośledzonych, a więc zrównania ludzi nie nasuwa moralnych zastrzeżeń. Wynika stąd że postulat wolności, tak pojęty, jest zawsze ex definitione występowaniem w obronie demokracji. Wolności uzyskane przez uprzywilejowane grupy mogą w pewnych wypadkach przedstawiać niejakie walory dodatnie, atoli żadną miarą nie są ziszczeniem istotnych wartości liberalizmu.

Upowszechnienie wolności ma dwojakie znaczenie zasadnicze, po pierwsze jako dążenie do urzeczywistnienia ideału równości, powtóre jako częściowe ustalenie właściwych granic liberalizmu. Wolność przesadna przynosi więcej szkody niż pożytku. Przyjęcie zasady przyznania każdemu wolności o tyle, o ile jego prawa nie uszczuplają tej samej wolności, przysługującej wszystkim innym,[3] stanowi potężny hamulec nadużycia wolności. Wolność szlachecka w Polsce okazała się wartością w ostatecznym rachunku politycznie i moralnie ujemną, ponieważ nie została upowszechniona drogą dopuszczenia warstw upośledzonych do korzystania z przywilejów szlacheckich.

Dążenie do demokratyzacji współżycia politycznego ludzi ze sobą stanowi istotny składnik liberalizmu. Wolność bez przymieszki równości oznacza nieodzownie uprzywilejowanie jednych, upośledzenie drugich, oznacza unicestwienie wysiłku osiągnięcia wolności doskonałej, urzeczywistnienie conajwyżej wolności połowicznej. W tym znaczeniu słuszną jest teza, że niema liberalizmu bez demokracji.

Zachodzi także odwrotna współzależność obu postulatów. Równanie ludzi przez państwo, nie zawierające w sobie ziszczenia wolności w pewnej mierze, wyklucza urzeczywistnienie ideału demokratycznego eo ipso. Zawsze ludzie cenili wyżej, albo wolność, albo równość. Szala przechylała się raz w tę, to znowu w drugą stronę. Nigdy nie doszło, bo nie mogło dojść do istotnej realizacji jednego z tych dążeń na zasadzie całkowitego wyeliminowania drugiego współczynnika tego toku wy-

[3] Art. 4. francuskiej deklaracji praw człowieka i obywatela.

darzeń. Demokracja stawia tamę nadużyciom wolności. Liberalizm spełnia tę samą rolę wobec demokracji, której wprowadzenie w życie na płaszczyźnie zupełnego pominięcia aspiracji wolnościowych jednostek jest równoznaczne z pogrzebem równości. Mussolini nazwał ustrój, któremu wypowiedział wojnę, mianem demo-liberalizmu. Ukuł termin trafnie uwydatniający, że ideał wolności i równości jest organiczną, wspólnym celem spojoną jednością, a nie mechaniczną sumą dwóch odrębnych ideałów. Ogólnie przyjęte na Zachodzie nazywanie ustroju demo-liberalnego demokracją uwydatnia pierwiastek egalitarny w procesie ucieleśniania ideałów politycznych, niebezpieczeństwo zaniku demokracji pod obuchem zwycięstwa prądów antiliberalnych.

Powszechna demokracja urzeczywistnia ideał równouprawnienia w wyższej mierze, niż demokracja ograniczona, wykluczająca część ludności od udziału w powoływaniu władzy i rządzeniu. Niemniej także i demokracja ograniczona jest w niejakim, choć mniejszym stopniu, wykładnikiem programu równouprawnienia, ponieważ tkwi głęboko w jej pojęciu wysiłek zrównania politycznego osób współdziałających w rządzeniu, wysiłek zniesienia lub conajmniej uszczuplenia przywilejów, przysługujących jednostkom przynależnym do klas uprzywilejowanych. Demokratyzacja nowoczesnych społeczeństw polegała na zniesieniu, względnie uszczupleniu przywilejów politycznych szlachty i duchowieństwa i na zastąpieniu ich początkowo demokracją ograniczoną, bo nie wszyscy otrzymali prawo wyboru posłów do parlamentu. Zdarzało się także zróżniczkowanie w gronie uprawnionych do wyboru posłów przez różne oznaczenie ilości wyborców i wybrańców w poszczególnych okręgach wyborczych. Demokracja ograniczona rychło przekształciła się w powszechną i niezróżniczkowaną. Niemal wszystkie państwa przyjęły tę formę rządu na przełomie zeszłego i bieżącego stulecia. Jedne pozostały jej wierne. Niektóre państwa europejskie porzuciły ją pod wpływem wstrząsów, wynikłych z wojny, ukończonej w r. 1918. Członkowie stronnictw, którzy obalili ustrój demokratyczny i opanowali władzę, uzyskali stanowiska w najwyższym stopniu uprzywilejowane. Wznieśli się ponad prawo, którego przepisy poczęły obowiązywać tylko nienależących do warstwy rządzącej.

Niewolniczo nastrojone gromady ludzkie okazują gotowość poddania się każdemu postanowieniu władz. Inaczej układają się stosunki tam, gdzie rozpowszechnione jest wśród ogółu zrozumienie i zamiłowanie wolności, gdzie zwyciężyła i utrzy-

muje się zasada, że przedstawiciele władz także podlegają ustawom, że obywatele winni posłuszeństwo jedynie praworządnym postanowieniom przełożonych. Pozostawienie władzom całkowicie wolnej ręki stanowi istotne znamię despotycznego systemu rządzenia. Demokracja może zaistnieć i pomyślnie się rozwijać tylko w oparciu o praworządność zarówno formalną, jak niemniej materialną. Koniecznym warunkiem ziszczenia obywatelskich wolności jest ograniczenie sprawujących władzę do stosowania w poszczególnych wypadkach ogólnych zasad, zawartych w ustawach, których zmiana może dojść do skutku tylko za zgodą ludu. Innymi słowy, tym mniejsza wolność, im większy zakres swobodnego uznania władz. Ich dowolność rządzenia degraduje wolnych obywateli do poziomu poddanych. Niema swobody dyskusji, gdy dzierżycielom władzy przysługuje całkowicie wolna ręka w jej krępowaniu.

Również nie może być mowy ani o wolności dyskusji, ani o jakiejkolwiek innej wolności, gdy jeden czynnik w państwie rozporządza pełnią władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowej. Utawy nie mają żadnego znaczenia, jeśli ten czynnik mocen jest całkiem dowolnie, bez względu na obowiązujące normy przypisywać sędziom w każdym procesie karnym lub cywilnym, jak mają wyrokować. Podział władz, a w szczególności niezawisłość sędziów jest jedyną skuteczną rękojmią wolności i praworządności, a zarazem niezbędnym współczynnikiem ustroju prawdziwie demokratycznego. Obok równouprawnienia politycznego wolność, praworządność i podział władz stanowią współczynniki powstania i rozwoju demokracji.

Istota ustroju demokratycznego tkwi w rządzeniu metodą jawnej i swobodnej dyskusji. Znaczna doza wolności słowa i pióra stanowi główny współczynnik prawdziwej demokracji. Jej rękojmią możność legalnej, publicznej krytyki zarządzeń, powziętych przez ludzi dzierżących władzę w kraju. Swoboda krytyki jest jedną z form legalnej odpowiedzialności rządzących wobec rządzonych, właściwej ustrojowi demokratycznemu. Kierujący mężowie stanu państw demokratycznych i dyktatorowie, jedni i drudzy twierdzą, że powodują się dobrem ogółu. Atoli w państwach demokratycznych naród, dopuszczony jest do dyskusji na temat, co właściwie stanowi dobro ogółu i jakimi środkami należy zmierzać do jego osiągnięcia. Natomiast dyktatorzy zastrzegają sobie prawo wyłącznego decydowania o odpowiedzi na te pytania. Lud zamieszkały w państwach samowładnie rządzonych nie jest uznawany, ani za godny udziału w rozważaniu spraw publicznych, ani za powołany do

uczestnictwa w rządzie za wyjątkiem osób, wezwanych przez samowładcę.

Anglosasi uważają rządzenie metodą jawnej i swobodnej dyskusji za istotne znamię demokracji. Demokratycznym jest kraj, w którym żyją obok siebie i swobodnie rozprawiają o najlepszej formie rządu zwolennicy i przeciwnicy demokracji. Jej przeciwieństwem są nowoczesne ustroje monopartyjne, w obrębie których wszyscy jednozgodnie opowiadają się za demokratycznym systemem rządzenia. Jednostka może skutecznie uczestniczyć w życiu politycznym tylko w charakterze członka jednego z czynnych w kraju stronnictw politycznych. Trudno się wybić ludziom, działającym na własną rękę. Demokracja nie może być niczym innym jeno rządem jednostek, zrzeszonych w niewielką liczbę, jawnie zorganizowanych stronnictw. Nadmierne rozdrobnienie partyjne sprzyja anarchii, a w dalszym ciągu powstawaniu dyktatur, witanych radośnie przez ogół społeczeństwa, spragniony nawrotu do ery ładu i porządku w państwie. Wielka liczba stronnictw stopniowo wiedzie do narodzin i powstawania dyktatury. W państwach anglosaskich opinia publiczna zajmuje stanowisko niechętne wobec prób tworzenia nowych stronnictw. Anglosasi garną się do istniejących. Twórcy nowych przepadają przy wyborach do ciał ustawodawczych. Ustawy pozwalają każdemu powoływać do życia nowe stronnictwa. Obyczaj polityczny, od dawien dawna ustalony i głęboko zakorzeniony, dobrowolne przestrzeganie tradycji skazuje na bezpłodność usiłowania — wyzyskania tej swobody, przyznanej obywatelom. Ustawowe ograniczenia ilości stronnictw stanowią mniej liberalny sposób zapobiegania wybujałościom partyjnictwa. Ich zwalczanie systemem monopartii unicestwia demokrację w zupełności w państwach totalnych.

Zjednoczenie monopartii i państwa, znamionowało bieg wypadków we Włoszech i w Niemczech za rządów Mussoliniego i Hitlera. Wynika stąd, że monopartia jest noworodkiem konstytucyjnie nieżywotnym. Wzajemne współzawodnictwo o zdobycze władzy warunkiem działalności stronnictw. Gdy to założenie odpada skutkiem istnienia tylko jednego stronnictwa, wówczas jego członkowie stają się urzędnikami państwa. Ziszczenie przemiany dochodzi łatwo do skutku w ramach totalnego ustroju. Gdy władcy państwa skupiają jak najwięcej funkcji w swoim ręku, rozporządzają znaczną liczbą wolnych posad. Łatwo im zaspokoić kandydatów. Totalizm także jest przeciwieństwam demokracji, bo uniemożliwia zagwarantowanie

praw obywatelskich. Walki stronnictw hamują dążności do rozszerzenia zakresu działania państwa. W ramach systemu monopartyjnego hamulce, wstrzymujące pochód ku totalizmowi, słabną.

Wolność stowarzyszenia się jest także ważnym współczynnikiem demokratycznego porządku rzeczy. Przynależność jednostek do państwa, oraz do różnych innych związków społecznych stanowi środek wzajemnego ograniczania sfery działania każdego z nich, środek pomniejszania nacisku wywieranego przez państwo na jednostki, rękojmię zapewnienia im większej swobody ruchów.

Wynika z pojęcia demokracji, związanej nieodzownie ze swobodą dyskusji, że zawiera w sobie pewne minimum wolności, którego zniesienie staje się eo ipso grobem ustroju demokratycznego. Zachodzi także odwrotny związek ideałów wolności i równości. Jednostka nie czuje się w pełni wolną, póki niema choćby minimalnego udziału w rządzeniu państwem. Ludzie, którzy są wyłącznie przedmiotami władania, stanowią tylko środki osiągnięcia celów ustalanych przez rządzących, a zatem cudzych celów. Ci ludzie są ograniczeni w poczuciu, że ich życie jest ich własnym, osobistym celem. Postulat równości oznacza, że ogółowi ludności powinno przysługiwać prawo do pewnego udziału w rządach, w uchwalaniu ustaw i w kontrolowaniu działalności władz.

Demokracja, forma rządzenia ze współudziałem ludu, jest rodzajem ludowładztwa, ale nie jest nim wyłącznie. Rosja carska pod koniec zeszłego wieku była państwem, którego ustrój zawierał w sobie wcale znaczną dozę wolności religijnej i gospodarczej, a nawet nieco politycznej, bo dozwolona była, choć w ciasnych granicach, swoboda dyskusji i krytyki politycznej w prasie. Mimo tego ustrój ów nie zasługiwał na miano demokratycznego, ponieważ car samodzierżca sprawował nieograniczoną pełnię władzy, a ogół ludności był wykluczony od udziału w wydawaniu ustaw. Wyrzeczenie się przez lud wolności i równości jest pewnego rodzaju ludowładztwem, ale połączonym ze zniesieniem istotnej demokracji, zgodnej z jej naczelną ideą. Lud współczesnych Niemiec zatwierdził kilkakrotnymi plebiscytami nieograniczoność władzy Hitlera, jego dyktaturę, jego politykę niszczenia wolności, oraz przyznanie przywilejów warstwie rządzącej. Głosowania były powszechne. Niemal wszyscy skorzystali z prawa głosowania i większością głosów bardzo przeważającą, bliską jednomyślności w os-

tatnich plebiscytach, wyrzekli się wolności i równości. Ci, którzy ludowładztwo uważają za jedyny sprawdzian demokracji, nazywają taki system rządzenia demokracją plebiscytarną albo cesaryzmem demokratycznym. W oczach wyznawców mniemania, że demokracja uwarunkowana jest także, a nawet w wyższym stopniu przestrzeganiem w pewnej mierze zasad wolności i równości, współczesna niemiecka „demokracja" jest anty-demokratycznym przejawem plebiscytarnej formy rządu, w porównaniu z którym rząd Rosji carskiej z końca zeszłego wieku był bardziej demokratyczny.

Hitler i jego narodowi socjaliści uporczywie głosili, że tylko ich demokracja jest demokracją prawdziwą, a zarazem odmawiali znamion demokracji ustrojowi politycznemu Anglosasów, który określali mianem plutokracji. Ich teza, zgodna z formalnym określeniem pojęcia demokracji, była prawdą pragmatyczną, użytecznym środkiem do panowania i utrzymania się przy władzy. Trafnie obmyślaną propagandą, coprawda równocześnie mimowolnym hołdem złożonym potędze ideału demokratycznego. Ludzie łączą ze słowem plutokracja wartościowanie pejoratywne, ujemną ocenę zjawiska tym słowem określonego. Uważają je za obelżywe. Wprost przeciwne oceny wzbudza nazwanie danego ustroju politycznego demokracją, równoznaczne z jego sublimowaniem.

Hitler dostosował swą taktykę jednania mas do ich terminologicznego wartościowania tych dwóch słów. Doszedł do władzy metodami nawskroś demagogicznymi. Tucydides, gdyby żył za czasów Hitlera nazwałby ustrój Niemiec narodowo-socjalistycznych demokracją, utożsamiał ją przecie z demagogią. Uznałby ustrój państw anglosaskich za niepozbawiony znamion arystokratycznych, a Hitler kazałby jego dzieło spalić na stosie i zesłać do obozu koncentracyjnego jego zwolenników.

Narodowi socjaliści niemieccy w uzasadnieniu swojej charakterystyki ustroju mocarstw zachodnich powoływali się na faktyczne wpływy polityczne, z których korzystają ludzie bogaci tych krajów, a które rzekomo nie przypadają w udziale bogaczom niemieckim, pozbawionym wpływów politycznych przez nowych panów. Jakkolwiekbyśmy oceniali ciężar gatunkowy przywilejów, które plutokraci Zachodu zawdzięczają umiejętnemu wyzyskaniu w tym celu swego bogactwa,pewnym jest, że przywileje członków stronnictwa rządzącego w Niemczech były bez porównania bardziej nieludzkie i upokarzające, niż przywileje plutokratów na Zachodzie. Pewnym jest również, że wpływy, które daje bogactwo na Zachodzie są mniej-

sze, niżby się zdawało na pierwszy rzut oka. Dochody i majątki ludzi bogatych były w Niemczech Hitlera niżej opodatkowane, niż w krajach określanych przezeń mianem plutokracji. Narodowi socjaliści korzystali z władzy, ażeby się bogacić. Plutokraci Zachodu wydają znaczne kwoty, ażeby utrzymać resztki swych wpływów politycznych, nadszarpniętych mocno rozrostem idei i dążeń demokratycznych.

Dążenie rozszerzenia koła osób, uprawnionych do udziału we władaniu państwem oraz dążenie zwiększenia udziału, przypadającego na każdą z nich wyraża napięcie procesu demokratyzacji państwa. Ateńska demokracja, szlachecka demokracja w Polsce, której przedstawiciele tak chętnie powoływali się na starożytne hasła i wzory, były demokracjami ograniczonymi, ponieważ zacieśniały udział w rządzie do grona ludzi wolnych w Atenach, do koła szlachty w Polsce. Współczesne państwa demokratyczne są krajami powszechnej demokracji. Ustrój ateński był demokracją bezpośrednią, w obrębie której uprawnieni do udziału w rządzie wykonywali swe uprawnienia osobiście. Ich ogół wydawał ustawy i rozporządzenia, przyjmował posłów mocarstw zagranicznych a nawet ferował wyroki sądowe. W innych warunkach działania politycznego ogół uprawnionych przelewa swe prawa na wybranych przez siebie posłów. Współczesne demokracje parlamentarne są demokracjami pośrednimi. Ustrój niektórych z pośród kantonów szwajcarskich jest zbliżony do demokracji powszechnej, a zarazem bezpośredniej. Istnieje antagonizm między rozszerzaniem koła osób uprawnionych do udziału w rządzie, a zasięgiem ich zakresu działania. Gdy koło uprawnionych rozrasta się, wykonywanie bezpośrednio przez nich władzy staje się technicznie niemożliwe. Demokracje wielkich społeczeństw nowożytnych mogą być tylko demokracjami pośrednimi.

Orzeczenia i postanowienia władz mogą być jednostkowe albo kolegialne. Państwa demokratyczne posługują się w wyższym stopniu metodą orzekania i postanawiania w formie głosowania i uchwał, podczas gdy autokratyczne rządzą się z upodobaniem rozkazami przełożonych, ograniczając w tej myśli kolegialność do rozmiarów jak najmniejszych. Na tej zasadzie demokracje bywają nieraz określane jako rządy większości w przeciwstawieniu do ustrojów autokratycznych, rządzonych przez mniejszości. Rozróżnienie, o którym mowa, niewiele rzuca światła na przebieg wypadków. — Większości w państwach demokratycznych dochodzą do skutku zabiegami stosunkowo szczupłego grona osób, kierujących stronnictwami.

Dyktatorzy zdobywają i dzierżą władzę, schlebiając odruchom mas. Różnica istotna tkwi w odmienności urabiania opinii publicznej w jednych państwach w przeciwstawieniu do drugich.

Demokracje posługują się w wyższej mierze metodami dobrowolnego jednoczenia grupy. Przymusem w znacznie mniejszym stopniu. Karzą nieliczne rodzaje czynności i zaniechań jako zbrodnie i przestępstwa polityczne, przy czym znamię polityczne nie stanowi okoliczności podwyższającej wymiar kary. Policja państw demokratycznych ściga wszystkich przestępców, także politycznych. Zasada niewydawania przestępców politycznych władzom państw innych, którą stosowały państwa demokratyczne w zeszłym stuleciu, jest wynalazkiem wybitnie demokratycznym. Państwa autokratyczne zaliczają wiele więcej czynności i zaniechań do kategorii zbrodni i przestępstw politycznych, karanych szczególnie ostro w porównaniu z przewinieniami, popełnianymi z innych pobudek. Wydawanie przestępców politycznych na równi z wydawaniem innych zbrodniarzy, wielość różnych rodzajów policji, znaczne wydatki państwowe na ten cel, tajna policja polityczna, uposażona w uprawnienia, urągające wszelkiej praworządności — oto dalsze znamiona, które dostrzegamy, odtwarzając wizerunek państwa autokratycznego.

Przewodnie myśli światopoglądu demokratycznego kształtują rzeczywistość także w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jak powoływać i odwoływać urzędników, sędziów, oraz innych funkcjonariuszy, sprawujących władzę w państwie? Ich wybieranie przez ludność otwiera pole jawnej dyskusji na ten temat w przeciwstawieniu do dyskretnego mianowania przez przełożonych. System wyborów odpowiada idei demokracji, natomiast mianowanie jest zgodne z istotą autokratycznej formy rządów. Państwa demokratyczne i autokratyczne rządzą się różnymi kombinacjami obu metod ze względów oczywistej użyteczności.

Współczesne państwa demokratyczne, stosujące w wysokim stopniu zasadę podziału władz, uzależniają sprawowanie władzy ustawodawczej w znacznej mierze od powołania systemem wyborów, a mianowicie przyznają ludności prawo wyboru posłów do ciał ustawodawczych. System wyborów staje się ważnym współczynnikiem sprawowania władzy wykonawczej w państwach parlamentarnie rządzonych (do których grona Stany Zjednoczone nie należą), albowiem mianowanie ministrów, choć zastrzeżone panującemu, względnie prezydentowi republi-

ki faktycznie zależy od woli większości parlamentarnej. System wybierania naczelnika państwa przez parlament, a zwłaszcza przez lud jest bardziej demokratyczny, niż inny sposób jego powoływania. Przeważna część sędziów jest wybierana w Stanach Zjednoczonych. Niejednokrotnie szeroki zasięg działalności, przyznanej samorządom terytorialnym i zawodowym, których funkcjonariusze są wybierani, stanowi demokratyczną korektywę autokratycznych rządów.

Ważną jest także kwestia odwoływania funkcjonariuszy publicznych i terminu ich urzędowania. Im znaczniejszy wpływ zastrzeżono na korzyść ludności, tym większy zasięg demokracji. W państwach parlamentarnie rządzonych parlamentowi przysługuje prawo zwyczajowe usuwania ministrów każdej chwili przez wyrażanie im votum nieufności w formie specjalnej uchwały tej treści. Po ukończeniu wielkiej wojny w r. 1918 władcy szeregu państw Europy kontynentalnej wpadli na pomysł umocnienia chwiejącego się parlamentaryzmu i także wyraźnie podkopanej demokracji przez przekształcenie owego prawa zwyczajowego na prawo pisane, nawet konstytucyjnie obwarowane. Nałożyli na ministrów, którym Sejm wyraził votum nieufności, obowiązek dymisjonowania, a na prezydenta Rzplitej obowiązek przyjęcia dymisji (art. 58 Konstytucji polskiej z r. 1921). Przeciągnęli strunę. Raz jeszcze okazała się bezsilność pisanej litery ustaw, obcych miarodajnej opinii publicznej, niemożliwość ziszczenia parlamentaryzmu i demokracji przez wpis do dziennika ustaw. Próby ujęcia w karby ustaw marsz. Piłsudskiego zawiodły. Premier prof. Bartel ukuł aforyzm, później często powtarzany, choć zapomniano o jego początkach i właściwym znaczeniu. Przeciwstawił „rzeczywistość urojoną", wiarę w obowiązywanie formalnej litery konstytucji „rzeczywistości rzeczywistej", zmiatającej do śmietnika przepisy, które utraciły żywotność, choć nie zostały lege artis wykreślone z dziennika ustaw. Ratowanie parlamentaryzmu i demokracji formalistyką prawną zawiodło.

Dożywotnia monarchia elekcyjna jest formą polityczną, ziszczającą w mniejszej mierze ideę demokratyczną, niż republikański wybór prezydenta na ograniczony przebieg czasu. Wybieranie na krótki okres jest bardziej demokratyczne niż na długie lata, ponieważ wola ludności częściej dochodzi do głosu w pierwszym z tych dwóch wypadków.

Utrzymywanie się jednych i tych samych ludzi na stanowiskach naczelnych przez dłuższy przeciąg czasu zdarza się

także w ustrojach demokratycznych, jeżeli ustawy nie stanowią zakazu ponownego wyboru i jeżeli wyborcy korzystają z tej ewentualności. Autorytet przywódców, stanowiący w każdym państwie ważny współczynnik jego potęgi i powodzenia nie jest monopolem ustrojów autokratycznych.

Samowładcom łatwiej zapewnić sobie i państwu korzyści, wynikające z powierzania na dłuższy przeciąg czasu kierowniczych stanowisk ludziom odpowiednim, gdyż rozporządzają z tytułu swego stanowiska dużą swobodą działania, coprawda równoznaczną z możnością jej nadużycia w szczególnie wysokim stopniu. Samowładcy bywają zazdrości i kapryśni. Ludzie, którzy zbyt długo sprawują ważny urząd, mogą zyskać wpływy i potęgę, ograniczającą faktycznie zasięg działania autokraty. Przewaga obaw stąd wynikających doprowadza niejednokrotnie do tego, że państwa samowładnie rządzone słabną pod naciskiem ciągłych zmian na wysokich stanowiskach. Sprzyja im wolność dyskusji i krytyki, właściwa ustrojom demokratycznym. Demokratyzacja niektórych społeczeństw łączyła się z zazdrosnym, częstym usuwaniem od władzy jednostek podejrzewanych o dążenie do tyranii. Heraklit z Efezu półtrzecia tysiąca lat temu wytykał rodakom, że wygnali „Hermodora swego najdzielniejszego męża, mniemając: nikt z nas nie powinien być najdzielniejszym; jeśli ktoś nim jest, niech nim będzie gdzieindziej i u innych ludzi".[4] Bywa inaczej. Kwitną demokracje, rządzone setki lat przez światłą, uczciwą opinię publiczną obywateli, zdających sobie sprawę z zalet łączenia zmienności i trwałości obsady posad we właściwym stosunku. Istnieje w anglosaskich państwach zwyczaj rządzenia systemem dwóch stronnictw, naprzemian dochodzących do władzy, przy czym każde z nich podlega karnie przywódcy, utrzymywanemu na tym stanowisku jak najdłużej, obdarzanemu szczodrze uznaniem, zaufaniem i poparciem swych popleczników. Demokracje, w łonie których powstały i utrzymują się prawa zwyczajowe tego pokroju, przewyższają swą sprawnością autokratyczne ustroje.

Charakter narodu wyjaśnia tok wypadków ściślej, niż psychologia tłumu. Na przełomie zeszłego i bieżącego stulecia pojawiło się mnóstwo książek, których autorowie, żeglujący pod modną socjologiczną banderą naukową, ujemnie oceniali właściwości tłumu i wyciągali stąd śladem Arystofanesa wnioski

[4] Tłum. Staffa.

niekorzystne dla sprawności i trwałości ustrojów demokratycznych, dopuszczających tłum do znacznego udziału w rządzie. W tym zgodnie potępiającym chórze przedstawicieli wielu narodowości — książki niektórych z pośród nich doczekały się wielu wydań i tłumaczeń na obce języki (Le Bon) — brakło głosów angielskich, amerykańskich, szwajcarskich. Tamtejsi pisarze polityczni na podstawie rodzimych doświadczeń wyrozumiale oceniali lud i demokrację. Mężowie stanu anglosascy podobnym zapatrywaniom dawali wyraz. Dyktatorzy wprost przeciwnym.[5] Pesymiści wyobrażają sobie tłum w postaci motłochu. Pozyskać go najłatwiej niskimi motywami i argumentami. Szlachetniejsze są mu niedostępne. Popędliwość znamieniem tłumu. Popada snadnie w nastawienia skrajne. Butny w szczęśliwym zbiegu okoliczności, tchórzy, gdy przeciw niemu zwraca się obrót koła Fortuny. Za mało albo za wiele ufa przywódcom. Okazuje nadmiar albo brak zmysłu krytycznego w ich ocenie, przesadną chęć panowania albo ślepe posłuszeństwo. Powodowany zazdrością i podejrzliwością ciągle zmienia przywódców. Nieraz skory do usuwania wybitnych, żywiąc obawę, ażeby nie ukrócili jego wszechwładzy. To znowu poddaje się bez zastanowienia głosom pochlebców, którzy go zwodzą umiejętnym graniem na jego namiętnościach. W poczuciu własnej słabości spragniony bezgranicznie autorytetu kornie garnie się pod rozkazy dyktatorów, ceniąc wyżej ich ułudne obiecanki chleba i sławy, niż wolność. Tłum wybiera przywódcami ludzi nieudolnych.

Ten obraz zachowania się tłumu bywa zgodny i sprzeczny z rzeczywistością. Są narody, których ogół bierze udział w rządzie przez dłuższy czas z pożytkiem dla sprawy publicznej, okazując właściwości wprost przeciwne ujemnej psychologii tłumu. Jej rysy odnajdujemy w dziejach innych narodów. Wywierają szkodliwy wpływ zarówno wtedy, gdy znamionują postępowanie tłumu, jak niemniej w częstych wypadkach ich pojawiania się u przywódców. Tłum anglosaski ma szczęśliwą rękę w wyborze ludzi na naczelne stanowiska, niemiecki powierza losy państwa jego grabarzom. Jedne narody wznoszą się cnotami ogółu i przywódców. Inne upadają skutkiem niepohamowanej megalomanii zarówno tłumu, jak jego wybrańców. Machiavelli przytacza i zwalcza podobnymi argumentami pesymistyczny pogląd rzymskiego historyka, Liviusa: „Ea natura multi-

[5] Hitler: „Mein Kampf."

tudinis est, aut servit humiliter, aut superbe dominatur (Już taka dusza tłumu albo uniżenie służy, albo wyniośle panuje)[6]. Wydarzenia najnowsze potwierdzają wynurzenia włoskiego teoretyka polityki. Przeczą uogólnieniom nowoczesnych socjologów. Pisali przed wybuchem wielkich wojen bieżącego stulecia. Pesymistycznie oceniali przyszłość. Nie mylili się. Nie ostało się jednak uzasadnianie ich pesymizmu. Uznali demokrację i wady tłumu za źródło niebezpieczeństw. Skądinąd padły gromy. W roku 1914 i w ćwierć wieku później państwa autokratyczne podjęły wojny długie, krwawe, kosztowne, wielce uszczuplające poprzedni dorobek duchowy i kulturalny ludzkości. Anglosaskie społeczeństwa demokratyczne wyszły z opałów stosunkowo obronną ręką. W świetle ostatnich wydarzeń nie ostało się spostrzeżenie de Tocqueville'a, odmawiającego państwom demokratycznym zdolności prowadzenia dobrze obmyślanej i konsekwentnej polityki zagranicznej.[7] Demokracje pod tym względem przewyższały państwa autokratyczne. Rozpowszechnione mniemanie, jakoby ustrój demokratyczny mógł pomyślnie funkcjonować tylko w państwach małych (Rousseau i inni) również nie dopisało. Wytrzymał próbę czasu pogląd Machiavellego i Monteskiusza, przypisujących charakterowi narodu doniosły wpływ na rozwój wypadków.

Wszystkie drogowskazy moralno-polityczne a więc także i demokratyczne są wewnętrznym głosem sumienia, który można podeprzeć, ale którego nie sposób ściśle udowodnić argumentacją wyłącznie rozumową. Atoli ustrój demokratyczny jest z istoty swej bardziej racjonalistyczny, niż system autokratyczny, ponieważ swobodna, jawna dyskusja stanowi ostoję demokratycznej metody rządzenia. Jej zwolennikami są ci, którzy cenią w człowieku przede wszystkim umiejętność rozprawiania i zalety ścierania się zdań, rozumowo uzasadnianych w toku dyskusji, którzy chętnie posługują się argumentacją rozumową w przeświadczeniu, że ta argumentacja jest w pewnej mierze ogółowi dostępna i skuteczna. Politycy autokratycznie usposobieni stosują wprost przeciwne metody, lekceważą uzdolnienia ogółu, głoszą irracjonalizm natury ludzkiej, grają na uczuciowych strunach duszy swych słuchaczy i czytelników, chętnie szafują hasłami mistycznymi, w imię których krępują, a nawet unicestwiają wolność dyskusji.

[6] „Discorsi" I, 58.
[7] „De la democratie en Amérique". Paris 1833 liczne wydania i tłumaczenia. Dzieło zawiera obszerne wywody na temat demokracji wogóle.

Tym sposobem stosunkowo łatwo stworzyć jedność opinii publicznej, ale trudno uniknąć jej wyrodzenia się w bezmyślne zaślepienie i zacietrzewienie, potęgujące się do rozmiarów, wykluczających opamiętanie przed nadejściem katastrofy której zbliżania się z powodu tego nastawienia opinii publicznej nikt z pośród rządzących nie jest w stanie, czy też nie chce spostrzegać. Nadmierne rozstrzelenie zdań, krzewienie się dążności odśrodkowych właśnie w chwilach krytycznych, w których jedność i solidarność narodu jest skarbem bezcennym niejednokrotnie podkopuje byt demokracji. Znane przysłowie „Co głowa to rozum" trafnie uwydatnia trudność wytworzenia jedności, a nawet stałej większości na zasadzie racjonalistycznych dyskusji.

Twórcy każdego systemu moralno-politycznego uznają pewne wartości za bezwzględnie cenne i formułują przykazania bezwarunkowo obowiązujące, których przestrzeganie uważają za niezawodny sposób ziszczenia swych ideałów. Demokraci wierzą, że żyć warto jedynie w ramach ustroju, zabezpieczającego wolność i równość obywateli. Ich przeświadczenie w tym względzie stanowi dla nich źródło absolutnie pewnej normy postępowania. Mimo tego demokratyczne myślenie i odczuwanie jest relatywistyczne w porównaniu z wyobrażeniami, propagowanymi przez ich przeciwników. Demokratyczny system rządzenia polega na ciągłym, jawnym dyskutowaniu wszelkich ideałów moralnych i politycznych oraz dróg ich ziszczenia. Ustrój demokratyczny otwiera na oścież pole różnorakiej krytyce, nie wyłączając krytyki ideałów, które jego zwolennicy cenią i chcą urzeczywistniać. Wartości moralne i zalety demokratycznego systemu rządzenia są oczywiste. Grozi mu jednak niebezpieczeństwo podkopania autorytetu władz przez krytykę niepohamowaną. Odwrotne niebezpieczeństwo braku krytyki daje się we znaki państwom autokratycznym, których władcy zakazują kwestjonować prawdziwość i słuszność wartości, przyświecających ich polityce.

Nie wolna dyskusja, jeno masowe maszerowanie godzinami całymi w takt trąb, bębnów i piszczałek stanowi środek urabiania i jednoczenia opinii publicznej w państwach autokratycznie rządzonych. Ich rytuał, obrzędy, ceremonie, chorągwie, odznaki, obchody i parady wspaniałe, wystawne, dekoracyjne, huczne, wielce różnorodne są mistrzowsko organizowane na wielką skalę. Rząd nie szczędzi kosztów na ten cel. Wywieszanie chorągwi jest przymusowe. Udział ludności także. Kontrmanifestacje są zakazane. Znacznie skromniejsze i powścią-

gliwsze stosowanie tych metod rządzenia, dobrowolność udziału w demonstracjach, udzielanie zezwoleń przeciwnikom politycznym na organizowanie swoich obchodów — oto przejawy większego racjonalizmu i relatywizmu właściwego demokracjom. Obie metody zawodziły, gdy moralne sprężyny działania rozluźniały się. Ani przymus, ani dobrowolność, same przez się nie stanowią całkowicie skutecznego środka jednoczenia i cementowania zwartości społeczeństwa.

Demokracja jest systemem jednoczenia obywateli na płaszczyźnie głównie politycznej przy równoczesnym wyrzeczeniu się w wysokim stopniu korzystania z innych sposobów osiągania tego celu. — W tym systemie rządzenia przynależność państwowa sama przez się tworzy siłę, skupiającą obywateli więzią, wystarczającą dla zapewnienia bytu i pomyślnego rozwoju państwa. Demokratyczne państwo dopuszcza całą ludność do udziału w sprawowaniu rządów i zapewnia jej dobrodziejstwa swobód obywatelskich. Mieszkańcy państw demokratycznych rozumieją korzyści stąd płynące i wysoko je cenią. Przynależność do takiego państwa wytwarza wśród nich poczucie jedności, wobec którego bledną różnice wyznaniowe, językowe i narodowe. Stają się niezdolne do zrodzenia dążności odśrodkowych, zagrażających bytowi państwa. Zamiłowanie swobód obywatelskich ostoją państw demokratycznych. Autokratyczne nie rozporządzają tym sposobem pozyskania współpracy i przywiązania ludności. Często posługują się innymi środkami wzmacniania więzi państwowej. Próbują ją podbudować narzucaniem jedności wyznaniowej lub językowej i narodowościowej. Ich władcy, uważając rozbieżność wyznaniową za siłę rozsadzającą państwo stosowali zasadę: „cuius regio, illius religio". Nawracali mieczem poddanych dla dobra państwa. Tępili, prześladowali, wysiedlali różnowierców, nie uznających religii państwowej. Z biegiem czasu polityczne znaczenie różnorodności wyznaniowej zmalało. Wzrosło nasilenie prądów narodowościowych.

Nowoczesne państwa autokratyczne w zamiarze umocnienia jedności państwa zamiast kierować się dawną zasadą „cuius regio, illius religio" sformułowaną w Augsburgu w 1547 r., kształtują swą politykę pod hasłem „cuius regio, illius natio", urzeczywistnianym na korzyść narodowości panującej. Jej język próbują narzucać obywatelom innych narodowości, najczęściej mniejszościom narodowym. Ograniczają ich prawa, wpływy i możności rozwoju w różnych dziedzinach życia, umniejszając tym sposobem ich równouprawnienie. Mniejszo-

ści narodowe wywieszają sztandar samostanowienia narodów. Dążą do oderwania części państwa przez nich zamieszkałego od całości w zamiarze utworzenia na tym obszarze nowego państwa. Przeciwdziałanie podobnym dążnościom odśrodkowym wyraża się nieraz przymusowym wysiedlaniem mniejszości, dokonywanym niejednokrotnie na zasadzie umów międzynarodowych o wzajemną wymianę ludności. Państwa demokratyczne chcą i umieją unikać tego rodzaju polityki, umieją stępiać ostrze samostanowienia narodów.

Szwajcaria skupia w sobie obywateli różnego wyznania i języka. Nie powstał odrębny język szwajcarski. Zaistniała jednak narodowość szwajcarska w rozumieniu politycznym. Niemcy, Francuzi, Włosi, zamieszkujący Szwajcarię poczuwają się do łączności kulturalnej z obywatelami państw innych, używającymi tego samego języka. Cenią wyżej niepodległość swej wspólnej szwajcarskiej ojczyzny. Nie dążą do oderwania części obszaru państwa od całości w imię prawa stanowienia narodów o sobie. Odżycie ostatnio w Szwajcarii wygasłej poprzednio narodowości romańskiej nie wstrząsnęło jednością polityczną Szwajcarii. Narodowości amerykańska i kanadyjska należą do rzędu zjawisk pokrewnych. Stany Zjednoczone i Kanada także goszczą pod wspólnym dachem różne równouprawnione wyznania, języki i narodowe odrębności kulturalne, złączone wspólnym przywiązaniem do demokratycznej ojczyzny, neutralnej wyznaniowo i narodowo, o ile bierzemy pod uwagę przynależność narodową, odrębną od państwowej. Narodowości angielskie w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie nie dążą do tworzenia nowych państw. Problem mniejszości narodowych w Szwajcarii, w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie nie przejawia się w postaci zaognionej, właściwej państwom mniej demokratycznie rządzonym. W krajach demokratycznych przywiązanie do państwa zastępuje skutecznie więź religijną i narodowościową w jej charakterze środka jednoczenia politycznego obywateli.

Zajęcie stanowisk czołowych przez ludzi ze wszech miar godnych wywyższenia jest jedynym trwale skutecznym sposobem usprawnienia działalności społeczeństw ludzkich. Niestety postęp właśnie w tym względzie jest najmniej widoczny. Żaden system rządzenia, sam przez się nie rozwiązał zadawalniająco problemu powoływania do steru na dłuższy przeciąg czasu prawdziwej elity społeczeństwa, nie zapewnił stawiania na świeczniku najlepszych synów Ojczyzny, nie zabez-

pieczył państwa i jego obywateli przed pokusą nadużycia osiągniętych sukcesów przez przywódców, skłonnych do megalomanii. Atoli w przebiegu dziejów wyraźnie wystąpiła na jaw wyższa zdolność ustroju demo-liberalnego wyłaniania ze społeczeństwa wielkiego zastępu jednostek wybitnych.

Demokraci walczą o wolność w nadziei wyzwolenia tym sposobem dodatnich moralnych i intelektualnych uzdolnień jak najszerszego koła osób. Wyniki okazywały się zgodne z zamiarami i przewidywaniami. Nadzieje sprawdzały się w obrębie społeczeństw, zorganizowanych na zasadach demo-liberalnych uzgadniania wolności i równości. Epoki demokracji bywały czasokresami niezwykle świetnymi spotęgowanej żywotności społeczeństwa, pojawiania się na widowni dziejów licznego zastępu bujnych indywidualności. Ludzkość bogaci się duchowo i materialnie szczególnie szybko i wydatnie w ciągu stuleci urzeczywistniania ideałów demokratycznych. Rozkwit filozofii, nauk, sztuk pięknych przypada w wysokim stopniu właśnie na te czasy bogate duchowo i materialnie (Ateny starożytne, Florencja średnich wieków, Europa wieku XIX-go). Ludzkość dotąd nie stworzyła wydatniejszego systemu przysparzania talentów i silnych indywidualności.

Demokratyzacja ustrojów państwowych splatała się z rozwojem własności prywatnej. Niejednokrotnie urzeczywistnianie obu dążności było wzajemnie warunkowane. Ludzie wzbogaceni zabezpieczali swe dostatki pozyskiwaniem uprawnień politycznych. Udział w sprawowanu władzy torował drogę nabywaniu i swobodzie rozporządzania majętnościami. Znaczne ograniczenie zasięgu własności prywatnej na korzyść publicznej, podporządkowanej władzom państwa oraz innych związków przymusowych, dokonało się ostatnio. Zachodzi prawdopodobieństwo dalszego zaniku własności prywatnej w ciągu lat najbliższych. Potężne siły pchają łącznie wszystkie społeczeństwa ludzkie po tej drodze. Rozwój techniki zapewnia znaczne korzyści produkcji zorganizowanej na wielką skalę w obrębie wielu działów gospodarstwa. Ich przejęcie przez państwo staje się postulatem, uzasadnionym technicznie, równocześnie zgodnym z programem ekonomicznego zrównania ludzi i zwalczania bezrobocia. Po trzecie, konieczności wojenne przyczyniły się w wysokim stopniu do wyparcia własności prywatnej przez publiczną. Nastanie pokoju nie stworzy odrazu warunków odwrócenia tego procesu, skądinąd odpowiadającego życzeniom, obecnie przeważającym. Wy-

ciągnięto stąd wniosek, że czasy najbliższe będą okresem znacznego egalitaryzmu ekonomicznego, zawierającego w sobie mało pierwiastków prawdziwej demokracji wobec rzekomo nieuniknionego w tym ustroju nadmiernego skrępowania wolności.

Wiek zeszły był okresem nadania prawa głosowania do ciał ustawodawczych także warstwom mniej zamożnym. Ich przedstawiciele posłużyli się bronią wywalczoną przez burżuazję celem jej obalenia. Hasło uzupełnienia demokratyzacji politycznej ekonomiczną niesie ze sobą ograniczenie stanowiska znacznego w państwie i działalności gospodarczej przedsiębiorcy prywatnego, zanik burżuazji, wywierającej silny wpływ na kształtowanie się opinii publicznej, przysparzającej kapitałów swą oszczędnością gospodarstwu społecznemu, spełniającej bezpłatnie różne funkcje zwłaszcza samorządowe, budującej w krajach bogatych szkoły i szpitale z własnych funduszów, finansującej dobroczynność prywatną. Państwo i inne związki prawno-publiczne obejmą te zadania. Niemal wszyscy staną się ich skromnie, mniej więcej równo płatnymi urzędnikami, zależnymi od szczupłego grona osób, zajmujących stanowiska naczelne, pozbawionymi własności prywatnej, zdolnej dostarczać dochodów samoistnych, a zatem pozbawionymi swobody dyskusji i krytyki w sprawach politycznych.

Urzeczywistnianie przez państwo egalitaryzmu ekonomicznego będzie początkowo procesem mało demokratycznym. Zapatrywanie, jakoby zachodziła konieczność trwałego rozwoju wypadków w tym duchu nie znajduje poparcia ani w teorii, ani w przebiegu dziejów. Nadużycia władzy przez rządzących nie stanowią koniecznych znamion żadnego ustroju. Można także w obrębie systemu, w którym własność publiczna przeważa, wytworzyć obyczaje i instytucje, zabezpieczające wolność dyskusji politycznej. Nie zabraknie cegieł i budulca dla wzniesienia tego gmachu. Stałość posad może oddać znaczne usługi. Urzeczywistnianie egalitaryzmu ekonomicznego nie zaspokoi chęci zabezpieczenia zagrożonych wolności obywatelskich. Ich umiłowanie nie wygaśnie w duszy ludzkiej. Powodzenie usiłowań znalezienia sposobów zadośćuczynienia postulatom liberalizmu zależeć będzie, podobnie jak dotychczas, od pokojowości międzynarodowego i wewnętrznego układu stosunków politycznych, albowiem źródłem odradzania się ograniczeń liberalizmu jest w ostatnim rzędzie potrzeba jednoczenia ludności walczących państw,

której karnej solidarności dobrowolność nie zabezpiecza w dostatecznej mierze, oraz dążenie do zdobycia siłą władzy przez rewolucjonistów, przeświadczonych o niemożliwości osiągnięcia swego celu pokojowymi środkami.

Proces demokratyzacji jest z pewnością czynnikiem sprzyjającym mnożeniu zdobyczy ducha. A jednak formy rządzenia bardziej autokratyczne stają się spadkobiercami demokracji. Rozpowszechnienie demokracji zarówno w czasie, jak i w przestrzeni nie jest przeważające. Nie trafia mi do przekonania pogląd, jakoby demokracja była ustrojem z istoty swej wadliwym, mniej zgodnym z naturą ludzką w przeciwstawieniu do bardziej autokratycznego porządku rzeczy. Oba systemy rządzenia mają swe zalety i wady. Oba okazywały się mniej lub więcej sprawne zależnie od ich istoty i od okoliczności. Można uprawdopodobnić, niepodobna jednak ściśle zmierzyć i zliczyć, który ze współczynników przebiegu wypadków przeważył szalę. Oczywistym jest jednak fakt ciągłego powtarzania się wojen i rewolucji, ich powinowactwa z właściwościami zasadniczymi autokracji, ich sprzeczności z ideą demokratyczną. Hasło: „salus reipublicae suprema lex esto" staje się w czasie wojen i rewolucji przykazaniem miarodajnym, obalającym demokratyczne normy moralne i metody rządzenia. Konieczność zawarta w sytuacji zmusza do ograniczenia wolności dyskusji i krytyki, wywołuje przerost uprawnień władzy wykonawczej. Wojny i rewolucje stanowią ciągły asumpt nawrotu do pierwiastków autokratycznych w systemie rządzenia.

Demokracje niejednokrotnie wygrywały wojny, ale często kosztem krótszego, a nawet dłużej trwającego ograniczenia procesu demokratyzacji. Demokracja rozwijać się może pomyślnie tylko w atmosferze pokojowego układu stosunków politycznych. Także i pod tym względem zachodzi zasadnicze, uderzające pokrewieństwo między demokracją i chrześcijaństwem. Ziszczenie obu ideałów uwarunkowane jest usilnym i szczerym dążeniem do rozwiązywania wszelkich sporów metodami pokojowymi z wykluczeniem uciekania się w tym celu do przemocy.

Wolność i równość ograniczają się wzajemnie. Niepodobna ziścić żadnego z tych ideałów. Demokracja streszcza się w oscylowaniu między nimi. Jest kompromisowym urzeczywistnianiem dążeń osiągnięcia obu celów. Właściwie istnieje nie demokracja, jeno proces demokratyzacji współżycia ludzkiego. Był wielostronny w zeszłym stuleciu. Liberalizm święcie

cił wówczas triumfy. Dokonywało się zrównanie ludzi wobec prawa i ich zrównanie polityczne przez przyznawanie coraz to szerszym warstwom prawa wyboru posłów do ciał ustawodawczych. Równocześnie, wbrew rozpowszechnionym poglądom, zrównanie gospodarcze ludzi czyniło postępy, czemu nie przeczy, że uznawano je za niewystarczające i że coraz silniejsze stawały się prądy wyzyskania zdemokratyzowania politycznego jako oręża w walce o ziszczenie demokracji gospodarczej. Ówczesny proces demokratyzacji był równocześnie liberalnym i egalitarnym. Obecnie w wielu państwach polityka egalitaryzmu ekonomicznego wyciska swe piętno na rozwoju wypadków i osiąga swój cel, ale kosztem zatraty liberalnych pierwiastków ustroju, a nawet kosztem równouprawnienia politycznego ludności. Mówi i pisze się często, że zeszłe stulecie było epoką demokracji liberalnej, że obecne jest ziszczaniem demokracji teraz społecznej. Zmiana wyraża nierównomierności współczesnego procesu demokratyzacji.

Proces demokratyzacji będzie trwał jeszcze długo. Niepodobna wyobrazić sobie stanu rzeczy, któryby ludzie uznali za zadawalniające ziszczenie ich aspiracji duchowych oraz materialnych do wolności i równości nawet wtedy, gdyby egalitaryzm ekonomiczny okazał się zgodnie z obietnicami jego szermierzy równaniem na poziomie przewyższającym dotychczasowe osiągnięcia w tym kierunku, a cóż dopiero wtedy, gdyby zapowiadane równanie w górę potoczyło się po linii równania w dół.

LIGA NARODÓW

Nadzieje i doświadczenia.*

Dnia 8 kwietnia 1946 r. zebrało się w Genewie ku zdziwieniu świata Zgromadzenie Ligi Narodów. Zjechali się delegaci kilkunastu państw, a celem tego Zgromadzenia było wyłącznie zlikwidowanie Ligi Narodów. Zdziwienie, jakie musiało wywołać to Zgromadzenie, było może i słuszne, gdyż świat miał wiele racji, aby zapomnieć o istnieniu Ligi. Niemniej korespondenci pism zagranicznych asystujący przy tych egzekwjach zauważyli, że ostatnia sesja Zgromadzenia nie miała jednak charakteru żałobnego, ani też nie było widać wśrod zebranych delegatów nieprzyjemnego zażenowania, które, mogłoby się wydawać, byłoby na miejscu przy tej okazji. — Ostatnie zebranie Ligi Narodów miało charakter zjazdu, który miał na celu przekazanie pracy i zadań — powiedział o tem sprawozdawca angielski — nowej, może i szczęśliwszej instytucji: Organizacji Narodów Zjednoczonych. — Stąd może brak i zażenowania jakie zwyczajnie wywołuje niepowodzenie i konieczność likwidacji czegoś co miało być nadzieją lepszej przyszłości, a co zawiodło.

Czym była Liga Narodów? Czy zawiodły nadzieje, jakie z nią wiązano? Czy była tylko doświadczeniem złym, negatywnym? Dlaczego po 20 latach działania zamilkła właśnie wtedy, gdy głos jej powinien się szeroko rozlegać? Dlaczego zapomniano o niej zupełnie i dopiero concursus

* Z obszernej literatury przedmiotu autor zwraca uwagę na następujące pozycje, które były szczególnie pomocne i ważne w sformułowaniu syntezy jaką chciał dać w swym artykule: C. Valenziani — Petite histoire de la SDN; O. Halecki — Liga Narodów; A. Zimmern — League of Nations and the Rule of Law; Ch. Lange — L'histoire de l'internationalisme; P. B. Potter — An Introduction to the Studies of International Organization; ter Meulen — Der Gedanke der Internationalen Organisation in seiner Entwicklung; L. Ehrlich — Prawo narodów; J. Makowski — Prawo międzynarodowe; A. B. Keith — Wheaton's Elements of International Law; P. Fauchille — Traité de droit international.

creditorum ostatniego, kwietniowego zjazdu przypomniał ją światu?

I.

Idea a rzeczywistość.

Liga Narodów była związkiem państw. Nie stanowiła ona osobnej egzystencji (podmiotu prawa narodów), ale była organizacją łączącą olbrzymią większość państw świata dla osiągnięcia wspólnego, a niewątpliwie najważniejszego celu: powszechnego pokoju.

Była to pierwsza w dziejach ludzkości tego rodzaju organizacja, i należy to mieć na uwadze nim się przystąpi do jakichkolwiek rozważań na temat Ligi. Zapewne, że każde przymierze (a przymierza zawierano od niepamiętnych czasów) jest związkiem państw, lecz przymierza tworzą najmniej trwałe więzy, a niemal nigdy naprawdę nie przyczyniły się do wzmocnienia pokoju. System równowagi potęg w drugiej połowie XIX w. nie był niczym innym jak ugrupowaniem się państw wrogich w dwóch obozach. „System" tego typu musiał doprowadzić do wojny, gdyż nie był w gruncie rzeczy żadnym systemem politycznym, ale bardzo niepewną asekuracją jednej grupy państw przeciw drugiej, przy czym państwa przeciwnych obozów nie starały się o usuwanie różnic, uzgadnianie sprzeczności, lecz postępowaniem swym powiększały je do tego stopnia, iż „system równowagi" zniknął w zupełnej katastrofie Pierwszej Wojny Światowej. Rezultatem tej wojny było między innymi powołanie do życia Ligi Narodów. Oto jedna ze znamiennych okoliczności, której następstwa były tak ważne dla powstającej w r. 1919 organizacji: Liga Narodów nie była owocem pokojowej współpracy Narodów i ewolucji stosunków pomiędzy państwami, lecz zjawiła się nieoczekiwanie, jak *deus ex machina* w nowej powojennej rzeczywistości.

Zapewne, iż za prototyp Ligi Narodów można uważać przymierza, unje, wszelkie związki rożnego typu, jakie powstały od drugiej połowy XIX w. (np. Międzynarodowy Związek Pocztowy, organizacja Czerwonego Krzyża i dziesiątki innych), ale brak jest ogniw ewolucji między rozwojem tych organizacji a powstaniem Ligi Narodów.

Idea związku narodów jest bardzo stara. W starożytności związki miast-państewek greckich, amfiktjonje, hegemonje

lub związek olimpijski niewątpliwie realizowały myśl pokojowego współżycia małych ludów dawnej Grecji. Ograniczały się jednak tylko do Greków i zniknęły wraz z upadkiem niepodległości tych ludów.

W średniowieczu i czasach nowszych nie wiele w praktyce zrobiono dla idei powszechnego pokojowego współżycia narodów. Jednak pisano i projektowano bardzo wiele o rozmaitych związkach władców. Skromni mnisi, najwięksi filozofowie, Rousseau, Kant, najsławniejsi poeci i statyści — Dante i Macchiavelli — o niej myślą, marzą i piszą. Nawet panujący monarchowie (Jerzy z Podjebradu, Henryk IV i polski król-wygnaniec Stanisław Leszczyński) interesują się ideą połączenia ludów europejskich w jedną jakąś bardziej zwartą i zorganizowaną całość. W całość tego rodzaju, aby przynajmniej między narodami zjednoczonymi w ten sposób usunąć groźbę wojny. Albowiem we wszystkich planach i zamysłach zjednoczenia narodów, we wszystkich układach międzynarodowych zdążających do zorganizowania społeczności międzynarodowej szło przede wszystkim o to ażeby usunąć wojnę w zupełności, lub, aby tak zorganizować narody, by znikła ona między państwami, któreby miały zawrzeć związek. A nawet jeśli to okazało się niewykonalne, od wieków rozmyślano jak umniejszyć zło wojny, jeśli już ona musi wybuchnąć (konferencje haskie).

I oto pytanie: dlaczego wszystkie te plany i zamysły się nie powiodły? Dlaczego nie zrealizowano w ciągu tylu wieków współżycia międzynarodowego żadnego z licznych projektów organizacji międzypaństwowej? A przecież każdy z nich, choćby najgorszy, byłby niewątpliwie lepszą podstawą współżycia narodów, aniżeli stan ciągłej anarchji, tak kosztownych zbrojeń, które pochłaniały miljony, setki i tysiące miljonów w ostatnich tylko stu latach. Najgorzej pomyślany plan usunięcia wojny, byłby niewątpliwie lepszy, aniżeli konieczność ciągłej czujności przed napaścią, aniżeli wyczerpujące i wyniszczające wojny.

A jednak, mimo doświadczeń dziesiątek pokoleń do roku 1919, nie udało się wprowadzić w życie żadnego planu, nie udało się stworzyć powszechnej organizacji, któraby mogła jakoś urządzić pokojowe współżycie narodów. Przyczyn tego było bardzo wiele.

Crucé, w wieku XIX, naiwnie sądził że wystarczy dobra chęć, a najdalsze nawet narody będą się mogły zjednoczyć w trwały związek i utrzymywać stały wspólny „Parlament"

w Wenecji. Twierdził, że nie należy zrażać się trudnością podróży dalekiej, długiej a niebezpiecznej. Lecz nie daleka i męcząca podróż ambasadora mogła stanowić przeszkodę w powstaniu gdzieś w dalekiej, dla Persji czy Indji, Wenecji wspólnej organizacji. Bo nie trudy podróży były istotną przeszkodą, ale sam fakt, iż podróż ta musiałaby trwać wiele miesięcy. Cóż wspólnego miała Persja czy Indje ze Szwecją lub Danią, albo Chiny z Polską w czasach odległych, kiedy podróże trwały całe miesiące. Jak mógłby „Parlament", czy sąd światowy rozstrzygać sprawę odległą o tysiące mil, o tygodnie i miesiące znojnej drogi? Przecież w międzyczasie sprawy na miejscu mogły się dawno zmienić, skłócone państwa mogły się pogodzić, albo też jedno mogło w tak długim okresie czasu drugie pokonać, lub zawojować, zanimby przyszło orzeczenie, jak należy spór pokojowo załatwić, kto komu winien ustąpić. A co dopiero, jeśliby trzeba do dalekich, a nawet i bliższych krajów posłać pomoc, którąby miała uwolnić od agresora.

W czasach, gdy wiatr dmący w żagle, lub siła rąk galerników poruszała ociężałe galery, a mięśnie nóg ludzkich i zwierzęcych były najszybszym motorem na lądzie (czyli nieco więcej, niż jeszcze 100 lat temu) zbyt dalekie wyprawy były niemożliwe. Odleglejsze narody znały się bardzo mało, mało wiedziały o sobie, jakże więc wspólnie mogliby radzić i gromadnie rozwiązywać spory ambasadorowie, spory sobie obce, nieodgadnione i tajemnicze. Trudno więc było myśleć realnie o powszechnej, obejmującej cały blok ziemski organizacji, bo nawet gdyby ona powstała niewątpliwie nie miałaby praktycznego znaczenia.

Dopiero, gdy prymitywne środki komunikacji zostały zastąpione przez energję maszyny parowej, motorów benzynowych, wówczas gdy już kulę ziemską opasały obręcze torów kolejowych, gdy sieć drutów telegraficznych i zwoje kabli podmorskich oplotły kontynenty siatką połączeń łatwych i szybkich, dopiero wtedy można było pomyśleć o zrealizowaniu od dawna upragnionej myśli zjednoczenia wszystkich ludów świata.

Ale i same ułatwienia komunikacyjne nie wystarczyły, aby odrazu stworzyć nową, trwałą pokojową współpracę. Trzeba wysiłków paru pokoleń, któreby wykorzystały nowe środki porozumienia się, aby zbliżyć ku sobie odległe i nieznane narody, aby wyrównać między nimi różnice, tak, by te same słowa miały wszędzie takie same znaczenie i taką samą treść

bez względu na to, czy powie je Chińczyk po chińsku, Francuz po francusku lub Brazylijczyk po portugalsku. Takie jednak wyrównanie jeszcze nie jest zupełne, a będzie, naprawdę możliwe wtedy, kiedy wyrównają się różnice poziomu i sposobu życia u różnych, dziś nawet jeszcze sobie obcych i dalekich ludów.

I najdawniejsi i nowsi humanitarni projektodawcy przemawiali do dobrej woli, do zdrowego rozsądku, starali się poruszyć sumienie, nie licząc się z realnymi możliwościami życia im współczesnego z warunkami, w których „i zdrowy rozsądek" i „sumienie" nie może działać tak jakby było najlepiej i najmądrzej, czy nawet najuczciwiej, ale musi stosować się do warunków w jakich działać można. Nie pomogły więc liczne apele do możnych tego świata, ani świetne plany, ani najbardziej wzruszające perswazje najrozmaitszych pacyfistów ostatniego tysiąclecia, że należy wojen unikać, gdy perswazje te nie miały i nie mają realnych podstaw, gdy nie było realnych warunków do stworzenia organizacji, któraby przecież była zdolna do ustalenia pokojowego wpółżycia narodów na kuli ziemskiej.

II.

Stworzenie Ligi Narodów.

Zmęczone i wyczerpane pierwszą wojną światową narody gotowe były w danym momencie psychicznie do przyjęcia każdego planu organizacji pokojowej, któryby został im poddany, czy nawet w pewien sposób narzucony. A że zjawił się na widowni fanatyczny propagator idei związku narodów a był nim równocześnie prezydent najpotężniejszego państwa na świecie — Woodrow Wilson —, więc stosunkowo łatwo zgodzono się na jego projekt ażeby stworzyć Ligę Narodów, która niewątpliwie, a nawet zupełnie napewno, zapewni zmaltretowanej ludzkości, upragniony, trwały pokój.

Warunki więc były sprzyjające. Jednak tylko sprzyjające, a nie zupełnie konieczne dla pełnego zrealizowania zamierzonego dzieła.

Dnia 11 listopada 1918 r. kończy się wojna. Niemcy podpisują w słynnym później lasku koło Compiègne warunki zawieszenia broni. Zostały one ułożone na podstawie słynnych 14 Punktów, które prezydent Wilson ogłosił jeszcze w czasie wojny w mowie do Kongresu Stanów Zjednoczonych,

w celu ustalenia podstawowych założeń przyszłego pokoju. Ostatni punkt owego programu pokojowego brzmi:

„Musi być utworzone ogólne stowarzyszenie narodów na podstawie szczegółowych umów w celu wzajemnego dania gwarancji, niezawisłości politycznej i nietykalności terytorjalnej zarówno dużym, jak i małym państwom."

Bardzo to ważne. Ale ważne jest nie tylko to co zawiera w swej treści zapowiedź amerykańskiego prezydenta, ale nie mniej istotny jest fakt, iż inicjatywa powstania Ligi Narodów i ułożenia jej statutu powzięta została po zachodniej, a nie po wschodniej stronie Atlantyku. Ważny jest fakt, że Liga Narodów nie jest dziełem europejskim a pamiętać należy, że Europa była ciągle terenem najważniejszym w stosunkach międzynarodowych, gdyż tu, a nie w Ameryce, ogniskowały się najważniejsze sprawy życia międzynarodowego.

Cofnijmy się nieco wstecz.

Stulecie poprzedzające wojnę światową zorganizowane zostało prawie na samym początku przez Kongres Wiedeński, na którym starano się uporządkować pogmatwane, po upadku Napoleona, sprawy europejskie, a tzw. Święte Przymierze miało czuwać nad ładem i zapobiegać wszelkim zmianom ustalonym przez mocarstwa „raz na zawsze".

Nastaje długi okres pokoju, owo słynne spokojne stulecie Czy jednak naprawdę było to stulecie spokojne, jak głosi legenda. Zapewne, że w ciągu XIX wieku nie było wojen powszechnych, że od 1814 do 1914 roku nie ogarnęła Europy, ani świata jakaś powszechna wielka wojna, ale ileż wojen ileż rewolucji wstrząsnęło w tym stuleciu państwami i narodami Europy. Oto, niepełna niewątpliwie, lista ważniejszych wojen i rewolucji:

1820 — rewolucja w Hiszpanii
1820 — rewolucja w Portugalii
1821 — rewolucja we Włoszech (Neapol)
1821 — 28 powstanie w Grecji
1828 — 29 wojna rosyjsko-turecka
1830 — rewolucja we Francji
1830 — powstanie w Belgii
1830 — 31 wojna polsko-rosyjska
1846 — rzeź w Galicji
1847 — rewolucja w Szwajcarii
1848 — Wiosna Ludów: rewolucje prawie w całej Europie
1848 — wojna duńsko-niemiecka

1853 — 56 wojna krymska
1859 — wojna austriacko-francuska
1862 — rewolucja w Grecji
1863 — powstanie w Polsce
1863 — 64 wojna niemiecko-austriacko-duńska
1866 — wojna austriacko-niemiecka
1868 — rewolucja w Hiszpanii
1870 — 71 wojna prusko-francuska
1873 — rewolucja w Hiszpanii
1875 — rewolucja w Bośni i Hercegowinie
1875 — rewolucja w Hiszpanii
1876 — rewolucja w Bułgarii
1877 — 78 wojna rosysko-turecka
1885 — rewolucja w Rumelii
1885 — wojna serbsko-bułgarska
1897 — wojna grecko-turecka
1899 — 02 wojna burska
1903 — rewolucja w Serbii
1904 — 05 wojna rosyjsko-japońska
1905 — rewolucja w Rosji i w Polsce
1908 — rewolucja w Portugalii
1908 — rewolucja w Turcji
1910 — rewolucja w Portugalii
1911 — 12 wojna turecko-włoska
1911 — 13 wojna bałkańsko-turecka
1913 — wojna bałkańska.

A więc razem 38 wydarzeń — 22 rewolucyj i powstań oraz 16 wojen. Wiek pary i elektryczności był więc nietyle wiekiem ciszy i spokoju, ile jak się okazuje wiekiem wojen i rewolucji jak każde inne stulecie zapewne. A niewątpliwie cyfry są niewyczerpujące i obejmują tylko te rewolucje pozaeuropejskie, w których państwa europejskie były bezpośrednio zaangażowane. Nie, dzieje stulecia przed pierwszą Wojną Światową nie wskazują na to, aby można w działalności dyplomatów europejskich tego okresu szukać najsłabszych chociaż śladów usiłowań stworzenia jakiejś organizacji międzynarodowej zapewniającej pokój.

Dyplomacja europejska zdobyła się na szereg wysiłków mających na celu porządkowanie świata. Rezultatem ich było powołanie do życia szeregu instytucji międzynarodowych, jak Międzynarodowa Unia Pocztowa, zdobyła się na dwie wielkie konferencje haskie, (1899 i 1907), na których opracowano

umowy tyczące sposobów pokojowego załatwienia sporów międzynarodowych. Na wypadek zaś niemożliwości zachowania pokoju wprowadzono na zjazdach haskich zasady, których celem było umniejszanie zła wojny. To wszystko prawda. Lecz od tych niewątpliwie pożądanych i pożytecznych postanowień jest jeszcze bardzo daleko do powołania do życia stałej organizacji międzynarodowej, której podstawowym celem miało być zapobieganie wojnom i rozbudowa pokojowej współpracy. I tę daleką drogę wypadki przeskoczyły dzięki interwencji Stanów Zjednoczonych w wojnie, a ich prezydenta Woodrowa Wilsona w urządzeniu pokoju świata.

Przygotowanie materiałów i głównych tez, na których opierać się miał statut przyszłej organizacji, zajmowało w czasie toczącej się wojny zarówno osoby prywatne i stowarzyszenia pacyfistyczne USA, jak i „czynniki oficjalne". Wiele czasu poświęcił temu zagadnieniu prezydent Wilson wraz z najbliższymi współpracownikami. Za przykładem Amerykanów poszli Anglicy i Francuzi.

W chwili więc otwarcia konferencji pokojowej w styczniu 1919 r. plany organizacyjne przyszłej Ligi Narodów były dokładnie obmyślane. Sam Wilson zmieniał je i przerabiał cztery razy. Utworzono specjalną komisję dla spraw Ligi. Na jej czele stanął sam Wilson, który najwięcej uwagi poświęcał tej sprawie. Pakt gotów był stosunkowo szybko. Nie był to dokument obszerny, zawierał 26 artykułów i mimo iż tworzył całość dla siebie, został pomieszczony jako część pierwsza traktatu wersalskiego i innych traktatów pokojowych.

Nie miejsce tu i nie jest celem niniejszego artykułu omawianie historii powstania paktu i treści jego najważniejszych choćby postanowień. Zaznaczyć jednak należy, iż mimo skrupulatnego przygotowania obrad konferencji w tym względzie, wiele tez uprzednio ustalonych uległo w czasie obrad zasadniczej zmianie, wprowadzając luki w nowym systemie.

Podstawowe zagadnienia Ligi Narodów zostały sformułowane we wstępie do Paktu, który obwieszcza uroczyście:

„Wysokie układające się strony zważywszy że dla rozwoju współdziałania narodów, oraz zapewnienia im spokoju i bezpieczeństwa, należy:
przyjąć pewne zobowiązania, nieuciekania się do wojny, utrzymywać jawne stosunki międzynarodowe, oparte na sprawiedliwości i honorze,

ściśle przestrzegać norm prawa międzynarodowego, uznanych odtąd za rzeczywiste prawidło postępowania rządów, zapewnić panowanie sprawiedliwości i skrupulatnie szanować wszelkie zobowiązania traktatowe we wzajemnych stosunkach między organizowanymi ludami,

przyjmują niniejszy Pakt, który ustanawia Ligę Narodów."

Aby cele te rzeczywiście zrealizować wyposażono Ligę w stałe organa — Zgromadzenie, Radę i Sekretariat — które opierając się, na dość szczegółowych postanowieniach Paktu miały dbać o „zapewnienie pokoju" i o „rozwój współdziałania międzynarodowego".

Lecz, gdy w r. 1918 prezydent Wilson mówił do Senatu amerykańskiego:

„będzie nieodzowne utworzenie, na podstawie trwałego porozumienia, takiej siły i o tyle większej od siły każdego państwa lub każdego przymierza dotąd sformułowanego lub zamierzonego, aby żadne państwo ani połączenie państw nie mogło się jej oprzeć albo ją zmóc ..."

— to ten sam prezydent Wilson w rok później na sesji komisji dla spraw Ligi Narodów konferencji pokojowej, w lutym 1919 r., powiedział coś wręcz przeciwnego:

„Siła zbrojna jest na dalszym planie programu, jeśliby siła moralna świata nie wystarczyła, wówczas będzie się miało możność użycia siły materialnej (zbrojnej), ale w ostatecznym razie jedynie. Liga Narodów jest przede wszystkim instrumentem pokoju, a nie wojny."

Czyli w tej tak ważnej sprawie, w sprawie przymusu, zmiana zasadnicza pozbawiająca na przyszłość Ligę wszelkiej skuteczności działania. Zmiana ta spowodowana została obawami prezydenta Wilsona, iż zbyt daleko idące zobowiązanie USA do współpracy z Ligą i sama myśl ewentualnego wciągnięcia Stanów do przyszłej wojny, odstręczy amerykańską opinię publiczną od Ligi i współpracy z resztą świata na jej terenie. Pod tym kątem widzenia ułożono najbardziej zasadnicze postanowienia Paktu Ligi.

Mimo, że zmiana stanowiska Wilsona osłabiła skuteczność działania przyszłej Ligi w znacznym stopniu, ale można było sądzić, że nowa organizacja będzie mogła spełnić swe zadania mimo braku egzekutywy.

III.

W a r u n k i   r e a l i z a c j i.

Ułożenie Paktu Ligi Narodów, jak zresztą każdego aktu ustawodawczego, chociażby i najlepsze nie daje żadnych gwarancji, iż w ten sposób istotnie uporządkuje się stosunki i w miejsce anarchii i nieładu wprowadzi się ład, porządek i prawo. Norma prawna oderwana od „rzeczywistej rzeczywistości" nie ma wiele szans sprostania zadaniom dla których została powołana do życia. A czy Pakt Ligi Narodów, ułożony jako zbiór zasad o charakterze normatywnym, nie był oderwany od tej rzeczywistości, jaka panowała w stosunkach międzynarodowych od 1919?

Pytanie to ma tym większe znaczenie, iż — jak wyżej o tym mowa — koncepcja Ligi wynikła nie z pełnych doświadczeń, składających się na wolną ewolucję, lecz zjawiła się jako owoc wyrozumowanej idei, jako rezultat słusznego, lecz wyrozumowanego protestu przeciw ustawicznym niepokojom i wstrząsom nękającym ludzkość.

Zarówno Pakt Ligi Narodów, jak i późniejsza jego realizacja, (a mogą to być zjawiska zupełnie różne) musiały opierać się na pewnych przesłankach ogólnych, aby zrealizować zamierzone najważniejsze cele: pokój powszechny i pełną, pokojową, na prawie opartą współpracę.

Zapewnienie powszechnego pokoju wymaga powszechnej współpracy, czyli p o w s z e c h n e g o   c z ł o n k o s t w a, w tak pomyślanej organizacji, jaką miała być Liga Narodów.

Jednak powszechny udział wszystkich państw w Lidze nie miałby znaczenia, gdyby we wspólnej organizacji ogniskowały się nie wszystkie sprawy członków, lecz tylko niektóre z nich, zaś inne (najważniejsze) rozstrzygane były poza nią. Dla zdrowego rozwoju Ligi niezbędna jest więc p o w s z e c h n o ś ć   s p r a w zawierzonych organizacji powszechnej.

Wśród tych spraw najważniejszą niewątpliwie jest sprawa bezpieczeństwa członków powszechnej organizacji, bez tego nie sposób wyobrazić sobie wogóle celu jej tworzenia.

R ó w n o ś ć   i   p o w s z e c h n o ś ć   b e z p i e c z e ń s t w a jest również nieodzownym warunkiem rzeczywistego spełnienia celu przez organizację o tym typie, jakim miała być Liga Narodów.

Wreszcie bezwzględną koniecznością jest oparcie działalności organizacji, której celem jest wprowadzenie ładu w sto-

sunki międzynarodowe o zasadę powszechnej równości państw tworzących tę organizację. Oczywiście że mowa być może tylko o równości wobec prawa, a nie o równości praw, bo ta jest nie do zrealizowania.

Liga Narodów winna dać równą ochronę praw wszystkich członków, prawa zaś te nie muszą ani nawet nie mogą być równe.

W tym stanie rzeczy w jakim znajdowały się stosunki międzynarodowe w r. 1919 (co zapewne odnosi się także i do chwili obecnej) nie można sobie wyobrazić istnienia i powodzenia organizacji o typie i ambicjach Ligi Narodów, któreby nie opierały się na tych czterech zasadach:

1. powszechność członkostwa,
2. powszechność spraw zawierzonych do rozpatrywania,
3. powszechność i równość bezpieczeństwa,
4. powszechna równość wszystkich członków organizacji wobec prawa.[1]

1. Powszechność członkostwa.

Dzisiaj zasada jednej powszechności została sformułowana w lapidarnym ujęciu: „Pokój jest niepodzielny". Niepodzielność pokoju ale i tym samym niepodzielność wojen, oto niewątpliwe cechy obecnego stanu spraw w stosunkach międzynarodowych wieku XX. Po pierwszej Wojnie Światowej nie rozumiano tego jednak i jak i w latach następnych, sądzono, iż nietylko pokój jest podzielny, lecz że od wojny można się odgrodzić neutralnością sztuczną lub naturalną, to jest opartą na szerokości dwu oceanów.

W Pakcie Ligi Narodów nie ma mowy o powszechności członkostwa, ale również nie ma żadnych ograniczeń w tym względzie; członkiem Ligi może być „każde państwo, dominium lub kolonia rządzące się samodzielnie", ale też każde z nich mogło z Ligi swobodnie wystąpić (art. 1). Oczywiście, że gdy malutkie państewko — Luksemburg lub Honduras — nie należałoby do Ligi, fakt ten nie miałby wpływu na bieg wypadków i losy organizacji. Inaczej jednak, gdy państwa

[1] Ustalenie tych zasad nie jest przyjmowaniem jakiejś podstawy naturalistycznej. Przyjęte one zostały na podstawie badania struktury społeczności międzynarodowej w okresie obecnego jej rozwoju, Paktu Ligi Narodów i działania organizacji genewskiej w ciągu lat dwudziestu. Czy zasady te zostały słusznie przyjęte jako zasadnicze powinny wykazać dalsze wywody.

o wielkiej wadze w stosunkach międzynarodowych nie współpracowałyby we wspólnej organizacji. W tym wypadku skuteczność pokojowego współdziałania i możliwość ograniczenia wojen i przemocy musi stanąć pod znakiem zapytania.

Twórcy Ligi niezupełnie jasno zdawali sobie sprawę z tego wszystkiego na konferencji pokojowej w Paryżu. Do Ligi Narodów nie zaproszono państw pokonanych. Miał to być stan przejściowy. Po pewnym okresie „odosobnienia" miały być one — Niemcy, Austria, Węgry, Turcja i Bułgaria — dopuszczone do Ligi Narodów. I tak też się stało.

Celowość i słuszność takiego postawienia problemu odnośnie do państw pokonanych w pierwszej Wojnie Światowej jest problemem historycznym. Inaczej rzecz się ma z dwoma najważniejszymi niewątpliwie państwami świata, które z różnych przyczyn nie należały do Ligi Narodów: z Rosją i ze Stanami Zjednoczonymi A. P.

Rosji nie zaproszono do Ligi Narodów na samym początku i nie należała ona przez kilkanaście lat (do r. 1934) do niej. Bowiem od wybuchu Rewolucji Październikowej Rosję Sowiecką poczęto traktować w stosunkach międzynarodowych p e r n o n e s t. Można było oczywiście rozmaicie patrzeć na przewrót jaki zaszedł na terenie państwa, którego powierzchnia obejmuje 1/6 część świata, a które wówczas rozporządzało przeszło 160-milionową ludnością, szczególnie gdy przewrót taki nie bardzo by dogadzał u siebie, można było . . . ale uznanie tego państwa za białą (a może raczej czerwoną) plamę na karcie politycznej świata było niewątpliwym błędem. Większość problemów europejskich, większość zagadnień Bliskiego i Dalekiego Wschodu wiązała się tak ściśle ze stanowiskiem Rosji — białej czy czerwonej — że zamknięcie oczu na te proste prawdy wydaje się niezrozumiałe. A jednak w Paryżu w r. 1919 oczy zamknięto.

Dla nowego związku międzynarodowego było to podcinaniem najistotniejszej części podstawy tej misternej organizacji, jaka miała pokojową konstrukcją spoić wszystkie narody świata dla nowego pokojowego życia. Bo i jakże cokolwiek planować, choćby sprawę ogólnego rozbrojenia, jeżeli naród reprezentujący takie możliwości jak Rosja nie miała brać udziału w tym zbożnym, a zasadniczym dla pokoju świata zadaniu. Jakże tu myśleć o prawdziwej współpracy gospodarczej, jeżeli szósta część świata odcięta była przez długie lata słynnym c o r d o n s a n i t a i r e bojkotu politycznego, kulturalnego i ekonomicznego. A gdy Związek Radzieki przy-

stąpił do współpracy na terenie Genewy, osłabienie Ligi Narodów było już tak silne, że wysiłki wzmocnienia tej organizacji okazały się bezowocne.

Sprawa Stanów Zjednoczonych i stosunku ich do Ligi była niemniej istotna, a może i w skutkach bardziej dla Ligi opłakana, jeśli się zważy, iż Stany zainicjowały sprawę powołania do życia tego związku międzynarodowego, i, że ich prezydent decydująco wpłynął na układ postanowień Paktu.

Już w czasie obrad konferencji pokojowej, z wiosną 1919 r., obawiano się, iż Senat Stanów Zjednoczonych nie ratyfikuje traktatów pokojowych, aby uniemożliwić USA przystąpienie do Ligi. Tak też się stało. A przyczyny tego stanu rzeczy były skomplikowane.

Gdy opadł entuzjazm zwycięstwa, gdy zaczęto robić szczegółowy bilans wypadków wojenno-politycznych, które „wciągnęły" USA do wojny, odezwały się, przycichłe w czasie toczącej się walki, głosy wzywające do odwrotu, żądające powrotu Stanów Zjednoczonych do izolacji od spraw nie amerykańskich. Odżywa stara tradycja pierwszego prezydenta Washingtona, który w swym testamencie politycznym nawoływał do trzymania się zdaleka od problemów europejskich. Powoływano się w agitacji przeciwligowej na największe autorytety historii narodu amerykańskiego, aby nie dopuścić do ścisłej pokojowej współpracy Stanów z resztą świata, a przede wszystkim z Europą i Ligą. I nie pomogły heroiczne wysiłki prezydenta Wilsona, który zdrowiem i życiem przypłacił walkę o Ligę Narodów: partia republikańska przeprowadziła swoje izolacyjne zamiary: Stany Zjednoczone zawarły odrębny traktat i do Ligi nie weszły.

Zwycięstwo izolacjonizmu było rezultatem niewątpliwego dziedzictwa po angielskich przodkach niechęci do obcych, było ono rezultatem zupełnie specyficznych warunków geopolitycznych i gospodarczych w jakich znajdowały się USA. Było ono też rezultatem zupełnej dezorjentacji Amerykanów w sprawach międzynarodowych.

W umyśle przeciętnego Amerykanina uczestnictwo w Lidze kojarzyło się niechybnie z jakąś obcą, daleką i niezrozumiałą wojną o sprawy dalekie i niepojęte. Nie chciał więc mieć nic z tym wspólnego.

Lecz na czymże oparte były rachuby izolacjonistów, którzy tym razem dobrowolnie chcieli się oddzielić nie cordon sanitaire, ale wygodnym położeniem geograficznym, aby nie utrzymywać z Europą i Ligą stosunków politycznych,

a wszystkie inne, więc gospodarcze i kulturalne — tak? Na czym budowane były nadzieje, że się to może udać, że wykonalny jest podział stosunków międzynarodowych tak, ażeby sprawy ekonomiczne i kulturalne były ściśle odgraniczone od politycznych, na to prymitywne pytanie nie dawali izolacjoniści odpowiedzi. Wykazali tym stanowiskiem Amerykanie brak solidarności z resztą świata, a działali jak gdyby bez znajomości zasad rządzących kulą ziemską jako wówczas od kilkudziesięciu chyba lat całością.

Wielki ten kraj, który mógł był odegrać dominującą i zbawienną rolę w stosunkach międzynarodowych odrzucił z własnej woli tę możliwość i zamknął się znowu egoistycznie w swych granicach.

Było to tragedią osobistą wielkiego fundatora Ligi Wilsona, ale było również przyczyną niepowodzeń i klęski i Ligi Narodów i samych Stanów Zjednoczonych z epoki kończącego się izolacjonizmu.

Brak Stanów Zjednoczonych oraz Rosji w okresie dla Ligi może najważniejszym od 1919 do 1934 r. podważał zasadę powszechnego członkostwa. Konsekwencje zaś tego szczególnie jaskrawo wystąpiły w czasie wielkich kryzysów mandżurskiego i abisyńskiego, kiedy słabość Ligi i niemoc jej działania była bezwątpienia rezultatem abstynencji dwu tak ważnych potęg, lub jednej z nich.

Wystąpienie z Ligi Narodów Brazylii (1926), potem opuszczenie jej przez agresorów Japonię, Włochy i Niemcy, wreszcie odejście szeregu mniejszych państw tuż przed wybuchem drugiej Wojny Światowej, to już tylko konsekwencje pierwotnych braków Ligi i jej późniejsze praktyki.

2. Powszechność spraw zawierzonych Lidze.

Związek międzynarodowy typu Ligi Narodów i o celach jakie miał do spełnienia musiał obejmować z natury rzeczy całość stosunków międzynarodowych, wszelkie sprawy, a przede wszystkim tego rodzaju, które miałyby związek z wojną lub groźbą wojny, wszelkie gwarancje, bezpieczeństwa itd. Innymi słowy siedziba Ligi Narodów — Genewa — powinna była być centrum spraw międzynarodowych, ogniskiem skupiającym, aby użyć porównania z fizyki, promienie z całego świata i rozpraszającym je na cały świat. Genewa powinna była być ogniskiem wobec którego wielkie stolice największych mocarstw winny były z czasem odgrywać rolę wtórną lub

pierwszej instancji. Tymczasem nic podobnego się nie stało. Ani w statucie Ligi, ani w praktyce późniejszej nie stworzono takich warunków, któreby istotnie wysunęły Genewę na czoło innych ośrodków międzynarodowych.

Pakt Ligi Narodów bardzo ogólnie nazywa sprawy, którymi miały zajmować się organa Ligi. Są to przede wszystkim sprawy polityczne, zapewne ważne pozornie nawet najważniejsze. Niewątpliwie jednak problemy (a może właściwiej: spory i kłótnie) polityczne nie żyją bytem własnym, oderwanym od innych problemów, o czym twórcy Ligi i jej późniejsi opiekunowie niewątpliwie doskonale wiedzieli. Truizmem jest stwierdzanie najściślejszego związku między zagadnieniami politycznymi a społecznymi i, przede wszystkim, ekonomicznymi społeczności zarówno wewnętrznej jak i międzynarodowej. Związek ten jednak nie znalazł zupełnie wyrazu ani w Pakcie Ligi Narodów, ani w praktyce ligowej rozbudowującej podstawy, na których Pakt ten oparto. W Pakcie problemy ekonomiczne pominięto, zaś w praktyce ligowej miały one znaczenie prac marginesowych, i nigdy nie uznano ani nie pretendowano do uznania Genewy za centrum, w którymby absolutnymi decyzjami rozwiązywano zagadnienia gospodarcze świata. W ten sposób najistotniejsze problemy zostały pominięte, zaniedbano budowy czy przebudowy fundamentów, wznosząc górę gmachu współpracy międzynarodowej.

Ale i z problemów politycznych nie wszystkie znalazły się siłą swej wagi na przyszłym rozkładzie dnia i zajęć organów Ligi Narodów. Wielkie mocarstwa przerzuciły pewne, podstawowe zagadnienia międzynarodowe — własne bezpieczeństwo[2] — poza zakres współdziałania w nowej organizacji, co musiało podważyć powszechne zaufanie do nowej rzeczywistości, jaka miała zapanować na świecie od powołania Ligi Narodów do życia.

Do jakiego stopnia istnienie Ligi Narodów nie zmieniło sposobu myślenia większych i mniejszych mężów stanu Europy powojennej, wskazuje na to fakt, iż w tym samym czasie, gdy w Genewie przygotowywano biura dla Ligi Narodów, tworu zupełnie nowego w życiu międzynarodowym, gdy świeżo ukonstytuowane organa jej starały się wyrobić nowe formy współdziałania międzynarodowego, wielkie mocarstwa

[2] Por. niżej.

(a za nimi i mniejsze) zwoływały bez końca konferencje, zjazdy, kongresy międzynarodowe, które miały na celu rozstrzyganie jakichś, niewątpliwie zresztą ważnych, spraw. Jednak te ciągłe zjazdy w Spaa w Genui, w Paryżu, w Londynie, Rapallo, Locarno itd. itd. są oczywistą kontynuacją systemu politycznego przedwojennego, przedligowego, co wyrządziło wiele szkody autorytetowi „Genewy", która stała na uboczu, dostając w pierwszym dziesięcioleciu swego istnienia do załatwienia sprawy drugorzędnej wagi.

Co więcej, po zakończeniu zasadniczych obrad na konferencji pokojowej, gdy rozjechali się z Paryża główni aktorzy tego wielkiego dramatu międzynarodowego, powołano do życia Radę Ambasadorów, złożoną z francuskiego ministra spraw zagranicznych i ambasadorów Anglii, Włoch i Japonii rezydujących w Paryżu. Rada Ambasadorów przez kilka lat była tzw. czynnikiem decydującym w stosunkach co najmniej europejskich. Stanowiło to, rzecz oczywista, niebezpieczną konkurencję dla Rady Ligi Narodów, która z tej przyczyny nie mogła wyrobić sobie autorytetu, i było prócz tego kontynuacją systemu rządów wielkich mocarstw, (coś jakby Święte Przymierze), tak jak gdyby od ukonstytuowania się Ligi Narodów, nie miał panować nowy system, oparty na rządzie prawa.

Twórcy Ligi, niepomni roli jakiej się podjęli, tkwili w dawnych obyczajach. Było to zresztą o tyle nierozsądne i niepolityczne, iż przecież w pierwotnym składzie Rady Ligi Narodów wielkie mocarstwa zapewniły sobie i tak większość, mogły więc bez trudności zawierzać tej instytucji rozstrzyganie ważnych spraw powojennych.

3. Powszechność bezpieczeństwa.

Podstawą utrwalenia pokoju i właściwego rozwoju współpracy międzynarodowej jest niewątpliwie poczucie bezpieczeństwa każdego z narodów należących do społeczności międzynarodowej. To poczucie bezpieczeństwa miały posiadać narody dzięki Lidze. Tak przynajmniej zapewniał przed jej utworzeniem twórca Ligi Wilson i to samo głosił art. 10 Paktu:

> „Członkowie Ligi zobowiązują się szanować i utrzymywać przeciw wszelkiej napaści zewnętrznej całość terytorialną i obecną niezależność polityczną wszystkich członków Ligi."

Oto niewątpliwie kluczowe postanowienie nowego systemu. Jeśli udałoby się utrzymać w praktyce w pełni to zobowiązanie niewątpliwie Liga Narodów spełniłaby cel i nadzieje, jakie w niej pokładano. Wszystko bowiem było by łatwe do rozwiązania w stosunkach międzynarodowych, jeżeli bezpieczeństwo terytorialne i wewnętrzna niezależność — dwa największe dobra — byłyby pewne i naprawdę gwarantowane, przy czym żadne dyskryminacje w tym względzie nie mogłyby być czynione.

Tymczasem wielkie mocarstwa u samego początku ery ligowej konszachtami między sobą podważyły tę zasadę fundamentalną.

Mimo walki przedstawicieli Francji na komisji dla spraw Ligi o wprowadzenie sankcji militarnej usunięto z Paktu tego rodzaju zobowiązanie. To stało się niewątpliwie powodem, że Francja ze swej strony przyczyniła się do osłabienia podstaw, na których Liga miała się opierać. Francja mianowicie, bojąc się mimo wszystko pokonanych co dopiero Niemiec, wymogła na Wielkiej Brytanii i na Stanach Zjednoczonych zawarcie dwustronnych traktatów, które miały gwarantować republice francuskiej pomoc niedawnych kombatantów w wojnie, w razie nieuzasadnionej agresji Niemiec. Traktaty te podpisano w Wersalu dnia 28 czerwca 1919 roku. A więc w tym samym miejscu i w tym samym dniu, w którym złożono uroczyście podpisy pod traktatem pokoju z Niemcami, zawierającym Pakt Ligi Narodów.

Sprawa napozór niewinna. A jednak, jeżeli się bardziej w nia wejrzy, urasta do zasadniczego znaczenia. Jakże więc: Pakt Ligi Narodów zawiera ogólną klauzulę wedle której wszystkie terytoria wszystkich państw-członków Ligi otrzymują równe gwarancje nienaruszalności, a tu dwa najważniejsze mocarstwa, przyszłe podpory nowego związku, dają jakieś szczególne poręki jednemu i to tak ważnemu mocarstwu, jakim była wówczas Francja.

Zupełnie oczywiście musiały takie uboczne konszachty wielkich mocarstw wpłynąć na zaufanie innych mniejszych państw, które mogły słusznie zapytać: pocóż te szczególne gwarancje? a nasze granice? czy one nie będą miały takich samych gwarancji Anglii i Ameryki, które przecież są zawarte w art. 10?

Bo i cóż zyskiwała Francja? Gdyż nawet nie w tym rzecz, że Stany Zjednoczone nie ratyfikowały tego układu, a Anglia,

wobec tego, również nie zatwierdziła przyjęcia swych zobowiązań. Jaką istotną różnicę, co więcej dawała Francji ta szczególna poręka, jeśli ich treść mieściła się w treści gwarancji ogólnej art. 10 tego, a jednoczenie osłabiała zaufanie do zobowiązań powszechnych?

Statut Ligi Narodów jako część pierwsza traktatu wersalskiego ledwie, że został podpisany przez strony, a już z niewiarą odnieśli się do niego sami twórcy instytucji genewskiej. Dyplomacji francuskiej wydawało się, iż musi zabiegać o specjalne przyrzeczenia, obowiązujące jej niedawnych sprzymierzeńców poza ramami Ligi Narodów, tak jak gdyby w świecie nic nie miało się zmienić od czasu zawarcia rozejmu i konkretnie realizowanej idei powszechnej organizacji międzynarodowej.

Był to cios silny, ponieważ uderzał w podstawę, na której musi się opierać każde porozumienie międzynarodowe, mianowicie w zaufanie. Cios ten był tym silniejszy, że wymierzony został przez samych twórców Ligi i to w pierwszym momencie, kiedy podpisano statut nowej organizacji. Zły był to znak przyszłego związku. Rzucił on cień na dalszą działalność tej organizacji, u której podstaw tkwić powinno zaufanie, a tymczasem znalazło się niedowierzanie we własne siły.

Przykładów kontynuowania tego rodzaju polityki przez wielkie mocarstwą możnaby mnożyć bez końca. Jednym z najbardziej uderzających było tzw. Locarno.

W roku 1925 zadecydowano (główne mocarstwa), że Niemcy będą przyjęte do Ligi. Decyzja ta jednak zapadła poza Ligą Narodów, tak jak poza nią odbywały się w tej sprawie targi polityczne. W rezultacie długotrwających negocjacji wielkie mocarstwa możnaby mnożyć bez końca. Jednym pisały i ratyfikowały tzw. traktaty lokarneńskie, co otwarło bramy wejściowe do Ligi Narodów Niemcom naoścież.

Nie tylko układanie się w sprawie ściśle związanej z Ligą Narodów poza nią, było dalszym ogniwem w działalności, podważającej autorytet Ligi, lecz również i treść traktatów lokarneńskich musiała silnie podważyć zaufanie do instytucji genewskiej. Mianowicie znowu Francja (i Belgia) otrzymały szczególne gwarancje od Anglii i Włoch dla swoich granic. W tym to czasie slogan „granice Anglii leżą nad Renem" stał się popularny. Ale równocześnie inny slogan zjawił się obok niego — co zresztą, musi się przyznać było konse-

kwentne, — „nie gwarantujemy żadnych innych granic na kontynencie europejskim". Poczęto mówić o „zachodnim" i „wschodnim" Locarno, czyli o tym, iż wschodnie granice Niemiec są zupełnie inaczej traktowane niż granice zachodnie. Gdyby Niemcy naruszyli terytorium swego wschodniego lub południowego sąsiada, wówczas — mówiono o tym powszechnie w Anglii: w parlamencie, na zebraniach dyskusyjnych, w prasie, to samo powtarzali mężowie stanu i laicy — nie ma żadnych zobowiązań, „Locarno" nie rozciąga się na inne, niż nadreńskie, ziemie. Tak jak gdyby art. 10 Paktu nie istniał i nie zawierał w sobie tej treści, jaka zupełnie oczywiście wynika z jego jasnego całkiem tekstu.

Nie jest zupełnie przesadą twierdzenie, iż wysuwanie tego rodzaju opinii było niemniejszym podważaniem pokoju świata, aniżeli wyraźny atak propagandowy przygotowujący agresję a później sama agresja. Jest tak dlatego, ponieważ wprowadzając dyskryminację do zagadnienia gwarancji i bezpieczeństwa granic Anglia jednostronnie i własnowolnie zrzucała z siebie zobowiązania traktatowe, jakie sama dobrowolnie przyjęła stwarzając Ligę Narodów i biorąc udział w jej pracach. Wielka Brytania i Francja ośmielały w ten sposób przyszłych agresorów, oraz podważały jeden z najważniejszych i najbardziej podstawowych czynników w stosunkach międzynarodowych, mianowicie zaufanie.

Tak więc Locarno miast wzmocnić Ligę Narodów osłabiło ją. W rezultacie nie zyskał nikt chyba jedynie same Niemcy. Mianowicie Hitler, korzystając z zamieszania jakie wywołała w Europie i na świecie aneksja Abisynii przez Włochy, zremilitaryzował Nadrenię tzn. wbrew zobowiązaniom przyjętym w traktacie wersalskim i traktatach lokarneńskich wprowadził do Nadrenii wojska niemieckie i równocześnie uznał, że traktaty zawarte w Locarno więcej Niemców nie wiążą. Wedle umów lokarneńskich Anglia wówczas winna była udzielić Francji poparcia i zażądać wraz z nią stanowczo wycofania wojsk niemieckich oraz przywrócenia zobowiązań zaciągniętych przez Niemcy w Wersalu i Locarno. Tymczasem nic podobnego się nie stało. Ambasadorzy Francji i Anglii „złożyli w Berlinie w Reichskanzlei swoje protesty" i tyle wszystkiego.

Paradoksem zaś historycznym jest fakt, że gdy Niemcy zwrócili się w dwa lata później, w r. 1938, przeciwko całości i istnieniu Czechosłowacji, rząd Jego Królewskiej Mości robił

„nadludzkie wysiłki" aby uratować i Czechosłowację i — pokój. W r. 1939, wbrew temu co przez długie lata twierdzili publicyści, członkowie parlamentu i mężowie stanu w Anglii, Wielka Brytania udzieliła wschodniemu sąsiadowi Niemiec — Polsce — gwarancji, mimo że przecież „wschodniego Locarna" nie było i mimo, że tylokrotnie mówiono, iż „granice Anglii leżą nad Renem" a nie gdzieindziej. Nie uratowało to już wówczas ani Polski, ani spokoju Anglii, ani pokoju świata.

Tak oto zemściło się na Anglii sprzeniewierzenie się zasadom, które sama dobrowolnie przyjęła w r. 1919, a z których następnie chciała się zrzucić.

W konsekwencji takiej polityki wielkich mocarstw wytworzyła się od samego początku na terenie Ligi atmosfera nieufności i podejrzliwości i gdy zwołana została, szumnie zapowiadana, a z rozmachem zorganizowana konferencja rozbrojeniowa, nikt na serio nie myślał o rozbrojeniu. Rozbrojenie jest najściślej związane z poczuciem bezpieczeństwa, a któżby chciał, któżby odważył się, zawierzać bezpieczeństwo swojego kraju organizacji tak niefortunnie poczętej i tak źle rozwijającej się od samego początku.

IV.

Powszechna równość wobec prawa.

Powszechna równość wobec prawa jest najprymitywniejszą zasadą, na której musi opierać się każde społeczeństwo, jeśli nie jest mu obce pojęcie praworządności. Były okresy w dziejach ludzkości, nawet bardzo długie (niewolnictwo, pańszczyzna, obozy pracy przymusowej w Niemczech), kiedy zasada równości wobec prawa nie obowiązywała, ale w nowoczesnym demokratycznym państwie nie można sobie wyobrazić porządku publicznego bez niej.

W stosunkach międzynarodowych równość nie oznacza wcale, iż wszystkie państwa mają równe prawa, ale znaczy, że wszystkie państwa, i duże i małe, cieszą się równą ochroną praw nierównych lub niekoniecznie równych. Pakt Ligi Narodów mówi o zapewnieniu „poszanowania sprawiedliwości i skrupulatnym szanowaniu wszystkich zobowiązań traktatowych", co właśnie oddaje innymi może słowy tę właśnie myśl. Zasada równości wobec prawa wszystkich członków Ligi wynika z samego Paktu, gdzie żadnych dyskryminacji w tym względzie nie wprowadzono.

A praktyka? Gdyż ona jest decydująca, najlepsza bowiem ustawa czy najlepiej ułożony traktat nie jest więcej wart, jak papier, na którym jest pisany, jeśli wykrętną praktyką będzie obchodzony, a dobrych norm prawnych nie czyni sam akt ustawodawczy, lecz wykonanie odpowiednie, z dobrą wiarą i zgodnie z tym co zawiera norma ustawy lub traktatu.

Niestety praktyka genewska i praktyka pozagenewska wielkich mocarsw podważała cały system ligowy przez łamanie przede wszystkim zasady równego traktowania wszystkich czonków Ligi. (Już chociażby traktaty lokarneńskie i dyskryminacje czynione między gwarancjami udzielonymi zachodnim sąsiadom Niemiec — Belgii i Francji — a wschodnimi sąsiadami — Polska i Czechosłowacja — było podważaniem, jeśli nie jawnym złamaniem zobowiązań zawartych w art. 10 Paktu). Praktyka zaś rozwiązywania najistotniejszych sporów na terenie Genewy urągała często zasadzie demokratycznej równości wobec prawa.

S p ó r g r e c k o - b u ł g a r s k i. W dniu 22. października 1925 roku wybuchła na granicy grecko-bułgarskiej jakaś strzelanina, której rezultatem było zabicie kilku ludzi. Grecja czuła się poszkodowana i rząd jej, niepomny zobowiązań ligowych, wprowadził regularne wojska na teren zajścia. Wojska greckie, otrzymały na dzień 24. października, godz. 8,30 rano rozkaz do rozpoczęcia ofenzywy w głąb Bułgarii. Wyglądało wszystko to bardzo poważnie — wojna! To też rząd bułgarski 23. października wysłał do sekretarza generalnego Ligi Narodów telegram, prosząc usilnie o interwencję Ligi Narodów w myśl zasad Paktu. Od tej chwili wypadki potoczyły się z piorunującą szybkością.

Sekretarz Ligi natychmiast telegraficznie zawiadomił o całej aferze Brianda, ówczesnego przewodniczącego Rady Ligi Narodów. Ten, w ciągu godziny, wysyła do Bułgarii i Grecji sensacyjny telegram kończący się groźnie:

„Domagam się więc od obu rządów, aby dały bezzwłocznie instrukcje że na czas badania przez Radę sprawy, żadne nowe operacje militarne nie będą czynione, lecz wojska obu rządów zostaną natychmiast wycofane poza granice obu państw". Podpisano: Briand. —

W dwa dni potem członkowie Rady Ligi Narodów (również telegraficznie wezwani do Paryża) obradowali nad nowym niebezpieczeństwem zagrażającym pokojowi świata. A gdy przed-

stawiciel Bułgarii na wstępie obrad chciał zaznajomić Radę z genezą, Briand przerwał mu energicznie:

„W tej chwili Rada żąda odpowiedzi na jedno pytanie: Czy oba rządy istotnie wstrzymały działania militarne na miejscu." —

Powtórzył żądanie o wycofaniu wojsk i dał nowy termin do zawiadomienia Rady o wykonaniu tego polecenia. Równocześnie oświadczył Briand energicznie, że Rada Ligi prosi rządy francuski, angielski i włoski o wysłanie oficerów znajdujących się najbliżej miejsca zajścia, aby udali się tam i sprawdzili, jak wykonano polecenie Rady.

Misja wojskowa wyjechała już 27. października (rząd jugosłowiański i grecki oddały do dyspozycji owej misji specjalny pociąg), a 28. października działała energicznie na nowym terenie wojennym. Po zbadaniu stanu rzeczy misja przesłała do Paryża odpowiedni raport.

Potem sprawa potoczyła się zwykłym trybem: wysłano na miejsce jeszcze jedną specjalną komisję ekspertów, którzy zbadali spór, ustalili odpowiedzialność stron, wysokość odszkodowania i dali Radzie odpowiednie rady, co strony winny czynić, aby podobne incydenty nie mogły na przyszłość grozić więcej pokojowi międzynarodowemu.

Sukces niewątpliwy. Briand w roli Katona, Rada Ligi w roli sędziego surowego, lecz sprawiedliwego, strony — posłuszne zobowiązaniom i nakazom najwyższej instancji międzynarodowej. Słowem triumf sprawiedliwości nad bezprawiem, prawa nad siłą, organizacji nad anarchią Uratowano pokój i zachowano honor, usunięto siłę a w jej miejsce wprowadzono ład i porządek.

Rzecz oczywista, że niewątpliwy sukces możliwy był, ponieważ szło tu o dwa małe państwa. Jak zaś wyglądał mechanizm ligowy w działaniu, gdy wielkie państwa, lub tzw. „wielkie interesy" wchodziły w grę, o tym świadczy wiele przykładów w tej mało-chlubnej kronice współpracy międzynarodowej, z nich zaś sprawa chińska i abisyńska są najbardziej jaskrawe.

P o d b ó j p ó ł n o c n y c h C h i n p r z e z J a p o n i ę. Klasycznym przykładem załamania się akcji pokojowej Ligi Narodów była sprawa agresji japońskiej na wielkie i ludne, lecz słabe Chiny. O przyczyny agresji łatwo, szczególnie wtedy, gdy agresję chce się wykonać za każdą cenę oczywiście takie przyczyny, któreby miały nadawać pozory, że nie agre-

sor napada, lecz że ofiara napaści jest najeźdźcą, lub co najmniej prowokatorem. Stare to i od wieków wypróbowane sposoby, stosowane chyba przed wynalazkiem pisma, które utrwaliło niejeden wypadek prowokacji międzynarodowej w historii wojen i pokoju. Nie pierwsza więc Japonia uderzyła na alarm jesienią r. 1931, że został zadany jej gwałt, że zamordowno („chińscy bandyci") jednego z jej oficerów.

Niewątpliwie przykry to był wypadek, ale znowu nie tak niezwykły, aby należało koniecznie nadawać mu cechy manifestacji narodu, który burzył się na samą myśl o zbrodni. Nie było przypadkiem, że rząd japoński nadał zbyt uroczystą formę sprowadzeniu zamordowanego do Tokio.

Patrząc z perspektywy kilkunastu lat wypełnionych wojną, a zakończonych ostateczną klęską Japonii, groteskowe wydają się te naciągane pozory, jakich chwytały się imperialistyczne mocarstwa, ażeby zamaskować swe właściwe cele. Wypadki zainaugurowane rozdęciem sprowokowanego niewątpliwie zabójstwa rozrosły się w wydarzenia dziejowe, wobec których początkowy incydent rozpłynął się w niepamięci. A warto o tym pamiętać.

Pogmatwana i zawiła sprawa zaczęła się więc jesienią 1931 roku szeregiem prowokacji japońskich w okolicach kolei południowo - mandżurskiej. Wojska japońskie szybko zajęły Mukden i odgałęzienia kolei chińskiej (18. września i dni następne) — a Chiny odwołały się na podstawie art 11 Paktu, do Rady Ligi Narodów. To co dalej nastąpiło wymagałoby dla dokładniejszej informacji co najmniej paruset stron opisu. Sprawy toczyły się dwoma torami, na dwu różnych płaszczyznach, jedna to „teatr wojenny" — mimo że wojny nie wypowiedziano — i druga prawdziwy teatr genewski: sesje Rady, Zgromadzenia komisji, które zbierały się trybem zwyczajnym i nadzwyczajnym, aby wymyślić jakąś formułkę dla odwleczenia stanowczej decyzji.

Maszynę ligową puściła w ruch skarga chińska. Rada zebrała się, i po krótkiej debacie przewodniczący jej zwrócił się do obu stron z wezwaniem — jakże miękko wyrażonym —, aby strony sporu wstrzymały się od kroków tego rodzaju, któreby mogły utrudnić pokojowe załatwienie konfliktu. Debatowano nad tym dwa dni, i dnia 24 września, po zapewnieniu delegata japońskiego, iż rządowi Jego Cesarskiej Mości „szczególnie zależy na pokojowym i możliwie szybkim roz-

wiązaniu całej sprawy" — odroczono posiedzenie do 14 października.

Tymczasem dnia 9 października bomby japońskie spadają na Czin-Czen, a Rada na usilny nacisk rządu chińskiego zbiera się o jeden dzień wcześniej (13 zamiast 14 października). Na tej sesji zalecono Japonii wycofanie wojsk za pewną określoną linię, a Chinom zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom japońskim i ich majątkom. Chiny przyjęły tę rezolucję, Japonia odrzuciła, Rada zaś — odroczyła decyzję do 14 listopada.

W Genewie radzono więc pracowicie. W Chinach zaś akcja militarna postępowała zgodnie z planami japońskiego sztabu generalnego torując bombardowaniem drogę okupacji militarnej terytorium państwa, z którym Japonia formalnie żadnej wojny nie prowadziła.

W listopadzie znowu zbiera się Rada. Japonia cynicznie proponuje wysłanie komisji ligowej na miejsce „prewencyjnych działań wojsk japońskich". Komisja badawcza (tzw. komisja Lyttona) opuściła Europę 14 stycznia 1932 roku. W międzyczasie Japończycy pod pozorem walki z bandytyzmem, bombardowali miasto po mieście, wieś po wsi i zajęli prawie całą Mandżurię, osiągając prawie Mur Chiński.

Dbali o zasady prawa i porządku Japończycy wywołali nowe zajście na tle gospodarczym (bojkot towarów i kupców japońskich w Chinach) tym razem w Szanghaju i zbombardowali z kolei to słynne miasto portowe, zanim komisja Lyttona zajechała na miejsce, a gdy 29-tego wylądowała w Szanghaju, bitwa o to miasto szalała przeszło od miesiąca.

A tymczasem w Genewie trwa batalia o pokój. Znowu obradowała Rada, Zgromadzenie, które zwołano na sesję nadzwyczajną, znowu uchwalono jakąś rezolucję a przedstawiciel Japonii zapewniał, iż rząd jego całkowicie aprobuje zasady wyrażone w jednej z rezolucji, że w przyszłości będzie na tych zasadach opierał swe postępowanie. Zdumiewający jest fakt, iż ten cynizm japoński nie spotkał się z jak najostrzejszą odprawą mężów zebranych w Genewie.

Cóż dalej? Japończycy zorganizowali nowe państwo — Mandżukuo — a komisja Ligi badała teren wydarzeń jeżdżąc z Tokio do Osaki, z Osaki do Szanghaju, z Szanghaju do Nankinu, z Nankinu do Han-Keu, z Han-Keu do Tientsinu, z Tientsinu do Pekinu, z Pekinu do Mandżurii, z Mandżurii do Tokio, z Tokio do Pekinu, gdzie sześć tygodni spędzono

nad ułożeniem raportu i wniosków, jak spór załatwić. Raport był wyczerpujący i niewątpliwie ciekawy. Stwierdzono np., że

„operacje militarne podjęte przez wojska japońskie, nie mogą być uznane za środek koniecznej obrony ..."

ale natychmiast dodano skwapliwie a ostrożnie, iż

„stwierdzając to, komisja nie wyklucza możliwości, iż oficerowie (japońscy) działający na miejscu, mogli uważać, iż działają w stanie obrony koniecznej".

Rada radziła, Zgromadzenie radziło, radziły przeróżne komisje, Sekretariat niewątpliwie się zapracowywał. Układano dalej rezolucje, minęła zima, wiosna, lato 1932 roku, przyszła druga jesień, minęła druga zima, wojska japońskie wdzierały się coraz dalej w głąb Chin (wojny ciągle nie było), aż wreszcie sytuacja się wyjaśniła: dnia 27. marca 1933 Japonia zgłosiła swoje wystąpienie z Ligi Narodów.

W ten sposób dalszy bieg wypadków „przestał interesować" organizację pokoju i wreszcie ta nużąca sprawa spadła z porządku dziennego i Rady i Zgromadzenia Ligi Narodów. A więc klęska oczywista.

Czy jednak należy lekceważyć te nieudolne, rozbiurokratyzowane, pełne zastrzeżeń i ogólników zbiorowe wystąpienia w Genewie w obronie pokoju na Dalekim Wschodzie?

Przede wszystkim stwierdzić należy, iż nie można było spodziewać się dobrych rezultatów akcji genewskiej organizacji pokoju, jeśli się zważy, że stosunek Stanów Zjednoczonych do ewentualnego energicznego wystąpienia Ligi Narodów w tym zatargu był niewiadomy, a ostre wystąpienie na Pacyfiku bez udziału USA nie byłoby do zrealizowania. Aby wciągnąć w tok sprawy wielką republikę amerykańską jeszcze we wrześniu 1931, gdy tylko Rada zajęła się sprawą chińsko-japońską, przewodniczący jej powiadomił o krokach Ligi rząd Stanów Zjednoczonych i przesłał do Washingtonu stenogramy i dokumenty z obrad nad tym sporem. Rząd Stanów Zjednoczonych przyjął ten krok lakonicznym oświadczeniem „swej sympatii" dla działalności Ligi. Innym razem z takiej samej okazji rząd USA ciepło oznajmił, iż jest „wysoce pożądane, aby Liga Narodów nie umniejszała w żaden sposób swej czujności" w tej sprawie. Listopadowej sesji Rady w roku 1931 przypatrywał się przyjaźnie ambasador Stanów Zjednoczonych gen. Dawes, który specjalnie w tym celu zjechał był do Genewy.

W sporze chińsko-japońskim odczuwało się silniej niż kiedykolwiek przedtem brak drugiego mocarstwa niemniej ważnego jak Stany Zjednoczone, w sprawach Dalekiego Wschodu — Związku Radzieckiego. Bez ZSSR rozwiązywanie jakiegokolwiek problemu w tej części świata było również nieosiągalne.

Niemniej dyskusja nad agresją Japonii, a nawet owe zawoalowane raporty potępiające w ostatecznym rezultacie tę agresję miały tę dobrą stronę i tę wartość, że, przynajmniej w teorii, przyczyniły się do wyjaśnienia sytuacji na świecie. Mianowicie wyznaczyły jasną linię demarkacyjną między agresorem, a ofiarą napaści, między agresorem a tą resztą świata która z imperialistyczną polityką zaborców nie miała nic wspólnego. Zaś wystąpienie Japonii z Ligi Narodów było ustaleniem się tego zasadniczego podziału między państwami-napastnikami, a „państwami miłującymi spokój", podziału, jaki utrwalał się w czasie drugiej wojny światowej i jaki musi być podstawą odbudowania po niej porządku na świecie.

Pozostanie zatem zasługą Ligi Narodów, że nie uległa naciskowi brutalnej siły, lecz wolała narazić się na wystąpienie tak silnego i ważnego wówczas państwa, jakim była Japonia, aniżeli uznać stan zaprowadzony gwałtem. Było to dowodem, że w teorii wprawdzie, ale jednak po raz pierwszy w dziejach ludzkości agresor został napiętnowany przez tych kilkadziesiąt państw, które tworzyły Ligę Narodów.

Wyrównanie krzywd sprawionych przez Japonię i Chinom i porządkowi świata dokonało się już bez współudziału Ligi, lecz początek tego procesu wiąże się z jej istnieniem i z ideałami, które chciano po przez Ligę tak niefortunnie zrealizować.

S p r a w a A b i s y n i i. Zupełnie taki sam charakter miał podbój Abisynii przez Włochy, z tą różnicą, że sprawność działania organów Ligi, wigor z jakim mężowie stanu zbierający się jesienią i zimą 1935 roku i wiosną 1936 występowali niewątpliwie odbiegał od utartych sposobów biurokratycznego kluczenia, tak właściwego organom instytucji genewskiej.

Sprawa Abisynii i stosunku do niej Ligi Narodów dlatego poruszyła w tak niezwykły sposób Ligę Narodów, iż z Abisynią albo z jej istnieniem raczej wiązały się najżywotniejsze interesy Imperium Brytyjskiego.

Dnia 3 października Włochy rozpoczęły akcję militarną przeciw Abisynii, 5-tego już Rada Ligi Narodów wydaje Wło-

chom ostre polecenie zaprzestania działań wojennych, ustanawia komisję dla przestudiowania sytuacji i komisja ta już dnia 7 października ustala całkowitą odpowiedzialność Włoch, a 8-go zostają uchwalone sankcje finansowe i ekonomiczne na podstawie art. 16 Paktu. Jak Liga Ligą coś podobnego dotychczas nie zdarzyło się, chociaż choć nie jeden raz winno się było zdarzyć.

Niestety w praktyce pierwsze zastosowanie sankcji zbiorowej w dziejach ludzkości nie dało rezultatu. Sankcje bowiem, aby były skuteczne opierać się musiały na zasadzie powszechności, tzn. musiałyby wszystkie państwa świata zerwać stosunki finansowe i ekonomiczne z Włochami. Znowu brak USA paraliżował działanie Ligi. Tym więcej, że od początku agresji włoskiej Stany Zjednoczone uznały stan wojny między Włochami i Abisynią, czyli potraktowały jednakowo i agresora i ofiarę napaści. Gdy zaś do tego się doda, że jeśli nie same rządy, które nolens volens przyjęły sankcje, to napewno ich obywatele przeróżnymi sposobami utrzymywali stosunki handlowe z Włochami i dostarczali czy to fabrykatów czy produktów bojkotowanemu agresorowi, wówczas łatwo będzie zrozumiałe skąd się wzięło, iż ubogie w surowce Włochy mogły prowadzić trudną kampanię wojenną w warunkach prawie tropikalnych i nie załamały się z powodu braku środków ekonomicznych i finansowych. Niewątpliwie otwarcie archiwów i ogłoszenie tajnych dokumentów, oraz tajnych bilansów handlowych, nie tylko państwowych, ale wielkich prywatnych przedsiębiorstw i koncernów, zarówno państw-członków Ligi, jak i tych, które do Ligi nie należały, naświetliłoby ten problem i dało cenne wskazówki, jak na przyszłość prowadzić taką czy podobną akcję.

Październikowy krok narodów, na których czele kroczyła śmiało Anglia, wywołał dreszcze sensacji i najwyższego napięcia przez kilka dni po powzięciu uchwały o sankcjach. I to nie tylko wśród społeczeństwa włoskiego, ale na całym świecie: czy wybuchnie z tego powodu wojna powszechna?

Ale wojna powszechna nie wybuchła i Liga (a może prawdziwiej: Wielka Brytania) przegrała, mimo, że Pakt Ligi Narodów przewidywał wobec agresora, dalej idące kroki, niż sankcje ekonomiczne, mianowicie, wedle Paktu w konsekwencji uchwały nakazujących zerwanie stosunków ekonomicznych z agresorem miało być

„obowiązkiem Rady (zlecenie) poszczególnym rządom jakim kontyngensem sił lądowych, morskich i lotniczych każdy z członków Ligi ma współdziałać w siłach zbrojnych przeznaczonych do tego, aby wymusić poszanowanie zobowiązań Ligi".

Zatrzymano się jednak w Genewie na progu tego postanowienia, Rada nie wykonała tego obowiązku i nie wyznaczyła „kontyngensu".

Czemu tak się stało? Rzecz oczywista, że uchwalenie sankcji nie było spontanicznym odruchem przedstawicieli tych kilkudziesięciu narodów, które należały wówczas do Ligi. Nie znaczy to, aby państwa te zostały zmuszone do uchwalenia bojkotu Włoch, lub też aby pochwalały ich zachowanie się. Jednak zasady na których opierać się miała Liga Narodów, w szczególności zasady wspólnej akcji w obronie napadniętego nie wraziły się jeszcze tak silnie w umysły i serca zarówno „szarego człowieka", jak i jego rządów, aby fakt agresji mógł był wywołać spontaniczny odruch oburzenia, wyrażający się w uchwale sankcyjnej. Kilkanaście lat istnienia Ligi Narodów nie wychowało jeszcze społeczności międzynarodowej w tym duchu. Przeciwnie dotychczasowa praktyka genewska mogła tylko odstręczać od wiary w celowość i skuteczność jakiejkolwiek akcji zbiorowej.

A dalej w okresie pomiędzy obu wojnami światowymi nie zdawały sobie poszczególne państwa sprawy z tego jak dalece świat stanowił już jednolitą całość, że bezpieczeństwo międzynarodowe jest niepodzielne, a niebezpieczeństwo choćby w zapadłym kącie Czarnego Lądu się czaiło, grozić mogło rozszerzeniem się na cały świat.

Uchwalenie sankcji mogło pociągnąć za sobą powszechną wojnę której każdy się bał a nikt sobie nieżyczył. A nie byłaby to wojna taka, jaką dotąd znały dzieje ludzkości: wojna w obronie lub dla rozwinięcia własnych interesów i własnej pomyślności. Byłaby to krucjata w myśl idei, która nie wrosła jeszcze w społeczeństwa okresu międzywojennego tak głęboko, aby mogły one zrozumieć i wybaczyć kierownikom swoich państw sprowokanie jej i wciągnięcie świata w nową rzeź. Uchwalenie sankcji pociągało więc za sobą odpowiedzialność, której odpowiedników nie da się chyba w historii znaleźć. — A jednak sankcje uchwalono. W tym wielkie znaczenie tego postanowienia. Że zaś znowu agresor triumfował, a Pakt Ligi Narodów został ponownie zdeptany,

to sprawa kilkunastu lat rozwoju Ligi Narodów, sprawa polityki wielkich mocarstw, które uprzywilejowaniem swego stanowiska przyjęły na siebie szczególne obowiązki, a nie wywiązały się z nich, to sprawa układu sił, sprzyjająca w danej chwili agresorowi.

Stwierdzić jednak należy, że nie tylko Liga, ale ludzkość zdobyła w gorących dniach października 1934 roku ważkie doświadczenie, a linia demarkacyjna między agresorami z jednej strony, a państwami pokojowymi z drugiej, zarysowała się jeszcze wyraźniej i Włochy znalazły się z kolei po drugiej stronie barykady, po tej stronie, z której padły pierwsze bomby inaugurujące Drugą Wojnę Światową.

Niemcy a Liga Narodów. Już w 8 lat po podpisaniu rozejmu po zwycięskiej wojnie uznały wielkie mocarstwa — Francja, Anglia i Włochy — iż Trzecia Rzesza jest już zdolna do dotrzymywania umów i zobowiązań wynikłych z Paktu Ligi, iż Niemcy oduczyli się militaryzmu, że nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby ich wciągnąć do współpracy w Lidze. Dano im stałe miejsce w Radzie i wszelkie przywileje wielkiego mocarstwa. Okres siedmiu lat, bo tylko tak krótko należały Niemcy do Ligi Narodów, wykorzystały rządy Rzeszy (zarówno „demokratyczne" jak i hitlerowskie) dla całkowitego wyzwolenia się z ograniczeń nałożonych na Rzeszę przez traktat pokoju, w szczególności dla wyzwolenia się z ograniczeń zbrojeniowych. Akcję tę prowadziły rządy przedhitlerowskie, zaś rząd Hitlera zupełnie jawnie sprawę postawił na konferencji rozbrojeniowej. Na tej konferencji, którą zwołała Liga Narodów w celu rozbrojenia świata, jedynym bodaj godnym uwagi wypadkiem była gra dyplomatów Trzeciej Rzeszy: dążenie do uzyskania równości w zakresie zbrojeń, czyli do uwolnienia się od zakazów traktatów pokoju w tym względzie. I gdy dopięli swego i uzyskali takie uznanie, usunęli się w roku 1933 z obrad konferencji i wystąpili z Ligi Narodów.

Usunięcie się Niemiec z Ligi Narodów nie miało cech dramatu czy farsy rozgrywającej się na tle tragedji narodu zaatakowanego jak Chiny lub Abisynia. Był to epizod arcysprytnie pomyślany, moment gry dyplomatycznej wybrany świetnie w czasie obrad olbrzymiej, z wielkim rozmachem zorganizowanej opinii świata nie zdającej sobie może nawet sprawy z istotnego sensu tego wydarzenia.

Niemcy czaili się do prawdziwego skoku, odmierzając starannie szanse następnego zamachu na porządek i spokój

świata. Potrafili świetnie wykorzystać naiwność, głupotę a nawet i złą wolę partnerów, kolejno sprzymierzając się z jednymi, aby mieć wolną rękę przeciw drugim, aby nie dać się „okrążyć". Zdawali sobie sprawę aż nadto dobrze z inercji przeciwników i w odpowiedniej chwili potrafili nowym coup d'état wykonać zamach na inne zobowiązania. Więc zremilitaryzowali ponownie Nadrenię, co było tak surowo zakazane przez traktat pokoju i słynne umowy lokarneńskie. Świat zaparł oddech na chwilę. Sam Hitler czuł, że w danym momencie wszystko postawił na jedną kartę. Padną strzały, czy nie padną? I — nic się nie stało. Parę protestów, parę not dyplomatycznych — i Niemcy znowu przygotowali się do nowego skoku z prężnością i sprytem dzikiego zwierzęcia. A świat po dawnemu patrzył na to obojętnie. Wreszcie przyszedł kataklizm 1939 roku, na który narody czekały, jak królik hipnotyzowany przez okularnika. Tylko, że narody te nie chciały lub nie potrafiły tego widzieć. W tym tkwi jedyna swego rodzaju tragedia ludzkości i tragedia bezsiły systemu ligowego.

Liga stała się znowu uboższa o jednego, bądź co bądź ważnego członka, ale równocześnie „oczy widzące" mogły bez trudu dojrzeć to, co w niedalekiej przyszłości mogło grozić światu: nową wojnę. Wystąpieniem z Ligi Narodów Niemcy stanęli wyraźnie w jednym szeregu obok narodów agresywnych, Japonii, a potem Włoch, odcinając się od „narodów miłujących pokój".

V.

Non omnis moriar ...

Liga Narodów nie spełniła swego zasadniczego zadania — nie zdobyła sobie potrzebnego autorytetu i nie zapewniła pokoju ludom świata. To też, gdy w roku 1938 Niemcy rozpoczęli pokojową agresję na Czechosłowację, którą na wiosnę 1939 roku zakończyli zlikwidowaniem państwa czechosłowackiego, i gdy we wrześniu 1939 roku atakiem zbrojnym na Polskę rozpoczęli Drugą Wojnę Światową, wówczas Liga Narodów bezradnie milczała, milczał jej Sekretariat, mimo, że i „całość terytorialna" i „niezależność polityczna" jej członków była już nie „zagrożona", lecz wręcz unicestwiona. Bo pamiętać należy, że ten podstawowy obowiązek współdziałania państw (gwarancje przyrzeczone w art. 10 Paktu Ligi wszyst-

kim jej członkom) miały znaczenie bez względu na to, czy agresor był członkiem Ligi czy też nie. Tymczasem cisza nad Genewą, tak jak gdyby w Czechosłowacji od jesieni 1938 roku nic nie uległo zmianie, lub jak gdyby piękna jesień 1939 roku nie rozbrzmiewała detonacjami bomb niemieckich na ziemiach Rzeczypospolitej. Wtedy jednak nie było już żadnych szans powodzenia jakiejkolwiek akcji zbiorowej, którejby Liga Narodów miała i mogła przewodzić.

I tak wśród wielkich wydarzeń historycznych zakończyła swoje istnienie niezauważonym zejściem „z teatrum politycznego" Liga, z którą wiązano wiele nadziei, z którą wiązano losy narodów i sądzono, że może przynieść zbiedzonej ludzkości jakieś wyzwolenie od ludzkich kataklizmów i cierpień.

Zbyt jednak była Liga Narodów oderwana od „rzeczywistej rzeczywistości", od realnych warunków, jakie panowały w życiu międzynarodowym, aby była zdolna od najwcześniejszych początków sprostać zadaniom i spełniać cele, dla których powołano ją do życia. Nie ziściła nadziei w sobie pokładanych, ponieważ zrodziła się w sferze marzeń i idei niezwiązanych ani kulturalnie, ani politycznie, ani gospodarczo z żadną rzeczywistością, świata ówczesnego jako całości.

Błędem bowiem było nie to, że stworzono Ligę Narodów, jako organizację świadomie zbyt ubogo wyposażoną w środki zaradcze, zapobiegające złu (wojnom), ale to, że powołano instytucję, która miała utrzymać tam ład, gdzie pozostawiono chaos, która miała zapobiec kolizjom, katastrofom i spięciom międzynarodowym, gdy, przyczyny owych spięć i katastrof i zasadniczych sprzeczności, jakie panowały między państwami, pozostawiono nienaruszone w stanie pełnego — o ile można się tak wyrazić — rozwoju. Co więcej, antagonizmy międzypaństwowe zostały nawet wzmożone wielokrotnie w porównaniu ze stanem z przed Pierwszej Wojny Światowej. Nie ruszano fundamentów starej budowli, która się kruszyła, to tak jak gdyby ktoś rozpoczął budowę gmachu od róży wiatrów na szczycie dachu.

Cóż dziwnego, że wszelkie, później podjęte próby zasadniczego uregulowania podstawowych problemów ekonomicznych z inicjatywy Ligi Narodów nie dały zupełnie rezultatów. Nie pomogły długoletnie badania i narady przygotowawcze, rozległa wiedza ekspertów, ani świadomość diagnozy, gdy zawodziła terapia, ponieważ zajmowano się skutkami zła i je

chciano odmienić bez tykania podstaw, bez naruszenia systemu, który był chaosem, bez przebudowy fundamentów, które w rezultacie były ruchome jak piasek sypiący się w kierunku, w jakim prądy i siły interesów wielkich i małych państw chciały go rzucać.

Liga Narodów nie spełniła więc nadziei, bo ich w tych warunkach spełnić nie mogła.

Czy jednak z tego należy wyciągać wniosek, że Liga Narodów swym istnieniem niczego nie spełniła? Że była tylko zgorszeniem maluczkich, a powolnym narzędziem w rękach możnych i to narzędziem bardzo źle używanym? Że ludzkość niczego z okresu genewskiej praktyki międzynarodowej nie wyniosła?

Nie należy tak sądzić.

Istotnie praktyki genewskie nie były budujące. Istotnie wielkie mocarstwa nadużywały swego stanowiska (ale należy zauważyć, że czyniły to one nie tylko w okresie istnienia Ligi, ale z dawien dawna, szczególniej, gdy miały słabych partnerów). Pamiętać jednak należy, że Liga Narodów nie miała jakiegoś swojego własnego, odrębnego bytu, była tylko związkiem akurat takim, na jaki zasługiwały państwa związane organizacją genewską gdyż Liga Narodów była tylko ich emanacją.

Są jednak i dodatnie strony istnienia tego pierwszego związku państw w dziejach ludzkości.

Liga Narodów była doświadczeniem ludzkości. I w tym jest jej znaczenie. Była doświadczeniem negatywnym, ale niemniej studiowanie historii, genewskiej, wgłębianie się w przyczyny tak smętnych skutków, tak żałosnych rezultatów daje niewątpliwe korzyści: oto wiadomo, że było źle, lecz badając dlaczego było źle, można wynieść wiele cennych wskazówek, jak uniknąć w przyszłości błędów.

Należy z pobłażaniem patrzeć na tych kilkanaście lat współpracy międzynarodowej. Wszak to była pierwsza i to niepełna próba, pierwszy eksperyment, więc jakże tu żądać doskonałości, albo nawet pełnej skuteczności działania. Wszak to pierwszy krok ludzkości, krok pionierów w dziewiczej puszczy zahamowań i przesądów, sprzecznych interesów i krzyżujących się egoizmów, których państwa-członkowie Ligi nie chciały, czy nie umiały ograniczyć na rzecz wspólnej sprawy — sprawy powszechnego bezpieczeństwa i powszechnego pokoju.

Już to samo, że Liga była doświadczeniem, złym czy dobrym, winno mięć dużą wartość dla tych, którzy mają po okresie ligowym i po Drugiej Wojnie Światowej budować od nowa stosunki między narodami miłującymi pokój. O ileż to teraz łatwiejsza droga, teraz gdy już wiadomo, jak *nie powinno* się pracować, co należy, a czego nie należy czynić, a właśnie teraz wiadomo, jaką drogę i jakie metody obierać.

Trudności są duże, ale niewątpliwie wiadomo o wiele więcej o mechaniźmie spraw międzynarodowych aniżeli wiedziało się przed laty dwudziestu kilku, gdy powołano do życia Ligę Narodów. Wówczas, zapewne, znane były teoretyczne zasady wedle których należało wspólnym wysiłkiem układać i porządkować ludzkie sprawy międzynarodowe, lecz nie posiadano sprawdzianów praktyki, sprawdzianów doświadczeń, które dopiero lata istnienia Ligi Narodów dały ludzkości. Zapewne iż jest to wartość negatywna: wiadomo jak nie postępować, ale i to jest wiele, gdy przedtem w ogóle nie było nic wiadomo. Istnienie więc Ligi Narodów wskazało ludzkości drogę, ale nie tę, którą pójść należy, ale tę, której winno się unikać. A i to jest bardzo wiele warte.

Kraków, 1945.

Hugon Kowarzyk

ŻYCIE JAKO ZAGADNIENIE ELEKTROFIZYCZNE

Wykład inauguracyjny wygłoszony 9 czerwca 1946 w dniu otwarcia Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej w auli Uniwersytetu Wrocławskiego.

Życie stało się zagadnieniem elektrofizycznym 155 lat temu. W r. 1791 wyszła książka Alojzego Galwaniego o znaczeniu sił elektrycznych dla ruchu mięśni. „De viribus elektricitatis in motu musculari commentarius." Książka uczyniła na współczesnych wrażenie podobnie mocne jak wypadki rewolucji francuskiej. Doświadczenia Galwaniego stanowiły bowiem probę przyrodniczego rozwiązania problemu związku między życiem, a przyrodą nieożywioną, między ciałem, a duszą.

Zasadnicze doświadczenie Galwaniego polegało na obserwacji skurczu mięśni wyodrębnionych z ustroju zwierząt zimnokrwistych przy zetknięciu bezpośrednim, lub pośrednim przez nerw z dwoma różnymi metalami.

Następcy Galwaniego, pośród nich pierwszy Aleksander Volta, zajęli się przede wszystkim mechanizmem powstawania napięć elektrycznych w jego doświadczeniach, nie zaś stroną fizjologiczną. Badania te stały się podstawą rozwoju elektrochemii. Do dnia dzisiejszego ogniwo złożone z metalowych elektrod i roztworów elektrolitów nazywa się ogniwem galwanicznym. Mięsień żaby w kontakcie z dwoma metalami był pierwszym przykładem ogniwa galwanicznego. Z przyczyn metafizycznych odrzucano przez okrągło pół wieku myśl rzuconą przez Galwaniego, a nawet do pewnego stopnia przez niego udowodnioną, że materia żywa jest zdolna samoczynnie wytwarzać elektryczność. Absurdalną wydawała się bowiem myśl jakiejkolwiek „siły ożywiającej" chociażby w tak konkretnej postaci jak elektryczność. Dopiero połowa XIX stulecia przyniosła doświadczenie Mateucci'ego i Du Bois Reymond'a, w których wykazano istnienie w mięśniach sił elektrycznych pochodzenia niegalwanicznego, niezależnych od kontaktu z elektrodami metalowymi.

Nie tylko mięśnie, lecz także nerwy i wszystkie tkanki w tym kierunku przebadane wytwarzają napięcia elektryczne. Czynności biologicznej tkanek towarzyszą elektryczne prądy czynnościowe i czynność tkanek można pobudzić działaniem prądu elektrycznego.

Przedmiotem elektofizjologii są więc dwa zbiory zjawisk; po

pierwsze zjawiska pobudliwości na prąd elektryczny, po drugie zjawiska czynnego wytwarzania napięć elektrycznych przez tkanki żywe.

Współudział nauki polskiej w rozwoju elektrofizjologii był i jest aktywny. Pragnę tutaj z Wrocławia i w tym wykładzie przypomnieć nazwisko Prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Napoleona Cybulskiego. Badania Cybulskiego przeprowadzone w latach 1891—1913 dotyczyły prądów czynnościowych mięśni, nerwów i kory mózgowej. Badania te obok klasycznego materiału metodycznego dały nauce podstawy do rozumienia genezy tych prądów. Poglądów Cybulskiego nie zrozumiano, za jego życia je zwalczano, a po śmierci przemilczano.

Przechodzę do omówienia najważniejszych osiągnieć elektrofizjologii.

Pobudliwość mięśnia charakteryzuje się dwoma wartościami elektrofizjologicznymi mianowicie: po pierwsze progiem pobudliwości tzn. najniższym napięciem prądu stałego, jaki powoduje skurcz, po drugie czasem, przez jaki musi płynąć prąd stały przez mięsień, aby wyzwolił jego skurcz. Próg pobudliwości jest wartością zmienną dla różnych mięśni i nerwów Również czas potrzebny do wyzwolenia skurczu przez prąd stały o znanym napięciu waha się w znacznych granicach. Czas ten zależy znacznie od napięcia prądu stałego. Prądy o niskim napięciu wymagają dłuższego czasu działania niż prądy o wyższym napięciu. Zależność ta ma kształt hiperboli. W zakresie bardzo słabych prądów nieznaczny przyrost napięcia wyraźnie skraca czas potrzebny do pobudzenia, w zakresie silnych prądów czas potrzebny do pobudzenia jest krótki i dąży do stałej wartości granicznej. Pomiary te prowadzą do pojęcia biologicznego czasu pobudliwości. Jednostka tego czasu zwie się chronaksją. Wprowadził ją fizjolog francuski Lapicque. Chronaksja jest to czas potrzebny do wyzwolenia stanu pobudzenia tkanki przez prąd stały o podwójnym napięciu progowym. Okazało się, że chronaksje mięśnia i nerwu do niego przynależnego są do siebie zbliżone. Mięsień i nerw są wzajemnie izochroniczne. Izochronizm ten usunąć można działaniem niektórych alkaloidów. Lapicque stwierdził, że pod wpływem kurary chronaksja mięśnia wybitnie się przedłuża podczas kiedy chronaksja przynależnego nerwu może być jeszcze prawidłowa. Jak długo działanie kurary jest słabo wyrażone, tak, że stosunek chronaksji mięśnia do chronaksji nerwu nie przekroczy stosunku 2:1, pobudliwość mięśnia przy drażnieniu nerwu jest zachowana. Po przekroczeniu tej granicy mięsień przestaje reagować na bodźce nerwowe. Heterochronizm czasu biologicznego może więc według Lapicque' a być powodem porażenia mięśnia. Mięsień zatruty kurarą nie reaguje skurczem przy drażnieniu nerwu zaopatrującego, chociaż przy bez-

pośrednim drażnieniu reaguje skurczem. Inne działanie ma weratryna. Skraca ona chronaksję mięśnia i tak jak kurara nie wpływa na chronaksję nerwu. Efekt końcowy jest w obu wypadkach ten sam: mięsień na skutek heterochronizmu staje się niepobudliwy dla bodźców nerwowych, mimo, że zachowuje pobudliwość przy drażnieniu bezpośrednim.

Przy równoczesnym działaniu weratryny i kurary powraca izochronizm i równocześnie pobudliwość mięśnia na bodźce nerwowe.

Chronaksja Lapicque'a jest jednym z podstawowych pojęć fizjologii. Zależność między napięciem, a czasem działania prądu jest zjawiskiem ogólno-biologicznym, a krzywa tej zależności przy różnych wartościach absolutnych przebiega w taki sam sposób w tkankach o różnej funkcji i różnym pochodzeniu biologicznym.

Chronaksja jest jednostką czasu biologicznego o powszechnym zastosowaniu. Dzięki wprowadzeniu chronaksji pojęcie pobudliwości tkanek stało się przedmiotem badań tak ścisłych, jakie przedtem były wyłącznym udziałem nauk matematyczno-przyrodniczych.

Narządy pobudliwe na prąd elektryczny są równocześnie same zródłem prądów elektrycznych. Prądy te nazywają się prądami czynnościowymi. W różnych narządach przede wszystkim w mięśniach i nerwach, ale także w gruczołach wydzielniczych, w korze mózgu można stwierdzić prądy czynnościowe o napięciu wynoszącym często kilkadziesiąt tysięcznych części V. Prądy te znalazły w praktyce zastosowanie w lekarskich metodach diagnostycznych. Na powierzchni nerwu lub na powierzchni mięśnia prądy te mają charakterystyczny przebieg. Płyną one od elektroujemnego miejsca czynnego ku jeszcze nie pobudzonym elektrododatnim obszarom, a więc w kierunku rozchodzenia się fali skurczu, lub w kierunku przewodzenia bodźca nerwowego. Następnie zmieniają kierunek i płyną odwrotnie od elektroujemnych miejsc czynnych mięśnia, lub nerwu ku elektrododatnim obszarom, których pobudzenie przeminęło. Prąd czynnościowy jest więc prądem dwufazowym złożonym z fazy dodatniej czyli fazy narastania stanu pobudzenia i fazy ujemnej czyli fazy powrotu do stanu spoczynkowego.

W nerwie prąd czynnościowy jest jedyną oznaką czynności bezpośrednio dostępną dla obiektywnych badań przewodnictwa bodźców. Przed erą badań elektrofizjologicznych czynność nerwu można było rozpoznać jedynie wtórnie, pośrednio, przez skutek, jaki przebiegający przez nerw bodziec nerwowy powodował w narządzie zaopatrywanym przez nerw; pobudliwość nerwów motorycznych można było rozpoznać po skurczu mięśnia, czynność włókien nerwowych wydzielniczych po wzmożeniu wydzielania przez gruczoł, czynność ner-

wów wegetacyjnych po skurczu naczyń krwionośnych, nerwu wzrokowego przez wystąpienie subiektywnych zwidów świetlnych. Metody elektrofizjologii wprowadziły zupełną zmianę w sytuacji. Czynność nerwu można obecnie stwierdzić i ilościowo zmierzyć niezależnie od narządu recepcyjnego przez pomiary prądów czynnościowych, ich napięcia, czasu trwania, szybkości propagacji wzdłuż nerwu itp. Czynność kory mózgowej przed erą elektrofizjologii była terenem domysłów opartych wyłącznie na badaniach morfologicznych, mikroskopowych, dopiero pomiary prądów czynnościowych kory mózgowej wprowadziły do arcyzagadnienia czynności kory mózgowej metody badań matematyczno przyrodnicze.

Zdolność wytwarzania napięć czynnościowych jest związana z przemianą materii w tkankach. Prądy czynnościowe gasną, jeżeli w tkance zamrą przemiany chemiczne np. przez zamknięcie dopływu tlenu. Energia bioelektryczna powstaje z energii chemicznej.

Elektrofizyka zna dwa zasadnicze urządzenia czyli ogniwa dokonujące przemiany energii chemicznej w elektryczną.

Ogniwa pierwszego typu realizowane na wielką skalę przez przemysł składają się z roztworów elektrolitów i przewodnika elektronowego najczęściej metalu; są to ogniwa galwaniczne.

Ogniwa drugiego typu składają się wyłącznie z roztworów elektrolitów, a więc z jonowych przewodników elektryczności w różnych stężeniach, albo zawierających różnie elektrolity i z błon przedzielających te roztwory o swoistych własnościach przepuszczania kationów, lub anionów.

Ogniwa te nazywają się ogniwami koncentracyjnymi, lub błonowymi i są na dużą skalę realizowane w przyrodzie żywej.

Długi czas, do pewnego stopnia także dzisiaj uważano prądy czynnościowe wyłącznie za następstwo różnic w stężeniach elektrolitów przedzielonych błonami, a materię żywą za ogniwa koncentracyjne względnie błonowe.

Nie przewidywano bowiem możliwości przewodnictwa elektronowego w żywej materii i przypuszczano, że w tkankach jest możliwe tylko przewodnictwo elektryczności jonowe. W ostatnich czasach odkryto szereg substancyj zwanych barwikami oddechowymi, które posiadają zdolność przewodnictwa elektronowego. Powodują one oksydację jonów przez przenoszenie elektronów z reducentów na oksydenty. Roztwory oksydentów i reducentów przegrodzone błoną zawierającą barwiki oddechowe mogą wytwarzać napięcia elektryczne zwane napięciami oksydacyjno redukcyjnymi. Stanowią one szczególny wypadek ogniwa galwanicznego. Ich napięcia mogą być źródłem prądów czynnościowych. Żywa materia prawdopodobnie

jest równocześnie ogniwem koncentracyjnym i oksydacyjno-redukcyjnym. Być może, że jedna z faz prądu czynnościowego jest fazą biologicznych ogniw koncentracyjnych, druga zaś ogniw oksydacyjno-redukcyjnych. Sprawa dotychczas nie jest rozstrzygnięta; problem ogniw koncentracyjno-redukcyjnych w tkance żywej jest problemem nowym, istnieje dopiero od r. 1933 i nie jest w możliwościach eksperymentalnych wyczerpany.

Dzisiejsza elektrofizjologia uczy, że mięsień szkieletowy w warunkach fizjologicznych kurczy się dlatego, że elektryczny prąd czynnościowy nerwu pobudza go do skurczu tak samo, jak można w warunkach eksperymentalnych wzbudzić skurcz mięśnia prądem elektrycznym z zewnątrz doprowadzonym. Przewodnictwo bodźca nerwowego jest propagacją fali prądów czynnościowych wzdłuż nerwu. Prąd czynnościowy wzbudzony w jednym miejscu nerwu powoduje strumień wędrówki jonów, które wyzwalają prąd czynnościowy miejsc kolejno ze sobą sąsiadujących; w tęn sposób przesuwa się wzdłuż nerwu fala prądów czynnościowych. Komórkę nerwową np. w korze mózgowej pobudzają prądy czynnościowe doprowadzone przez nerwy czuciowe od narządów zmysłów. Cały układ nerwowy jest bogato rozgałęzioną siecią, przewodów, rozpoczynających się w narządach zmysłowych, a kończących się w narządach sterowanych przez nerwy.

Komórka nerwowa łącznie ze swymi wypustkami tworzy jednostkę przewodnictwa nerwowego, zwaną neuronem. Drogi nerwowe w ustrojach wyższych złożone są z szeregu neuronów kolejno powiązanych między sobą w sposób, który się nazywa „synapsą". Mechanizm zachodzący przy przejściu bodźca nerwowego z jednego neuronu na dalszy tłumaczono początkowo wyłącznie elektrofizycznie. Wątpliwości powstały z chwilą gdy wykryto w zwojach nerwowych substancję wytwarzaną przy przewodnictwie bodźców naśladującą w swym działaniu działanie prądów czynnościowych.

Substancja ta zwana acetylocholiną powstaje przy pobudzeniu zwoju nerwowego przez prąd elektryczny. Wprowadzona w warunkach eksperymentalnych przez naczynie krwionośne do zwoju, wyzwala ona prądy czynnościowe w włóknach nerwowych pozazwojowych. Okazało się, że jest rzeczą b. trudną, a może w ogóle niemożliwą do rozstrzygnięcia, czy przewodnictwo stanów pobudzenia w synapsach dokonuje się pierwotnie za pośrednictwem prądów czynnościowych, czy też za pośrednictwem acetylocholiny. Albowiem przy każdym akcie przewodnictwa prądy czynnościowe wyzwalają acetylocholinę, a równocześnie acetylocholina powoduje wystąpienie napięć elektrycznych. Być może, że fizyczno-chemiczna dwoistość mechanizmu przewodnictwa bodźców posiada znaczenie

głębsze i jest przykładem zasadniczej niemożności ostatecznego rozwiązania problemów biologicznych w obecnym stanie badań.

Omawiając pobudliwość wspomniałem o chronaksji, jako mierze czasu biologicznego i o progu pobudliwości.

Pomiar chronaksji narządów składa się z dwóch oznaczeń: wymaga oznaczenia progu pobudliwości dla prądu stałego, do którego dochodzi się metodą prób błędów, oraz oznaczenia czasu pobudliwości tj. czasu koniecznego do wyzwolenia pobudzenia przez prąd o podwójnym napięciu progowym.

Każdy jednak pomiar pobudliwości zmienia równocześnie próg pobudliwości. Wprowadzenie prądu elektrycznego do tkanki żywej z zewnątrz oznacza zakłócenie jej pobudliwości. Pozornie możnaby wykluczyć to zaburzenie przez wstawienie między pomiary czasu dostatecznie długiego, aby tkanka badana zrestytuowała swoją pobudliwość pierwotną. Restytucji tej nie możnaby jednak inaczej stwierdzić, jak przez ponowny pomiar progu pobudliwości. Dlatego równoczesny dokładny pomiar chronaksji i progu pobudliwości jest z zasadniczych przyczyn niemożliwy. Akt pomiaru zmienia objekt pomiaru i eliminacja błędu tutaj popełnianego jest niemożliwą.

Niewyznaczalność chronaksji posiada odpowiednik w niewyznaczalności w badaniach fizykalnych. Podobnie jak z przyczyn zasadniczych w biologii nie można równocześnie oznaczyć progu pobudliwości i chronaksji tak również w fizyce nie można równocześnie oznaczyć wartości skonjugowanych, takich jak położenie i szybkość elektronów. Niewyznaczalność w obu wypadkach ma charakter zasadniczy, nie zależy od zręczności obserwatora lub dokładności aparatury, lecz tkwi w istocie pomiaru. W obu wypadkach niewyznaczalność pochodzi stąd, że fakt pomiaru zjawiska zakłóca przebieg zjawiska.

Niewyznaczalność prowadzi do rezygnacji z zasady przyczynowego myślenia czyli do indeterminizmu. Jeżeli ze stanu A nie można obliczyć stanu B, dlatego, że stan A jest niewyznaczalny, to twierdzenie, że stan B wynika ze stanu A jest wypowiedzią bez treści. Analogicznie: jeżeli parametry pobudliwości są niewyznaczalne, to twierdzenie, że przyczyną stanu czynnego żywej materii jest stosunek bodźca do pobudliwości jest nieważne.

Dunski fizyk Niels Bohr jeden z twórców nauki o budowie atomów postawił zagadnienie indeterminizmu w biologii.

Między indeterminizmem fizykalnym a biologicznym istnieje jednak zasadnicza różnica. Indeterminizm fizykalny dotyczy najprostszych elementów budowy materii. Indeterminizm biologiczny natomiast występuje przy badaniu jednostek o bardzo złożonej bu-

dowie chemicznej i przestrzennej. Indeterminizm biologiczny jest następstwem organizacji materii żywej, która odróżnia ustroje żywe od materii nieożywionej. Nie ma on charakteru zjawiska mikrofizykalnego przeciwnie jest wynikiem i dowodem złożonej budowy żyjącej materii. Przykład niewyznaczalności chronaksji w badaniach elektrofizjologicznych oznacza granicę możliwości poznania życia. Przy użyciu subtelnych metod elektrofizjologicznych powstaje przeszkoda w postaci relacyj indeterministycznych, których przekroczyć zasadniczo nie można. Czy to oznacza dla fizjologii granicę eksperymentalnych możliwości poznania maszynerii życia? niewątpliwie: tak. Prawa pobudliwości są prawami ogólno-biologicznymi. Indeterminizm przy wyznaczaniu chronaksji oznacza pryncypialną niewyznaczalność zjawisk pobudliwości. Pozostaje to w zgodzie z naszą intuicją, która odrzuca w zakresie naszej własnej pubudliwości wyznaczalność przyczynową i pozostawia nam ludziom wolność decyzji w postępowaniu. Postawienie zasady niewyznaczalności oznacza granicę nauki. Ale nauka posiada nieskończoną swobodę poznawania. Indeterminizm jest nie tylko granicą nauki, ale także materiałem i przedmiotem dalszych badań naukowych. W fizyce indeterminizm nie stał się końcem postępu.

W ostatnich kilku latach w biologii zarysowały się nowe drogi. Badanie wpływu energii promienistej na żywotność komórek i ich własności genotypowe wykazało niespodziewanie proste stosunki liczbowe między efektem biologicznym a długością fali pochłoniętej energii promienistej. Badania biologiczne wykazały istnienie substancyj tzw. gamonów, działających biologicznie w stężeniach tak niskich, że prawdopodobnie pojedyncze cząsteczki gamonu wniknąwszy w komórkę sterują jej rozwojem. Proste stosunki liczbowe w przypadku gamonów tak samo jak przy badaniach wpływu energii promienistej na komórki i badaniach dziedziczności są dowodem elementarności procesów biologicznych, do których się odnoszą. Tym samym w biologii pojawiło się zagadnienie nowe, zagadnienie elementarnej cząstki żywej, której istnienie przejawia się prostotą stosunków liczbowych przy zderzeniu z kwantem energii promienistej lub przy reakcji z drobiną gamonu.

Biologia nie znała do niedawna życia na prostszym szczeblu organizacji od życia w postaci komórek. Jeżeli w przeszłości wegetowało samodzielne życie bardziej elementarne od życia komórkowego, to wyginęło w biegu ewolucji tak, jak wamarły liczne gatunki i tak jak w biegu epok biologicznych wymarły rodziny pierwiastków promieniotwórczych. Po wymarłych gatunkach zostały ślady w postaci wykopalisk, wygasłe pierwiastki promieniotwórcze rekonstruują obecnie fizycy, architekci jąder atomowych. Rok 1935 przyniósł

odkrycia krystaliczności wirusów. Wirusy można uważać z dużym prawdopodobieństwem za ślad życia elementarniejszego od życia komórkowego, które niegdyś samoistnie wegetowało na ziemi i które dzięki przystosowaniu do życia wyżej zorganizowanego przetrwało do czasów obecnych.

Prawdopodobnie komórki są formą życia w drodze ewolucji wysoko zorganizowaną, powstałą z form elementarniejszych.

Sytuacja dzisiejszej biologii przypomina stan fizyki z czasów odkrycia pierwszych pierwiastków promieniotwórczych, w przededniu ery energii atomowej.

Henryk Barycz

O NOWE DROGI HISTORIOGRAFII POLSKIEJ[1]

1. Pytanie, jakie będzie przyszłe oblicze dziejopisarstwa polskiego, jakie będą jego kierunki i drogi rozwojowe, czy i w jakim sensie nastąpią w nim przeobrażenia, jak kształtować się będzie myślenie historyczne u nas — stanowi dzisiaj jeden z najbardziej doniosłych i zasadniczych problemów naszej nauki historycznej. Niewątpliwie wojna obecna połączona z tylu podstawowymi, najbardziej ważkimi dla bytu narodowego i państwowego zmianami, wywrze — liczyć się należy — doniosły wpływ na naszą myśl historyczną, nada jej cechy nowe, zebrane z doświadczeń i przemyśleń tych bolesnych i gorzkich w rocznikach istnienia narodu lat. Stoimy na zakręcie nowej epoki dziejów naszych, który samym ciężarem swej doniosłości wyżłobi na naszej psychice, naszych poglądach i dążeniach niezatarte znamię. Tym więcej na dziejopisarstwie narodowym, którego zasadniczym celem jest tworzenie silnej i zdecydowanej świadomości narodowo-państwowej,[2] wyrażenie poglądów i prądów politycznych i społecznych, nurtujących w społeczeństwie jego dążeń i przeobrażeń. Uzewnętrznić się ono winno nie tylko w tematyce, w. wyborze i selekcji przedmiotu badań, w predylekcji do pewnych epok, postaci czy zagadnień dziejowych, ale także w ocenie i naświetleniu procesów dziejowych, w ogólnym stosunku do przeszłości.

Jakkolwiek każda metodologia historyczna, jako naczelny i podstawowy kanon żąda od historyka bezosobowego, najbardziej przedmiotowego ujmowania zagadnień, to przecież żadne wielkie dzieło historyczne nie jest pozbawione pierwiastka i zabarwienia indywidualnego. Historyk jest obywatelem i członkiem narodu, do którego należy, jest członkiem pewnej grupy społecznej, jest wreszcie człowiekiem, na którego otoczenie, środowisko, prądy nurtujące epokę, dola i niedola własnego narodu wywierają doniosły i potężny wpływ, oddziaływując na skrystalizowanie się jego sądów i poglądów na przeszłość. Ogniskując w sobie najistotniejsze problemy zbiorowości, dotykając najtrudniejszych zagadnień związanych z jego bytem w przeszłości, wyciągając z nich doświadczenie i wskazówki na przyszłość, historyk kieruje myśleniem politycznym społeczeństwa,

[1] Referat niniejszy napisany pod koniec roku 1944 po upadku powstania warszawskiego.
[2] Fr. Bujak w Kwartalniku Historycznym, 1937, LI, str. III.

pogłębia i krystalizuje jego poglądy i dążenia. Wskazuje na tę rolę, rozwój nowoczesnej historiografii naszej. Wielkie hasło Naruszewicza, przepojone tendencją monarchiczną miało wesprzeć podjęty równocześnie wysiłek odrodzenia wewnętrznego Polski. Z podglebia romantyzmu politycznego i gorzkich doświadczeń klęski powstania listopadowego wyrosła demokratyczna ideologia szkoły Lelewelowskiej — gminowładztwa. Katastrofa powstania 1863 roku, łącznie z prądem pozytywizmu wydała krakowską szkołę, historyczną o kierunku realistycznym. Wykładnikiem jej był kult pracy organicznej, rozpatrywanie dziejów narodowych pod kątem upadku państwowości i odpowiedzialności własnej, całego społeczeństwa za jego zagładę.

Zasadnicze przeobrażenia, jakie przynosi koniec w. XIX i początek w. XX: otrząśnięcie się z przygnębienia i marazmu popowstaniowego, podjęcie na nowych podstawach organizacji politycznej społeczeństwa, śmiałe zwłaszcza wysunięcie idei niepodległości — torują drogę nowej myśli historycznej, która osiąga szczytowe nasilenie pod koniec pierwszej wojny światowej i z początkiem Polski odrodzonej.

Najznamienniejszym jej przejawem było ścisłe zespolenie historiografii polskiej (Sz. Askenazy i jego szkołą we Lwowie, W. Tokarz) w Krakowie z ruchem niepodległościowym, z hasłem konieczności walki zbrojnej, kult Napoleona (Sz. Askenazy, M. Hendelsmann), heroizmu, uwielbienie walk o wolność (ks. Józefa Poniatowskiego) z jednej, „apologia ustrojowa", podnoszenie dodatnich walorów kultury wolnościowej politycznej i wyznaniowej dawnej Polski, łączenie jej świadomie z współczesną ideologią demokratyczną (J. Siemieński, O. Balzer, J. K. Kochanowski, St. Chołoniewski, A. Górski i i.).

Wątpić tedy nie można, że wielki wstrząs lat 1939—1945 zapoczątkuje również zwrot w historiografii naszej i spowoduje konieczność rewizji wielu pojęć i sądów, wysnucia z zawiedzionych nadziei, klęsk i bolesnych doświadczeń — nowych wskazań dla życia zbiorowego narodu, liczącego się z realnymi warunkami podejścia do przeszłości, słowem zadecyduje o nowym, odmiennym od dotychczasowego jej oblicza.

2. Zanim przystąpimy do scharakteryzowania nowych zadań naszej historiografii powojennej, należałoby zastanowić się, jak w swym zasadniczym zrębie przedstawiała się ona w dwudziestoleciu Polski Odrodzonej (1918—1939), jaki jest jej dorobek, jej blaski i cienie, jakie wniosła idee przewodnie, czy odpowiedziała dążeniom zbiorowym narodu, czy i jakie próbowała wytyczyć mu drogi rozwojowe, wpłynąć na bieg i całokształt jego myślenia politycznego?

Zewnętrznie rozwój historiografii naszej tej epoki osiągnął niewątpliwie wysoki poziom doskonałości. W oparciu o liczne pracownie

uniwersyteckie, stare i nowootwarte biblioteki i archiwa, instytuty, komisje historyczne towarzystw naukowych, osobne zrzeszenia historyczne, dziejopisarstwo polskie rozwinęło ogromną ruchliwość i płodność. Tętno pracy historycznej wbrew przewidywaniom i stawianym w trakcie pierwszej wojny światowej horoskopom[3] było niezwykle żywe i silne. Szeregi historyków uzbrojonych w najlepsze metody badania rzucały każdego roku setki i tysiące książek, rozpraw, przyczynków i studiów, zainteresowaniami ogarniało wszystkie epoki, od czasów zamierzchłych i wczesno-historycznych, po epokę najnowszą, niemal teraźniejszości Polski, przeorywało problemy ważkie i podstawowe obok drugo i trzeciorzędnych, omawiając kapitalne zagadnienia bytu narodowego i państwowego w przeszłości, równocześnie wydawało mnóstwo przyczynków z zakresu historii regionalnej, rozpraw erudycyjnych, zaczęło poraz pierwszy od czasów bodaj Lelewela, sięgać po tematy z dziejów powszechnych od najodleglejszych epok po dzieje współczesne, z postępującym różnicowaniem nauki historycznej, jej metod i dziedzin badania, powoływało do życia nowe jej dyscypliny.

A jednak mimo tej zewnętrznej ekspansji, doskonałego pod względem ilościowym dorobku, dziejopisarstwo polskie tego okresu nie osiągnęło takiego znaczenia i wpływu w społeczeństwie, jakie powinno było zająć w stosunku do włożonej pracy badawczej i sumy energii twórczej. Nauka historyczna polska mimo zewnętrznych objawów świetności pozostała w większości nauką martwą, jej kapitał i walory społeczne niezużytkowane.

Jaki był tego powód? Zdaniem naszym złożyły się na ten stan rzeczy trzy przyczyny. Po pierwsze dziejopisarstwo nasze naogół rzadko obejmowało żywotne problemy bytu narodowego. Tkwiąc korzeniami zanadto w epoce poprzedniej, zbyt jednostronnie i wyłącznie podkreślało swe cele li tylko poznawcze, dla samego poznania, podejmowało pewne zagadnienia dla samego rozwiązania zadania naukowego, wypróbowania metody, wykazania zasobu erudycji, traktując każdy, najbardziej błahy i nieistotny epizod dziejowy sam w sobie, na równi z podstawowymi i aktualnymi, narzucanymi przez wartką falę współczesnego gorączkowego życia problemami.

Przyznać trzeba bezstronnie, że ostatnie dziesięciolecie przedwojenne pod wpływem potrzeb i postulatów chwili, zwłaszcza coraz wyraźniej rysującego się naporu ekspansji niemieckiej na Wschód i wiążącej się z tym konieczności udowodnienia i ugruntowania naszych praw do kresów zachodnich, do Śląska i Pomorza, przyniosło

[3] St. Kutrzeba: „Wady i zadania naszej historiografii", Kraków 1916.

częściowo korzystniejszy zwrot w tym kierunku, który zaznaczył się wyraźnie w całokształcie naszej produkcji historycznej. Wykuwanie tej broni duchowej na pożytek społeczności i państwa w walce z zagrażającą nam niemczyzną, szło jednak, mimo wszystko, dość powoli. Lata płynęły zanim zagadnienia te zdołały pociągnąć wybitnych przedstawicieli naszej nauki historycznej, zanim wykształcono dla nich zastęp młodszych i najmłodszych historyków. Zrazu przodowała mu garstka nieliczna czołowych historyków z St. Kutrzebą, W. Sobieskim, Wł. Konopczyńskim, St. Czołowskim, St. Zakrzewskim, Wł. Semkowiczem, ks. Kozierowskim, rozumiejących i doceniających kapitalne znaczenie tych arcyżywotnych związanym z samym istnieniem narodu problemów, pragnących oświecić inteligentny ogół nasz w tym kierunku i dać zarazem politykom i mężom stanu podstawę i oręż w walce dyplomatycznej i publicystycznej. W ostatnich latach przed wojną stanął dopiero do pracy zastęp młodszych historyków, który z pasją zabrał się do obrabiania tych doniosłych tematów pod kątem polskiej racji stanu i nieprzedawnionych praw historycznych, — wśród nich tak chlubnie zapisani, jak Z. Wojciechowski, J. Feldman, K. Piwarski, K. Lepszy, St. Bodmath i i.

Niemniej i w tej dziedzinie, mimo ogromnego wysiłku i znakomitych wyników nie osiągnięto maksimum możliwości, nie spełniono ciążącej na nauce historycznych zadań. Ukazało się po pierwsze stosunkowo niewiele prac dostępnych dla oświeconego ogółu, dających mu systematyczny rzut oka na całość zagadnień. Były w tym kierunku dzieła ciekawe, czasem wręcz znakomite, jak St. Czołowskiego „Dzieje marynarki polskiej" (1925), W. Sobieskiego „Walka o Pomorze" (1927), Z. Wojciechowskiego rzecz o „Mieszku I i powstaniu Państwa Polskiego", J. Feldmana „Bismarck a Polska" — ale ich było mało; ukazywanie się ich przerywane było dłuższymi okresami milczenia. Nie przypadek to, że historyka zastępować musiał na tym odcinku publicysta czy powieściopisarz. Przypomnijmy sobie jakie w przededniu wybuchu wojny uczyniła olbrzymie wrażenie i jak była potrzebna książka Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy". Co gorsza nie zawsze potrafiliśmy się zdobyć na szybkie i męskie odparcie ukrytych, lub otwartych napaści w spornych problemach ze strony nauki niemieckiej. Książka „Deutschland und Polen", dzieło zbiorowe historyków niemieckich wydane w roku 1933, pod pozorem naukowości, pod świetnymi nazwiskami kryjące przeważnie stek nieprzyzwoitych fałszów, oraz kłamliwych, niegodnych oświetleń problemu polsko-niemieckiego w przeszłości nie doczekało się godnej odprawy. Podobnie było z obrzydliwą książką Kurta Lücka „Deutsche Aufbaukräfte in Polen" (1933), poświęconą wykazaniu rzekomo przeważającego wkładu niemieckich sił duchowych w bu-

dowę państwowości i kultury polskiej, która w czasie wojna stanie się alfą i omegą oficjalnych czynników niemieckich w stosunku do Polski, główny argument uzasadniający zniszczenie państwa polskiego i stworzenie „Nebenland'u" wobec świata.

Jeszcze rzadziej występowaliśmy sami z inicjatywą. Do rzadkości należało np. monumentalne wydawnictwo „Historii Śląska do końca w. XIV", któremu Niemcy mogli przeciwstawić po paru latach bez porównania skromniejszą, również zbiorową „Geschichte Schlesiens I (1938)". Rzadkim wydarzeniem było też ukazanie się książki W. Sobieskiego „Kampf um die Ostsee' (1926), której nakład publicznie spalony został na początku wojny w Lipsku.

Poza tymi mocno aktualnymi dziedzinami, problematyka historyczna skupiła się głównie na rozważaniu dziejów warstwy przodującej w narodzie tj. szlachty. Zaznaczała się ona nie tylko w badaniu dziejów politycznych i wojennych narodu — co byłoby zrozumiałe — ale przede wszystkim w tak kapitalnej dziedzinie, jak dzieje wewnętrzne. Obrabiano i wałkowano po dawnemu dzieje sejmów i sejmowania, konfederacje i rokosze, rozpatrywano obyczaj sarmacki, religijność i moralność warstwy szlacheckiej. Dużą jednostronność wykazywały także krzewiące się bujnie badania nad dziejami walk o niepodległość, poświęcone przeważnie przedstawieniu przebiegu kampanii, osobistości nimi kierujących, bohaterskich przykładów poświęceń i krwawej martyrologii życia podziemnego.

Proporcjonalnie do tego, jakże znikomo zajęto się przeszłością najliczniejszej warstwy narodu tj. chłopa. Poświęcono mu tylku jedno syntetyczne ujęcie, które wyszło do tego nie z pod pióra zawodowego historyka, ale pozytywistycznego literata Świętochowskiego — ujęcie zresztą jednostronne, bo przedstawiające dzieje poddaństwa chłopa z wyłączeniem jego pozytywnej i twórczej roli w życiu narodowo państwowym. Nieliczne też były prace monograficzne na ten temat: Rotkowskiego, Grabskiego, Grynwassera; w ostatnich latach wszczęło się dopiero w tym kierunku większe zainteresowanie wśród młodszego pokolenia historyków.

Drugim, dużym cieniem historiografii minionego dwudziestopięciolecia była zbytnia specjalizacja i zasklepienie się w pewnych, nieraz bardzo ciasnych ramach chronologicznych, szlifowanie precyzyjne tematów i problemów już obrobionych, dorzucanie do nich nowych szczegółów archiwalno-źródłowych, bez tworzenia większych syntez. Ogromna ilość tych rozpraw, przyczynków, książek, ukazujących się co roku, nużąc nieraz nadmierną drobiazgowością i rozwlekłością, pozostawała przeważnie bez szerszego oddźwięku w społeczeństwie, stawała się pozycją całkowicie martwą. Czytane co najwyżej przez specjalistów, powiększały one tylko pozycje biblio-

graficzne. Ogół oświecony spragniony wiadomości o przeszłości — poza cennymi książkami J. A. Bystronia, niektórymi dziełami A. Brücknera i wydawnictwami zbiorowymi — sięgał przeważnie do książek pisanych przez zawodowych literatów, którzy jak Boy w „Marysieńce" lub Zbyszewski w „Niemcewiczu z przodu i z tyłu" przedstawiali mu zniekształconą prawdę historyczną, ukazywali mu przeszłość w krzywym zwierciedle.

Ten wybitnie monograficzny okres historiografii polskiej przyniósł w rezultacie same tylko cegły i cegiełki pod przyszłą budowę wielkich syntez dziejów narodowych. Nic bardziej charakterystycznego dla tej epoki naszej historiografii jak fakt, że wydał on od czasów M. Bobrzyńskiego tylko jeden zarys dziejów polskich pióra Wacława Sobieskiego, oparty o jednolitą przymyśloną podstawę ideowo-polityczną i nawiązujący do żywotnych problemów współczesnej generacji społeczeństwa polskiego. Porzucała ona nie tylko obowiązujące dotychczas każdego historyka stanowisko rozpatrywania dziejów naszych pod kątem widzenia upadku państwa i niedoli epoki porozbiorowej, ale ujmowała całość procesu dziejowego Polski dookoła zasadniczej koncepcji: dwóch orientacji i dwóch kierunków politycznych — dążenia Wielkopolski ku Bałtykowi i Małopolski ku stepom Wschodu. Ale książka Sobieskiego stanowiła rzadki wyjątek; dość powiedzieć, że nie zdobyliśmy się nawet na porządny podręcznik dziejów narodowych dla wyższych szkół i średnich, lecz posługiwaliśmy się powstałym w końcu w. XIX zarysem A. Lewickiego

Zazwyczaj stawaliśmy na drugim stopniu — encyklopedycznego zbierania osiągniętych wyników wiedzy, albo tworzenia syntez częściowych niektórych stron przeszłości, lub pewnych epok. Wymienić tu należy częściowe syntezy w rodzaju T. Zielińskiego „Historii antycznych religii", „Historię gospodarczą Polski" Rotkowskiego, „Dzieje kultury polskiej" A. Brücknera, „Dzieje unii jagiellońskiej" Haleckiego, czy „Dzieje Jagiellonów" Kolankowskiego. Większe rezultaty jeszcze przyniosły zbiorowe opracowania w zakresie dziejów narodowych, pierwsze obszerne ujęcie w nauce naszej dziejów powszechnych, zbiorowy tom „Kultury staropolskiej", dający na długie lata może nie zawsze uzgodnioną i harmonijnie przeprowadzoną syntezę wiedzy naszej o kulturze Złotego Wieku. — Te i tym podobne przedsięwzięcia naukowe (np. „Polska, jej dzieje i kultura") wskazywały, że w razie potrzeby stać nas na budowę większych całości, jakkolwiek ciągle jeszcze o charakterze monograficznym, bez spojrzenia na całość rozwoju dziejowego z jednego punktu widzenia. Pod tym względem prace zbiorowe mocno nieraz niedomagały.

Trzecim poważnym brakiem było nie przykładanie wagi do artystycznego przedstawienia, wydobycia z omszałych zagadnień momentów emocjonalnych, węzłów i konfliktów dramatycznych. Brak syntetycznych talentów łączył się bezpośrednio z zaniedbaniem formy, przytłoczeniem wykładu drugorzędnym materiałem źródłowym, niepraktycznym jego przedstawieniem. Zbyt silnie przejawił się w tym nieprzywiązywaniu wagi do strony artystycznej wpływ niemieckiej nauki historycznej. Niewielu mieliśmy tylko historyków-artystów, a nie bezdusznych erudytów, jak Sz. Askenazy (działający zresztą głównie przed rokiem 1918), W. Tokarz, W. Sobieski, J. Feldman, J. Kucharzewski, A. Sliwiński. — Dzieła i prace ich pozostaną trwałą lekturą inteligentnego ogółu, wzmacniając i krzepiąc narodowe poczucie, budząc miłość do naszej wielkiej i niezapomnianej przeszłości. Tymczasem historycy polscy nie zawsze zdają sobie sprawę, że historia jest zarówno nauką jak sztuką, że obok krytycyzmu, pragmatycznego i genetycznego ujmowania procesów dziejowych, winna dążyć do artystycznego przedstawienia. Tylko przystępnością treści i powabem formy można nawiązać kontakt z myślącym ogółem, dać mu poważną strawę duchową, pobudzić do rozważań nad życiem narodu i państwa w przeszłości. Bez tej cechy historia nie spełni swego poważnego zadania społecznego, nie stanie się dźwignią narodowego poczucia i świadomości.

3. Z kolei zastanowić się należy jak kształtować się będzie przyszłe oblicze historiografii polskiej, jaka będzie jej tematyka i dążenia. Jeśli chodzi o tematykę, odegrają olbrzymią rolę dwa główne czynniki: z jednej strony czynnik formalny — katastrofa, jakiej uległy nasze biblioteki i archiwa z około 75 % najbardziej świeżego, najmniej wyzyskanego, najwięcej esencjonalnego i ważkiego materiału źródłowego, — z drugiej zmieniona rzeczywistość dziejowa, w jakiej postawiła nas wojna.

Niespotykana i niemająca w dziejach precedensu tragedia archiwów i bibliotek polskich, spalonych na zimno przez najeźdźcę, jego świadomy zamiar pozbawienia nas w ten sposób tradycji dziejowej, legitymacji naszego rozwoju dziejowego i kulturalnego, wywrze niewątpliwie na długie lata decydujący wpływ na tematykę historyczną. Pewne epoki, czy rozległe strony i dziedziny naszych dziejów nie będą poprostu mogły być badane, znikną z regestru opracowań. Ze zniszczeniem archiwum akt dawnych i zasobów rękopisów raperswilskich przestała istnieć wielka dziedzina studiów nad dziejami politycznymi w. XIX: epoką ks. Warszawskiego i królestwa Kongresowego, rządami Rosji od 1831—1915, walkami zbrojnymi o niepodległość, emigracją. Spalenie się Archiwum Oświecenia przekreśliło pracę nad dziejami oświaty na terenie t. zw. Kongresówki w XIX

i XX w. — Strata Archiwum Skarbowego przecięła możność badań nad zaniedbaną historią gospodarczą i społeczną, jak znowu zniszczenie Archiwum akt nowych podcięło podstawę zasadniczą dla opracowywania historii dwudziestolecia Polski Odrodzonej.

Również pewne wcześniejsze epoki, np. doba Jana Sobieskiego traciły swój zasadniczy materiał (spalenie Załuskinów w Bibliotece Narodowej). Szczerby te w niektórych tylko wypadkach da się zapewnić, acz z trudnością, w innnych przestały one bezpowrotnie istnieć dla historycznego poznania.

Ograniczenie tematyki w związku ze zniszczeniem materiału źródłowego, wykreślenie z warsztatu historycznego pewnych dziedzin, czy epok przeszłości narodowej — to jedna koniecznością dziejową strona warunków obecnej dziejopisarskiej pracy. Druga, która wypływa już z światowej woli historyka to obowiązek nawiązania ściślejszego kontaktu ze społeczeństwem, uczynienia nauki historycznej przedmiotem żywotnym. Historyk odczuwający potrzeby naroddu, dać mu winien nie tylko wyjaśnienie i rozpatrzenie najbardziej trudnych i skomplikowanych problematów narodowego bytu w przeszłości, wyjaśnić mu genezę i podłoże dziejowe teraźniejszości. Społeczeństwo myślące nad przyszłością swą, ma otrzymać od historyka nie słowa pochlebstwa, głaszczące jego dumę narodową, ale męskie i odważne roztrząśnięcie błędów i win przeszłości, sumę wskazań potrzebnych dla jaknajbardziej harmonijnego swego rozwoju. Historia winna bowiem być dźwignią narodowych dążeń, stanowić pomost zapewniający ciągłość życia narodu, swą „arkę przymierza" między przeszłością a przyszłością. Historyk rzetelny musi pamiętać, że „historia nie jest matrwą prawdą rzeczową", jak to intuicyjnie odczuł i sformułował Cyprjan Norwid, — ale, że zadaniem jej jest służba społeczeństwu.

Uspołecznienie nauki historycznej dokonać winno przez wewnętrzną przebudowę myślenia historycznego, pogłębienie kultury i odczuwania nurtu historycznego przez historyka, uświadomienie mu jego powołania. Jednym ze środków byłoby ograniczenie rozwielmożnionego w ostatnich dziesiątkach lat kierunku erudycyjnego, podejmowania badania dla samego badania, wyładowywania wyłącznie skłonności poznawczych, zasypywanie czasopism i wydawnictw historycznych jałowym przyczynkarstwem. Niewątpliwie zupełne usunięcie, czy zniesienie kierunku czysto badawczego byłoby niepożądane a nawet szkodliwe. Jeszcze od czasów starożytnej Grecji i Rzymu działał i działać będzie obok prawdziwych historyków — szary, na liczbę potężniejszy, tłum uczonych szperaczy, erudytów, antykwarzy. Obok Liziusza czy Tacyta rozwijać będą niezmordowaną pracę Waleriuszowie, Maximusowie, Warronowie itd. — Ten

drugi kierunek jest niewątpliwie potrzebny: prace erudycyjne stanowić będą konieczny substrat dla nowych syntez i wielkich obrazów dziejowych. Chodzi tylko o to, żeby w większej, niż dotychczas mierze, przemawiali do społeczeństwa historycy. Nie straciły i dzisiaj słowa z listu A. Mickiewicza do „uczonego" Joachima Lelewela z 1828 roku:

„Szkoda tylko, że dla uczonych badań zdajesz się opuszczać właściwą historią. Czujemy tych badań i ważność i potrzebę. Bez nich i historia u nas kulawo postępować by musiała, ale wszyscy wołają, że nam historyków jeszcze gwałtowniej potrzeba, aniżeli badaczów."

Co w pojęciu Mickiewicza było przedmiotem pracy prawdziwie dziejopisarskiej? Bardzo wysoką, zbyt może nawet doniosłą rolę wyznaczał historii Cyprjan Norwid, gdy pisał:

„Rozum ten tylko, który pieśń wytrzyma,
Boleść ta tylko, co aż w psalm się leje,
Tylko szał, który strun liry się trzyma,
Hart, który wobec serca nie truchleje —
Warte są dziejów . . ."

Zadania historyka, naszym zdaniem, są skromniejsze. Winien on podejmować tematy i problemy zasadnicze, żywotne i aktualne, twórcze z przeszłości narodu, tłumaczące nurt jego najistotniejszych dążeń, wyjaśniające przesłankami przeszłości jego teraźniejszość, klęski i sukcesy, upadki i wzloty, docierające do głębi charakteru narodowego, szukające w nim wytłumaczenia tragedii jego klęsk i podstawy odradzania się, śmiało podejmujące na pożytek przyszłości rozpatrzenie i rozrachunek sumy przewinień zaniedbań poprzednich pokoleń.

Zadaniem historyka powinno być wreszcie częstsze, niż dotychczas, budowanie wielkich syntez dziejowych, a jednocześnie w artystyczną formę ujętych.

Przebudowa tematyki i problematyki historycznej oprzeć się winna na tych właśnie zasadach. Pogłębieniu ulec muszą, już wyraźnie zaznaczające się w poprzednim okresie problemy związane z przeszłością naszych ziem zachodnich: dzieje Śląska, Pomorza, sprawy bałtyckie, które w pierwszym rzędzie staną się przedmiotem zainteresowania historyków polskich. Przesunięcie ośrodka państwa z nad Wisły nad Wartę, oparcie granic zachodnich o Odrę, Nissę Łużycką, trwałe oparcie się na północy o Bałtyk — winny przynieść nawrót do badań i rozważań nad podstawami i rozwojem państwa piastowskiego. W dalszym rzucie nawrót do geograficzno-politycznej kon-

cepcji Polski piastowskiej pociągnię za sobą konieczność przeprowadzenia zasadniczej rewizji naszych dziejów. W nowym świetle staną wielkie postacie budowniczych pierwotnej Polski: Mieszko I i Bolesław Chrobry, przedstawiciele polityki bałtyckiej i pomorskiej, zarazem obrońcy i strażnicy całości interesów państwa: Bolesław Krzywousty i Mieszko Stary. Odżyć przed nami winna postać genjalnego władcy, wielkiego reformatora, dążącego do wzmocnienia autorytetu państwa, budowniczego silnej ekonomicznie Polski — Kazimierza Wielkiego, w polityce zewnętrznej króla kompromisu — jednej z największych postaci naszych dziejów. Przedmiotem krytycznego pogłębienia stanie się być może także koncepcja państwa jagiellońskiego. Chłodno i beznamiętnie winno się przeprowadzić ocenę głównego jej dzieła, unii, wykazać jej niedomagania zasadnicze i jej skrzywienie na skutek odejścia od pierwotnej idei jednolitego państwa, koncepcji całkowitego zjednoczenia obydwu państw na rzecz częściowego dualizmu administracyjnego — zasadniczego źródła słabości państwa, zestawić straty, jakie przyniosła kolonizacja przez pozbawienie państwa i centralnej Polski, najbardziej wartościowego i prężnego elementu z Wielkopolski i Mazowsza, jak odbiła się ona ujemnie na charakterze narodowym (wyzwolenie dążeń anarchistycznych i egoistycznych), na strukturze społecznej (oligarchia, rządy królewiąt). Ocenie sprawiedliwej acz surowej winna ulec polityka wewnętrzna Jagiellonów — niefortunne wygrywanie szlachty przeciw rządom możnowładczym, stworzenie podstaw „złotej wolności" owego źródła niemocy państwa. Bezstronnemu rozważaniu poddana być winna wreszcie teza o młodszości cywilizacji Polski, oraz problem późniejszego zsarmatyzowania kultury duchowej Polski pod wpływem życia ziemiańskiego.

Większość tych zagadnień stanowiła przedmiot szerokich rozważań przez czołowych historyków naszych o syntetycznym myśleniu: J. Szujskiego, M. Bobrzyńskiego, St. Smolkę, W. Sobieskiego. Późniejsza historiografia zeszła niestety z ich toru, zwłaszcza nadmierne znaczenie przypisując t. zw. idei jagiellońskiej. Krytyczne poglądy na pewne zasadnicze sprawy naszej przeszłości dziejowej poczęły rozwijać się dopiero w ostatnich latach przed wybuchem wojny. Głębsze znaczenie miały tu studia Z. Wojciechowskiego nad pierwotną koncepcją państwa polskiego, jego naturalną podstawą geograficzno-historyczną, rozwijając częściowo dawniejsze pomysły St. Smolki i i., dalej badania L. Kolankowskiego nad istotą państwa jagiellońskiego, zwichnięciem jego pierwotnych jednolitych ustrojowych założeń, jego krytyka unii lubelskiej, która już była przedmiotem podobnej oceny ze strony Bobrzyńskiego. Na anarchiczne odśrodkowo — egoistyczne dążności warstwy przodującej, nieumiejętności przebudowy

średniowiecznej ziemiańsko-rycerskiej struktury prawno-politycznej — bystre uwagi rzucił St. Estreicher, idąc również w tej mierze po linii wytyczonej przez wielkich mistrzów krytycznej szkoły historycznej (t. zw. krakowskiej).

Równolegle z przeprowadzaną rewizją pewnych zagadnień i stron naszej przeszłości, pójdzie zapewne ograniczenie wyłącznej dotychczas dziedziny badań nad warstwą szlachecką, jej życiem wewnętrznym, umysłowością i moralnością, przerzucenie uwagi na inne warstwy: inteligencji miejskiej, oraz t. zw. niehistorycznych warstw — chłopskiej, i robotniczej. Wyjaśnią one i pozwolą głębiej zrozumieć wiele istotnych ustępów dziejów Polski: np. ruchów wolnościowych i niepodległościowych, przyczyn ich nieudawania się.

Duże znaczenie będzie miało szersze uwzględnienie kierunku pracy wewnętrznej, organicznej narodu. Na równi z momentami ekspansywnymi i zdobywczymi płynie po przez nasze dzieje nurtem nieraz ukrytym, prąd drugi: budowy wewnętrznej mocy państwa: od Mieszka Starego po przez działalność Kazimierza Wielkiego, gospodarcze reformy królowej Bony, prace Tyzenhausa za Stanisława Augusta, ideologie pracy organicznej Staszica i ks. Lubeckiego, wielkie koncepcje margrabiego Wielopolskiego, M. Bobrzyńskiego, akcji Marcinkowskiego, Libelta, ks. Wawrzyniaka. Są one niemniej pasjonujące od dziejów walk orężnych, gier dyplomatycznych, czy heroicznych, krwią i łzami zroszonych zrywów niepodległościowych.

Każdej wreszcie cząstkowej, czy pełnej syntezie dziejowej, będącej ostatecznym celem pracy historyka, przyświecać powinno dążenie do jasnego określenia win i zasług za bieg dziejów narodowych, wyjaśnienie odpowiedzialności kół kierowniczych i wykonawczych, oraz całego społeczeństwa za klęski, upadki czy tryumfy, za dolę i niedolę własną. Obrachunek z przeszłością — można spodziewać się — wypadnie pod wpływem katastrofy wrześniowej 1939 i późniejszych klęsk (powstanie warszawskie 1944), niewątpliwie surowo, poddając rewizji całą t. zw. historiografię „narodowej odpowiedzialności", reprezentowanej przez Askenazego, Balzera, J. Siemieńskiego, L. Ehrlicha, wzmagając pierwiastki krytyczne w poglądzie na całość naszej spuścizny dziejowej.

Pesymizm historyczny, czyli właściwiej mówiąc krytyczny pogląd na dzieje narodowe nie wygasł właściwie nigdy. W okresie największych tryumfów kierunku optymistycznego, przeczącego odpowiedzialności własnej za upadek państwa w w. XVIII, składający winę wyłącznie na zaborczość sąsiadów, odzywały się raz po raz głosy ostrzegawcze przeciw niemu; umiejętnie rozkładał cienie i światła na całość dziejów narodowych Wł. Konopczyński, kruszył

kopię z reprezentowaną przez Balzera ideologią ustrojową St. Zakrzewski, uwydatniał średniowieczne i przestarzałe cechy naszej struktury prawno-publicznej St. Estreicher. Nowy atak na optymizm przypuściła tuż przed wybuchem wojny młodsza generacja historyków: K. Zakrzewski, O. Górka, wysuwający za M. Bobrzyńskim koncepcję „historiografii odpowiedzialności ludzi kierowniczych i wykonawczych, oraz całego narodu za swe losy, za swą sytuację".

Istotnie, jeśli — jak słusznie przytoczono wyżej „dziejopisarstwo narodowe ma na celu budowanie silnej i zdrowej świadomości narodowo-państwowej swojego narodu" — nie może zrzucić z siebie obowiązku rozpatrzenia sumy win własnych, upajać i usypiać społeczeństwa haszyszem łatwych frazesów o wielkości i szlachetności charakteru narodowego i posłannictwa dziejowego. Musi uwydatnić destrukcyjne i anarchistyczne czynniki charakteru narodowego, przerost indywidualizmu, egoizmu, brak większej odporności, zająć się oceną ideologii insurekcyjnej, jej nieobliczalnych skutków w życiu zbiorowym narodu zarazem silniejszą uwagę na wartość i znaczenie pewnych, niezawsze docenianych procesów dziejowych: osiągnięć pracy organicznej, podniesienia ekonomicznego kraju, wzmożenia oświaty, jako czynników ważkich w utrwaleniu zrębów bytu narodowego.

Ażeby historiografia mogła należycie wypełnić swe funkcje społeczne pamiętać wreszcie winna o zadośćuczynieniu jeszcze jednemu postulatowi: łączyć z przenikliwością krytyczną, powagą i mądrością treści, dbałość o artyzm i piękno zewnętrznej formy. Panujący pod wpływem nauki niemieckiej kierunek erudycyjny, przeciążanie wykładu nadmiarem szczegółów — dłuży.

Celem formalnym historii jest dać złudzenia samego życia. Osiągnąć je można ekspresją słowa, ożywionym i plastycznym przedstawieniem treści, jasnością i prostotą, umiejętnością malowania charakterów osób działających. Tylko taki historyk odpowie swemu zadaniu i istotnemu powołaniu: zbliży wiedzę historyczną do społeczeństwa.

Paulina Czernicka

Art. wymaga dużej dozy krytycyzmu znajomości źródeł (Smoter)

CHOPIN I POECI

Chopin i Mickiewicz

Rok 1840... W Paryżu w Klubie emigracji polskiej słyszało się wciąż dwa nazwiska: Chopina i Mickiewicza.

Chopin już od dziewięciu laty mieszkał w Paryżu, sławny modny, podziwiany, ozdoba salonów i jedna z gwiazd najświetniejszych na horyzoncie muzycznym.

Mickiewicz przybył w 1840 roku do Paryża z Lozanny zaproszony przez rząd francuski na profesora literatur słowiańskich w paryskim Collège de France.

Zaczęły się przyjęcia na cześć Wieszcza — Adama u przyjaciół — rodaków i w klubie.

Chopin z Mickiewiczem tam się spotykali, a także na rue d'Amsterdam u Mickiewicza i na ulicy Pigalle, gdzie mieszkał Chopin z panią Sand. Chopin musiał gorzko żałować, że mu słabe jego zdrowie nie pozwoliło wziąć udziału w wieczorze urządzonym na cześć Mickiewicza 25 grudnia 1840 r.

Bowiem ten wieczór został uświetniony improwizacjami Mickiewicza i Słowackiego.

Wspólni przyjaciele Chopina i pani Sand, którzy udział w tym wieczorze wzięli, opowiadali im cuda o improwizacji Mickiewicza.

Oto co o tym pisze pani Sand w swoim „Dzienniku Piffoëla,, — (1840 rok).

„Mickiewicz zaimprowizował wierszem mowę, która sprawiła ogromne wrażenie. Nikt nie może dokładnie oddać tego, co zaszło.

Każdy z obecnych wspomina o tym rozmaicie, — jedni twierdzą, że mówił tylko 5 minut, inni że godzinę. Jednak jest niewątpliwe, że powiedział rzeczy tak piękne i wspaniałe, że wszyscy jakby postradali zmysły.

Słychać było tylko krzyki i szlochania; z wieloma osobami zaszły nerwowe przypadłości, wielu nie mogło zasnąć przez całą noc.

Sam Mickiewicz nie może sobie przypomnieć ani słowa ze swej improwizacji, zaś jego przyjaciele mówią, że raczej jest

przelękniony aniżeli zadowolony z wrażenia, jakie na nich sprąwił.

Przyznaje się też, że w nim zaszło coś tajemniczego, nadspodziewanego, że będąc na początku mowy spokojnym, uczuł się nagle uniesionym wysoko wskutek entuzjazmu.

Jeden z przyjaciół, który go widział nazajutrz, zastał go w stanie przygnębienia, jak po silnym ataku. Wszyscy są przekonani, że w tym wielkim człowieku kryje się coś nadnaturalnego, że jest natchniony, jak prorok i ta ich wiara jest tak wielka, że gotowi są uznać go nawet za Boga".

Takie jest echo słynnej improwizacji Mickiewicza.

Chopin czcią i uwielbieniem Mickiewicza otaczał. Pani Sand, która na Polaków oczyma Fryderyka patrzyła, pisała z wielkim entuzjazmem o dziełach Mickiewicza, starała się, — choć bezskutecznie, — o wprowadzenie na scenę „Konfederatów Barskich" i jak mogła tak głosiła wielkość i sławę wieszcza-Adama.

Bywała też pani Sand wraz z Chopinem na wykładach Mickiewicza w Collège de France.

Dumesnil w listach swoich do rodziny pisze 7 stycznia 1841 r.:

„Bywam na wykładach Mickiewicza razem z panią Sand. Przychodzi ona ze sławnym fortepianistą Chopinem".

I oto jeszcze jedno ciekawe zdanie pani Sand o Mickiewiczu:

„Mickiewicz jest jedynym wielkim ekstatykiem jakiego znam. On, moim zdaniem, cierpi na tę duchową epilepsję, która go czyni podobnym wielu znakomitym ascetom, jak Jezus Chrystus, Święty Jan, Sokrates, Dante i Joanna d' Arc".

Mickiewicz bywał upragnionym gościem w wspólnym salonie Chopina i pani Sand. I oto znowu muszę sięgnąć do pamiętnika pani Aurory; aby wizytę Mickiewicza opisać:

„Chopin gra — rozlega się pieśń cudna. Wtem daje się słyszeć głos dzwonka w przedpokoju. Chopin wzdryga się i przestaje grać.

Krzyczę do lokaja, że dla nikogo nie ma mnie w domu. „Nie — mówi Chopin — dla niego jesteś Pani w domu. „Kto to?"

„Mickiewicz!"

„O czyż to koniecznie on? Skąd pan wie, że to właśnie on? Nie wiem diaczego, lecz jestem całkiem pewny: myślałem o nim". —

Był to istotnie Mickiewicz. Przyjaźnie ściska nam wszystkim dłonie i co rychlej siada w kąciku, prosząc Chopina aby grał dalej.

Chopin gra znowu z boskim natchnieniem. Lecz oto wbiega mały sługa przestraszony, w domu pożar! Biegniemy, aby zobaczyć. W rzeczy samej zapaliło się w mojej sypialni, lecz zdążyliśmy ogień zagasić. Straciliśmy na to blizko godzinę i wtedy pytamy:

A gdzież Mickiewicz? Powracamy do salonu, lecz go tam nie ma.

Ależ nie, jest tutaj w tym samym kąciku, gdzieśmy go zostawili. Lampa zgasła — nie zauważył tego. Hałasowaliśmy i krzątaliśmy się o dwa kroki od niego, — nie słyszał.

Nie spostrzegł nawet, żeśmy go zostawili samego. Słuchał Chopina . . . i wciąż jeszcze słuchał.

Innego możnaby posądzić o affektację, lecz ten wielki poeta, z natury skromny i cichy, jest naiwny jak dziecko.

Widząc, że się śmieję, pyta mnie co mi jest?

Odpowiadam, że nic mi nie jest.

Ale gdy jeszcze raz zdarzy się pożar w domu, to pana nasamprzód odprowadzę do bezpiecznego miejsca, bo inaczej gotów się pan spalić, jak zwykła drzazga, nawet się tego nie domyślając".

„Istotnie — mówi — Mickiewicz — nawet nic nie spostrzegłem!"

„I wychodzi nie rzekłszy ani słowa." —

Przykre zdziwienie nas ogarnia, gdy się dowiadujemy, co myślał o Chopinie Mickiewicz.

Pani Juste Olivier, zapisuje w swoim pamiętniku pogląd Mickiewicza:

„Chopin jest złym duchem pani Sand, jej moralnym wampirem, jej krzyżem, dręczy ją i może zamęczy ją w końcu.

Jest to człowiek rozumny, utalentowany, ale nie serdeczny.

Zdaje się, że to jest echo opinii, jaką starała się Chopinowi wyrobić pani Sand.

Ta opinia Chopina — jako wampira — ostatecznie się skrystalizowała w powieści pani Sand „Lukrezia Floriani".

Co sądził Chopin o Mickiewiczu, — nie wiemy — czy szczerym było okazywane uwielbienie? — gdyż Chopin nie zawsze to czuł, co okazywał.

Zlekka kpił Chopin z towianizmu Mickiewicza i tak do Fontany z Nohant w 1841 roku pisał:

„Czy jeszcze wracamy do kraju? Czy już zupełnie powariowali? O Mickiewicza ani Sobańskiego się nie lękam, to tęgie głowy i mogą jeszcze kilka emigracji przetrwać, nie potracić rozumu ani energii".

W następnym zaś liście pisze:

„Mickiewicz źle skończy, jeżeli z was nie kpi".

A teraz podam parę urywków nieznanych listów Chopina do Delfiny Potockiej.

„Polak na długość bata musi być odsunięty, inaczej, jak się spaniebraci, by największego człowieka zlekceważy i jak świnia potyra i zdepcze. Już się z Mickiewiczem spoufalili, a teraz gdy on zderutowany, to jedni się odwrócili, drudzy do gardła mu skaczą.

A przecie to ten sam wielki Mickiewicz, ale oni za mali, by stojąc blisko, jego wielkość widzieć.

Nie staram się tłumaczyć, bo nie zrozumieją". (Po 1840 roku).

A w innym liście do ukochanej Findelki — tak Fryderyk wizytę Mickiewicza opisuje:

„Znowu Mickiewicza widuję — onegdaj był u mnie. Zmienił się bardzo, tak sponurzał, że go ani piosenkami, ani Filonem — jak to dawniej — rozruszać nie mogę.

Przyjdzie i wyjdzie słowa nie powiedziawszy. Tyle, że wiem poco przychodzi i zaraz grać siadam, każąc wszystkich od drzwi odprawiać, że to niby mam lekcje, bo towarzystwa nie lubi.

Ostatnio bardzo długo mu grałem, bojąc się na niego oglądnąć, a słyszałem, że płacze. A potem, jak wychodził, sam pomagałem mu się ubrać, bom nie chciał by go lokaj zapłakanego widział.

Mickiewicz za głowę mię ścisnął najczulej, a w czoło mocno pocałował, pierwsze tego wieczora wymówiwszy słowa: Bóg Ci zapłać! Przeniosłeś mię ..., nie dokończył, bo łzy go znowu za gardło ścisnęły. I tak się pasując z tym płaczem, wyszedł". (Po 1840 roku).

Dziwna jest doprawdy ta skłonność do płaczu w epoce romantyzmu. Mężczyźni zalewają się łzami, jak dzieci, lub jak histeryczki.

Wspomnień o łzach pełno w wydanych i niewydanych listach Chopina.

Fryderyk płacze, gdy go śpiew lub muzyka wzruszą.

Według zeznań własnych i świadectwa pani Sand — zalewa się łzami, gdy mu opornie praca twórcza idzie.

Mickiewicz — według opowiadań współczesnych — ryczał i szlochał na cały kościół — podczas swej słynnej spowiedzi...

I oto jeszcze jedno opowiadanie o dwóch wieszczach.

O jednej z wizyt Chopina u Mickiewicza, gdy Fryderyk

wrócił w 1849 roku z Anglii „bardzo schorzały" opowiadał Władysławowi Mickiewiczowi A. Dessus:

„Przyszedłszy odwiedzić ojca pańskiego zastałem w salonie Chopina".

Ojciec pański przedstawił mię a Chopin ukłonił mi się zlekka, suchym, ledwie dającym się spostrzec ukłonem.

Miał on wzięcie i wymuszoną grzeczność wyższego towarzystwa.

Na prośbę matki pańskiej siadł niebawem do fortepianu i grał z wielkim uczuciem. Gdy skończył, ojciec pański przegarnął ręką włosy, westchnął głęboko, i jął go karcić z taką żywością, że sam nie wiedziałem co mam robić.

„Jakto — mówił głosem podniesionym — zamiast rozwijać w sobie ten dar poruszania dusz, ty paradujesz na Faubourg Saint-Germain!

Mógłbyś porywać tłumy, a zadajesz sobie trud łaskotania nerwów arystokratycznych".

„Im więcej się Mickiewicz unosił, tembardziej Chopin tulił się i kurczył, nie wydając głosu. Wreszcie Mickiewicz zamilkł, a Chopin rozpoczął nieśmiało grać ludowe pieśni.

Czoło ojca pańskiego rozpogodziło się zwolna, a gdy Chopin powstał od fortepianu, zaczęli rozmawiać ze sobą, jak gdyby nic nie zaszło było pomiędzy nimi".

Zapewne to już ostatni raz grał wówczas Chopin Mickiewiczowi . . .

Tyle nam historia mówi o stosunku dwóch naszych wieszczów-wodzów duchowych — największych. —

Słowacki i Chopin

Słowacki i Chopin . . . Dwa duchy bratnie, dwie pokrewne organizacje psychiczne, nastrój ich dzieł z jednego, zdaje się wypływać źródła.

Twórczość ich, — to dwa potężne filary świątyni romantyzmu.

W życiu — to dwie słabe, nieporadne istoty, ofiary swego przeczulenia, nadmiernej wrażliwości nerwowej, kapryśnie kołysane na falach zmiennych nastrojów.

Obaj — typowi schizotymicy.

Gdy patrzymy na piękne, rasowe profile Chopina i Słowackiego, — możemy zauważyć, że w ich rysach jest sporo podobieństwa.

W jednym z listów do matki Słowacki pisze:

„Słyszałem, że Marynia Wodzińska zamąż za Chopina idzie,

może dlatego, że Chopin — jest, jak powiadają, — podobny do mnie, jak dwie krople wody".

Dziwne jest również podobieństwo ich losów...

Obaj kochają się w jednej kobiecie. Maria Wodzińska kolejno usidla ich serca —przedtem Słowackiego, potem Chopina.

Gruźlica w jednym roku kolejno ich zabija; — przedtem Słowackiego, potem Chopina ...

Zygmunt Krasiński tak charakteryzuje Słowackiego:

„Ty kapryśny, ty masz wszystkie kobiece wady, z tobą obchodzić się trzeba, jak z morzem, jak z elektrycznością, zważać objawienia ich i dziwić się im jak silne, ty jak ślepa siła natury, jak kobieta, awanturniczy wyobraźnią, intuicjonista, — nam wszystkim i sam sobie — sfinks".

Jakże podobnie brzmią zdania współczesnych o Chopinie:

„Dusza jego czuła i wrażliwa na każde piękno, na każdy powab, — ulegała wrażeniom z niesłychaną łatwością i powolnością.

Kapryśny, jak najbardziej rozpieszczona kobieta, kierował się tylko sterem nadmiernie wybujałej wyobraźni, nie widząc nigdy niczego w rzeczywistym świetle."

„Współżycie z Chopinem może być porównane do jazdy po burzliwym morzu. Nikt go nie rozumie, — a on sam siebie — najmniej."

Gdzie się poznali Chopin i Słowacki — nie wiemy.

Prawdopodobnie jednak pierwszy raz dopiero się we Francji zetknęli.

W Paryżu musieli się spotykać w Klubie Polskim, w kołach emigrantów i w salonach czarodziejki-syreny Delfiny Potockiej

Jeżeli prawdziwą jest wersja, że Słowacki był jakiś czas w Delfinie Potockiej „mocno zakochany" — to byłaby już druga „wspólna" miłość w życiu Fryderyka i Juliusza ...

*

Gdy patrzymy na Chopina i Słowackiego przez pryzmat ich korespondencji, — musimy ich umieścić na dwóch przeciwległych biegunach.

Słowacki pisał listy poetyczne, jakby odrazu z myślą o druku, listy dziełom jego pokrewne. Wyjątkowo rzadko znajdujemy w listach Słowackiego ton dysonujący z jego twórczością.

Z Chopinem — całkiem inna sprawa.

W dziełach swoich jest Chopin poetą, piewcą uczucia we wszystkich barwach i odcieniach, z dużą przewagą uczuć mino-

rowych. Chopin, w swoich pełnych prostoty, bezpretensjonalnych listach, — to trzeźwy realista, świetny, pełen humoru obserwator, bystro i przenikliwie oceniający życie i bliźnich.

Nie można znaleźć w listach — dotąd wydanych — wyraźnych nici, któreby je połączyły z życiem twórczym Chopina. Musimy nazwać Chopina człowiekiem w masce i podziwiać, że potrafił w niej całe życie chodzić.

Dwa razy tylko w życiu Chopin zrzucił maskę.

Pierwszy raz — pisząc rozpaczliwy Dziennik Sztuttgartski, na wieść o upadku Warszawy, dziennik, którego ciąg dalszy w Etiudach C-moll i w Preludium D-moll mamy . . .

Drugi raz zrzuca maskę i staje przed nami Chopin w swej ludzkiej postaci — w listach swoich do Delfiny Potockiej . . .

*

Stosunek Słowackiego i Chopina sprawia nam zawód i rozczarowanie. Zamiast spodziewanej przyjaźni, duchowego braterstwa — niechęć niemal z nienawiścią granicząca.

W niewydanych listach Chopina do Delfiny Potockiej znajdujemy o Słowackim parę wzmianek, utrzymanych w typowo chopinowskim, sarkastycznym tonie.

Oto fragment listu:

„Z książek — Mickiewicza, Krasińskiego i Witwickiego ci posyłam — godny bukiet — jest się czem delektować.

Słowackiego nowych banialuk nie załączam, bo szkoda czas i oczy na takie androny utracać". (1836) r.).

W innym liście tak znowuż do Delfiny pisze:

„Mówiono mi, że Słowacki mię pawiem nazywa i gdzie może, tam szkaluje. Nigdy mu żadnego gburstwa nie zrobiłem, trzymając się zawsze zdaleka — nie rozumiem czego ten cymbał chce ode mnie? Może się też w Tobie kocha?" (Po 1840 r.).

I jeszcze raz z ukochaną Findelką dzieli się Frycek swoją opinią o Słowackim:

„Słowacki, cudze Pegazy za ogon chwytając, chce się na Parnas wpakować. To za Mickiewiczem powtarza, to naśladuje Byrona, oryginalności za grosz nie mając.

A niema nikogo, ktoby zimnej wody na głowę nalał, powiedziawszy, że na ogonach imitacji wysoko i daleko nie zajedzie.

„Poezje, któremi nas Słowacki obdarza, — na prezenty z pod Pegazowego ogona wyglądają. Spal cudze piórka w jego bazgrałach, a nic Ci prócz głupich achów nie zostanie." . . . (Po 1840 r.).

Teraz sięgnę aż do pamiętnika pani Sand, kochanki i przy-

jaciółki Chopina, aby jeszcze jedno echo sądu Chopina o Słowackim przytoczyć:

W 1840 roku, w swoim „Dzienniku Piffoëla" zapisuje Pani Sand pogłoski, które ją doszły o słynnym wieczorze w Klubie Polskim.

Oto co Pani Sand pisze:

„Na jednym ze zgromadzeń emigrantów polskich, Słowacki — mierny i zazdrosny poeta, — deklamował swój wiersz zwrócony do Mickiewicza, w którym obok oddawanych mu pochwał, użalał się ze szczerym, lecz niewłaściwym rozgoryczeniem na pierwszeństwo tego poety.

Był to zarazem hołd i zarzut.

Mickiewicz, obojętny na hołd i naganę, zaimprowizował odpowiedź która sprawiła olbrzymie wrażenie.

Improwizował, — jak mi opowiadano — na następujący temat. Skarżysz się, że nie jesteś wielkim poetą, sam sobie winien jesteś, nikt poetą być nie może, jeśli w nim nie ma miłości i wiary."

Mierny i zazdrosny poeta, — oto echo sądu Chopina o Słowackim.

Tak to swą żółć obficie muzyk na poetę wylewał . . .

*

A teraz do listów Słowackiego sięgnijmy, — aby się przekonać, że Juliusz Fryderykowi oddaje pięknym za nadobne . . .

Oto z jednego listu do matki wyjątek:

„Jest w zwyczaju u Anglików, zwłaszcza w klasie piwowarów i ludzi grubych, krwistych organizacji, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energię.

Dla tych ludzi Bóg dawno stworzył emetyk, a teraz przysłał lepsze lekarstwo, to jest denerwującą muzykę Chopina.

Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało utrzymuje codzienne zwycięstwo, — radź jej jedną, albo drugą kurację.

Lecz lękaj się ich obu dla ludzi wywiędłych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzucą, a po koncercie Chopina część duszy własnej utracą.

I ty, droga moja, czuła, dobra, litościwa, miłująca — siadłaś pisać do mnie, wypłakawszy się próżno, więc grzesznie, wypłakawszy się dlatego, że Cię dysonansami i semitonami Polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach.

Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już, nie sercem, czujecie. Lubicie, co wam nerwy rozczula, a wstręt macie do zdrowych pokarmów.

Widziałaś-że Ty, aby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkim, przez Chopina muzykę sprawionym, stał się lepszym, piękniejszym, litośniejszym, — wyrósł na bohatera?"

A oto inny fragment listu do matki.

„Pomyśl, Ty droga, gdybym napisał „Indianie" (powieść pani Sand — przyp. aut.) jej wspaniałym stylem i tę kobietę, dwa razy oplamioną, dwa razy niewierną, biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał Twoim imieniem? A to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinowską dysonansową, kwaśno-melancholiczną potęgą, sztuką drażnienia nerwów, i błyskotnością kolorów — posłał Tobie?

Rzekłabyś, że cud cudów!

Jest więc jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, który je zamienia w anielskie".

A jednak, pomimo tak nieprzychylnej oceny, dzieła Chopina pociągały Słowackiego. W jednym z listów utyskuje, że brak sprawności technicznej, nie pozwala mu grać chopinowskiej Ballady G-mol, „piekielnie trudnej".

Nazywając szybkie pasaże w utworach Chopina „sypaniem grochu" Słowacki dodaje.

„Ci, co sypanie grochu lubią, nic w mojej amatorskiej muzyce nie uwielbią".

I oto ostatni urywek listu, w którym Słowacki mówi o dziele Chopina:

„Raz na wieczorze u Potockich, kiedy księżna była w drugiej sali, doszła ją Fantazja Chopina, grana z melancholią na fortepianie, i zgrabnie ucięta w tym miejscu, gdzie trudniejszy pasaż, odkryłby spod skóry wołowej, moje oślątka uszy".

Kto wie, czy nie byłoby inne zdanie Słowackiego, gdyby zdołał grać arcydzieła Chopina, których polskość chyba musiała odczuwać.

Pełen niechęci pogląd Słowackiego na dzieła Chopina robi wrażenie poglądu lisa na niedostępne winogrona.

A może to sława Chopina go rozgoryczała, tak bardzo o rozgłos o sławę był zazdrosnym?

Któż to dziś o tym wiedzieć może?

A Chopin, ten Chopin, czerpiący swe natchnienia z Ballad Mickiewicza i Heinego — jakże bogate źródło mógł znaleźć w tak bliskich mu duchem melodyjnych Słowackiego strofach.

I tak Ci dwaj genialni twórcy, których dzieła dopełniają się wzajemnie, nie mogli nigdy się zrozumieć.

Odwieczną jest prawdą, że tylko kontrasty się przyciągają oni zawsze odpychali się wzajemnie, gdyż byli zbyt do siebie podobni. . .

Chopin i Norwid

„Byłem u Ciebie w te dni, Fryderyku,
Którego ręka dla swej białości
Alabastrowej i wzięcia i szyku,
I chwiejnych dotknięć, jak strusiowe pióro —
Mieszała mi się w oczach z klawiaturą
Z słoniowej kości . . ."

Tak oto o Fryderyku wspomina Norwid w swoim „Fortepianie Chopina", a także rzuca garść wspomnień o nim w „Czarnych i białych kwiatach".

To — później — później — w Paryżu Fryderyk Chopin mieszkał przy ulicy Chaillot, co od Pól Elizejskich w górę idąc, w lewym rzędzie domów, na pierwszym piętrze mieszkania ma z oknami na ogrody, i Panteonu kopułę i cały Paryż . . . jedyny punkt, z którego napotykają się widoki cokolwiek zbliżone do tych, które w Rzymie napotykasz. Także też i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim — którego to mieszkania główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian jego stał, a fortepian bynajmniej wykwintny do szafy, lub komody podobny, świetnie ozdobiony jak fortepiany modne, ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech, jakiego zdaje mi się już mało kto w ozdobnym używa mieszkaniu. W tym salonie jadał też Chopin o godzinie piątej a potem zstępował jak mógł po schodach i do Bulońskiego lasku jeździł, skąd wróciwszy, wnoszono go po schodach, iż w górę sam iść nie mogł. — Tak jadałem z nim i wyjeżdżałem po wielekroć i raz do Bohdana Zaleskiego, który w Passy mieszkał, wtedy po drodze wstąpiliśmy, nie wchodząc na górę do mieszkania, bo nie było komu Chopina wnieść, ale pozostając w ogródku przed domem, gdzie maleńki jeszcze wówczas poety synek na trawniku się bawił . . .

Od zdarzenia tego ubiegło wiele czasu a ja nie zachodziłem do Chopina, wiedząc tylko zawsze jak się ma, i że siostra jego z Polski przybyła. — Nareszcie zaszedłem razu jednego i odwiedzić go chciałem — służąca francuska, powiada mi: że śpi; uciszyłem kroku, karteczkę zostawiłem i wyszedłem. — Ledwo parę zstąpiłem schodów, służąca powraca za mną mówiąc: iż Chopin dowiedziawszy się kto był, prosi mię — że jednem słowem nie spał, ale przyjmować nie chce. Wszedłem więc do pokoju, obok salonu będącego, gdzie

sypiał Chopin, bardzo wdzięczny, iż widzieć mnie chciał i zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku z nabrzmiałemi nogami, co że w pończochy i trzewiki ubrane były, odrazu poznać można było. Siostra artysty siedziała przy nim, dziwnie z profilu doń podobna ... On w cieniu głębokiego łóżka z firankami na poduszkach oparty i okręcony szalem, piękny był bardzo tak, jak zawsze, w najpowszedniejszego życia poruszeniach, mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego ... coś, co albo arystokracja ateńska za religię sobie uważać mogła była w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej — albo to, co genialny artysta dramatyczny wygrywa np. na klasycznych tragedjach francuskich, które lubo nie są do starożytnego świata przez ich teoretyczną ogładę podobne; geniusz wszelako takiej np. Racheli umie je unaturalnić, uprawdopodobnić i rzeczywiście uklasycznić ... Taką tą naturalnie apoteotyczną skończoność gestów miał Chopin, jakkolwiek i kiedykolwiek go zastałem ... owóż — przerywanym głosem dla kaszlu dławienia wyrzucać mi począł, że tak dawno go nie widziałem — potem żartował coś i prześladować mię chciał najniewinniej o mistyczne kierunki, co, że mu przyjemność robiło, dozwalałem — potem z siostrą jego mówiłem — potem, były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc żegnałem go, a on ścisnąwszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: „... wynoszę się! ..." i począł kaszlać, co ja jako mówił, usłyszawszy, a wiedząc, iż nerwom jego dobrze się robiło, silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i całując go w ramię, rzekłem, jak się mówi do osoby silnej i męstwo mającej: „... wynosisz się tak co rok ... a przecież chwała Bogu oglądamy cię przy życiu".

A Chopin na to, kończąc przerwane mu kaszlem słowa rzekł: „mówię ci, że wynoszę się z mieszkania tego na plac Vendôme" ...

To była moja ostatnia z nim rozmowa, wkrótce bowiem przeniósł się na plac Vendôme i tam umarł, ale już go więcej po onej wizycie na ulicy Chaillot nie widziałem ...[1]

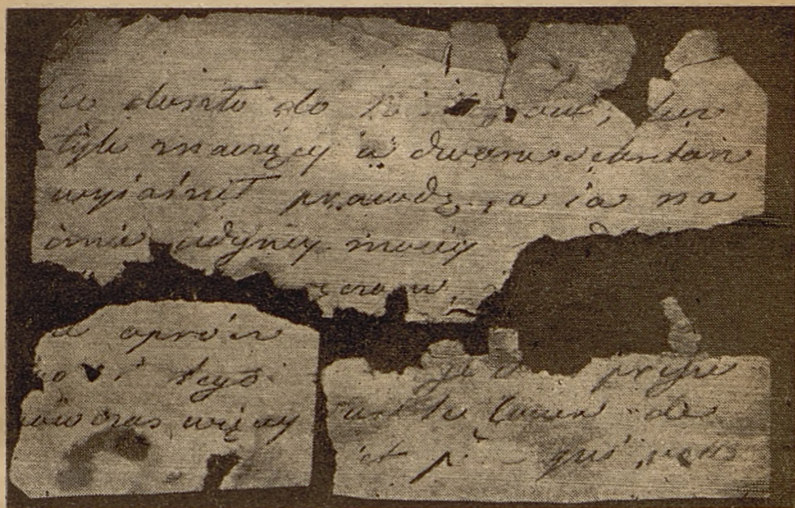
A Chopin?

Fryderyk nienawidził Słowackiego, — Mickiewicza darzył nieco urzędowym szacunkiem i uwielbieniem, jakie się należały Wieszczowi Narodu.

Najwięcej ciepła serdecznego jest w wspomnieniach Chopina o Norwidzie.

[1] Norwid C. K.: Czarne i białe kwiaty, wyd. R. Zrębowicz, Lwów 1910 r., 162—5.

Ze wzmianek o współczesnych — najwięcej wspomnień o Norwidzie jest w niewydanych listach Chopina do Delfiny Potockiej.



Fragmenty listu Chopina do Delfiny Potockiej.

Fryderyk z Cyprjanem zapewne się poznali dopiero w 1848 roku, gdy Norwid do Paryża przyjechał. Poznanie jednak mogło nastąpić i w 1846 roku, gdy Norwid z Belgii do Włoch podążając, przez Francję przejeżdżał.

Przedtem korespondowali ze sobą, — w którym to jednak było roku — nie wiemy, gdyż listy Chopina do Potockiej o Norwidzie są bez dat.

Oto ten fragment, dotyczący Norwida:

„Napewno łatwiej było tańczyć niedźwiedziom Radziwiłła, jak mnie do Norwida pisywać. Sam piszę, jak wiesz, prosto z mostu i jego proszę, aby mi, o co mu chodzi, łopatą do łba wkładał. Ale to urodzony myśliciel, co wszystko tak w sosie filozofji topi, że ani pojąć o co chodzi. Tak rzecz najzwykiejszą zapiącze, że mózg Ci o łba ściany, jak ptak w klatce się tłucze, a wszystko na nic, bo zrozumienie za trudne.

Niech ręka boska broni, jeżeli on tak mówi, jak pisze, bo i któż się z nim o co dogadać zdoła? To już trzeci filozof, co się w naszych czasach w polskim Narodzie objawił, cieszę

się tem, zamiast się turbować, że nie z moją mózgownicą filozofów rozumieć.

W ostatnim liście Norwida jedna mię myśl uderzyła, gdy on najlepiej o kobietach pisząc, — powiada, — że kobieta mając umysł od męskiego słabszy, nigdy nic godnego uwagi w filozofji, matematyce i muzyce nie stworzy.

Zaraz o Tobie i dziełach Twoich muzycznych pomyślałem, że Ty, z kobiet najpiękniejsza, masz jednak głowę zgoła męską, tyle talentu a zdatności w dziełach swoich muzycznych pokazując."

A potem, — gdy się poznali — połączyła Fryderyka z Cyprjanem przyjaźń serdeczna.

Chopin, — goniący resztkami sił, — najchętniej grywał Norwidowi, który go, według wyrażenia Chopina „tak, jak mało kto rozumiał".

Norwid narysował piórkiem szereg szkiców przedstawiających Chopina przy fortepianie i Fryderyk te szkice „podobniuteńkie" posłał w liście ukochanej Delfinie.

Niestety te skarby zginęły.

A oto wspomnienie z wizyty Norwida u Chopina:

„Ale! Dwie interesujące wizyty opowiem. Wczoraj de Custine mię odwiedził. Poczciwy! Jego zaciekawia nasza muzyka narodowa. Moją muzykę to już zna i prosił mię, żebym dziś grał mu dzieła conajwiększych twórców polskich.

Grałem mu, com znał i umiał.

Gdym skończył, to on mi na to, że w dziełach wszystkich tamtych twórców nie dostrzega tego, że to są narodowe polskie dzieła.

Ekskuzował się bardzo, że on jako cudzoziemiec mylić się może, ale tamte dzieła są takie, jakie i Francuz i Anglik mogłby stworzyć.

A o moich kompozycjach powiedział, ze są wcale inne, niż dzieła Francuzów, Niemców i Anglików. I mówił, że ode mnie polska muzyka się zaczyna i inne takie wielkie komplimenta.

A jam mu na to oponował i brałem tamtych twórców w obronę.

Dzwonek zabrzęczał — wchodzi Norwid i zaraz pyta o czem dyskusją prowadzimy.

Gdy się dowiedział, zaczął Custinowi w unisono basować, że jestem pierwszym narodowym twórcą, że ode mnie się muzyka polska rozpoczyna, że dotąd masza muzyka to była, jak taniec kulawego etc.

I zaczęli mię tak duetowo chwalić, żem aż uciekł grać do salonu, dokąd i oni zaraz przeszli.

To grałem, to gadaliśmy i tak nam najmilej noc zeszła, dopiero nas świt rozpędził.

Norwid mię lepiej od Mickiewicza rozumie, bo kiedy Mickiewicz mnie do napisania opery narodowej popychał — Norwid, znając granice moje, nigdy się z czemsiś takim do mnie nie odezwał."

Przypuszczalna data tego listu 1846—1848 rok.

W jednym z listów do Potockiej, pisząc o muzyce notuje Chopin pogląd Norwida na muzykę narodową:

„Trudno uwierzyć mi, żeby narodowość w muzyce i poezji ludzie dobrze zrozumieli i mocno pokochali tak prędko.

Zdaje mi się, że to moda, której salony ton dają i która się zmieni, tak, jak się wszystko lekko w salonach odmienia.

Co się wówczas ze sztuką opartą na narodowości stanie?

Czy może zginąć to, co na duchu narodowym oparte? Cudzoziemcom, co za modą gonią, może się obca narodowość znudzić i ci się od tej sztuki odwrócą, ale czy dla nowej mody naród własny swoją sztukę na duchu swym opartą odepchnie? Norwid mówi, że przetrwa tylko sztuka na narodowości oparta, bo tylko te podstawy trwałe.

Zobaczymy, a raczej to wnuki nasze zobaczą" (1848—49 r.).

W innym liście tak Chopin pisze:

„Całą moją muzykę przedśpiewem Norwid nazwał w rozmowie.

Przyznam Ci się, żem z przykrością tego wysłuchał, nie pokazując po sobie.

Wiem, jak bardzo wysoko on o mojej sztuce trzyma, to też mię to zdziwiło, bo to było tak, jakby on wszystko moje za małe preludjum uważał i czekał, aż ktoś inszy przyjdzie i większą muzykę napisze.

Czy Symfonia ma być tylko dlatego lepsza, że jest wielka?

Możem go jednak nie zrozumiał, z jego filozofią nie pójdziesz w tory i, może ja za głupi, żeby do fundamentu jego myśli się dokopać" (1848—49 r.).

Chopinografów zdziwi ten fragment i odkryją nową barwę we Fryderyku-kameleonie, nową twarz w tym człowieku o stu twarzach.

Chopin dumny, drażliwy i obraźliwy — zwłaszcza, gdy chodziło o jego Sztukę — pokornie i w milczeniu wysłuchuje zdania Norwida, które — zdaje mu się, — że jego Sztukę po-

mniejsza i, nie żywiąc o to żalu do Norwida, chętnie sobie przypisuje niezrozumienie.

I znowuż o ciekawej rozmowie z Norwidem Fryderyk ukochanej Findelce donosi:

„Norwid znów był u mnie, kocham go i bardzo szanuję, to jeden z prawdziwych artystów i mój człowiek.

Grałem mu i gadaliśmy długo.

Między innymi dowodził mi gorąco, że tak, jak człowiek to i naród nigdy się nie zmienia, zawsze ma te same wady i zalety.

Mówił, że Niemcy — Krzyżacy tak samo chytrzy, podli i okrutni byli, jak Niemcy dzisiaj.

A i my swoich zalet i wad nie stracimy, — warcholstwo, brak zgody, prywata, — co nas w niewolę strąciły, jeśli się cudem dźwigniemy, gotowe strącić znowu.

Słuchałem go, jak ponurego proroka i słuszność mu przyznać musiałem.

Pociechy szukałem w naszem polskiem: „Lepiej kiedyś będzie"... i jego tem pocieszyć starałem.

Potem „Jeszcze Polska... zagrałem i popłakaliśmy się obaj" (1848—49 r.).

I o jeszcze jednej wizycie Cyprjana — może ostatniej — Fryderyk pisze:

„Wiesz, żem polityk sprawny i z ludźmi obchodzić się umiem, ale i mnie się zdarza czasem głupstwo strzelić, którego potem odżałować nie mogę.

Taki miałem przykry wypadek z Norwidem.

Już dawno temu przyszedł kiedyś do mnie i grałem mu, tak jak zawsze.

Widziałem, że rękawa jego lichego, płóciennego spencerka mocno postrzępione, powiedziałem, że mu go moja konsjerżka naprawi i spencerek do p. Etienne zaniosłem.

Norwid siedział moim ciepłym szlafrokiem okryty.

Spencer naprawiony sam od p. Etienne wziąłem, aby w sekrecie trochę grosza do kieszeni włożyć.

Norwid nic nie spenetrował i ubrawszy się wyszedł.

A teraz bardzo długo nie przychodzi, myślę, że się za te pieniądze obraził.

Od innych brał pożyczki i sam o nie prosił, wiem o tem, a mnie nigdy ani o grosz nie poprosił i nie było między nami w życiu o pieniądzach mowy.

Może chciał, żeby ze mną tylko Sztuka go łączyła? Wogóle

trudno go zrozumieć, to taki dziwny człowiek, ale dziś widzę, że i postępować trzeba było z nim ekscepcjonalnie.

Nie mogę tego odżałować i, że to z serca było wytłomaczyć. Jak o tem pomyślę — to zaraz jestem rozigranych nerwów i niczem się ukonsolować nie mogę...'' (1848—49 r.).

Tyle w niewydanych listach Chopina o Norwidzie.

Norwid — jako malarz — zachwycał się fizyczną pięknością Chopina — jako myśliciel niezwykle głęboko i wnikliwie odczuł charakter Sztuki Chopina i jej posłannictwo...

Samotnik, dziwak, przykry w stosunku do wszystkich niemal rodaków — emigrantów — Norwid darzy Chopina zawsze uwielbieniem i przyjaźnią.

Piękny jest nekrolog, który Norwid Chopinowi napisał — ponieważ mało znany, więc go tu przytaczam:

„Rodem Warszawianin, sercem Polak, a talentem świata obywatel, Fryderyk Chopin, zeszedł z tego świata.

Umiał on najtrudniejsze sztuki zadane rozwiązywać z tajemniczą biegłością, umiał bowiem zbierać kwiaty polne, rosy z nich ani puchu nie otrząsając najlżejszego.

I umiał je w gwiażdy, w meteory, że nie powiem w komety, całej świecące Europie, ideału sztuką przepromieniać.

Przezeń Ludu polskiego porozrzucane łzy po polach, w diademie ludzkości się zebrały na diament piękna, kryształami harmonii osobliwej.

To jest, co największego sztukmistrz może uczynić, i to uczynił Fryderyk Chopin.

Cały prawie żywot (bo część główną) poza krajem spędził — dla kraju.

To jest, co największego dopiąć może wychodziec, i tego Fryderyk Chopin dopiął.

Wszędzie jest, bo w Ojczyzny duchu mądrze przestawał i w Ojczyźnie spoczął, bo jest wszędzie.

Kochanowski w Sobótkach pierwszy ludu poezje uczonemu światu uwidocznił — w muzyce Chopin toż uczynił''. (1848 do 1849 r.).

Fermatą niech będzie z „Promethidiona'' urywek, najmędrszy i najgłębszy sąd o Sztuce Chopina:

„Podnoszenie Ludowych natchnień do potęgi przenikającej i ogarniającej Ludzkość całą — podnoszenie Ludowego do Ludzkości, nie przez stosowanie zewnętrzne i koncesje formalne, ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości ... oto jest, co wysłuchać daje się z Muzy Fryderyka, jako zaśpiew na Sztukę narodową ...''

ZAGADNIENIE MORALNOŚCI AUTOTELICZNEJ

I.

Ani ja się nie łudzę, ani czytelnik nie oczekuje, bym w niniejszym artykule mógł tak przedstawić swój punkt widzenia, żeby nie miał on posmaku żadnej dowolności, żadnej dogmatyczności. Autor jest w trudnym położeniu: posiada pogląd, rzetelnie przemyślany w dalekich konsekwencjach; ale wie, że takie stwierdzenie jest bez znaczenia dla czytelnika i że trzeba by wiele setek stronic, by je należycie uzasadnić.[1] Cóż mi pozostaje? Chyba tylko — w kilku przedwstępnych uwagach zaznaczyć przynajmniej najogólniejsze linie myślowe.

1. Aby definicja miała znaczenie, przynajmniej jeden termin musi być uważany za pewny i znany już przed tą definicją. Przypuśćmy, że znam Jana, a nie znam Pawła. Wówczas definicja, że Jan jest synem Pawła, nie ma dla mnie wartości, nie wzbogaca mojej wiedzy o Janie. Natomiast definicja, że Paweł jest ojcem Jana, ma dla mnie wartość, bo już zaczyna mi w pewnym stopniu określać Pawła. Również mają dla mnie wartość definicje: Piotr = brat Jana, August = stryj Jana itd., gdyż wszystkie odnoszą nieznane mi rzeczy do rzeczy znanej. — Gdyby rozum potrafił znaleźć taką ideę, rzeczywistość, prazasadę, do której mógłby odnosić w s z y s t k o, mielibyśmy ABSOLUT.

2. Czy mój umysł działa tylko samoistnie, czy także pod wpływem bodźców z zewnątrz, to sprawa sporna. Np. w śnie, jeszcze bardziej w halucynacji, za obiektywne biorę twory subiektywne. Natomiast nie jest sporne, że w ogóle urabiam sobie jakiś obraz świata i siebie. Oto twórczość umysłu. Gdyby umysł był zdolny nadać tym swoim wyobrażeniom trwałość nieprzemijającą, byłoby to istne stwarzanie rzeczywistości. Oto jest stwórczość rozumu — to, co religia i dawniejsza filozofia zwą Logos, Słowo.

3. Żaden byt nie może się rozrość, powiększyć, bez dodatków z zewnątrz. Ziarno nie wyrośnie bez słońca, powietrza, ziemi; organizm się nie powiększy bez pokarmu itd. Natomiast wiedza jest tym jedynym, co się rozrasta bez dodatków zzewnątrz. Najpierw nie wiem o jakiejś rzeczy nic, potem mogę o niej wiedzieć wszystko. Wiedza

[1] Uczyniłem to w obszernym, jeszcze nie wydanym dziele.

moja rozrosła się samorodnie, autogenicznie. To, że ktoś mnie uczy, mówi do mnie — nie zmienia postaci rzeczy. Nikt nie mógł „wsypać" swojej wiedzy do mojej, niby mąkę do torby. Umieć matematykę — znaczy to samoistnie odtworzyć ją dla siebie. Tę władzę, przez którą wiedza samą siebie rodzi, nazwijmy AUTOGENIĄ.

4. Rozum fiksuje, zatwierdza swoje pomysły, nadaje im bytowość rzeczywistą. Myślenie staje się myślą gotową, wierszem, dziełem itp. Takie utrwalanie rzeczywistości bytowej nazwijmy AUTOTEZJĄ.

5. Gdy się po raz pierwszy obudziła moja świadomość, „zastałem" siebie w już gotowym ciele, środowisku rodzinnym, społecznym, kosmicznym. Stąd wnioskuję, że skoro istniałem już przed obudzeniem się mej świadomości, więc nie mój rozum stwórczy jest autorem wszystkiej w ogóle rzeczywistości. Zatem rozum stwórczy działa nie tylko we mnie, lecz i poza mną. Rozum, który by był autorem wszystkiej rzeczywistości, należałoby uznać za absolutny rozum stwórczy. Rozum nie może być niczyj; jeżeli wie on cokolwiek innego, to jednak przede wszystkim wie siebie sam. Owo wiedzenie siebie przez rozum — to osobowość. Absolutny i osobowy rozum stwórczy — odpowiada religijnemu pojęciu Boga.

Możemy się posługiwać tym słowem, aczkolwiek z naciskiem podkreślam że punkt wyjścia nin. rozważań nie jest religijny, lecz czysto spekulatywny. — Czemuż tedy powołuję się czasem na autorytety religijne? Bo co innego jest powiedzieć: Jan ma słuszność, twierdząc że 2.2 = 4, co innego zaś mówić: twierdzenie „2.2 = 4" jest prawdą, bo tak powiedział Jan. Co innego przyznawać, że w tym punkcie religia głosi prawdę, co innego zaś uznawać coś za prawdę, bo tak głosi religia.

6. AUTONOMIĄ, resp. HETERONOMIĄ, zwiemy, zgodnie z powszechnym użyciem, rządzenie się własnymi, resp. obcymi prawami.

7. AUTOTELIA — jest to dążenie do celów, całkowicie wysnutych z własnego rozumu. HETEROTELIA jest to dążenie do celów, narzuconych zzewnątrz.

II.

Rozumowość czyli sprawcza przyczynowość Boga, autogenia, pozostając w tożsamościowym kontakcie z jego substancją, autotezją, wytwarza nieskończoną s i ł ę stwórczą, potencjalną.

Substancja jest to byt własny, nieodłączny od odpowiadającej mu wiedzy, bo z niej samej bezpośrednio płynący. Byt względny, heteronomicznie stworzony, substancją nie jest. Jedynym źródłem substanji jest autogenia. Cokolwiek autogenia wytwarza jako substancję własną, stanowi autotezję Bóstwa. Ta ostatnia jest zatem jedyną we wszechświecie substancją. Tylko tu może się mieścić Jaźń absolutna,

która przeto również jest tylko jedna. O indywidualizacji jednostek stanowi wyłącznie ten akt samostwórczy, przez który dana jednostka utożsamia zespół swych indywidualnych autodeterminacyj z tą substancjalną i zawsze jedna jaźnią: boć autotezja na tym właśnie polega, że się swe autodeterminacje, poczęte przez autogenię, stęża w byt, w istnienie. Tak tedy jaźń abs. stanowi czynnik powszechności, łącznik a raczej wspólny korzeń wszystkich osób indywidualnych. Idea Zła na tym polega, że jednostka chce stężyć swe autodeterminacje p o z a tą jedyną substancją, czyli niejako chce nakładać farby nie na płótno, lecz na próżnię. Taka ekscentryczna — w najgłębszym znaczeniu antyspołeczna — jednostka pozostaje bez jądra, bo gdyby wydobyła z autogenii swą p r a w d z i w ą autotezję, to autotezją tą byłaby właśnie jaźń abs., tylko indywidualnie zdeterminowana.

Stwarzać jest to autotetyzować swój pomysł, nadawać mu byt abs. Stwórca stwarza siebie i wszelką istotę w ten sposób, że wnętrznie autożsamia autogenię pomysłu z jego autotezją. Punkt zupełnej tożsamości autogenii z autotezją — to właśnie istota wnętrzna absolutu. — Otóż idea Zła, zrywając tę łączność, eo ipso pozbawia mię substancji. W dalszym ciągu posiadam wiedzę abs., autogenię: boć nawet niszczyć ją trzeba by nie czym innym, tylko nią samą (ile że wszystko inne z niej pochodzi); więc póki ją niszczę w sobie, póty ją posiadam, gdym ją zaś wyrugował doszczętnie, wówczas nie ma mnie wcale, bo nie ma we mnie czynnika samowiedzy. Posiadam więc — powtórzmy — wiedzę abs., ale nie mam i mieć nie mogę abs. bytu, gdyż moje autodeterminacje nie zawierają wtedy prawdy ani dobra (te bowiem mają konieczne oparcie w istocie wnętrznej absolutu, którą ja celowo omijam) i dlatego są nierzeczywiste, żadne.

Pomyślmy, czym jest nasza indywidualność, kiedy z niej usuniemy idee dobra i prawdy! Czczym zlepkiem żądz, popędów, bezzasadnych poglądzików, zmysłowych wrażeń itd. . . . A znowuż czym może być nasza indywidualność, gdy ją oprzemy na jaźni abs., samostwórczo przez nas wydobytej z samejże autotelii, i którą to jaźń wzbogacimy wytwarzaniem — specyficznie własnym i niepowtarzalnym — dobra, piękna i prawdy! — „Dopełnienie znajduje się w człowieku s p e ł n y m , konkretnym, w O s o b i e. Osoba już nie tylko wie o s o b i e , jako o koniecznie uprawnionym j a , ale też c h c e z s i e b i e i s t o t ę i i s t n i e n i e s w o j e r o z w i n ą ć , działa p r z e z s i ę , o d s i e b i e sama się skutecznie a nie tylko intencyjnie afirmuje". (Cieszkowski.)

Różnica między wirtualnością (= „mocowładnością") stwórczą a rozumowością stwórczą streszcza się do tego, że pierwszą jest autogenia w oparciu o substancję, czyli Słowo, drugą zaś autogenia czysto wiedna, która może odtworzyć w rozumie, czyli subiektywnie

stworzyć, choćby cały wszechświat, ale obiektywnie, poza sobą, nie stworzy ani ziarnka piasku. Otóż człowiek, wskutek utraty swego bytu abs., posiada w całej pełni tylko rozumowość stwórczą. Dlatego możemy rozwijać swą wiedzę w nieskończoność, ale zarazem mamy poczucie swej znikomości, niepewności naszego bytu.

III.

Skoro jednak nie posiadamy substancji, to czymże się dzieje, że nie tylko wiemy, lecz działamy? Przecie na to, żeby działać, trzeba 1. chcieć, 2. móc; ani jedno zaś ani drugie nie jest czystą wiedzą. Chcieć jest to dążyć nie do poznania tego co jest, lecz do zmiany tego co jest na coś, czego jeszcze nie ma, czyli do zmiany lub nawet wytworzenia bytu. Móc jest to mieć wszystkie warunki, potrzebne do wywołania pożądanego skutku. Jedno i drugie wymaga kontaktu z bytem, a więc wyjścia poza czystą wiedzę.

Otóż 1. co do woli, jest ona utożsamieniem systematycznym umysłu i czucia czyli zmysłowości Z kolei ta zmysłowość zawiera w sobie wyobrażenia, które są znaniem niejaźni. Wskutek tego naszą względną wolę współwarunkuje istnienie niejaźni. W naszych doczesnych okolicznościach, chcieć — jest to zawsze: dążyć do czegoś, położonego poza nami; gdyby na głucho nas zamknąć w obrębie naszej jaźni, tj. gdyby nam odjąć wszelkie wyobrażenie o czymś zewnętrznym, nie moglibyśmy niczego chcieć. — Zachodzi jeden walny wyjątek, ale o nim będzie mowa niżej. — Otóż wola, skierowana na cel, nie zawarty w nas samych, obcy nam samym, to HETEROTELIA. Wprawdzie zdaje nam się, że chcemy zupełnie samorzutnie, lecz dokładniejsza analiza wykaże, iż wolę naszą determinuje nasz nie przez nas sprawiony ustrój. Chcę jeść, kochać, wydatkować energię, odpoczywać, „bo tak już mnie Pan Bóg stworzył". Chcemy nie celowo, tylko, przyczynowo. Nie tyle my sami chcemy, ile chce poprzez nas coś obcego naszej najgłębszej jaźni.

Co się tyczy 2. tego, że możemy działać, to cała ta nasza potencjalność sprowadza się jedynie do faktu, iż możemy wydawać rozkazy własnemu organizmowi. A dokonywamy tego przez oparcie się na pierwotnej neutralizacji naszego psychizmu i naszego organizmu. Że zaś ani ta neutralizacja, ani ten organizm, ani nawet ten psychizm, nie są naszym własnym dziełem, więc i tu mamy właściwie czystą heteronomię i heterotelię.

Wspomnieliśmy przed chwilą o jednym walnym wyjątku. Jakoż istnieje dziedzina, gdzie nasza wola zaczyna działać celowo, a nie przyczynowo: jest to dziedzina MORALNOŚCI. Ta wyróżnia człowieka spośród wszystkich tworów ziemskich. Zwierzę w swych czyn-

nościach kieruje się zawsze instynktem; instynkt działa wyłącznie w widokach korzyści własnej. Głodna lwica oddaje żer swemu szczenięciu dlatego, że instynkt macierzyństwa jest w niej silniejszy nad instynkt głodu. Byłoby jej trudniej zwalczyć pierwszy niż drugi. Przecież i głodny samolub odda chleb pod groźbą rewolwerów, bo głód uważa za korzystniejszy niż śmierć. Nie ma tu wolnej decyzji, tylko przymus instynktów. Lwica nigdy nie postanowi „z dobroci serca" oddać żeru głodnemu wilkowi, bo tu już nie działa żaden instynkt. — Natomiast człowiek może chcieć rzeczy, dla niego nie tylko nie korzystnych, lecz najwyraźniej szkodliwych. Kiedy narażam życie ratując tonącego, jest mi niewątpliwie trudniej powziąć tę decyzję, niż uporać się ze współczuciem i zostać na brzegu. Więc nie instynkt tu działa.

Grzęźniemy w złu, lecz i moralność w nas działa. A nawet obyliśmy się z nią tak dalece, że przestaliśmy w niej widzieć coś zgoła osobliwego. Tymczasem zastanówmy się dobrze. — Posiadam rozumowość stwórczą, mogę tedy w zasadzie wiedzieć wszystko: zarówno to co jest jak i to co być powinno. Wiem np., że „aby nastąpiło zaćmienie słońca, księżyc powinien się znaleźć między słońcem a moim okiem"; wiem również, że „ludzkie życie jest cenne; aby nie utonął ktoś, nie umiejący pływać, trzeba go wyciągnąć z wody". Ale czemu nie poprzestaję na stwierdzeniu tego stanu rzeczy? Skorom logicznie ustalił warunki zaćmienia słońca i uratowania tonącego, to wiedza jest już zaspokojona. Czemuż nagle, wykraczając z powszechności wiedzy, zaczynam chcieć, żebym to właśnie indywidualnie ja — nie tylko wiedział, lecz i działał? Co determinuje moją wolę? Czy mój byt względny, organizm? Ależ zeń nie mogą wychodzić pobudki, dla niego niekorzystne. Więc nakaz moralny? Zapewne; ale ten przemawia do wiedzy; wiedza orzeka powszechnie, że trzeba; lecz skądże przejście od tego powszechnego „trzeba" do mego indywidualnego „chcę"? Przecie dla zaćmienia słońca „trzeba" żeby księżyc . . . itd., a jednak ja się nie porywam manipulować księżycem.

Otóż przede wszystkim przedmiot nakazu moralnego jest uznany przez wiedzę za dobro[2] czyli za to co być powinno; a samo pojęcie powinności analitycznie zawiera powszechną dyrektywę: „ktokolwiek możesz, spełń". Po wtóre — i to nas tu głównie obchodzi — przy rozważaniu nakazu moralnego dołącza się, do wiednego „trzeba", moje wiedno-bytowe czyli wiedno-substancjalne poczucie „mogę". W tym tkwi specyficzna różnica między czynnością obojętną

[2] Jakoż nakaz czyli prawo moralne jest właśnie przejściem od dobra do prawdy, jest dobrem sprawującym funkcję prawdy.

a czynnością moralną. — a) Wyciągam rękę po kromkę chleba. Tutaj organizm poczuł głód, powiadomił o tym moją wiedzę i przez niejaką vis a tergo zdeterminował przyczynowo moje chcenie. Pobudka wyszła nie z mojej wiedzy. Siłę (ruch ręki) wywiązało oparcie się o byt względny, o organizm. — b) Ratuję tonącego. Tutaj wiedza uznała nakaz moralny, jego spełnienie uczyniła swą metą, i przez niejaką vis a fronte zdeterminowała celowo moją wolę. Lecz aby to zrobić, musiała się oprzeć na poczuciu „mogę", implikującym obecność substancji. Cóż to za substancja? Jušci nie mój byt względny, który owszem stara się odmówić swego współdziałania, wołając: nie mogę narażać się bez dostatecznych przyczyn! — A nie idzie tu o fizyczną czynność ratowania, którą ostatecznie wykonywa moje ciało, zgwałcone i przymuszone rozkazem woli. Idzie o to, że samo przejście od wiednego „trzeba" do aktu woli czyli do „mogę i zrobię" presuponuje koniecznie jakąś hipotetyczną substancję.

I tu się nam odsłania okoliczność niezmiernej wagi, ta mianowicie, że w człowieku pozbawienie bytu absolutnego nie jest bezwzględne, że to raczej zawieszenie niż pozbawienie. Nie samej substancji (bytu abs.) nam zbrakło, tylko samorzutnego z nią kontaktu naszej wiedzy abs. — Beznogi kaleka nie pobiegnie w żaden sposób. Natomiast paralityk, w razie gwałtownej konieczności, czasem odzyskuje władzę w nogach; brak tu bowiem nie członków, tylko należytego kontaktu psychizmu z organizmem, który to kontakt może być przywrócony od strony psychizmu, przez silny akt woli. — Przytaczam to jako analogon.

IV.

Składnikami Świata, więc i Człowieka, są: 1. autogenia dążąca do indywidualizacji w jednostce, co można nazwać utartym wyrazem Duch, oraz 2. nasz byt względny, tzn. tylko pomyślany dla nas przez Stwórcę, więc czysto przedmiotowy, nigdzie nie utożsamiony wnętrznie z naszym jednostkowym duchem i dlatego poza tym duchem będący nicością, jako pozbawiony wszelkiego istnienia własnego.

Rzecz jasna, że świadomość ma siedlisko w duchu, autogenii, a nie w bycie względnym, który w oderwaniu od tego ducha jest niczym; podobnie gdy oglądam szereg fotografii, świadomość tkwi we mnie, a nie w nich. Lecz świadomość, i w ogóle wiedza — to jeszcze nie cała rzeczywistość człowieka doczesnego. Duch jest tu jeszcze nieindywidualny, a więc nieosobowy. Konkretna rzeczywistość polega na syntezie powszechnej wiedzy z czynnikiem indywidualizującym, tj. z bytem. Człowiek doczesny — to ani sam duch,

ani sam byt względny (= nicość), ale synteza, punkt neutralizacji pierwszego z drugim.

Organizm jest — dla „rodzącej się duszy ludzkiej" — zastanym konglomeratem nieprzebranego mnóstwa niezależnych od niej uwarunkowań, któremu może ona przeciwstawić iskierkę swej ściśle osobistej samorzutności-wolnej woli. To tak, jakbym został znienacka wsadzony na sanki, ciągnione przez mocno niekarną sforę. Szczęśliwy, kto przynajmniej pod koniec podróży zdołał tę ponoszącą watahę instynktów, właściwie nieswoich, poddać własnemu, mądremu, autotelicznemu kierownictwu, w myśl definicji: autotelia = wpływ samości do inności. U takiego człowieka, że przytoczymy słowa Anaksagorasa, „Nus panta diekosmezen" (Rozum wszystko w ład wprawił). Niestety coraz częściej hołduje się przekonaniu, że właśnie ulegając tej rozwydrzonej sforze żyjemy „zgodnie z naturą", żeśmy wtedy najwolniejsi, najbardziej „sami sobą". (Mamy zresztą wrażenie, że surowy realizm nadchodzących czasów zaczyna się temu przeciwstawiać.) Toteż nasze potomstwo otrzymuje coraz mniej korzystne zespoły uwarunkowań — a wówczas mówi się o niesprawiedliwości losu. A przecież „l'injustice apparente du Destin est réparée par ce fait que les forces qui poussent une âme vers le mal sont toujours proportionées aux capacités de résistence de cette âme. La responsabilité de chaque étre est relative à sa liberté et à son degré de conscience". (Cornillier.)

Zło udaremnia tę samostwórczą czynność, bądź kokodemonicznie skrzywiając naszą wolę, bądź mistycznie paraliżując naszą samorzutność przez uporczywe wmawianie, że cnotą cnót jest bierne, pokorne, ślepe posłuszeństwo bożej woli, gdy tymczasem chodzi właśnie o jak najbardziej rozumujące i rozumiejące z tą wolą współdziałanie. Taka splendide mendax postawa nie zawsze nawet zasługuje na to, by jej odpowiedzieć słowami Norwida: „Wysoko się mylisz, ale mylisz się" . . .[3]

Zło jest tedy faktem, który poraża bezwładem nasz abs., uniemożliwiając naszej wiedzy bezpośredni z nim kontakt. Ale na szczęście pozostaje możebność kontaktu pośredniego. Mogę mianowicie sięgnąć wiedzą aż do tego punktu, gdzie jest ona utożsamiona z bytem, tzn. aż do istoty wnętrznej absolutu, i dopiero stamtąd niejako spuścić się z powrotem do mego bytu indywidualnego. Bo wprawdzie nasz rozum jest dopiero mocowładnością stwórczą, a nie potencjalnością, i przeto nie może stwarzać bezpośrednio

[3] „. . . Szaleńcy, którzy pod pozorem wywyższenia wiary zaprzeczają istnienia rozumu i depcą umysł ludzki". — Kto tak mówi? Biskup katolicki, Bougaud.

żadnego bytu, lecz samże ten nasz rozum już istnieje, choć zawdzięcza swój w nas byt indywidualny nie własnemu aktowi; a skoro istnieje, to stanowi rzeczywistość; a skoro jest rzeczywistością, to może być pojęty jedynie poprzez zasadę wszelkiej rzeczywistości = absolut; skoro zaś nasz rozum potrafi — czego dowodem chociażby nin. rozważania — wytworzyć ideę absolutu, zatem posiada on warunki do odkrycia czyli subiektywnego stworzenia istoty wnętrznej absolutu, z której dopiero będzie mógł wywieść swą już bezwzględną rzeczywistość.

Błąd idealizmu polega na tym, że rozumowość niewarunkową człowieka miesza on z rzeczywistością warunkową jego istnienia indywidualnego, którą bierze właśnie za rzeczywistość absolutną.

V.

Na wszelką rzeczywistość składają się niezbędnie dwa elementy: byt i wiedza. Zatem i w ogólnej rzeczywistości Świata rozróżniamy element-byt i element-wiedzę. — Tę rzeczywistość Świata przyswajamy sobie dwojako: 1. uczuciowo i biernie, tj. przez reakcję elementu-bytu świata na naszą wiedzę (barwy, dźwięki itd.), oraz 2. poznawczo i czynnie, tj. przez coraz rozleglejszy systemat pojęć, który nasza wiedza tworzy sobie o świecie, aby go rozumieć (matematyka, fizyka, zwłaszcza zaś filozofia chrematyczna.[4] W tych obu rodzajach znania ale zwłaszcza w drugim, element-wiedza rzeczywistości świata jest dostarczany przez nas, przez Słowo w człowieku. Bez tego świat mógłby być rzeczywistością dla swego Autora, lecz dla nas byłby gołym bytem czyli nicością: bo czymże, jeśli nie nicością, miałby dla nas być świat, którego byśmy nie zdeterminowali ani jako barwny, ani jako dźwięczny, ani wielki, mały, pojęty, niepojęty ... słowem jako żaden? Dodajmy, że rola znania zmysłowego maleje w miarę jak się potęguje znanie czynne — tak że istocie, która by zrozumiała ustrój świata na wskroś, bodźce zmysłów byłyby zgoła niepotrzebne. — Stwierdzamy tedy, że w tej dogłębnie zrozumiałej rzeczywistości, jaką Świat winien stać się dla nas, elementem-bytem jest niezależny od nas byt świata, elementem-wiedzą zaś Słowo w człowieku. Człowiek jest, a w nierównie jeszcze wyższym stopniu ma samorzutnie zostać, współtwórcą rzeczywistości Świata.

Natomiast gdy tę samą rzeczywistość świata zna (wie, poznaje) Bóg, żaden element-byt nie jest mu dany. Tutaj znanie jest tworzeniem. Bytem świata jest właśnie wiedza Boga o świecie. To, co

[4] Chrematyczny = dotyczący rzeczy stworzonych; achrematyczny = dotyczący zasad stwórczych.

Stwórca WIE o świecie, stanowi to, czym świat JEST. Tu, w tym warunku pierwszym rzeczywistości, byt jest tożsamy — a nie tylko zneutralizowany — z wiedzą. (Podobnie jak, choć w stopniu nieskończenie słabszym, tworzony przeze mnie wiersz jest identyczny z moim wiedzeniem tego wiersza). Zatem to wszystko, co jest nam d a n e do poznania w i czy o świecie, tzn. element-byt w rzeczywistości świata, ustanowczy tej rzeczywistości współskładnik, jest dla nas Słowem u Boga, arcybytem świata, na razie zupełnie heteronomicznym z naszą wiedzą, ze Słowem w człowieku. Ale pierwotna wiedza Stwórcy może przesięgnąć nad to Słowo u Boga, spekulatywnie oddzielić się odeń, oglądać je jako już przedmiotową rzeczywistość, autotezję. (Podobnie jak ja mogę czytać mój już gotowy wiersz.) Otóż zasadniczo mamy możność, posiadając rozwijalną do nieskończoności wiedzę, wznieść się do punktu jej tożsamości z bytem (jakby do stadium, w którym pomysł wiersza rodzi się w umyśle poety). Stamtąd sięgnąć aż do pierwotnej arcy wiedzy, potem znowu zejść do owej tożsamości i z niej samorzutnie wywieść rzeczywistość świata, a nie tylko jego element-wiedzę.

Rzeczywistość składa się z bytu i wiedzy. Wiedza jest powszechna i przeto zasadniczo jedna. Stopień jej udziału w różnych istotach może być nader różny, lecz ona sama, jako nie-jednostkowa i jako jedyna twórczyni prawdy, nie może zawierać różnic wewnętrznych i jest zawsze rozwijalna nieograniczenie. — Czynnikiem indywidualizującym jest byt. To on wytwarza, dla powszechnej wiedzy, ogniska podmiotowe, tak że wiedza, zneutralizowana z nim w danej jednostce, staje się wiedzą tej właśnie jednostki. Zamknąć do siebie dostęp wiedzy powszechnej, jak to czyni Zło, nie jest to: zindywidualizować się absolutnie, ale przeciwnie: stać się bytem bez wiedzy, czyli niczym.

Toteż i wszelka istota może być absolutną tylko pod warunkiem, że tożsamość pierwotna jej indywidualnego bytu i powszechnej wiedzy znajduje się wewnątrz — a nie na zewnątrz — jej rzeczywistości; tylko wtedy bowiem może ona, poprzez wiedzę, wywierać wpływ dowolny na swój byt i tylko wtedy ten jej byt stanowi bezpośrednie i nieodłączne następstwo owegoż działania wiedzy. Stopień zbliżenia do tego ideału decyduje o względnej wartości istot. Np. człowiek jest nieskończenie więcej wart od zwierzęcia dlatego, że jest nieskończenie r z e c z y w i s t s z y, ponieważ i samo zwierzę przywiązuje wagę tylko do wrażeń przyjemnych lub przykrych, ale żadnej wagi nie może przywiązywać do własnej podmiotowej rzeczywistości, której warunków jest zupełnie nieświadome; gdyby je sobie uświadomiło, stałoby się człowiekiem.

Ale i człowiek doczesny, w swym charakterze tworu, ma ową tożsamość pierwotną poza sobą a nie w sobie; poprzedza ona jego ukazanie się w świecie. Toteż jego byt, czynnik indywidualizujący go w tę a tę jednostkę, ma swój warunek poza nim i dlatego jest odjemny. Natomiast wiedzę, z natury swej powszechną i jedną, może człowiek wzmagać aż do stanu absolutności. „Umysł ludzki tkwi korzeniem swym w nieskończoności." (Platon.)

VI.

Przyjrzyjmy się rodzajom czynności ludzkich.

a) Siedzę na krześle. Postanawiam wstać. Zarysowuje mi się obraz mnie samego w ruchu. Obraz ten jest wytworem mojej wiedzy i w niej się mieści. Ale ponieważ mej wiedzy nie odpowiada we mnie aktualnie żaden byt własny tej wiedzy, więc samo zrodzenie przez nią obrazu bynajmniej się jeszcze nie równa wytworzeniu nowej rzeczywistości: mnie w ruchu. Rozum absolutny, jakim jest rozum Stwórcy, autotetyzuje swe pomysły bezpośrednio, właśnie dlatego, że tożsamość pierwotna autogenii i autotezji jest mu wewnętrzna. Ja natomiast muszę działać pośrednio: mianowicie muszę wysłać rozkaz na zewnątrz mej wiedzy, do organizmu — a właściwie nie tyle rozkaz co raczej prośbę, gdyż organizm jest rządzony prawami nie ode mnie zależnymi, i wcale nie zawsze mię usłucha — np. nie pofrunie pod sufit, choćbym tego zażądał. Więc raczej korzystam po prostu ze swej znajomości tego co się w przyrodzie odbywa i co jest w niej możliwe: chodzę, korzystając z tego że moje ciało może chodzić, a rezygnuję z lotu, wiedząc że moje ciało latać nie potrafi. Trochę przypomina to sposób, w jaki przykładam lont do działa, po czym czekam, żeby działo wypaliło już bez mego niejako udziału. Rzucany organizmowi rozkaz woli — to każdorazowe sięgnięcie do (leżącej na zewnątrz naszej aktualnej wiedzy) pierwotnej tożsamości wiedzy i bytu, w której mieści się właściwa indywidualna substancja mojej wiedzy. Siłę wywiązuje tu chwilowe oparcie się na tej substancji — oparcie się, udostępnione mi przez prawa heteronomiczne = prawa przyrody = prawa, których nie jestem autorem. Zapewne, mamy tu wspaniały cud: moja myśl „ciałem się staje"; ale nie jam sprawcą tego cudu. Jest to dziedzina heteronomii, a nadto i HETEROTELII; gdy bowiem wstaję z krzesła, chodzę, jem, gimnastykuję się itp. — w tym wszystkim chodzi o wyzyskanie tego co się dzieje w przyrodzie, czyli niejako o różnostronne a możliwie najkorzystniejsze wystawienie się na działanie natury. Ja tu daję inności (= prawom przyrody) oddziaływać na moją samość. Cel mej czynności leży na zewnątrz mojej własnej istoty; wybrałem go

spośród tych, których realizacja w przyrodzie jest w ogóle możebna, a dla mnie pożyteczna czy konieczna w moim fizycznym bytowaniu.

Natomiast w AUTOTELII chodzi o to, żeby własnym duchem zrodzić we własnym duchu coś nowego, czyli przekształcić moją samość w pożądany przeze mnie sposób, czyli wydobyć (stworzyć) z niej coś czego w tej chwili jeszcze w niej nie ma, czyli coś *innego* niż to czym ona jest i jakąm ja ją zastał, a więc o to, żeby wydobyć z niej jakąś *inność* ukształtowaną pod wpływem mej *samości*. Boć oczywiście każdy akt twórczy jest rzutowaniem samości w środowisko, które dotąd było próżnią, bierną pojemnością na jej akty, a więc negatywną innością.

b) Mam słabe płuca. Dzień jest upalny. Siedzę nad rzeką. Gwałtownie kusi mnie chłodna kąpiel, opieram się jednak, wiedząc, że skutki byłyby dla mnie fatalne. — Uczę się w ten sposób opanowywać swe popędy i to jest czynnik dodatni. Lecz o autotelii nie ma tu mowy, gdyż pobudka (chęć uniknięcia choroby) jest niedwuznacznie pozasobna; wszak i mysz nie tknie ponętnej szperki, gdy poczuje bliskość kota. Działa już tu wolność wyboru, obca światu przyrody nieożywionej; ale żadna właściwa *siła duchowa* jeszcze się tu nie wywiązuje: po prostu wybieram między dwiema instynktowymi — więc nie przeze mnie wytworzonymi — pobudkami tę która mi doradza zachować bierność.

c) Mam bardzo mało pieniędzy, a jednak udzielam ubogiemu jałmużny, bo wiem, że w razie odmowy czułbym potem przykre wyrzuty sumienia. Te wyrzuty są niezależne od mojej woli; chętnie bym je usunął, żeby mi nie dokuczały: oto dowód, że ich źródło leży gdzieś poza mną. Odprawiłbym żebraka z kwitkiem, jeślibym wiedział, że po jego odejściu coś tak dalece pochłonie moją uwagę, iż zupełnie o nim zapomnę; więc nie skrzywdzenia bliźniego się obawiam, tylko własnej przykrości. Chodzi mi nie o doskonałość, lecz o błogostan, zatem o wpływ inności (= okoliczności spoza mnie) na mą samość, a nie odwrotnie.

d) Patrzę z ganku, jak pies naciera na jakiegoś obszarpańca. Poczynam się zastanawiać: czy mi tego obdartusa żal, czy też nie? . . . Owszem, trochę mi go żal, więc pójdę psa odpędzić. Gdybym żalu nie doznał, nie ruszyłbym się z miejsca.

Zatem i tu mamy heterotelię, bo nie powoduje mną wola *wytworzenia tego co być powinno*, tylko *obserwacja* tego *co jest*, co biernie *zastaję* (= obecność lub nieobecność litości w moim nie ode mnie zależnym uczuciu).

e) Chwalą mnie za uratowanie tonącego. Łechce to moją miłość własną, a jednak wyznaję uczciwie:

— Nie chwalcie mnie! Zrobiłem to nie z poczucia obowiązku, tylko dla nagrody.

Takie przyznanie się jest niewątpliwie czynem wysoce moralnym. Tylko że .. w gruncie chodzi mi oto, żeby podziwiano moją niezwykłą szczerość, spotykaną jeszcze bodaj rzadziej niż ratowanie tonących, więc też godną większego podziwu.

Znowu zatem chodzi o rzecz zewnętrzną: o ludzkie uznanie; skorom je uzyskał, to „jużem wziął zapłatę moję", jak mówi Pismo.

f) Spełniam dobre uczynki, ponieważ tak mi nakazują Boże przykazania. Jest to bardzo wysoki rząd czynności, zawierający nawet pewną samorzutność, gdyż, po pierwsze, okiełznałem swe grubo samolubne popędy, po drugie zaś musiałem przedwstępnie uznać rzeczywistość Boga, co wytwarza we mnie przynajmniej pojemność na ideę absolutu i tym samym stanowi jakby wyższy szczebel ku autokreacji Jednakowoż spełniam dobro albo 1. dla wiekuistej nagrody (= niższy stopień moralności heteronomicznej), albo 2. z miłości do Stwórcy (= wyższy stopień moralności heteronomicznej). I tu i tam działa heterotelia:

Pod 1., nagroda (= szczęście wiekuiste, żywot wieczny) ma być do mej obecnej niepełnej rzeczywistości d o d a n a z zewnątrz, przez kogo innego niż ja sam, przez Boga; więc nie ja wytwarzam za pomocą ducha mój byt indywidualny, więc właściwie nic nie dodałem do dzieła Stwórcy, który już jest źródłem wiedzy powszechnej, a od którego z kolei oczekuję, by był również jedynym autorem mego bytu jednostkowego oraz neutralizacji obu elementów, czyli — autorem wyłącznym w s z y s t k i e g o.[5].

Pod 2. Bóg, w swej funkcji p r z e d m i o t u mojej miłości, również jest pojęty jako będący n a z e w n ą t r z mnie; właśnie on ma być tą substancją, której braknie mej obecnej rzeczywistości; toteż w swym dążeniu (miłości) ku niemu nie opieram się jeszcze na żadnej substancji własnej.

g) Świadomie zamierzone zło, popełniane nie ze słabości naszej ułomnej natury, lecz dla samegoż zła, ma łudzące pozory autoteliczności. Będąc przeciwne woli Boga, zło nie jest jego dziełem, zatem pochodzi ono z mojej samości. Jakoż istotnie: złą pobudkę niewątpliwie rodzi spaczona wola istoty rozumnej. Atoli o samorządności czy

[5] Przypominają się mądre słowa J Słowackiego: „Zaklinam . . . aby nie spuszczali się zupełnie jak lilie na szaty od Boga sprawione, albowiem człowiek jest jedyną istotą, która mając kształt piękny, sama jednak o stroju swoim myśleć powinna." Jakoż dosyć dziwnie brzmi przypuszczenie, że człowiek został stworzony tylko po to, aby . . . był moralnym. Sama moralność musi mieć jakiś wyższy cel — a jest nim rehabilitacja w nas bytu absolutnego.

o celowości własnej ani mowy tu być nie może. Czyniąc zło, najzupełniej owszem i najżałośniej uzależniam się od czynników zewnętrznych.

Weźmy parę przykładów. — Podpalam ci dom. Czy dlatego, żem samorzutnie, od nikogo niezależnie, z własnego rozumu wysnuł maksymę, iż ten dom nie powinien istnieć? Bynajmniej! podpalam go ponieważ przypuszczam, że sprawię tym przykrość t o b i e. Więc nie idzie mi o wytworzenie stanu rzeczy, zgodnego z m o i m i zasadami, tylko o wytworzenie stanu rzeczy, sprzecznego z tym czego t y chcesz. Zatem — negatywnie lecz niemniej realnie — uzależniam się od c i e b i e. Gdybym zmiarkował, żeś wysoko swój dom ubezpieczył i marzysz o jego spłonięciu, nie podpaliłbym go. Czyli że nie mogę wytknąć sobie celu, zanim się nie dowiem, czego ty nie chcesz.

Klnę „psia mać!", ponieważ po polsku to razi, a nie będę klął „a dog's mother!", bo Anglika zwrot o matce psa nie bardziej gorszy niźli zwrot o ojcu kota; a mnie chodzi tylko o gorszenie.

VII.

Powyższy rozbiór dał nam wystarczająco jasne pojęcie o HETEROTELII. Z kolei zbadajmy, na czym polega i w jakich warunkach powstaje AUTOTELIA, której determinację negatywną już zresztą mamy.

Czysty rozum spekulatywny wytwarza p r a w d ę czyli wiedzę o tym c o j e s t w rzeczywistości. Czysty rozum praktyczny determinuje d o b r o czyli daje wiedzę o tym c o b y ć p o w i n n o w rzeczywistości. — Z naciskiem powtarzamy, że rozum praktyczny daje nam w i e d z ę o dobru, a nie dobro samo; to ostatnie byłoby już wytworzeniem b y t u.

Wychodząc z bezwzględnie autonomicznej wiedzy powszechnej, rozum praktyczny, zwracając się do tejże wiedzy powszechnej, mówi: t r z e b a!, czyli daje ogólną dyrektywę, kantowski imperatyw kategoryczny. Ponieważ włada tu czysta powszechność, ponieważ rozum nie-jednostkowy rządzi się tu wyłącznie własnymi prawami, więc też w takim „trzeba!" nie ma miejsca na odwoływanie się do żadnych względów indywidualnych, jak miłość, współczucie, chęć nagrody, obawa kary, zwalczanie przekory itd. Nakaz moralny obowiązuje tak samo powszechnie jak pewnik matematyczny.

Czy to znaczy; że przy spełnianiu uczynków moralnych należy u n i k a ć miłości, współczucia, a choćby nawet i zadowolenia z własnej cnoty? Bynajmniej! równałoby się to odstręczającej oschłości. Uczucia te w sposób bardzo naturalny towarzyszą moralnemu postępowaniu i poniekąd stanowią prawowitą (bo wsobną, a nie z zewnątrz udzieloną) nagrodę za nie. Chodzi tylko o to, żeby w żad-

nym razie nie były one warunkiem pełnienia przez mnie moralności: tę mam zupełnie tak samo pełnić i w ich braku.

I tu się zaczyna rola Autotelii.

Mój byt abs., aczkolwiek zawieszony, czyni ze mnie jednostkę. Nie ulegajmy przy tym sugestii wyobrażeń przestrzennych. Takie zwroty jak: „sięgnąć do tożsamości pierwotnej" itp. — to oczywiście przenośnie. Owa tożsamość nie wisi dosłownie gdzieś wysoko i nie wymaga jakiegoś wspinania się. Zachodzi ona w otworem dla nas stojącym rozumie niewarunkowym, z którego należy ją stwórczo wydobyć. Nakaz moralny, zrazu heteronomicznie ujmowany, wskazuje nam drogę ku temu; i na tym polega wyższa celowość moralności.[6] Jużeśmy nadmienili, że powszechne „trzeba!" oznacza analitycznie: ktokolwiek może, niechaj spełni. Otóż na głos nakazu budzi się we mnie poczucie, że ja, właśnie ja, mogę, o ile tylko „zechcę chcieć".

Dobrze; ale skądże wezmę potrzebną siłę, jeśli mi jej nie użyczy mój obecny byt względny, do którego atoli uruchomienia nieodzowne są takie w nim tkwiące bodźce jak litość, chęć uniknięcia wyrzutu itp.? A przecie ja chcę właśnie działać tu niezależnie od takich pobudek, niezależnie od wszelkiej inności, w zgodzie wyłącznie z wiedzą, która stanowi jeden z dwu składników biegunowych prawdziwego mnie, i przeto jest wsobna mojej samości.

Otóż sama już wola takiego działania świadczy o budzącej się we mnie świadomości Słowa. Bo skoro mogę, do powszechnej wiedzy, dołączyć indywidualną wolę, zdeterminowaną nie przez mój byt względny, znaczy to, że wirtualnie obecny jest we mnie jakiś inny, wsobny czynnik indywidualizacyjny, czyli właśnie mój byt abs. Ten jest tożsamościowo łączny z wiedzą powszechną (z której wyodrębnia się jedynie tą swoją funkcją czynienia mnie jednostką), tak że jej prawa są zarazem jego prawami; — nie dziw więc, że znika tu wszelka potrzeba bodźców postronnych. Ta sama moja jaźń abs. wytwarza powszechność prawdy jako wiedzę i indywidualność dobra jako byt. Dzięki dostępowi do wiedzy abs., mam rozumowość stwórczą; dzięki oparciu się o mój byt abs., zdobywam już prawdziwą wirtualność stwórczą czyli Słowo. I nawzajem: czynność moralna, wyzbyta wszelkich pobudek heterotelicznych, idąca wyłącznie za wytworami czystego rozumu praktycznego, wywołuje (ewokuje) mój zawieszony byt abs.

W praktyce przebieg jest następujący.

[6] W religii niezawodnie objawia ją nauka Chrystusa.

Jestem istotą złożoną, względną. Udział wiedzy we mnie może być mniej lub więcej szczupły, ale sama wiedza, jako rdzennie powszechna, samorzutna i autogeniczna, jest par excellence nieograniczona.[7] Rozwijając więc swój rozum, mam możność zdobyć wiedzę abs. Przez tę ostatnią poznaję lub raczej odtwarzam wszystką prawdę; w s z y s t k ą, więc i tę, że wiedzy absolutnej musi w Rzeczywistości odpowiadać byt abs.; w s z y s t k ą — powtarzam — więc i prawdę o naturze Zła tudzież o warunkach Dobra. Skoro zaś dobro jest ex definitione tym, o czym rozum powszechny więc i mój powiada: b ą d ź!, zatem chcę je realizować. Ale przecie, wskutek zła, mój byt absolutny uległ zawieszeniu i przeto brak mi koniecznej substancji? Owszem; jednak rodzicielką mej zawieszonej substancji, bytu abs., była wszak prażródłowa autogenia. do której mam dostęp poprzez wiedzę abs., zatem obecnie już ja sam, działając wiedzą a za substancjalną odskocznię biorąc mój indywidualny byt względny, twórczo zaktualizuję swój byt abs.

Nie ma jeszcze prawdziwego mnie? Więc — n i e c h b ę d ę! Chcę, ż e b y m b y ł! i chcę, żebym był w sposób doskonały, wolny od wszelkiego zła: czyli że chcę samej doskonałości, rzeczy par excellence prawowitej — tej samej, której chce rozum stwórczy.[8] Za swój cel ustanawiam m n i e s a m e g o, moją absolutną i doskonałą rzeczywistość: a na tym właśnie polega AUTOTELJA.

Ze swej samości, na razie zawierającej tylko wiedzę, twórczym aktem wydobywam mój prawdziwy byt, który mi nie był aktualnie dany, a zatem wytwarzam coś i n n e g o niż aktualna moja samość; i na tym właśnie polega wpływ samości do inności.

VIII.

I oto zaczynam już b y ć r z e c z y w i ś c i e, skoro postanawiam realizować dobro poza wszelkimi widokami, jedynie po to, ż e b y d o b r o b y ł o, czyli skoro się zgłaszam i włączam do tego prądu kreacji, w którym autogenia stwarza rzeczywistość wszelką, więc i moją indywidualną. A jeżeli aż dotychczas obracaliśmy się w kręgu

[7] „Oto umysł człowieka! Każcie mu zatrzymać się przed osiągnięciem nieskończoności, — unicestwicie go. A nawet jeżeli dojdę kiedykolwiek do nieskończoności, czuję, że się i tam nie zatrzymam, że zawsze będę postępował naprzód ...". Bougaud.

[8] Zarzuci kto, że jest to właściwie bardzo subtelny egoizm. — Autor takiego zarzutu nie spostrzega błędnego koła w swym rozumowaniu. Dlaczegóż bowiem mam unikać rzekomego egoizmu, tkwiącego w tym pragnieniu doskonałości własnej? Gdyż egoizm jest niedoskonały, a przecie należy dążyć ... do doskonałości własnej!

idei mniej lub więcej oderwanych, to tutaj stajemy przed zjawiskiem w najwyższym stopniu konkretnym, które każdy z nas może natychmiast i bezpośrednio stwierdzić na sobie samym.

Jakąż niezłomność, jakie nadzwyczajne poczucie wzmożonej siły daje nawet drobny akt czystej woli moralnej! Kiedy nie dla popisu i nie z chwilowego entuzjazmu, ale w cichości poważnej decyzji bierzemy na siebie cierpienie lub choćby tylko zrzekamy się korzyści przez czysty wzgląd na dobro, jakże się w nas potęguje poczucie własnej rzeczywistości, substancjalności! Stajemy się jakby wysepkami absolutu pośród rozchełstanych oceanów względności. Wszystko jest niepewne i chwiejne, ale oto moje postanowienie — chociażby tak mało efektowne jak np. „nie skłamię, nie ukradnę!" — tworzy punkcik stały, od niczego w świecie niezawisły, równie niezachwiany jak prawda matematyczna. Nie ma na ziemi ludzi silniejszych nad prawdziwych bohaterów i świętych. Czymże wobec tej mocy, wyłącznie od siebie zależnej, więc żadnym chrematycznym sposobem nie zniszczalnej, jest potęga władców, którzy tylko póty są silni, póki inni chcą ich słuchać? czym siła atlety, uwodziciela tłumów, lubieżnika, zależnego od stanu swego ciała? czym pozorna moc popularnego złośliwego kpiarza i dowcipnego cynika, który bez poklasku staje się zerem? Kto był silniej samym sobą: Sokrates, którego moralnej decyzji nie mogło złamać n i c, bo ani troska o własną rodzinę, ani groza haniebnej śmierci, ani insynuacja znieprawiania młodzieży, i którego osobowość do dziś dnia żyje w nas swym przemożnym czarem, — czy też ci władzę mający, którzy mu wydarli życie, a potem nie śmieli jeden drugiemu w oczy spojrzeć?

— Innymi słowy, postanowienie realizacji dobra dla dobra przywraca nam kontakt z naszą substancją i tym samym daje nam s i ł ę konkretną, potrzebną do autokreacji. Że zaś ta substancja nie mieści się ani w podmiotowości naszej aktualnej wiedzy, ani w przedmiotowym świecie przyrody, więc owo przywrócenie kontaktu równa się prawdziwemu wytworzeniu.

Istotnie: skorom uchylił wszystkie motywy jednostkowe, m o j a wiedza przestaje się różnić jakościowo od Wiedzy Stwórczej; Słowo we mnie przestaje się różnić od Słowa u Boga; moj twórczy akt, zakładający moją rzeczywistość, utożsamia się bez reszty z tym aktem, którym Bóg zakłada moją odrębną rzeczywistość I z tą chwilą staję się prawdziwą o s o b ą.

W powyższym wywodzie sięgnęliśmy od razu do wyniku końcowego. Rzecz prosta, że moralność, oraz jej szczytowy rezultat: umożliwienie przejścia do autotelii, to dopiero sam początek procesu autokreacji.

Sam uczynek, choćby najbardziej moralny, w naszych warunkach fizycznych nie może być dokonany inaczej niż w oparciu o heteronomię. Toteż parokrotnie położyliśmy akcent na wyrazie postanowienie moralne. Postanowienie bowiem — nie będąc jeszcze czynnością, ale też nie będąc już czystą wiedzą, która tylko stwierdza — może być powzięte mocą wyłącznej i niczym nie uszczuplonej samorzutności naszej.

* *

*

Uwaga. — Gdy mowa o rozumie powszechnym, o wiedzy powszechnej, czytelnikowi mogą się narzucić dwa błędne wrażenia: 1. że to jakaś wiedza ogólnikowa, bezbarwna, wszystkim ludziom wspólna, więc wybitnie uboga w treść i nieoryginalna; 2. że przeto ja osobiście nie mogę nic jej przydać, bo jeżeli przydam, to tym samym ją zindywidualizuję, spartykularyzuję: a przecie uznaliśmy to za złe.

Otóż tak nie jest bynajmniej. Gdyby np. wszyscy ludzie na ziemi, z wyjątkiem dajmy na to Jana, skłonili się ku złu i wytwarzali fałsz, to wiedzę powszechną miałby na ziemi ten jeden Jan, a nie tamci wszyscy razem. Powszechność wiedzy polega na zgodzie z prawami rozumu i przeto na stosowalności do wszystkich indywiduów, której to cechy sfałszowana wiedza indywidualna nie posiada.

Po wtóre — rozum to nie szkatułka, zawierająca gotową prawdę, tylko władza czy narzędzie, którym się prawdę wytwarza i urabia; zatem bez twórczości osobowej — inna zaś nie istnieje — nie byłoby też wiedzy powszechnej. Im intensywniej produkuję prawdę i dobro, tym wybitniejsze piętno mojej osobowości nosi wiedza powszechna. Fałsz i zło natomiast są właśnie produkcją nicości.

Dr Stanisław Helsztyński

ROBERT FROST
CZYLI ZMIERZCH NOWEJ ANGLII

Rozszerzenie granic Stanów Zjednoczonych poza rzekę Missisipi, dokonane już przed wojną domową, pociągnęło za sobą katastrofalne skutki dla wschodnich kresów przyatlantyckich. Pacyfik odciągnął wielkie rzesze ludzkie z nad Atlantyku. Całe prowincje opustoszały.

Nowa Anglia straciła w tej sytuacji dawne znaczenie, żywotność, wagę zarówno polityczną, socjalną jak i gospodarczą. Żywsze elementy poszły na Zachód. Tam na wielkich przestrzeniach stanów wzdłuż Missouri i Missisipi zaczęto uprawiać rolę maszynami, na wielką skalę, intensywnie, tanio. Zboże dawnych prerii zalało via Chicago cały świat. Rentowność farm Nowej Anglii spadła do tego stopnia, że rolnicy tutejsi uchodząc przed długami i podatkami, rzucali farmy na łaskę losu i ulatniali się w świat na Zachód.

I oto doszło do tego, że kwitnąca niegdyś kraina, podstawa materialna bostońskiej, purytańskiej kultury, pepiniera uczonych, myślicieli i artystów, stała się pustkowiem. Milami można było jechać przez dobrze pobudowane szosy, a nie spotkać człowieka, co najwyżej jakąś zabłąkaną duszę przy sennej zagrodzie; z nawpół rozebranymi budynkami, z dziurawymi ogrodzeniami. Pośród ludzi, którzy zostali, jęła szerzyć się melancholia, choroby psychiczne, ciężkie wypadki zniechęcenia i ucieczki od życia.

Z tego podłoża smutku i opuszczenia wyrasta poezja piątego koryfeusza współczesnej poezji amerykańskiej, Roberta Frosta.

Przodkowie jego od ośmiu pokoleń siedzieli tu i gospodarzyli na roli. Ojciec poety wobec ogólnego nastawienia na Zachód, opuścił również tereny Nowej Anglii i zapędził się aż do San Francisco. Tam w r. 1876 przyszedł na świat Robert. Po śmierci ojca musiał chłopiec szukać schronienia u dziadka w Lawrence w stanie Massachussetts, gdzie kończył szkołę średnią. Próbował następnie trochę nauki w kolegium, próbował pracy w zakładach tekstylnych i gospodarzenia na roli przy poparciu finansowym ze strony dziadka. Przez parę lat męczył się tu Frost, nie mógł jednak wyżywić ani siebie,

ani żony z czworgiem dzieci, nie udawało mu się też pism skłonić do drukowania jego poezyj.

Cały ten okres od 1895 do 1912 to jedno wielkie poszukiwanie egzystencji, robione raczej pod wpływem żony i reszty rodziny. Był więc poeta wydawcą małego czasopisma i nauczycielem. Próbował kilka razy od nowa ukończyć studia w kolegium, a nawet w uniwersytecie Harvard w Bostonie. Prowadził pracownię szewską. Najuparciej trzymał się jednak na małym gospodarstwie rolnym w New Hampshire, ale robił to wszystko bez serca, niechętnie, jakby przez sen. Żadne z jego zajęć, wyjąwszy tylko życie natury, obserwowane podczas gospodarowania na roli, nie zostawiło śladu na jego psychice.

Ponieważ nawet zamiłowanie do roli i praca na niej nie dawało utrzymania, sprzedał w r. 1912 farmę i ulegając urokom Starej Anglii, skąd dochodziły go głosy o odrodzeniu poezji, wyjechał do Londynu. Mieszkaniec Wild Westu czułby się tu nieswojo. New Englander, Frost, znalazł się od razu w swym żywiole. Żeby zapewnić sobie dłuższą możność utrzymania się na powierzchni, wynajął w pewnym oddaleniu od Londynu farmę, produkował tyle zboża i warzyw, ile było dlań potrzeba, jeździł często do metropolii kontaktował się z przywódcami różnorodnych kierunków georgiańskich i — pracował nad swymi tomikami.

Pierwszy „A Boy's Will" ukazał się w r. 1913. Następny „North of Boston" już na wiosnę 1914. Pierwszy tom miał wielkie powodzenie, wywołał oddźwięk wprost entuzjastyczny. Kiedy po wybuchu wojny wracał w marcu 1915 z rodziną do Ameryki, jechał jako człowiek sławny, o zapewnionej świetnej karierze poetyckiej.

Co przyniosły dwa te tomiki, zwłaszcza drugi, który tak głęboko przemówił do czytelników? Klimat, atmosferę, zamierającej ziemi w ojczyźnie poety, w wąskim zasięgu regionu bostońskiego. Melancholię i smutek tubylczej anglosaskiej ludności, która powoli, lecz nieuchronnie stacza się ku zgubie. Czyż może być coś bardziej tragicznego, jak osady wyludnione, rzucone na krawędź pulsującego, coraz bardziej ku centrum oddalającego się życia? Tych samotnych trwających siłą ciężkości na straconych posterunkach przedstawicieli ludności wieśniaczej odmalował Frost w prostych, niewyszukanych, nie rymowanych słowach. Tak jak pamiętał ich od młodości. I to właśnie wstrząsnęło Anglią, a bezpośrednio potem Ameryką, która we Froście, zwłaszcza w stanach wscho-

dnich — uznała omal że nie czołowego wyraziciela swej psyche.

Weźmy parę obrazków. Do chaty Warrena wraca pod jego nieobecność stary, dawny pracownik, który przed największą robotą w żniwa rzucił u niego pracę. Żona widząc straszliwe zmęczenie biedaka, daje mu schronienie i przygotowuje męża, żeby nie oddalał nielojalnego pomocnika. Było to zbyteczne. Gdy mąż podszedł do śpiącego, ten już nie żył. („Śmierć najemnika.") Dwaj sąsiedzi postanowili poprawić mur graniczny, zrujnowany nieco od jakiegoś czasu. Poeta sprzeciwia się w zasadzie tej pracy, gdyż uważa ją za niepotrzebną: sąsiad, przeciwnie, wiedziony jakimś instynktem odwiecznym, nie daje się odwieść od tego, co od niepamiętnych czasów czynili ojcowie („Grodzenie płotu").

Całość tchnie prostotą, smutną, zrezygnowaną, wiejącą od osiedli wiejskich. Od początku do końca autor nie wyszedł poza temat, który go urzekł swoją tragedią.

Tom III, „Mountain Interval" (1916), kontynuuje dzieje tego ponurego zakątka stanów. Jak smutną jest „Zimowa noc starca", który będąc przerażony głuszą panującą dokoła niego, uderza późno w nocy w ustawione stosy beczek, aby wypełnić pustkę głosem bodaj jakichkolwiek przedmiotów. Jakie niesamowite światło rzuca na wyczerpane nerwowo dusze tych pogrobowców wiersz pt. „Kobieta na wzgórzu", którą wszystko niepokoi: odlot i przylot ptaków, dom, do którego wieczorem bez świecy wraca z mężem, podróżny proszący o jałmużnę, drzewo uderzające gałązkami o szyby. Samobójstwem kończy tę ustawiczną napiętą mękę duszy. „Brzozy" są jaśniejszym promieniem. Odzwierciadlają chłopięce lata autora spędzone na wsi.

Również tom IV pt. „New Hampshire" (1923) nie odbiega od Nowej Anglii, lecz obraca się w jej zaklętym kręgu. Opracowanie wątków jest bardziej subtelne, cieniowane, podniesione na wyższy poziom artyzmu.

Bostońskie sfery ułatwiły odtąd egzystencję poety. Najpierw od r. 1916 do 1920 po powrocie do Ameryki prowadził Frost w Amherst College w stanie New Hampshire, seminarium dla początkujących adeptów literatury. Później dwukrotnie miał stypendium jako poeta-rezydent przy Uniwersytecie Michigańskim w Ann Arbor bez żadnych obowiązków wykładu.

Od r. 1926 przebywa poeta z rodziną na nowej farmie w South Shaftesbury w stanie Vermont.

Dom poety jest skromny, z szorstkich ciosów kamienia. Cichy, spokojny, poważny, lubiący otaczać się młodymi ludźmi, przyjacielsko gawędzący z sąsiadami, przebywa tu Frost. Czeka na nowe fale nastrojów. Gdy nadejdą, zarywa godzin nocy i bywa niewidzialny po całych dniach. Pisze o mroku, sypia za dnia. Długie samotne spacery przerywają pracę.

Owocem dalszym twórczości Forsta był wydany w r. 1928 zbiór pt. „West-Running Brook".

W rolniczej Polsce być może najłatwiej byłoby Frosta przyswoić w całości. Nie dałoby to jednak czytelnikowi obrazu uniwersalnego o USA. Tylko mały ich skrawek interpretuje Frost. I to skrawek — zamarły.

Chodzenie po wodę.

Woda nam wyschła w bliskiej studni.
Konewkę biorąc więc i wiadro,
w pole biegliśmy za domami z tyłu
sprawdzić, czy źródło nie zamarło.

Chętni byliśmy tej przechadzce,
cieszył nas wieczór piękny w jesień,
choć chłodny; pola były nasze,
i naszym każdy krzew z zalesień.

Biegliśmy niby na spotkanie
księżyca, który wschodził właśnie.
Nad nami drzewa bez listowia,
bez ptaków w cichej stały jaśni.

Gdyśmy wstąpili w las jak duchy,
rzekliśmy: Niech nas szuka księżyc —
gotowi ukryć się gdzieindziej,
gdy nas w kryjówce tej dosięże.

Kładąc na siebie wzajem ręce,
słuchamy nim wzrok spojrzeć zdoła.
Nagle w milczeniu, ciszy — słuchaj!:
słyszymy, wiemy: źródło woła . . .

Zew, odzew cichy klasnął z głębi,
cienki, cieniutki dźwięk jak perła,
perła, płynąca wierzchem toni,
o!, drugi, drugi jak źdźbło z srebra.

Leśny postój w wieczornej śnieżycy.

Czyje to lasy, dobrze wiem.
Pan ich zamieszkał w siole swym.
Nie ujrzy tutaj mnie ten pan,
śnieg opowija las jak dym.

Dziwi konika taki stan,
żem się zatrzymał nie wśród ścian,
lecz w lesie i wśród wód,
w najdzikszy wieczór, w śniegu tan.

Konik się boi błędnych złud.
Ostrożny wstrząsa dzwonkiem chód.
Odpowiedź wieje z śniegu fal
i posuwistych wichru nut.

W ciemność odziany las i w żal.
Mój obowiązek jest jak stal:
nim spocznę, muszę pędzić w dal.
Nim spocznę, muszę pędzić w dal.

KOBIETA ZE WZGÓRZA

Samotność.

Nie trzeba się przejmować zbytnio,
jak to czynimy ty i ja,
gdy ptaki krążą nam nad domem,
że odlot wnet nastąpić ma;

ani kiedy znów powrócą,
świergotem robiąc wielki kram, — —
bo prawdą jest, że raz za bardzo
z tego powodu smutno nam,

raz drugi za bardzo wesoło
dla ptaków co podnoszą wrzask
przejęte sobą, sprawą swoich
wzniesionych czy zniszczonych gniazd.

Strach domu.

Zawsze — tak się już wzwyczaili —,
zawsze kiedy w wieczornej chwili
przyszli do domu samotnego,
do mroku i do ognia zgasłego,

uderzali w rygle i kłódki,
by ktoś, kto wewnątrz był, miał krótki
bodaj czas do ucieczki z wnętrza:
mrok wewnątrz izby ich zamęczał.
Więc nim weszli, drzwi otwierali
póty aż się lampa zapali.

Uśmiech.

Niemiły był mi sposób, w jaki odszedł.
Ten uśmiech! Nie był to życzliwy poszept.
Odchodził, a śmiał się, widziałeś? śmiał się!
Że mu daliśmy tylko chleba trochę,
poznał, że wiele nie mamy w zapasie?
Może dlatego, że w swą chwilę płochą
dał się nam obdarować miast rabować?
może drwił z nas, żeś mąż, że cię kocham,
żeśmy tak młodzi? (Musiał się radować,
widząc nas w myśli już starych i w prochach).
Ciekawam, jak daleko poszedł torem,
Pewnie nas śledzi, ukryty za borem.

Często powtarzany sen.

Nie miała dosyć twardych słów
na uprzykrzoną sosnę czarną
co wciąż schylała się do szyb
izby będącej ich sypialnią.

Te ręce bezsilne, ciągle w ruch,
w rytm wprawiane wiatru wahadłem!
Drzewo się zdało jak ptak — duch,
dziwów urzeczony zwierciadłem.

Nigdy nie weszło w środek izb — —
Jedno też tylko z nich obojga
widziało w częstym, częstym śnie,
co oznaczała taka groźba.

Odruch.

Było jej tutaj nazbyt pusto,
nazbyt posępnie,
a że nie mieli dzieci wcale,
czuła się smętnie.

Ponieważ w domu brakło zajęć,
więc była wolną.
Szła z nim na pracę, czasem leśną,
a czasem rolną.

Siadała na pniu i rzucała
garściami trocin,
nucąc sobie piosenkę cichą,
gdy się rozochoci —

Aż raz pobiegła aby zerwać
gałązkę wiązu —
odeszła tak, że nie słyszała,
gdy wołał, głosu —

Wołał. Miczała. Nie wróciła,
w lesie przepadła —
pobiegła ukryć się w paprociach
koło mokradła —

Nie odnalazł jej nigdy, chociaż
szukał jej wszędzie.
Próżno chodził do domu matki
pytać, gdzie będzie —

Nagle i szybko i tak lekko
węzły prysnęły —
Dowiedział się szczegółów końca
obok mogiły.

Sadzenie nasion.

Przyszedłeś, by mnie zabrać od pracy dziś w wieczór,
Choć kolacja na stole. Zobaczę, czy da się
odejść, nie grześć łopatą płatków które lecą
z drzewa jabłoni, (płatków, które w swoim czasie
zmieszane z grochem i fasolą razem, z nasion
wywiodą owoc bujny, bezpłodności przecząc),
czy mam iść z tobą, ziół ci ukazując baśnie
póty ażbyś zapomniał siebie i to przeczuł
co ja odczuwam w okrąg: jędrną ziemi żądzę.
Jak ona bucha żarem w tym sadzeniu ziaren!
Jak czuwa, aby rychło trysło życie wrzące,
kiedy w czas zielenienia się łąk, pól i aren
latorośl kłem, pałukiem członu pcha się z próchna,
torując sobie drogę i nad glebą puchnąc.

Kośba.

Żaden przez chwilę dźwięk nie zabrzmiał popod lasem,
wyjąwszy kosę moją co szeptała glebie.
Ale o czym szeptała, nie wiedziałem tego.
Może o słońcu, które świat raziło blaskiem,
może o zmilkłej ziemi, o milczącym niebie.
W istocie wciąż szeptała nie wydając głosu.
Nie było w szepcie jej śnień o wywczasie słodkim,
o wróżkach, krasnoludkach, które złota strzegą.
Coś innego niż prawda byłoby zbyt wiotkim,
zbyt lichym czymś w miłosnej pracy, która wraca
i raz za razem jęczmień kładzie w rząd pokosów.
Nie brak wśród nich kosaćców i błysków zaskrońca.
Czyn, rzeczywistość, oto, o czym śni wciąż praca.
Kosa moja szeptała, kosiła bez końca.

P R Z E G L Ą D Y

NIHIL NOVI...

(kronika teatralna listopad 1945—kwiecień 1946).

Teatry polskie znajdują się obecnie pod obstrzałem huraganowego ognia prasy codziennej i tygodniowej, mało — i wielko — miejskiej. Teatrom zarzuca się, iż zbyt wiele zważają na gusty szerokiej publiczności, ujawniające się przypływami i odpływani w kasie, a zbyt mało starają się świadomie kształtować swą publiczność, świadomie podsuwać jej — korzystając z niezwykłej teatralnej koniunktury — naprawdę wartościowy i wielki repertuar. Dyrekcje teatrów mają zawsze w takich wypadkach w zanadrzu argument, iż musząc być samowystarczalnymi — muszą repertuar swój konstruować nie tylko pod kątem wymogów rygorów artystycznych, ale i gustów publiczności, a nawet „publiczki" minorum gentium. Artyści muszą nie tylko dźwigać pochodnię sztuki, ale jeść i ubrać się. Na ten zasadniczy argument — znajdują się jednak równie słuszne i istotne kontr-argumenty. Dyskusja może się ciągnąć bardzo długo, tym bardziej iż recenzent w piśmie i dyrektor teatru rządzą się odrębnymi kryteriami. Dla jednego — decydujące są jego poglądy; dla drugiego — gusta publiczności, wyrażające się statystyką frekwencji. Przykład jednak „Lilli Wenedy", która w Teatrze Polskim w Warszawie idzie już czwarty miesiąc i którą podziwiało 100.000 widzów — wskazuje, iż jest możliwość zachowania wysokiej linii repertuarowej bez narażania się na najmniejsze nawet straty finansowe. Może nie zawsze najgwałtowniej atakujący krytycy mają zupełną rację, — jednak niewątpliwie na odcinku naszych teatrów „źle się dzieje w państwie duńskim".

Niezwykłe ilościowe bogactwo naszego życia teatralnego sprawia, iż trudno jest w ramach jednego artykułu zamknąć wszystkie sprawy naszego teatru za okres ostatnich sześciu miesięcy. Zostawiając tedy na boku dokładną analizę pod względem inscenizacji i gry wszystkich sztuk wystawionych — zajmiemy się głównie literacką stroną teatrów — to jest ich repertuarem.

Nim spróbujemy skonstruować pewne generalne wnioski — przyjrzyjmy się większym ośrodkom teatralnym, w pierwszej połowie drugiego sezonu powojennego. Drugiego — a więc takiego, który już nie powinien nosić na sobie piętna dorywczej improwizacji.

K r a k ó w.

Przed paru miesiącami pisałem na tym samym miejscu, iż obu czołowym teatrom Krakowa: Miejskiemu i Staremu — brak było w pierwszym sezonie: po pierwsze jakiejś jednolitej linii repertuarowej; po drugie — sztuk z wielkiego repertuaru; po trzecie — nowych sztuk polskich. Tego rodzaju osąd nie był osamotniony, było to zdanie powszechne. Po pierwszej połowie drugiego sezonu — niestety — musimy powtórzyć te same trzy zarzuty, w nieco tylko zmienionej formie. Po pierwsze — teatrom krakow-

skim brak w dalszym ciągu jakiejś wyraźnej, korzystnej linii repertuarowej. Po drugie — sztuk z t. zw. wielkiego repertuaru pokazono nam mniej niż w sezonie ubiegłym. Po trzecie — wprawdzie zaprezentowano nam w trzech teatrach aż 10 nowych polskich sztuk, z tego siedem prapremier, ale naogół były to sztuki, albo wręcz złe, albo słabe.

Przegląd teatrów tego miasta wypada rozpocząć od czcigodnego teatru Miejskiego im. Słowackiego, w dalszym ciągu prowadzonego przez dyr. Frycza. „Wypada": — gdyż właściwie chciałoby się teatr ten ustawić na szarym końcu, za karę, która mu się niewątpliwie należy.

Sławna „Komedia Francuzka" ma zastrzeżone w swym statucie, iż wolno jej grać jedynie sztuki, od których prapremiery minęło pełne lat dziesięć. Z wielką radością przywitalibyśmy podobny rygor w odniesieniu do teatru im. Słowackiego. Przynajmniej jedna scena w Polsce (jeżeli nie może to być jeszcze jedna scena w każdym wielkim mieście) powinna być całkowicie poświęcona „wielkiemu repertuarowi", który jest wręcz nieodzowny dla ogólnej kultury humanistycznej i artystycznej narodu, a który przed wojną był traktowany po macoszemu, a dziś w ogóle nie jest „traktowany". Jest to tym tragiczniejsze, iż młode pokolenie uczniów i studentów ma pod tym względem katastrofalne wprost braki. Przez czternaście teatralnych miesięcy nie pokazano nam, ani w Krakowie, ani w Poznaniu, ani w Łodzi Szekspira. W chwili, gdy wszelkimi sposobami próbuje się przełamać i zmienić wielowiekowe uprzedzenie Polaków do Rosji — zapomina się, iż tego rodzaju psychiczną rewolucję należy zacząć od sztuki, której powszechność najłatwiej uczyni pierwsze wyłomy. Nie wystawiano u nas żadnej sztuki z wielkiej dramaturgii rosyjskiej; ani Dostojewskiego, ani Gogola, ani tylu innych. Francuski teatr mignął nam na moment raz Molierem i raz Marivaux — i przepadł, jak kometa. Jestem zdania, iż nie wolno nam nawet zapominać o wielkiej sztuce niemieckiej. Dlaczego nie pokazuje się u nas Schillera czy Lessinga? Czyż z tragedii greckiej mamy nasycić się jedną „Antygoną". A nasz polski repertuar? Czyż dyrekcjom teatrów krakowskich wydaje się, iż poza „Balladyną" czy „Zemstą" niczego więcej już widz tutejszy ujrzeć nie pragnie.

Teatr im. Słowackiego winien stać się tylko i wyłącznie teatrem sztuk klasycznych. Że na tym i „interes" źle nie wyjdzie, niech pouczy dyrekcję krakowską powodzenie „Lilli Wenedy" w Warszawie i „Wieczoru Trzech Króli" w Katowicach. Wyżej przytoczona litania winna być traktowana jako życzenie: co chcielibyśmy możliwie rychło ujrzeć na deskach teatru Miejskiego.

Teatr Słowackiego zupełnie nie rozumie swej społecznej roli. Dziewięć sztuk wystawionych w ostatnim półroczu są jakimś przedziwnym bigosem, którego każdy kąsek wkrojono z myślą o innym bóstwie, nie troszcząc się, jak smakować będzie to wszystko razem w jednym ugotowane garnku. Na ołtarzu sztuki klasycznej, tej sztuki przez duże „S" — złożono „Balladynę". Przedstawieniu temu krytyka zarzuciła wiele grzechów. Jeden wydaje mi się najistotniejszy: reżyseria niepotrzebnie poszła po linii możliwego realizmu, miast traktować utwór Słowackiego jak najbardziej baśniowo. Taka urealniona baśń straciła cały swój urok. Z baśni pozostała tylko fabuła, która domaga się zawsze dużych reżyserskich skrótów. Tu dokonano ich dosyć niefortunnie, tak iż w rezultacie przedstawienie było najbardziej nudnym i „drewnianym", jakie w teatrze tym pokazano po wojnie. Spektakl ten w całej rozciągłości potwierdził krakowskie powiedzenie, iż teatr im. Słowackiego najlepszą inscenizacją wyposaża najgorsze sztuki. Najlepsze natomiast . . . — i tu właśnie jest casus „Balladyny", która inaczej potraktowana mogła stać się konkurentką warszawskiej „Lilli Wenedy".

Jedyny spektakl z prawdziwego zdarzenia w tym okresie to „Grube Ryby"

— jako jubileuszowy koncert Mistrza Solskiego.

Salut ku czci i pamięci minionych czasów grozy i bohaterstwa wystrzelił teatr im. Słowackiego dwoma najfałszywszymi pociskami — „Przejrzały oczy nasze" Wandy Karczewskiej i „Zamachem" Brezy i Dygata. Obie sztuki — których cechy charakterystyczne omówię jeszcze poniżej — znalazły się w teatrze Miejskim chyba tylko przez nieporozumienie. Tego rodzaju sztuki winny być grywane na scenach o zupełnie innych ambicjach. I — jak na ironię — obie sztuki otrzymały od dyrektora Frycza wspaniałą oprawę aktorską.

Na ołtarzu złośliwego bożka „społecznego zamówienia" dyrekcja zarżnęła dwie inne ofiary: „Bartosza Głowackiego" Wandy Wasilewskiej i „Portret Generała" Wirskiego. Obie one stały się klasycznym przykładem prawdy, iż teza polityczna, czy społeczna, to jeszcze grubo za mało, by sztuka była dobra i by była chętnie słuchana. Funkcja społeczna tezy podanej w złej sztuce — znacznie bardziej utrudnia realizowanie danego programu światopoglądowego, niż wystawienie sztuki artystycznie dobrej, lecz pozbawionej tendencji.

Wreszcie na ołtarzu gustów najszerszej publiczności złożył teatr trzy barany: „Pannę Maliczewską" (murowana Zapolska!), „Króla" Caillavet'a i Flers'a Roberta (też murowany) i „Ich dwóch" Niewiarowicza. Na usprawiedliwienie teatru można powiedzieć, że pierwsze dwie są istotnie dobrymi sztukami, acz błahymi. Grane były koncertowo. Inscenizacji nie można nic zarzucić. Trzecią natomiast — której na szczęście nie widziałem — opinia publiczna przyjęła zdecydowanie nieprzychylnie, gdyż jest to tak zwana „zła sztuka".

Stąd krótki wniosek: Teatr im. Słowackiego, dysponujący znakomitą plejadą aktorów, reżyserów i dekoratorów — nie jest dobrym teatrem. Błąka się po omacku. Nie zdaje sobie sprawy, ani z tego na co go stać, ani co powinnien grać!

Bilans Starego Teatru przedstawia się znacznie dodatniej. Na osiem wystawionych sztuk cztery były prapremierami polskimi (Flukowskiego „Jajko Kolumba", Świnarskiego „Jason", Zawieyskiego „Masław", Pepłowskiego „Droga do świtu"), jedna była sztuczką kasową („Roxy") na pokrycie wszelkich niedoborów, dwie natomiast — zaliczyć należy do polskich „wydarzeń teatralnych"; zrealizowały one w części ambitne zamierzenie przyswojenia nam współczesnego teatru francuskiego. Tyle cyfry. Wydaje mi się, iż Stary Teatr wybrał sobie jakąś linię repertuarową, tylko trzyma się jej nie specjalnie szczęśliwie. Wydaje mi się, iż jedną z sal Teatr poświęcił polskim prapremierom, drugą natomiast sztukom obcym, w danym wypadku francuskim. Gdyby Stary Teatr zdecydował się na ścisłe kontynuowanie i przestrzeganie tego rodzaju podziału — sądzę, iż dane by mu było odegrać olbrzymią rolę w naszym życiu kulturalnym. Jedna scena to polskie prapremiery: lepsze i gorsze, obok bardzo dobrych mogły by być i bardzo złe (konieczne są i takie dla kształcenia autorów dramatycznych i gustów publiczności). Oczywiście należałoby unikać tego, co pokazano nam właśnie w Starym Teatrze, iż wszystkie cztery prapremiery były nie najlepszej klasy. Nie zupełnie zrozumiałym jest fakt, dlaczego pokazano g o r s z e sztuki Swinarskiego i Flukowskiego, podczas, gdy autorzy mają inne, dobre w tece. Druga natomiast scena Starego Teatru winna pójść śladami doskonałych przedstawień „Nieboszczyka Pana Pica" de Peyret-Chapuisa i „Pasażera bez bagażu" Anouilha. Dwie znakomite współczesne sztuki francuskie wystawione zostały starannie, grane koncertowo przez prawie identyczne zespoły z Dulębą, Warneckim, Ciecierskim na czele.

Druga scena Starego Teatru ma dwie drogi do wyboru: albo poświęcić się całkowicie teatrowi francuskiemu, na przestrzeni wszystkich wieków, albo też stać się sceną dla współczesnej dramaturgii zagranicznej, ale najwyższej klasy, reprezentowanej w peł-

ni przez dwa wspomiane dramaty francuskie. Powodzenie „Nieposzczyka pana Pica" i „Pasażera bez bagażu" jest najlepszym dowodem, że w razie zdecydowania się na którąś z tych koncepcji dyrekcja teatru nie będzie potrzebować uciekać się do kasowej pomocy takiej błahostki, jak amerykańska komedyjka „Roxy".

Sztuki Shawa powinny być u nas grane, gdyż są to sztuki doskonałe. Nie wszystkie wprawdzie, ale znakomita ich większość. „Pigmalion" należy do sztuk bardzo ciekawych i dla Shawa charakterystycznych. Jest to jedna z jego najpopularniejszych sztuk. W roku bieżącym grano ją nie tylko prawie w każdym mieście Polski (coś jak „Moralność Pani Dulskiej", „Ostrożnie! Świeżo malowane" i „Wesele"), ale też idzie ona aktualnie w paru wielkich miastach obu półkul. Niemniej wydaje mi się, iż raczej należałoby pomyśleć nad przyswojeniem naszemu widzowi nowych dla niego, u nas dotąd nie granych, sztuk wielkiego dramaturga angielskiego, a nie pokazywać sztukę która już przed wojną obeszła tryumfalnie nasze wszystkie sceny.

Dzieje się jakaś wielka krzywda, iż teatr Adwentowicza, jedna z wartościowszych i ciekawszych pozycji naszego życia kulturalnego — ciągle jeszcze, tak przed wojną, jak i teraz, nie może się doczekać należytej sali. Przed wojną Adwentowicz gnieździł się w długiej kiszce na ul. Senatorskiej w Warszawie, teraz — dla równowagi — gra w ogromnej sali, przerobionej z ujeżdżalni. Teatr nieprzytulny o fatalnej akustyce, nadający się na rewie ludowe, albo wiece przedwyborcze — a nie na scenę dla sztuk tego rodzaju, jak „Burmistrz ze Stylmondu", „Dwa Teatry" czy „Lompa". Zrodziła się inicjatywa oddania Adwentowiczowi sali kina „Świt". Sprawę miała rozstrzygać Rada Miejska Krakowa — i nic z tego nie wyszło. Widocznie ważniejsze są marne filmy, niż dobry teatr.

Gdyż teatr Adwentowicza jest naprawdę dobry. Przez cały półroczny czas swego istnienia w Krakowie, raz tylko pozwolił sobie na sztuczkę najniepotrzebniejszą pod słońcem „Jasia u raju bram" Hemara. Reszcie spektakli nie można nic zarzucić, a większość nawet należy pochwalić. Pominąwszy „Moralność Pani Dulskiej", do której nieodzowności zdołano nas już przez rok przyzwyczaić — Adwentowicz sprezentował nam cztery ciekawe przedstawienia, we wszystkich grając role czołowe. „Burmistrz Stylmondu" wystawiany w Krakowie był zupełnie odmienny od wystawianego przed tym w Warszawie. Adwentowicz uniknął całej szarży, nie ważył się na mętne wody popularnej aktualizacji; tak pokierował sztuką, iż dramat Maeterlincka nie przerodził się w rodzimy melodramat. Zawdzięcza to nie tylko sobie, ale też i współwykonawcom Niedźwieckiej, Szczepkowskiemu i Filusowi.

O „Lompie" Gołby i „Dwuch Teatrach" Szaniawskiego pomówimy specjalnie. „Ojciec" Strindberga — sztuka z repertuaru Adwentowicza — nie znalazła i nie znajdzie, tak samo jak i Ibsen, zrozumienia u dzisiejszego widza. Inne czasy. Niemniej i Strindberga, i Ibsena, i Hamsuna należy grać. Teatr jest nie tylko, by bawił, ale by uczył — ten truizm zawsze obowiązuje. Dlatego dobrze się stało, że Adwentowicz wystawił „Ojca".

Po przeniesieniu do stosowniejszego lokalu Teatr Adwentowicza winien stać się sceną, na której znalazłyby się sztuki różne. Polskie i obce, gorsze i lepsze, z okresu ostatnich lat stu; jednak z wyłączeniem t. zw. wielkiego repertuaru klasycznego.

Najgorszym teatrem krakowskim jest niewątpliwie Teatr Kameralny TUR-u. Zastanawiające jest, jakie względy kierują dyrekcją przy doborze sztuk, skoro każdorazowy kierownik literacki ogłosza niemal że publicznie protesty. Nazwa „Teatr TUR-u" do czegoś przecież obowiązuje. Wydaje się, iż winien być to teatr przeznaczony do kształcenia „odbierania sztuki teatralnej" młodzieży szkolnej i robotniczej oraz szerokich mas pracujących. Repertuar winien być układany w tym wypadku

nie tylko przez artystów, ale i przez nauczycieli. Obecnie nie ma to miejsca napewno. Po „Lecie w Nohant" wystawiono Sheriffa „Kres Wędrówki". Było to ciekawe i dobrze grane przedstawienie (znakomity Niewiarowicz!), którego subtelną wartość mógł poznać jedynie bywalec teatralny. „Ostrożnie, świeżo malowane", sztuczka francuska Fauchoisa, następny program teatru TUR-u, byłaby może miłą inowacją na tle innego repertuaru. Ma ona rzetelne walory sceniczne komedii. Ale to jest jeszcze mało, by być graną w teatrze TUR-u. Nawet występ Fertnera nie usprawiedliwia w tym wypadku wystawienia. Szczyten swoiście pojmowanej pedagogiki teatralnej było wystawienie, przez trzy długie miesiące, szmiry austriackiej „Muzyka na ulicy".

Inne imprezy teatralne Krakowa nie odgrywają specjalnej roli. Teatr Rapsodyczny występuje sporadycznie i ma charakter elitarny. Teatr Kolejarzy — charakter popularno-ludowy. Teatr Lalki i Aktora „Groteska" zamilkł zupełnie.

Kraków ma wszelkie dane, by jeszcze długo utrzymać berło stolicy teatralnej Polski. Są to dane obiektywne. Czy jednak — utrzyma je rzeczywiście? Jeżeli zachowa swoją paradoksalną linię repertuarową o tendencjach spadkowych — to napewno nie. Któż wtedy podejmie to berło? Czy może Łódź?

Łódź.

Łódź ilością scen stara się dorównać Krakowowi. W tej chwili ma trzy sceny normalne, jedną o typie kabaretowo-komediowym, i — jak wszystkie miasta Polski — parę pół-scenek, do produkowania kiepskich rewii, przez kiepskich aktorów dla kiepskiej publiczności.

Najambitniejszą sceną łódzką, która poza tym swym poziomem sięga śmiało po rangę najlepszego teatru w Polsce — jest Teatr Wojska Polskiego. I tu repertuar jest ciągle jeszcze niejednolity, co jest tym bardziej pożałowania godne, iż sztuki tego rodzaju, jak „Ostrożnie, świeżo malowane" — ze znakomitym skutkiem mogły by być grane, gwoli rozrywce szerokich mas, przez jakąś inną scenę łódzką. W ciągu tego okresu sześciu miesięcy Teatr Wojska Polskiego zapisał na swe konto, aż cztery doskonałe przedstawienia.

„Wesele Figara", które stanowczo winno zluzować „Ostrożnie, świeżo malowane", lub „Moralność Pani Dulskiej" w wszechpolskiej popularności, jest sztuką wielkiego repertuaru, której nigdy dosyć oglądać i pokazywać. Inscenizacja w Teatrze W. P. nie była najtrafniejsza. Poszła ona raczej po linii operetkowej, komediowej, salonowej. Akcenty i aluzje polityczne, mimo iż „wywołały Wielką Rewolucję", zostały teraz raczej stuszowane. Sławny monolog wypadł blado, gdyż ginął w kostiumach, dekoracjach; brak mu było jakiejś wyraźnej klamry wyróżniającej go z pośród całego aktu ostatniego. Tym więcej, iż znakomity aktor Damięcki — do roli tej nie był trafnie wybrany. Z tytułowym aktorem „Wesela Figara" jest zawsze duży kłopot, który wynika z pewnej wewnętrznej niekonsekwencji samego utworu. Przez cały czas, aż do aktu V, Figaro to młodzik, syn wprawdzie starego ojca, ale matki obdarzonej jeszcze „pretensjami". I raptem młodzik ten w akcie ostatnim demaskuje się w monologu, jako życiem doświadczony mężczyzna, który poznał smak i mądrość ludzkiego trudu na własnej skórze. Sądząc tylko po monologu — Figaro liczyć powinien sobie lat conajmniej czterdzieści. Stąd trudności w doborze artysty. Gra Figara (wraz z monologiem) wymaga aktora o dużym wyrobieniu scenicznym i dużym talencie, a tu tekst narzuca figurę, rysy i głos młodzika. W efekcie — u Damięckiego — ani figura, ani głos, ani temperament (monolog wypadł zbyt spokojnie, beznamiętnie) nie godzą się nam z wizją narysowaną, choć niekonsekwentnie, przez Beaumarchaisa.

Zdecydowanie źle wybrany był do roli Cherubina — Wołłejko. Wszystkie kobiety, które pamiętamy w tej roli — wywiązywały się z niej znacz-

nie lepiej; były bardziej przekonywujące. Tymczasem męski Cherubin — błaznował na scenie.

Przy tym wszystkim — przedstawienie było doskonałe i Teatr WP wyrządził dobrą przysługę teatralnemu wychowaniu nowego polskiego widza.

Większym jeszcze osiągnięciem tego teatru było wystawienie „Elektry" Giraudoux. O sztuce tej pisano już tyle, że trudno coś nowego dorzucić do dyskusji o niej — zarówno w sensie ujemnym, jak dodatnim. Jedno muszę z całą stanowczością podkreślić: w dyskusji, zainicjowanej rozprawą publiczną w łódzkim „Klubie Pickwika", padły zarzuty pod adresem dyrekcji teatru, iż źle zrobiła wystawiając sztukę, która tak różne i tak sprzeczne wywołuje refleksje ideowe. Wydaje mi się, iż właśnie ten zarzut — należy powtórzyć, ale w formie zdecydowanej pochwały. Sam fakt, iż sztuka Giraudoux potrafiła wywołać tak ożywioną, swym geograficznym obszarem obejmującą całą Polskę, dyskusję — już dostatecznie usprawiedliwia jej wystawienie. Jest to sztuka, która zmusza do myślenia. Myślenia samodzielnego, niezgodnego lub idącego mimo wszelkie uznane kierunki ideowe, czy schematy. Sztuka zresztą trudna, której niesłabnące powodzenie jest drastycznym oskarżeniem skierowanym pod adresem dyrektorów teatralnych, gdy na usprawiedliwienie swego podłego repertuaru wytaczają względy kasowe. W Krakowie fałsz takiego usprawiedliwienia zdemaskowały „Nieboszczyk Pan Pic" i „Pasażer bez bagażu". W Łodzi uczyniły to „Elektra" i „Wesele Figara".

Kwartet celnych przedstawień dopełniły obie komedie fredrowskie. „Pan Jowialski" grany na jubileusz Marii Dąbrowskiej i „Zemsta" na jubileuszowy benefis Władysława Grabowskiego.

O trzech innych sztukach wystawionych w tym czasie w Teatrze WP — mówilismy już przy innej okazji. O „Lecie w Nohant" w poprzedniej kronice; niestety przedstawienie łódzkie nie było lepsze niż krakowskie. „Pigmalion" — jako sztuka seryjna — i „Ostrożnie, świeżo malowane" jako seryjna i niepotrzebna — dopełniały repertuaru Teatru WP, teatru naprawdę dobrego.

„Teatr Powszechny" TUR-u grzeszy akurat tymi samymi błędami, co jego krakowski kuzyn. Jest teatrem, który mija się ze swym przeznaczeniem. „Świerszcz za kominem" Dickensa jest sztuką bardzo miłą i wartą w każdym razie udostępnienia jej naszej publiczności —, ale już następna premiera tego teatru, „Mariusz" Pagnola, budzi niepokój, podobny temu, jakiego doświadczyliśmy oglądając w Krakowie „Muzykę na Ulicy" (przy całej mimo wszystko różnicy obu tych sztuk!)

Tak samo niewyraźnie zapoczątkował swą karierę nowy teatr „Kameralny" — chyba, iż stawia sobie za ciekawe zadanie granie sztuk z czasów Młodej Polski. Sensownie skonstruowany cykl takich sztuk byłby eksperymentem naprawdę ciekawym i wartym trudu, choćby dla tego, by wykazać wartości żywe i wartości przebrzmiałe teatru Młodej Polski. Niestety dwie sztuki „Głupi Jakób" Rittnera i „Ich czworo" Zapolskiej — są jeszcze zbyt skromnym osiągnięciem, by można rozważać tu repertuar teatru.

Jest w Łodzi jeszcze jedna impreza teatralna, która w życiu tego miasta odgrywa rolę niemałą. Jest to teatr „Syrena" kierowany przez Jerzego Jurandota. Jego trzyaktowa komedia, satyra obyczajowo-polityczna, „Plecy", była pewnego rodzaju „clou" łódzkiego sezonu. „Plecy" zdają się być już jedną z nowych pozycji żelaznego repertuaru, gdyż premiery tej komedii odbywają się właśnie w paru dalszych miastach. Jest to niewątpliwie doskonała komedia polityczno-obyczajowa. Sukces jej był godziwie zasłużony i przez autora i przez wykonawców. Gorszą pozycją są „Trzej Muszkieterowie" następny program „Syreny". To widowisko muzyczne zyskałoby znacznie na skrótach. Wydaje mi się, iż „Syrena" ma bardzo doniosłą rolę do odegrania w naszym życiu teatralnym. Jednak nie jako te-

atrzyk lepszych czy gorszych rewii, lecz jako scena dla lekkiej komedii — swojej i obcej —, lub nawet operetki.

Łódź jest dziś nader ważką pozycją w naszym życiu teatralnym, co jest tym charakterystyczniejsze, iż przed wojną jedyny teatr Miejski, jaki był w tym przeszło półmilionowym mieście, w gruncie rzeczy wegetował, przynajmniej artystycznie. Dziś teatr łódzki zdobył się na „Elektrę" — najwybitniejsze przedstawienie bieżącego sezonu w skali ogólnokrajowej. Ciekawe jest tylko jedno, iż Łódź, w przeciwieństwie do Krakowa, nie wystawiła jak dotąd żadnej nowej sztuki polskiej, ani żadnej sztuki ilustrującej czasy okupacyjnej grozy. Jedyny szerzej znany wypadek z odrzuceniem przez dyrekcję Teatru WP propozyji wystawienia takiej właśnie sztuki — świadczyłby, iż wchodzą tu w grę przyczyny słabego poziomu artystycznego tych utworów. Tak czy inaczej — brak nowych sztuk polskich co do wyboru których może dyrekcje łódzkie miałyby szczęśliwszą rękę niż kierownictwa krakowskie — jest zasadniczym mankamentem repertuarú.

Warszawa.

Warszawa jest właściwie miastem jednego teatru. Państwowego Teatru Polskiego kierowanego przez A. Szyfmana. Trzy inne teatrzyki — t. zw. Miejskie — są zasadniczo tylko teatrzykami pewnych dzielnic stolicy: „Comedia" i „Powszechny" — Pragi. „Mały" — Śródmieścia. Warszawie brak jest sal teatralnych. To decyduje o rozwoju sztuki scenicznej w tym mieście. Pierwszorzędny element aktorski, którego nie jest tutaj tak wiele — zgrupował się w teatrze Polskim. Dyrektor Szyfman — odnowiwszy pięknie gmach stary — potrafił stworzyć scenę pierwszorzędną. Inauguracyjne przedstawienie „Lilli Wenedy" wywołało wprawdzie niesłuszne zastrzeżenia przeróżnych „ideologów", ale zato vox populi dał pełną satyfakcję i dyrekcji i wykonawcom. W ciągu trzech miesięcy sztukę obejrzało przeszło 100.000 widzów, co jest na nasze stosunki cyfrą niebywałą. Jak sztuki francuskie w Krakowie, jak „Wesele Figara" i „Elektra" w Łodzi, tak „Lilla Weneda" w Warszawie dowiodły niezbicie, iż dobry teatr i poważny repertuar zawsze mogą liczyć na powodzenie kasowe. Osterwa dokonał swą interpretacją Ślaza — wyczynu bardzo odważnego. Mianowicie przez jaskrawo groteskową karykaturę tej postaci — wprowadził do sztuki silny kontrast, który może okazał się zbyt ostry, jak na nasz przeciętny smak, ale który, bardzo prawdopodobnie, bliski był koncepcjom Słowackiego. Inscenizacja sztuki była wręcz niebywała — jeżeli chodzi o bogactwo barw. Momentami wprost „widziało" się poezję. Gorzej jednak, iż przeważnie źle ją było słychać, w czym jest po równo winy aktorskiej dykcji, jak niesfornego zachowania się publiczności (kaszel!).

Drugie skolei przedstawienie Teatru Polskiego — „Majątek albo imię" Korzeniowskiego. Sztuka, nie grana prawie od jej prapremiery (rok 1860!) wystawiona była z całym przepychem; inscenizacja Szyfmana starała się przypomieć widzom starą Warszawę, tę z Kostrzewskiego. Sztuka grana była koncertowo szczególnie przez Lindorfównę, Broniszównę i Dominiaka. Oczywiście na komedię należy patrzeć przez okulary historii literatury. Tylko stale mając na uwadze tło literackie tamtych czasów — można nie tylko wysłuchać ją cierpliwie do końca, ale nawet ubawić się nieźle. Gdyż „Majątek albo imię" mierzony naszymi współczesnymi manierami — jest może nawet gorszy od „Starego Dworku" Ważyka. Jest to też kiepsko udramatyzowany artykuł publicystyczny. Względy pewnej pedagogiki teatralnej, które przytacza Szyfman, jako decydujące w wyborze sztuki — nie zdają się być słuszne. Do zorientowania nowego widza w ówczesnej sztuce dramatycznej — znalazłyby się i u Korzeniowskiego, i poza nim, inne, lepsze, i bardziej dla epoki tamtej reprezentatywne utwory.

Warszawskie teatry Miejskie stały się terenem oryginalnego eksperymentu: mianowicie specjalizują się w ko-

biecych prapremierach, lecz co gorsza prapremierach nie dobrych. Po omawianym zeszłym razem scenicznym reportażu „Obcym wstęp wzbroniony" — otrzymaliśmy skolei w teatrze „Małym" debiut Śliwiny „Macierzyństwo panny Jadzi" czyli „Sprawa Moniki" na wesoło. Parę udanych dowcipów niestety nie potrafiło ustrzec autorki od ideologicznego gadulstwa i pustego teoretyzowania co sztuce na zdrowie nie wyszło. Zdecydowanie słaby jest natomiast debiut Rosnowskiej „Pomocnica domowa", który ma też wszystkie wady właściwe nieumiejętnej przeróbce tezy w dramat, który na takiej operacji wychodzi papierowo, płasko i nieprzekonywująco. Warszawa zbyt zgłodniała jest dobrej sztuki, i zbyt trudne ma w tej chwili warunki życia, — żeby teatry mogły sobie pozwalać na eksperymenty, w rodzaju omówionych debiutów. Dodatnimi pozycjami teatrów miejskich było wystawienie „Wroga ludu", o którym można powtórzyć wszystkie uwagi, napisane o „Ojcu" Strindberga, oraz farsy „Dom Otwarty" Bałuckiego. Małym zadośćuczynieniem za repertuarowe grzechy jest wystawienie błahostki Montgomery'ego „Dzień bez kłamstwa". Jeżeli chodzi o walory inscenizacyjne sztuk w teatrach miejskich — to niestety są one na poziomie małomiasteczkowych spektakli.

Trudno dyrekcjom teatrów warszawskich stawiać jakieś wygórowane wymagania, zanim BOS nie wybuduje nowych sal teatralnych i nie wyremontuje mieszkań dla aktorów. Zanim poszczególne dzielnice miasta nie będą po godzinie 5 pp żyły własnym, odrębnym życiem. I tak wiele zostało zrobione, że powstały aż trzy teatry popularne i jeden, naprawdę wielki, naprawdę reprezentacyjny, oby spadkobierca wszelkich osiągnięć i tradycyj naszej sztuki dramatycznej, — Państwowy Teatr Polski.

Gdzieindziej.

Zdecydowanie w tyle za Krakowem i Łodzią — pozostaje Poznań, którego trzy teatry zadowalają się mniej lub więcej dobrym wystawianiem sztuk powszechnie uznanych, granych równocześnie w innych miastach. „Panna Maliczewska", „Pan Jowialski", „Zemsta", „Wesele" oto kanon repertuarowy, który Poznań zastosował bez większych inowacji. Jeżeli je wprowadził — to były pozycje raczej nieciekawe, jak np. Kiedrzyńskiego „Pensjonat we dworze".

Zdecydowanie interesująco — przynajmniej z odległości — przedstawia się repertuar teatru w Bydgoszczy, który w ciągu ostatnich miesięcy wystawił aż trzy polskie prapremiery, o których wieść głosi, iż są grubo lepsze od prapremier krakowskich. Są to: Grzymały-Siedleckiego „Ludzie są ludźmi", Krystyny Grzybowskiej „Promieniści", Iwaszkiewicza „Stara Cegielnia".

Podobnie ciekawie poczyna sobie teatru w Opolu, który porwał się na śmiałe dzieła: wystawienie wszystkich sztuk Słowackiego. Dotąd grał „Balladynę" i jako jedyny w Polsce „Kordiana". Słowacki wogóle — ma szczęście — jest popularny. Prócz Warszawy, Krakowa i Opola — Rzeszów grał „Balladynę", a Olsztyn „Marię Stuart".

Naogół prowincjonalne teatry, których jest wiele, grają ten sam repertuar, co teatry miast dużych. Do znudzenia powtarzają się trzy warianty Zapolskiej „(Moralność pani Dulskiej", „Ich czworo", „Panna Maliczewska"), „Klub kawalerów", „Grube ryby", „Pan Jowialski", „Śluby panieńskie", „Pigmalion", „Ostrożnie, świeżo malowane", ba nawet „Jaś u raju bram" itp. Wyjątki w rodzaju Maughama „Święty płomień" (Rzeszów), „Ziemia nieludzka" Curella i „Nadzieja" Heijersmansa (Lublin) — mało świeżości wprowadzają w tę monotonję.

Na tym tle zdecydowanie odcina się teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach, który po dobrym wystawieniu „Wesela", po ciekawej dla mas, tak mało obeznanych z sowiecką dramaturgią, sztuce Kornejczuka „Misja Mr. Perkinsa do kraju bolszewików", po prapremierze Brzozy „Stary dzwon" — zdobył się na znakomity spektakl — dając „Wieczór Trzech Króli" Szekspira. Oby był to dobry

początek. Jesteśmy głodni Szekspira. Niechby stary ojciec sceny światowej — wyrugował z naszego żelaznego repertuaru wszelkie Zapolskie itp., których po tym roku mamy już powyżej uszu.

Kasa i Sztuka.

Tak tedy w wielkim skrócie i pośpiechu przeglądnęliśmy rezultaty pracy zasadniczych ośrodków naszego życia teatralnego.

Głównym zarzutem, jaki czynimy zarówno dyrekcjom teatrów jak i odnośnym czynnikom Ministerstwa Kultury i Sztuki, które należycie nie inspirują teatrów — jest zarzut braku jakiegokolwiek programu, jakiejkolwiek linii repertuarowej. Każdy teatr jest w gruncie rzeczy zbiorem dosyć przypadkowych przedstawień, niekiedy diametralnie różniących się od siebie i artystycznie i ideologicznię.

Teatry w Polsce przeżywają dziś moment bardzo ciekawy, lecz nakładający na nie duże obowiązki. Renesans popularności teatru wśród szerokich rzesz naszej ludności miejskiej — jest nie tylko rezultatem „wygłodzenia dramatycznego" przez sześć lat okupacji. W grę wchodzi tutaj i drugi czynnik, znacznie istotniejszy. Wojna, jak zwykle, stworzyła nowe kasty ludzi zamożnych, — mniejsza w tej chwili, jakie są źródła tej zamożności! Nie są to może jeszcze warstwy proletariackie, ale są to już szerokie rzesze drobnomieszczaństwa małego kupiectwa, rzemieślników. One to dziś, przez fakt swej zamożności, stają się konsumentami dóbr kulturalnych, w pierwszym rzędzie książek, kina i teatru. Wystarczy chwil parę przyjrzeć się uważnie widowni, wystarczy zobaczyć taką widownię w miasteczku, gdzie nigdy przedtem nie było teatru — by stwierdzić, że teatr otrzymał nowego widza. Widz ten jeszcze jest zupełnie surowy. Nie umie się w teatrze zachować — nieustannie kaszle, chrząka i szepce. Widz ten jednak konsumuje sztukę bardzo intensywnie, choć bez żadnych kryteriów, bez selekcji, bez wartościowania. Chodzi na wszystko do teatru i jest zupełnie surowym materiałem, który może być ukształtowany w ten lub inny sposób. Otóż na dyrekcjach teatrów ciąży obowiązek, by tego nowego widza wychować do rzetelnej sztuki dramatycznej, sztuki przez duże „S". Jeżeli w ciągu tych paru sezonów teatralnej edukacji — nowy klient teatru przyzwyczaił się do szmir i głupstw — sprawy sztuki dramatycznej w Polsce zostaną przegrane na długie lata. Dlatego też na naszym teatrze, który ma tak chlubne tradycje, właśnie dzisiaj ciąży szczególnie ważny obowiązek.

Jak dotąd teatry postępują w sposób, który wzbudza uzasadnione podejrzenia, iż dyrektor nie ogląda widowni przed spektaklem przez dziurkę w kurtynie, iż kaszel, nieustannie we wszystkich teatrach głuszący „aktorskie partje", nic mu nie mówi. — Dyrekcje absolutnie nie zdają sobie widocznie sprawy z osobliwej chwili, jaką same przeżywają obecnie, z tych wszystkich zasadniczych i rewolucyjnych zmian, jakie dokonywują się w strukturze socjalnej i intelektualnej widowni.

Repertuary wszystkich niemalże teatrów polskich dowodzą niezbicie — iż nasze powyższe spostrzeżenie jest niedalekie od prawdy. Jakimi natomiast względami powodują się dyrekcje przy ustalaniu repertuaru — trudno doprawdy zgadnąć. Bo chyba, jak dotąd żadne przedstawienie, dobre czy złe, (poza jedynym „Bartoszem Głowackim" Wandy Wasilewskiej), nie zrobiło w ostatnich czasach finansowej klapy. A więc nie finansowe względy są najważniejsze? A więc co? W czym tkwi tajemnica tak lichego i tak nijakiego wyboru repertuarowego, dokonywanego przez dyrekcje?

Są to zasadnicze pytania. Odpowiedzi na nie możemy nie otrzymać, — miast odpowiedzi wystarczy jakaś „naprawa repertuaru". Taka „naprawa" przeprowadzona musi być prędko. Musimy wreszcie przestać oglądać błahe sztuki doskonale wystawione. Jest to niedopuszczalne marnotrawstwo sił aktorskich i koniunktury. Wysiłek

rzetelny reżyserów, artystów dramatycznych i dekoratorów — powinien wreszcie zostać wykorzystany do sztuk najlepszych.

*
* *

Ostatnio stworzono przy Ministerstwie Kultury i Sztuki Radę Teatralną. Nie mamy zaufania do wielce rozbudowanych instytucji, w których zasiadają wszyscy możliwi i konieczni do sproszenia przedstawiciele partii, związków i organizacji. I ta rada wydaje się nam ciałem zbędnym. Tym bardziej, iż w skład jej wchodzą przedstawiciele organizacji, która w organizowanych przez siebie teatrach wykazuje jak najfatalniejsze osiągnięcia. Nie radami i nie konwentyklami osiągniemy uzdrowienie polskiego teatru. Naprawa musi wyjść od teatralnych dołów — od dyrekcji i aktorów, którzy muszą zrozumieć potrzeby chwili.

Oby właśnie zasygnalizowane objęcie krakowskiego Teatru im. Słowackiego przez Osterwę, byłego kierownika warszawskiej „Reduty" — było naprawy takiej pierwszym i szczęśliwym prognostykiem.

Kazimierz Koźniewski.

Z PRASY

Fakt, że coraz więcej ukazuje się pism i periodyków, iż dziesiątki ich ciągle powstają, jest zjawiskiem naturalnym po sześcioletniej okupacji, w czasie której pisma polskie ukazywały się tylko nielegalnie, zaś władze okupacyjne wydawały w języku polskim swoje propagandowe dzienniki i dorównujące im poziomem kalendarze, senniki i pisma „dla włościan". Po tak długim więc okresie wygłodzenia zarówno czytelników jak i pisarzy i autorów wszelkiego rodzaju, obecna abondancja wydawnictw nie dziwi. Niepokojące natomiast było to, iż powstawało tak wiele pism „literackich", „społeczno-literackich", „literacko-kulturalnych", gdy pisma fachowe, naukowe, a nawet popularyzacyjne czekały na swoją kolej, a przecież tu ów głód wywołany przez okupację był nie mniejszy, i potrzeby niewątpliwie równie godne uwagi i zaspokojenia, jak w tamtych dziedzinach.

To też z prawdziwą radością należy na łamach właśnie „Nauki i Sztuki" powitać ukazanie się „Wiedzy i Życia", która numerem majowym podejmuje swą piętnastoletnią egzystencję. Piętnaście lat istnienia dla miesięcznika, to, nawet w spokojniejszych okolicach Europy jak nasza, sporo. „Wiedza i Życie" i przedwojennym poziomem i rodzajem jaki uprawiała szczególnie zasługiwała, aby w czasach tak niesprzyjających podtrzymywaniu tradycji powrócić do dawnych czytelników i zdobywać nowych.

Pierwszy powojenny numer nawiązuje do tradycyjnej linii i znanego poziomu przedwojennego przedrukiem artykułu przedwcześnie zmarłego prof. S. Czarnowskiego p. t. „Nowa kultura". Nazwisko Czarnowskiego, czołowego polskiego socjologa okresu międzywojennego, mówi za siebie. Czy jednak nie jest to artykuł za trudny? Napewno za trudny, jeśli się porówna jego poziom z poziomem jakiejkolwiek pozycji ogłoszonej w drugiej części pisma pod ogólnym szyldzikiem „Wiedza i Technika". Artykuły tam zamieszczone, jakkolwiek bardzo interesujące i dobrze wybrane tematycznie, nie dorównują poziomowi intelektualnemu programowej i niełatwej wypowiedzi prof. Czarnowskiego. Np. „Historia zegara" przybrana w zbyt łatwy i spowszechniały sposób opowiadania bajkowego („Cisza. Słychać tylko delikatne ..." to na początku i ten sam chwyt na końcu „bajki"), lub niemniej niewątpliwie interesujący artykulik o „Przeobrażeniach energii słonecznej" (w którym autor wyjaśnia znaczenie nazwy energii kinetycznej „od greckiego słowa kineo — poruszam") liczą na zupełnie in-

nego czytelnika niż pierwszy artykuł, którego pojęcia i terminologia jest znacznie trudniejsza i wymaga dobrze wprawionego w problematykę społeczno-naukową czytelnika.

Niezależnie od tej nierówności pierwszy numer „Wiedzy i Życia" jest dobry i interesujący, daje materiał różnolity, trafnie dobrany, a artykułom takim jak Husarskiego o „Początkach sztuki chrześcijańskiej" oraz Samotyhowej „Jak patrzeć na dzieło sztuki?" należy tylko przyklasnąć. Wprowadzenie tematyki humanistycznej, uczenie obcowania z dziełem sztuki, to zadania szczególnie dzisiaj ważne, a potrzeba informacji w tej dziedzinie, zawsze zresztą istotna, teraz, po sześciu latach przerwy, musiała wzrosnąć w naszym społeczeństwie wielokrotnie. To też powtórzmy, należy przyklasnąć inicjatywie redakcji, która drukiem obu tych artykułów nawiązała do kierunku przedwojennego i „wypełnia lukę" jak to się zwykło mówić w takich okolicznościach, stworzoną latami okupacji.

W dziale „Wiedza i Technika" na czoło wysuwa się doskonały, oparty na ciekawym materiale, artykuł o Japonii (T. Głowackiego). Niewątpliwie cyfry i dane tam przytoczone, zafrapują każdego czytelnika, którego interesuje postęp i przemiany polityczne i gospodarcze dalekiego nam narodu (w r. 1862 powstała w Japonii pierwsza w ogóle fabryka — przypomina nam autor — a w r. 1942 Japonia wyprodukowała 10 milionów ton stali!).

Pewien krytycyzm budzi artykuł zatytułowany „Sprawy zasadnicze" (E. Porębskiego). Tematem jest — mówiąc ogólnie — powojenna odbudowa Polski i zadania jakie czekają społeczeństwo, przyczem dla uwypuklenia problemów autor zestawia obecną sytuację ekonomiczną kraju z sytuacją przedwojenną naszą i innych krajów. To wszystko bardzo dobre, ciekawe, słuszne, napisane z talentem i rzadką łatwością.

Słusznie mówi autor „Zamiast frazesów i pompatycznej blagi zanurzmy się odważnie w kolumny cyfr".

Zanurzamy się więc w owe cyfry, co autor znakomicie ułatwia, gdyż naprawdę jest doskonałym przewodnikiem. „Przed wojną — czytamy — w r. 1939, roczne spożycie produktów w rodzinie robotniczej w Polsce i sąsiednich krajach przedstawiało się następująco:" ... — tu z całą ciekawością czytamy „kolumny cyfry".

I oto owo początkowe zastrzeżenie: że materiał statystyczny jest przedwojenny, to zrozumiałe, ale, że z „sąsiednich krajów" mamy dane z Czech, ze Szwecji, z Niemiec, ze Szwajcarii, z — Litwy, a brak zupełnie jakiegokolwiek materiału z najbardziej sąsiedniego kraju z Z. S. R. R., to musi dziwić. Że przed r. 1939 byliśmy odcięci od wszelkich wiadomości o Związku Radzieckim to było już przedmiotem omówienia i krytyki w niejednym przemówieniu i niejednym artykule, ale dlaczego dzisiaj bojkotuje się naszego największego sąsiada i sprzymierzeńca? A przecież właśnie w artykule bilansującym pewne osiągnięcia ekonomiczne, aby z owego bilansu wyciągnąć wnioski co czynić dalej, pominięcie Z. S. R. R., kraju, który pierwszy rzucił myśl planowej gospodarki, który ma tak różnolite warunki gospodarcze i tak istotne osiągnięcia, jest zasadniczym błędem i brakiem tego, podkreślmy, dobrego i pouczającego artykułu.

Nie jest to zresztą błąd samego autora. Wiele się mówi i pisze o zbliżeniu, o konieczności odrobienia błędów i braków przeszłości w tej właśnie dziedzinie. Ale cóż — robią to naprawdę tylko poeci. Naprawdę tylko wiersze poetów Związku Radzieckiego są nam przyswajane, inne dziedziny sztuki, osiągnięcia naukowe, gospodarcze, techniczne, niewątpliwie interesujące naszego czytelnika, są dziś tak samo, niedostępne jak dawniej. To trzeba wreszcie wyraźnie powiedzieć.

Czemu tak jest? Przecież mamy i ambasadę i Ministerstwo Informacji i Tow. Przyjaźni Polsko — Radzieckiej, a trudności techniczne, transportowe nie powinny niczego tłuma-

czyć, bo paręset, nawet parę tysięcy tomów książek, pism i statystyk nie zabrałoby w wymianie ogólnej wiele miejsca. A wiadomo, że wymiana ta wzrosła wielokrotnie w porównaniu z r. 1939. Co znaczy więc ułamek wagonu miesięcznie wśród tysięcy ton przewożonych z jednego kraju do drugiego.

Niechże więc tę naprawdę ważną lukę w dziedzinie informacji wypełni przynajmniej częściowo „Wiedza i Życie".

„Wiedza i Życia" winna się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej, harcerskiej, świetlicowej, powinna być stałą lekturą tych, których interesują problemy kultury, nauki i postępu we wszelkich dziedzinach. Szkoły wszelkiego typu powinny propagować to doskonałe pismo, a jedną z form rozpowszechnienia mogłaby być nagroda szkolna w postaci rocznej, czy półrocznej prenumeraty.

Nie znaczy to, aby wznowiony miesięcznik był przeznaczony tylko dla młodzieży. Wśród niej jest najpotrzebniejszy, ale każdy inteligentny człowiek niewątpliwie znajdzie tam interesujący i instruktywny materiał dla siebie.

* * *

Zupełnie innego typu pismem jest nowopowołany do życia również miesięcznik „Prawo i Państwo" — organ Zrzeszenia Prawników Demokratów w Polsce (tu nawiasem nazwa — zrzeszenie Prawników Demokratów sugerować może, iż istnieje inne zrzeszenie prawników, nie — demokratów a tak przecież nie jest; podkreślenie tego przymiotu było istotne przed r. 1939, gdyż wówczas tworzyły się związki demokratyczne obok dawnych sfaszyzowanych).

„Państwo i Prawo" jasno zupełnie wykłada swe cele i zadania, które są istotnie liczne:

będzie ono poświęcone „nie tylko zagadnieniom ściśle prawnym, lecz również i ekonomicznym, o ile znajdują, lub mają znaleźć swój wyraz w prawie stanowionym ..."

„ma służyć sprawie ugruntowania demokracji ludowej opartej na niewzruszonych fundamentach reformy rolnej i nacjonalizacji kluczowego przemysłu ...;"

„będzie szerzyć znajomość nowego zunifikowanego wreszcie prawa ..."

„nie pominie „zagadnień prawa międzynarodowego", ani nie zaniedba „dziedziny historii rodzimego ustroju i prawa", a śledzić będzie „zdobycze i doświadczenia obce ..."

również reforma sądownictwa i reforma studiów prawniczych ... znajdą tu naświetlenie", słowem pismo będzie miało charakter „magazynu naukowego poświęconego zarówno praktyce jak i teorii",

wreszcie „pospołu będziemy — zapowiada redakcja — dążyli do ugruntowania praworządności, która scementuje wiązania gmachu Rzeczypospolitej w Polsce demokratycznej, opartej na masach ludowych, rozumiemy jako praworządność nie tylko poszanowanie swobód obywatelskich przez władze publiczne, lecz także poszanowanie prawa przez ogół obywateli."

Tyle komitet redakcyjny, złożony z czołowych przedstawicieli współczesnych polskich prawników praktyków, oraz przedstawicieli Szkół Wyższych.

Program, musi się przyznać, ułożony ambitnie, ładnie i szeroko. Widać, iż gruntownie przemyślany i zrealizowanie tak nakreślonego planu będzie zadaniem choć niełatwym jednak wdzięcznym i nad wyraz pożytecznym.

Ukazały się dwa numery — marcowy i kwietniowy. Wacław Barcikowski 1-szy prezes Sądu Najwyższego, programowym artykułem inauguruje nowe pismo. Artykuł ciekawy, w polskim piśmie naukowym niewątpliwie nowy i pod względem treści i pod względem metody. Metodą jest autor marksistą, a wykład „celów i zadań prawnictwa demokratycznego" powinien zastanowić każdego czytelnika i prawnika i socjologa, chociażby był najdalszy od marksizmu.

„Zarówno zakres jak i treść pojęcia sprawiedliwości — pisze autor u wstępu swych rozważań — nie mają niezmiennego bytu. Są one zawsze związane z organizacją bytu społecznego. Inne jest pojęcie sprawiedliwości w okresie organizacji rodowej i plemiennej, inne w okresie feudalizmu, a jeszcze inne w naszej epoce."

„Z zadaniem państwa demokratycznego pisze autor nieco niżej — będzie niwelowanie różnic klasowych, pogłębionych przez dotychczasowe warunki gospodarcze, rozszerzenie skali zaspokojenia potrzeb szerokich mas, zepchniętych do poziomu zwierzęcego bytowania, z jednoczesnym ograniczeniem stanu posiadania tych warstw społecznych, które kosztem wyzysku najbiedniejszych rozbudowały potrzeby własne i zdobywały w ten sposób środki dla ich pokrycia. W związku z tym musi się zmienić pojęcie sprawiedliwości w znaczeniu przedmiotowym — będzie ona ochroną porządku prawnego, zabezpieczającą interes każdego obywatela, niezależnie od jego pochodzenia, wyznania i stanu posiadania."

Słuszną konsekwencją założeń autora jest między innymi — trudno wszystkie ciekawe myśli jego choćby streszczać — przyjęcie znanej w prawie karnym tezy, iż kara „musi być społecznie celowa, musi być traktowana jako skuteczny środek wychowawczy. Przestępstwo, rzecz oczywista, nie jest rezultatem wpływów metafizycznych, lecz wynikiem konkretnych" warunków społecznych, a przestępca ofiarą swych stanów zagrożeniowych, powstających na podłożu wadliwości organizacji społecznej."

Zgoda, lecz dalszy tok myśli autora nie wydaje się zupełnie konsekwentny. Oto co pisze autor: „Zabija się, oszukuje, przywłaszcza, gwałci — dlatego, że osiągany przez dokonanie przestępstwa skutek ma w infantylnopopędowej wyobraźni przestępcy ugasić jego wewnętrzny żar, ma zaspokoić jego potrzebę, albo obniżyć napięcie jego pożądania."

Zapewne, ale czemuż zjawiają się tu pojęcia zdające się mijać z zasadniczym stanowiskiem autora. Wydaje się, że autor tutaj nieco zaciemnił jasny swój wykład, bo przecież myśl zasadnicza jest chyba ta: przestępstwo jest wynikiem warunków społecznych a przede wszystkim ekonomicznych, w jakich znajduje się, lub znajdowała jednostka je popełniająca. — Niewątpliwie to jest jedna z zasadniczych przyczyn popełniania przestępstw, a doświadczenie potwierdza powyższe sformułowanie. Nie jest przypadkiem, ani rezultatem drakońskich kar, które jeszcze sto lat temu obowiązywały w wielu państwach, iż ilość przestępstw w państwach, w których w ciągu ostatnich lat stu podniósł się poziom życia t. zw. najszerszych mas, zmniejszyła się. Nie kary, lecz istotna poprawa warunków ekonomicznych obniżyła przestępczość na zachodzie i niewątpliwie obniży u nas powojenną plagę „szabru" i malwersacji. Dlatego dekrety stwierdzimy to nawiasem, zaprowadzające specjalne tryby postępowania i szczególnie ostre kary, nie idą po myśli założeń autora wstępnego artykułu „Prawa i Państwa", lecz są echem „operowania abstrakcjami".

Inny charakter aniżeli artykuł wstępny mają dalsze rozprawy zamieszczone w artykule pierwszym, których autorzy (J. Litwin, H. Świątkowski, K. Mamrot, W. Zylber, J. J. Litauer, E. S. Rappaport, W. Święcicki) poruszają najbardziej aktualne i ważne z punktu widzenia potrzeb dnia problemy, więc recepcja prawa polskiego na Ziemiach Odzyskanych, zagadnienia prawa małżeńskiego, nowe ustawodawstwo w dziedzinie prawa karnego, niespornego itd. Należy powitać wielu z pośród tych autorów, których nazwiska z radością widzimy po wojnie z powrotem na łamach poważnego pisma prawniczego.

Numer drugi jest niewątpliwie bardziej interesujący i dla niefachowca, co oczywiście w niczym nie umniejsza jego wartości fachowej w porównaniu z numerem poprzednim.

P. Jastrzębowskiego fragment książki o gospodarce niemieckiej w Polsce

w latach 1939/45 zawiera wiele bardzo ciekawych myśli i obserwacji, i, jeśli można sądzić na podstawie fragmentu, zapowiada książkę niewątpliwie wartościową.

Niektóre z ujęć autora warto przytoczyć, aby zbliżyć i zachęcić zarówno do książki jak i do czasopisma, które ten fragment ogłosiło, oraz ze względu na szczególną wartość niektórych sformułowań.

„Byłoby ... rzeczą nad wyraz nieoględną urabiać sobie pogląd co do działalności okupanta na podstawie wydanych przez niego ustaw. I to nie tylko dlatego, że prawa te nie stanowiły ograniczenia dla samowoli administracyjnej, ale głównie dlatego, że bardzo często świadomie i celowo stwarzały one obraz radykalnie odmienny od rzeczywistości, formalnie z nich właśnie biorącej swe źródło."

Zasada ta, ładnie i ostrożnie sformułowana przez p. Jastrzębowskiego, stosuje się nie tylko do badania zagadnień prawnych, ale do wszelkich badań jakiegokolwiek typu odnoszących się do okresu okupacji niemieckiej.

W pewnych wnioskach poszedłbym jednak dalej, niż to czyni autor. Oto pisząc o niemieckich tendencjach, aby Polakom podsuwać do kupna zasekwestrowane majątki żydowskie, stwierdza autor, iż Niemcy nie znajdowali nabywców „dlatego, że w świetle ustaw polskich, wydanych na emigracji, (oraz w świetle zasad prawa narodów, dodałbym) transakcje takie były bezprawne. Natomiast zdarzały się wypadki kupowania zasekwestrowanych nieruchomości od prawdziwych właścicieli żydowskich w formie potajemnego aktu, spisanego przez rejenta, stwierdzającego w treści dokumentu, iż obu stronom znana jest nielegalność i karalność transakcji z punktu widzenia ustawodawstwa okupacyjnego; w ten sposób nabywca starał się zabezpieczyć przed niebezpieczeństwem uznania sprzedaży za dokonaną pod rządem prawa okupacyjnego, a zatem nie obowiązującą."

Gdzie indziej zaś autor stwierdza: „W warunkach powyższych powstać musiał głęboki rozdźwięk między prawem formalnym o poczuciem prawnym społeczeństwa, przy czym zjawisko to nie ograniczało się bynajmniej do dziedziny politycznej, lecz dotyczyło również stosunków gospodarczych i wszelkich przejawów życia codziennego. Pod okupacją byłoby rzeczą nieetyczną domaganie się od sprzedawcy pobrania ceny ujawnionej na przedmiocie kupna i obowiązującej pod groźbą surowych sankcji. Natomiast zgodna z etyką była kradzież prądu elektrycznego na ogrzanie, lub oświetlenie mieszkania poza dozwolonymi 2 godzinami dziennie. Przekupywanie władz uważane było raczej za cnotę niż za przestępstwo, podobnie, jak przekroczenie większości przepisów administracyjnych. Odwołanie się do opieki sądów i policji z reguły było czynem nieetycznym."

„Regulatorem stosunków między ludźmi stały się tylko normy moralne o charakterze wewnętrznym, których sankcją była jedynie opinia publiczna, oraz poczucie więzi narodowej i społecznej. Stwierdzić wypada, że regulator ten działał na ogół sprawnie i skutecznie; tym niemniej jednak po powrocie do normalnych warunków życia musiały ujawnić się ujemne wpływy okresu bytowania pod rządem sprawiedliwości niemieckiej."

Otóż wydaje mi się, iż autor jest za ostrożny redukując te zjawiska do zjawisk o charakterze moralnym, regulowanym przez „normy moralne o charakterze wewnętrznym". Wszak słusznie widzi „głęboki rozdźwięk między prawem formalnym a poczuciem prawnym społeczeństwa" i podkreśla, „iż zjawisko to nie organiczało się bynajmniej do dziedziny politycznej, lecz dotyczyło również stosunków gospodarczych i wszelkich przejawów życia".

Zgadzając się całkowicie z autorem, oddawna widzę w tym wszystkim bardzo ciekawe zjawisko współistnienia dwóch systemów prawno-politycznych, tak, jak wytworzyły się dwa

systemy ekonomiczne i dwa systemy moralne wedle których żyliśmy w czasie okupacji. Jeden to narzucony system okupacyjny, drugi to wbrew tamtemu powstały system oporu i to legalny system i prawny, a nie tylko „moralny". Pierwszy opierał się na gwałcie i istniał dzięki gwałtowi, doprowadzanemu przez władze okupacyjne do zupełnego absurdu, drugi, podziemny porządek prawny, prawie że nie rozporządzał sankcjami i egzekutywą, a cieszył się powszechnym uznaniem i poddawano mu się właśnie z poczucia prawnego, a nie tylko z pobudek moralnych.

Wprawdzie tak daleko idące wnioski mogą wykraczać poza ramy pracy p. Jastrzębowskiego, tym niemniej godzi się, ażeby o nich tu napisać, gdyż walor ich wydaje się wielki i mogą mieć znaczenie nie tylko dla oceny roli i istoty przymusu i oporu przeciw niemu w czasie okupacji niemieckiej w Polsce, lecz i dla problemu i istoty przymusu w realizowaniu normy prawnej w ogóle.

Artykuł p. R. Bierzanka o rozstrzyganiu sporów międzynarodowych w systemie ONZ jest realizacją obietnicy Komitetu Radakcyjnego, iż pismo będzie uwzględniało i problemy międzynarodowo-prawne. Rozprawa ta ma charakter analityczny i relacyjny: autor stara się przedstawić całość zagadnienia we wszystkich szczegółach systemu ONZ i Ligi Narodów, przez co nie daje własnego poglądu, ani syntezy i, należy się obawiać, nie wywoła u czytelnika nie obeznanego z przedmiotem właściwego i pożądanego wyobrażenia o rozstrzyganiu sporów międzynarodowych w systemie ONZ.

Z pośród artykułów niefachowych tego numeru, a interesujących niewątpliwie t. zw. ogół kulturalny, ważne są te, które odnoszą się do reformy studiów prawniczych, a wypowiedzi w tej sprawie zawiera zeszyt drugi „Prawa i Państwa".

Główną pozycją są rozważania p. M. Siewierskiego. Niestety nie jest to równocześnie pozycja najwybitniejsza. Autor zdziwi się zapewne, jeśli się dowie, iż zmarły prof. Stanisław Kutrzeba o wiele bardziej radykalne i „rewolucyjne" zmiany przewidywał w swoim nieopublikowanym projekcie reformy studiów prawniczych, tak radykalne, iż nawet nazwa wydziału prawa miała ustąpić nazwie wydziału „nauk społecznych". Artykuł p. Siewierskiego robi wrażenie ataku i zdobywania pozycji z dawna niebronionych.

Projekt stworzenia „studiów doktoranckich" jest od lat wypróbowany we Francji i w Stanach Zjednoczonych i zasługuje na pełne poparcie, a wprowadzenie w życie takich g r a d u a t e s t u d i e s niewątpliwie rozproszy obawy, iż reforma studiów prawniczych, idąca w kierunku praktycznym, obniży wydajność naukową uniwersytetu.

Prof. Łapicki i Prof. Koranyi bronią: jeden aktualności prawa rzymskiego, drugi historii prawa w ogóle, wykazując nawrót do tej gałęzi prawoznawstwa w Z. S. R. R. Łącznie trójgłos — Siewierski-Łapicki-Koranyi — porusza zagadnienie niezwykle ważne, które wiąże się z problemem ogólnie istotnym: humanizacji naszej kultury, czy też odkażenia jej od „niepotrzebnych" bakterii klasycyzmu. Ten sam prąd redukowania wpływów klasycznych przyświecał reformie jędrzejewiczowskiej w szkolnictwie średnim. Należy się głęboko zastanowić przed powzięciem decyzji w tej części projektowanych przemian, a głosy wytrawnych historyków prawa niech będą w tej dyskusji wzięte pod rozwagę.

Redakcja „Prawa i Państwa" słusznie zrobiła zamieszczając w jednym numerze tak różne opinie. Świadczy to o szerokich horyzontach i rokuje najlepsze nadzieje pismu, którego potrzeba nie wymaga uzasadnienia, a zakres tematyki i poziom pierwszych numerów powinien mu uzyskać jak najwięcej czytelników.

—w —t.

JAK DZIŚ WIDZIMY „BALLADYNĘ“?

W książce, która była wynikiem wieloletniej pracy i która zdumiewa erudycją, a którą jednak czyta się z zapartym tchem; w „Słowackim i nowej sztuce" — uzasadniał Ignacy Matuszewski oryginalną tezę. Twierdził, że autor „Króla Ducha" był prekursorem nowych idei i nowego piękna, które miało w sztuce europejskiej zatryumfować dopiero kilkadziesiąt lat po jego śmierci. Książkę tę przyjęto z powszechnym uznaniem, jej twierdzenia aprobowano jako pewnik. Od tej chwili minęło już jednak lat 50, zjawiły się nowe prądy, nowe kierunki literackie, nowe idee. Przeżyliśmy dwie wojny światowe. Epoka „Młodej Polski" należy już do przeszłości. Czy wraz z ideami, które wyznawał modernizm nie zacznie gasnąć blask poezji Słowackiego?

Otóż — nie! Ta poezja jest źródłem wiecznych niespodzianek. W okresie Młodej Polski podziwiano najbardziej te utwory Słowackiego, które poprzednie pokolenia uważały za niezrozumiałe. My wracamy do „Kordiana", „Lilli Wenedy", „Horsztyńskiego" i „Fantazego". Mistycyzm „Króla Ducha" czy nawet erotyzm „Szwajcarii" mniej nam już odpowiada, za to „Balladyna" wydaje się bliska. Być może, że przyszłość odsłoni jeszcze nowe horyzonty. I znów zaczniemy zestawiać Słowackiego z dziełami artystów współczesnych; okaże się raz jeszcze, ile w nich zadziwiających tematów do rozmyślań, zestawień i przeżyć. Zdaje mi się, że ustawiczne przesuwanie perspektyw stanowi istotę działania tej poezji. Mickiewicz wpływa inaczej, głębiej niezmienniej, powszechniej. Nigdy żadne z jego dzieł nie traci gruntu, który raz pozyskało. W odmienności oddziaływań zarysowuje się odmienność samej istoty twórców.

Gdy się dziś słucha „Balladyny",gdy się czyta poprzedzający ją „list do poety ruin", trudno oprzeć się uporczywie wracającej analogii z najnowszym teatrem europejskim. Przypomina on pod względem formalnym twórczość średniowiecznych glossatorów. Tworzy się niejako na marginesie starych mitów. Dzieje Edypa, Elektry, Orfeusza czy bohaterów homeryckich są pretekstem do snucia poezji własnej, indywidualnej, nowoczesnej. Jest to poezja zakwitająca w cieniu dawnej legendy, poezja kryjąca się w komentarzach do wydarzeń i w komentarzach do komentarzy. Poezja poruszająca się swobodnie wśrod idei i paradoksów, odsłaniająca nowoczesność w starożytności, łącząca awangardę z historyzmem. Postacie sceniczne w ten sposób ujęte tętnią nową teatralnością, są wielobarwne, wypukłe, wyraziste, dają nam pogłębioną wiedzę o człowieku i świecie, pogłębioną o zestawienie, porównanie, analogię.

Niemal tak samo tworzy autor „Balladyny". Punktem wyjścia jest dla niego baśń ludowa. „Tragedia cała podobna do starej ballady" pisze w liście do matki „ułożona tak, jakby ją gmin układał". Ale Słowacki nie poprzestał na literackim opracowaniu baśni ludowej. Rozbudował ją dziesiątkami komentarzy psychologicznych, socjologicznych, filozoficznych, etycznych. Stopił starą baśń z Szekspirem i Ariostem. Dał Balladynie duszę nowoczesnej kobiety, dał wypadkom sens ironiczny, w którym — jak to uwypuklił prof. Kleiner — odzwierciedlił się światopogląd poety.

„Niechaj tysiące anachronizmów przerażą śpiących w grobie historyków i kronikarzy" — pisał Słowacki w „liście do poety ruin". A n a c h r o n i z m j a k o ś r o d e k a r t y s t y c z n y to również zdobycz współczesnego teatru, gdzie Hektor rozprawia nad zagadnieniem wiecznego pokoju. W „Balladynie" najciekawszym anachronizmem jest ona sama (i psychologiczny mechanizm jej zbrodni); Balladyna to równocześnie „czarny charakter" z bajki i nowocześnie skonstruowana postać. Zanim jeszcze poszła do lasu na malinową wyprawę,

w jakichś zakamarkach jej świadomości czai się już przeczucie morderstwa. Na kilka minut przed zbrodnią zadaje niespodziewane pytanie:

„Gdybym cię siostro... zabiła?"

Jest to myśl, która nurtuje Balladynę w sposób niezrozumiały dla niej samej. A gdy zbrodnia zostaje spełniona, pierwsze słowa morderczyni wyrażają dziecinne zdumienie: „Co moje ręce zrobiły?" —

Wkrótce potem Balladyna poddaje się sugestji narzuconej przez Goplanę, że wszystko było jedynie snem. Nie odróżnia snu od jawy, jak królewicz Zygmunt w dramacie Calderona. A jednak, gdyby jej kazano odrobić zbrodnię, nie zgodziła by się za żadne skarby. (Ta powtórna zbrodnia w intencjach surowiej ją potępia, niż sam czyn). Oto komentarz psychologiczny, godny Dostojewskiego i Mauriaca!

Dalsze dzieje Balladyny ileż zawierają niespodzianek! Jak z rogu obfitości wyciąga poeta coraz to nowe oświetlenia. Wzbogaca portret bohaterki coraz nowymi rysami. Jest ona chwilami dziecinnie lekkomyślna i tak nerwowo wyczerpana, że bliska zdradzenia się, ale w chwilę później genialnie czynna, zimna, przebiegła, okrutna. Skarży się jak dziecko, ale każdą przeszkodę usuwa z drogi jak doświadczony gracz. Ma w sobie coś z wiejskiej zbrodniarki, lękającej się duchów i upiorów, ale ma też dużo z królowej Elżbiety angielskiej i z najbardziej nowoczesnych dyktatorów.

Komentarz psychologiczny poety łączy się tu z komentarzem filozoficznym i socjologicznym. „Wychodzi na świat Balladyna z ariostycznym uśmiechem na twarzy obdarzona w n ę t r z n ą s i ł ą u r ą g a n i a s i ę z p o r z ą d k u i ł a d u jakim wszystko dzieje się na świecie, z nieprzewidzianych owoców, jakie, wydają drzewa ręką ludzi szczepione". Jakże nam to brzmi nowocześnie! Oto w Paryżu wystawiono sztukę młodego pisarza, który w latach okupacji był żołnierzem Francji podziemnej: „Caligulę" Camusa. Tyrana rzymskiego ukazano tu jako człowiek zbuntowanego przeciw sprawiedliwości i postępowi. Na swój zbrodniczy i szaleńczy sposób szuka on absolutu i nienawidzi człowieka. Camus, który napewno nie zna „Balladyny" przemawia niemal tymi samymi słowami, jak nasz poeta. Skąd się biorą takie analogie? Trochę z podobieństwa historycznej sytuacji. Musset w „Lorenzaccio" równocześnie za Słowackim porusza problem walki dyktatury z wolnością. „Balladyna" tętni gniewem przeciw królom, przeciw władzy opartej na samowoli i zbrodni.

Poprzez mordy i krew wydostaje się Balladyna na tron, ale gdy tam zasiądzie, własne zbrodnie zjawiają się by ją osądzić. Słyszeliśmy nieraz, że w polityce udane zbrodnie nie są przestępstwami. Powodzenie stawało się czasem nie tylko sankcją bezkarności, ale nawet znajdowało chwalców, uzasadniających gwałty z punktu widzenia etyki i dobra ludzkości. Słowacki daje z wyżyn swej poezji odprawę takim sofizmatom. Na najwyższych szczeblach powodzenia grom kary dosięga Balladynę, jak potem dosięgał depcących etykę wodzów i ludzi odpowiedzialnych za zbrodnię „zabójstwa ludów" („genicidium"). „Balladyna" okazuje się w końcowych swych scenach — sztuką na temat sprawiedliwości absolutnej jak „Elektra" Giraudoux, jak „Hamlet". Jest protestem przeciwko bezkarności, którą mogłyby się cieszyć zbrodnie. Tragedia tak głęboko sięgająca w psychologiczną istotę zbrodni nie zawiera ani krzty pobłażliwości dla oprawców; bo zrozumienie zbrodni nie wyklucza ani jej potępienia ani tęsknoty za karą. Im lepiej poznamy mechanizm zła — tym ściślej oddzielimy je, odizolujemy od reszty zjawisk.

Wojciech Natanson

Teki Wal. Kalinki nie spłonęły

Sprostowanie na marginesie rozprawy W. Zienkiewicza pt.: „Manewr i bitwa pod Racławicami."

Ogłoszona w ostatnim zesz. „Nauki i Sztuki" ciekawa rozprawa W. Zienkiewicza pt. „Manewr i bitwa pod Racławicami" („Nauka i Sztuka", R. II. Nr. 4/7, str. 3—17) w części wstępnej, omawiającej źródła do dziejów działalności Kościuszki — zawiera przypuszczenie, że Teki Waleriana Kalinki ze zbiorów OO Zmartwychwstańców we Lwowie spłonęły w czasie działań wojennych 1939 r., znajdując się jako depozyt w magazynach Ossolineum.

Pragnę uspokoić zainteresowane osoby, że wypadek ten nie miał miejsca ani w r. 1939 ani później (w czasie bombardowań powietrznych i walk o miasto, przed ustąpieniem wojsk niemieckich, 1944) a przy tej okazji chcę sprostować, że Kalinkiana wraz z całym archiwum Zgromadzenia OO Zmartwychwstańców dostały się do Ossolineum dopiero w lutym 1940 r. Do tego czasu materiały te były w przechowaniu w moim prywatnym mieszkaniu lwowskim, gdzie nawet po raz pierwszy uporządkowałem je zgrubsza, nadając poszczególnym konwolutom rękopisów i autografów (m. i. ciekawej korespondencji gen. Wład. Zamoyskiego) ogólne określenia. Na żądanie ówczesn. dyrektora Ossolineum -. Boreyszy, jako filii Ukr. Akademii Nauk — archiwalia te zostały przewiezione do gmachu przy ul. Ossolińskich i tam poddane szczegółowej inwentaryzacji (o ile mi wiadomo — nad częścią tych manuskryptów pracował śp. prof. dr J. Feldman). Od tego czasu materiały te przestały być „depozytem" i weszły w skład zasobów Ossolineum.

Należy oczekiwać, że przy obecnej rewindykacji polskiego mienia kulturalnego ze Lwowa i te nader cenne archiwalia i Teki Waleriana Kalinki, jednego z naszych największych dziejopisarzy — oddane zostaną Polsce. Podobnie powinno stać się z inn. materiałami do Kościuszki i dziejów naszych, mieszczących się m. i. w b. Bibliotece Poturzyckiej, jak zwróciłem na to uwagę w Nr 12 „Odrodzenia" w artykule pt.: Nieznany biograf Kościuszki."

dr Tyrowicz Marian
(Kraków).

KOMUNIKAT

Polski Słownik Biograficzny, wydawany przez Polską Akademię Umiejętności, zawiera zwięzłe życiorysy zmarłych działaczy w zakresie naszej historii politycznej, wojskowej, społecznej gospodarczej, naszej kultury, nauki i sztuki od początków państwowości aż do czasów obecnych.

Przed wojną ukazały się cztery tomy i 4 zeszyty tego wydawnictwa, obejmujące w porządku alfabetycznym życiorys od litery A do Dr, razem około 4.500 biografii. Całość obliczona jest na 20 tomów i ok. 20.000 życiorysów. Wydawnictwo ukazywało się zeszytami, z których każdy zawierał ok. 180 życiorysów. Polski Słownik Biograficzny stworzył na gruncie naszym wzór naukowej pracy zespołowej, skupiał bowiem pod kierunkiem Komitetu Redakcyjnego (17 członków), a pod patronatem Rady Naukowej (ok. 50 członków) — blisko 750 współpracowników z całej Polski.

Każdy naród o wyższej kulturze postarał się już o wydanie swojego słownika biograficznego Polska skutkiem katastrof politycznych, dopiero od r. 1935 mogła zacząć realizować takie przedsięwzięcie, ale za to postawiła je odrazu na wysokim poziomie. Inwazja niemiecka przerwała pracę i zagroziła jej podstawom. Dziesiątki współpracowników padły ofiarą wojny i hitlerowskiego terroru. Zniszczone zostały, lub uniedostępnione różne archiwa i zbiory, z których Słownik czerpał materiały. Ocalało na szczęście archiwum Polskiego Słownika Biograficznego, dzięki czemu Redakcja po przełamaniu pierwszych trudności przystępuje obecnie do kontynuacji wydawnictwa. Wiadomość o oddaniu do druku kolejnego zeszytu P. S. B. (zeszyt 25) wywoła niewątpliwie radosny oddźwięk wśród licznych przyjaciół i odbiorców wydawnictwa. Tempo jednak i poziom zależeć będzie od środków pieniężnych Akademii, oraz od poparcia, jakiego mu udzieli społeczeństwo.

Redakcja Polskiego Słownika Biograficznego zwraca się tedy z apelem do szerokich sfer zainteresowanych w rozwoju naszej kultury, a zwłaszcza do zarządów bibliotek naukowych, oświatowych, fabrycznych i szkolnych, zarówno państwowych, jak i samorządowych o przystąpienie w charakterze stałych prenumeratorów do budowy tego wielkiego dzieła.

Polski Słownik Biograficzny będzie wychodził nadal zeszytami, dając na razie ze względu na trudności techniczne, nie pięć, ale trzy zeszyty rocznie. Nakład Słownika będzie ze względu na konieczność oszczędzania papieru i koszta druku ograniczony. Polska Akademia Umiejętności pragnie go dostosować do istotnego zapotrzebowania bibliotek i czytelników. Cena najbliższego zeszytu w prenumeracie wynosić będzie ok. zł. 200.—. Nowi prenumeratorzy otrzymują prawo pierwszeństwa w zaopatrzeniu się po zniżonych cenach w przedwojenne tomy Słownika. Prenumeratorzy przedwojenni będą mieli możność uzupełnienia kompletów zniszczonych.

Zgłoszenia prenumeraty przymuje biuro Redakcji, mieszczące się w gmachu Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków, ul. Sławkowska 17, i ono też udziela wszystkich niezbędnych informacyj.

TREŚĆ TOMU TRZECIEGO.

(kwiecień-maj-czerwiec 1946)

ROZPRAWY I ARTYKUŁY



PRZEGLĄDY

Administracje prosi o kierowanie wpłat na prenumeratę **wyłącznie** na konto PKO VIII—348

Cena zeszytu pojedynczego . . . . zł. 50,—
Prenumerata kwartalna . . . . zł. 150,—
Prenumerata z przesyłką zwykłą . . . . zł. 158,—
Prenumerata z przesyłką poleconą . . . . zł. 167,—

Konto PKO Warszawa I—926
Wrocław VIII—348

Konto Nar. Banku Polskiego — Jelenia Góra
Wyd. „Nauka i Sztuka".

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Wydawców i autorów uprasza się o nadsyłanie nowości do recenzji w dwu egzemplarzach.

Artykuły do druku muszą być pisane na maszynie, względnie zostaną przepisane na koszt autora.

Cena ogłoszeń: Od 1 wiersza wys. 1 mm szerokości szpalty petitowej złotych 20.

Zakłady Graficzne W. I. N. W. — Oddział w Jeleniej Górze — F. 5272.


GRAFICZNE
WOJSKOWEGO
NAUKOWO
WYDAWNICZEGO
ZG
WINW